

RAFAL CICHOWSKI

# POWYŻE ZIEMI



CZAS WYRÓWNUJE WSZYSTKO DO ZERA

**SON**  
imaginatio

RAFAŁ CICHOWSKI

PYŁ

ZIEMI

KRAKÓW 2017

Copyright © Rafał Cichowski 2017

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Marta Pustuła

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Rysunek na okładce – Marcin Karaś



Wydanie I, Kraków 2017

ISBN EPUB: 978-83-7924-783-7

ISBN MOBI: 978-83-7924-782-0



wsqn.pl



WydawnictwoSQN



wydawnictwosqn



SQNPublishing



wydawnictwosqn



WydawnictwoSQN



Sprzedaż internetowa labotiga.pl



E-booki



Zrównoważona gospodarka leśna



Eheu, fugaces labuntur anni

# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

I #nofilter

II Get the London look

III List z piekła

IV Aurora

V Historia Reza i Lilo, czyli co tak naprawdę wydarzyło się na Yggdrasil

VI To tylko sen

0 Intermezzo

Y Reality show

Strona redakcyjna

# #nofilter

Możecie zaczynać.

Dziewczyna zapowiada kapełę i zostawia ją na pożarcie widowni. Na tle beładnych uderzeń w puste struny słysząc jedno nerwowe chrząknięcie. Głęboki oddech.

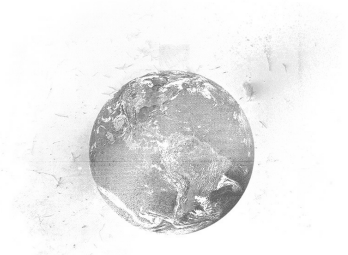
W kilku słowach wokalista wyjaśnia, kim są, dlaczego tu są i jak się nazywa utwór, który za chwilę zagrają. Jego przytłumiony głos odbija się echem od ścian. „Zniknę.

Powiedziałem ci i jeszcze raz powtórzę". Ochrypnięty dźwięk rodzi się w gardle, wydostaje na zewnątrz, przedziera przez kiepski mikrofon i splątany kabel, przebija ścianę szumu, przenosi się tysiąc lat do przodu i dociera do mnie w całej swojej pozbawionej niskich częstotliwości, ledwie czytelnej chwale.

– (Znów tego słuchasz?)

Nie wiem nic o tym zespole. Nie chcę wiedzieć. Lubię sobie wyobrażać, że to zbieranina chłopaków znikąd, a to ich pierwszy publiczny występ. Przebyli cały świat, wydali ostatnie pieniądze, by tu się znaleźć, i jeśli to spieprzą, zapowietrzą się, stracą wszystko. Nawet marzenia.

Ale nic takiego nie ma miejsca. Szorstki głos nabiera siły, uderzenia w instrumenty stają się coraz pewniejsze i bardziej precyzyjne. Utwór rozpędza się i przy drugim refrenie eksploduje emocjami prosto w twarze niewzruszonej widowni. Magia trwa dokładnie przez trzy minuty i dwadzieścia osiem sekund. Gdy kończą, sala odpowiada im brawami, zagłuszając podziękowania wokalisty.



Oczywiście to wszystko może być kłamstwem, ale to bez znaczenia. Ja wolę swoją wersję. Moja wersja jest wszystkim, w co chcę wierzyć, dlatego zablokowałem sobie dostęp do opisu tego występu w bazie wiedzy. I w ten sposób moje kłamstwo stało się prawdą.

– (Mogę ci powiedzieć, kto to nagrał. Chcesz?)

Zawsze drażni się ze mną, gdy odtwarzam ten utwór. Nie dziwię się jej – słyszała to już tak wiele razy. Ale obiecałem sobie, że tylko te dźwięki mogą przywitać mnie na Ziemi. Wyobrażałem sobie tę chwilę tak często, że zajechałem moją wewnętrzną taśmę, zdarłem ją do białego szumu i nie czuję już nic. Nieważne. Jesteśmy tu. Naszą opowieść o wieczności spędzonej w mroku wieńczy błada błękitna kropka.



Spadam, nagi i otoczony ciemnością. To mój ulubiony sposób podróżowania, gdy ściany kapsuły stają się przezroczyste, a ja po prostu dryfuję przez przestrzeń. Podnoszę głowę, wyginam ciało w łuk i sięgam przed siebie. Ziemia staje się coraz większa, chociaż wciąż mogę zasłonić ją całą środkowym palcem. Włączam sztuczną grawitację, żeby poczuć to każdą komórką ciała. System symuluje szum i opór powietrza. Zabójczy pęd wpycha mi oddech z powrotem do płuc, zmrużone oczy napełniają się łzami. Muzyka łupie coraz głośniejsze, przekrzykując się z wyciem wirtualnego wiatru. W kosmosie nikt nie usłyszy twojego krzyku, co nie oznacza, że nie może tu być głośno od dobrego rock and roilla.

I jej śmiechu.

– (Jeszcze pięć godzin i będziemy na miejscu. Jednak jesteś stuknięty) – informuje mnie, próbując zachować rzeczowy ton, jak na dowódcę misji przystało.

Pięć godzin. W porównaniu z drogą, którą przebyliśmy, to nawet

nie mrugnięcie. Nieskończona ilość zer po przecinku. Gdy ponownie otwieram oczy, Ziemia jest już na wyciągnięcie ręki.

Praktycznie mogę dotknąć jej mokrej, błękitnej powierzchni, zamieszać palcem obłoki i rozpętać huragan gdzieś nad Pacyfikiem. Muzyka gaśnie. Wokół mnie pojawiają się jednolicie białe ściany.

Opadam na podłogę i ruszam w kierunku mostka. Jej kapsuła wyprzedza moją. Ustawia się w jednej linii przed dziobem mojego statku, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Nie mieliśmy kontaktu z Ziemią przez cały ten czas. Być może atmosfera stała się tak toksyczna, że pancerze zaczną się topić podczas zderzenia, a ziemskie systemy obronne wykryją naszą obecność i przywitają nas salwy z czegoś śmiertelniegroźnego, cokolwiek tam trzymają pod ręką. Ale najbardziej prawdopodobne jest, że nikogo tu już od dawna nie ma. Puste, ciche zagęszczenie materii na zadupiu Laniakei. Wcale nie tak wyjątkowe, jak się nam wydawało przez setki tysięcy lat. Jedynym prawdziwym zagrożeniem są tony śmieci wirujące dookoła. Satelity, sztuczne kolonie i efekty stuleci nieudanych eksperymentów mających pozwolić ludziom zapanować nad klimatem.

Wszystkie dawno dezaktywowane, powoli opadają, by spalić się w atmosferze. Ale układ to układ.

Ja przeleciałem dla niej przez pierwszy most. Teraz jej kolej ryzykować życie. Co jednak nie świadczy o tym, że muszę iść na łatwiznę.

– (Tryb manualny? Naprawdę?)

– (Nie wyobrażam sobie tego inaczej. Pozwolić się prowadzić przez system? Miętko lądować na Ziemi? To byłoby w złym guście).

– (Wiesz, co byłoby naprawdę w złym guście? Przebyć wszechświat i zginąć na ostatnim kilometrze) – odpowiada i też wyłącza zdalne sterowanie.

Przyspiesza tak gwałtownie, że praktycznie tracę ją z oczu. Wedle wszystkich protokołów, obyczajowych standardów i zasad zdrowego rozsądku zachowujemy się w tym momencie jak para

nieodpowiedzialnych idiotów – co do tego mamy zupełną jasność – ale trudno zapanować nad emocjami po całej wieczności spędzonej w drodze, gdy chwila, w którą już dawno przestaliśmy wierzyć, nagle przychodzi. W naszych podrasowanych ciałach i stymulowanych mózgach, pod siecią nanoprzekaźników, narzędzi diagnostycznych i obwodów awaryjnych wciąż kryje się ten sam człowiek, który przez większość historii gatunku płakał ze smutku i śmiał się, gdy odczuwał radość.

Im dłużej jesteśmy pozostawieni sami sobie, ten człowiek coraz częściej daje o sobie znać. Dlatego przysięgam, że gdybym miał tu teraz alkohol, wlałbym go sobie do ust i na głowę. Zapaliłbym cygaro. Przybił piątkę z przyjacielem. Rzucił się w ramiona osoby, którą kocham. Manifestował radość, mając gdzieś protokoły. Oczywiście, jestem w stanie zmusić moje ciało, żeby poczuło się nawalone, ale to nie jest najlepszy moment. To, co mogę w tym momencie zrobić, to przyspieszyć.

Wpadamy w atmosferę. Najpierw ona, później ja. Jeśli jest tam ktoś na dole i patrzy w niebo, może właśnie dostrzec dwie czerwone smugi rozdzierające błękit, schodzące coraz niżej i znikające za horyzontem, nad którym majaczy oślepiająca kula ognia. W jej pomarańczowym blasku wiruje suchy pył.

– (Gdzie chcesz lądować?) – pytam, nurkując w gęste obłoki.

– (Gdziekolwiek... Nawet nie wiemy, od czego zacząć, więc równie dobrze możemy...) Jej kapsuła uderza w szpiczastą konstrukcję, przebija się przez nią na wylot, traci panowanie i zaczyna wirować wokół własnej osi.

– LILO! – krzyczę, zmieniając kurs ułamek sekundy przed uderzeniem.

Z głębi szarych chmur napierają na mnie dziesiątki strzelistych wież. Podążam za nią, lawirując pomiędzy białymi słupami, ocierając się o ich powierzchnię, unikając kolizji tylko dzięki refleksowi, o który się od dawna nie podejrzewałem. Tysiąc myśli na sekundę. Ale nie mogę się zdekoncentrować. Nie teraz. Jej kapsuła odbija się od kolejnych wież, na chwilę wznosi, jakby udało



jej się odzyskać kontrolę, po czym ponownie pikuje, kończąc swój lot w gęstym lesie.

– Lilo! – wołam znowu.

Bez odpowiedzi. Wysuwam skrzydła, sadzam miękko statek w wąwozie pełnym połamanych drzew i wybiegam na zewnątrz. Bez sprawdzenia składu powietrza, bez zeskanowania otoczenia w poszukiwaniu potencjalnych zagrożeń. A także bez gaci.

Ona na szczęście już tam na mnie czeka. Rozgląda się, sprawdzając uszkodzenia pancerza. Gdy odwraca wzrok, dostrzega mnie stawiającego niepewne kroki na świeżo zaoranej ziemi, przedzierającego się nago przez zdewastowany las jak jakieś zwierzę, nieporadna, pozbawiona futra mała, która jedyne, co potrafi, to wybełkotać jej imię.

– Lilo... – mówię, nabierając w płuca głęboki haust powietrza, które okazuje się czyste, chłodne, wypełnione tysiącem zapachów tak silnych, że muszę je wytłumić, by nie stracić przytomności od tego natłoku autentycznych, nie symulowanych doznań. Ale to wszystko nieważne, ważne jest to, że nic jej się nie stało.

Stajemy naprzeciw siebie. Bez słowa. Po raz pierwszy od początku naszej podróży obcując ze sobą fizycznie. Chwytam jej dłoń, żeby poczuć ciepło jej ciała między palcami, zetknąć ze sobą te organiczne formy przechowujące nas w środku w prehistorycznym geście jedności, który może się wydawać ckliwy albo śmieszny, ale według mnie jest jedynym sensownym sposobem, aby dać jej do zrozumienia, że to był jednak kretyński pomysł i nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś jej się stało.

Ona przyciąga mnie do siebie i mocno obejmuje. Czuję bicie jej serca i moje własne, które bezwiednie synchronizuje się z jej.

– (Rez).

– Powiedz to na głos – szepczę, odwzajemniając uścisk.

– Rez – wypowiada moje imię.

– Jesteśmy na Ziemi, powinniśmy się trzymać konwenansów – proponuję.

Lilo rozgląda się wokół.

– Już zaczęliśmy dewastować przyrodę.

– Chodziło mi bardziej o mowę.

Za nami trzydzieści sześć wież podpira ołowiane niebo, ich szczyty giną w obłokach.

Pozbawiona życia ruina przygląda się nam milionem pustych okien. Odwzajemniamy spojrzenie, podnosząc głowy.

– Nie wiedziałam, że na Ziemi stawiano tak wysokie budynki.

– To Ketra – mówię, próbując dostrzec miejsce po uderzeniu. Bezskutecznie. – Baza wiedzy twierdzi, że zbudowano to miasto już w dwudziestym pierwszym wieku. Eksperyment społeczny.

Ważniejsze postaci: Kanu Retter, Almeida Ceira. To tu zastosowano pierwsze biochipy.

– Kiedyś opowiesz mi tę historię – mówi, po raz kolejny mierząc mnie wzrokiem.

Gdy idę w kierunku statku, suche gałęzie pękają z trzaskiem pod moimi stopami.

Nieprzyzwyczajona do kontaktu skóra czerwienieje, napręża się i rozdziera. Stopniowo wpuszczam ból do układu, sprawdzając, jak wiele jestem w stanie go znieść. Przy czterdziestu sześciu procentach pojawia się pierwszy bezwarunkowy odruch – do kącika oka napływa łza. Mózg mówi dość. Starożytni ludzie musieli być twardymi skurwielami, skoro przemaszerowali boso dwa miliony lat, a i tak dotarli na szczyt łańcucha pokarmowego. Ale taka już nasza natura. Nie odpuszczamy.

Czarna maź opływa moje ciało, dopasowuje się do jego kształtu, wnikając w każdy por skóry od koniuszków palców u stóp po nadgarstki i szyję. W przyplýwie kreatywności nadaję stopom kształt butów, a cała reszta przybiera formę lekkiego kombinezonu, jakiego kiedyś mogli używać piloci.

A może widziałem to tylko w jakimś filmie? Ukrywam symbole Yggdrasil na barkach i plecach, pozostawiając jednolicie gładką powierzchnię. System podaje informację, że w promieniu stu kilometrów nie ma ani jednego urządzenia wykorzystującego dowolny rodzaj energii, ale jeśli jednak kogoś tu spotkamy, lepiej

nie afiszować się z naszym pochodzeniem. My i nasze niezniszczalne, nic nieważące kombinezony z innej epoki po prostu postaramy się wtopić w tłum.

Lilo jest ubrana cała na białą. Chce od razu ruszać przed siebie, nie tracić więcej czasu na przebieranki i lekcje historii, ale ją powstrzymują. Gęsta zawiesina nad naszymi głowami rozrzedza się i nasącza barwą. Tarcza słońca wypala dziurę w obłokach i nurkuje w kierunku horyzontu.

– Wiem, co chcesz zrobić – mówi Lilo, patrząc w kierunku zachodu. – Jest duże ryzyko, że tego nie przeżyjesz.

– A ty? Nie chcesz zobaczyć wszystkiego tak, jak naprawdę wygląda? Tak, jakbyśmy widzieli to pierwszy raz? Pieprzyć te nagrania i symulacje. Prawdziwe fotony wpadające do prawdziwej żrenicy. No chodź! Zrób to ze mną!

Waha się. Ale znam ją tak dobrze, że praktycznie jest częścią mnie. Dokładnie wiem, jak wejść jej pod skórę.

– To tylko jedna planeta. Mamy czas – mówię spokojnym, niskim głosem.

Wszystko eksploduje kolorem.

Zapachem.

I dźwiękiem.

Wszystko wokół ożywa. Od szumiących liści w koronach drzew po robactwo drążące tunele pomiędzy ich korzeniami. Od wrzeszczącego barwą nieba przez szczyty wież po brzegi płuc. Wzdłuż i wszerz Ziemi wszystko współgra ze sobą w harmonii, produkując melodię, na którą nic nie mogło nas przygotować, nawet jeśli znaliśmy wszystkie jej nuty. Wrażenie jest totalne. Nieopisywalne.

Odbiera władzę w nogach i zatrzymuje myśli. Żaden statyczny ani ruchomy zreprodukowany obraz, żadne utwory, wiersze, książki, sny, memy ani narkotyki nie są w stanie oddać siły tego piękna, choć bywa, że muzyka trafia cholernie blisko. Nadludzkim wysiłkiem chwytam Lilo za rękę i wciągam głębiej w gęsty las. Nie wiem, czy próbuję uciec od tego wszystkiego, czy się w tym utopić.

Lilo też nie wie. Poddaje się i biegniemy jak dzieci, które ktoś po raz pierwszy przyprowadził na plac zabaw, potykamy się o gałęzie i wpadamy twarzami w pajęczyny. Trochę przerażeni, bardziej odurzeni emocjami brniemy w nieznanym kierunku. Dobiegamy do urwiska, a endorfinowa fala o mało nie spycha nas setki metrów w dół.

Ze szczytu wzniesienia widać bezkresny las rozświetlony barwami zachodu, który pędzi na spotkanie z niebem. Siadam na wilgotnej ziemi, wśród traw i liści. Zatapiam palce głęboko w jej pulsującej materii. Przez całe życie widziałem tylko ciemność. A przecież to jest miejsce, z którego pochodzimy. To wszystko powinno być dla mnie naturalne. Lilo miała rację, właśnie umarłem.

I urodziłem się na nowo.

Myślę, że w tym miejscu mógłby nastąpić koniec naszej podróży. Nikt nas nie zmusi, żebyśmy stąd odeszli, żebyśmy zmrużyli, a tym bardziej zamknęli oczy. Ja. Ona. Tu. Na zawsze, a przynajmniej dopóki słońce nie wypali się, nie spuchnie i nie pochłonie Ziemi. Ostatni rozdział zbyt długiej historii, o której początku prawie udało nam się zapomnieć.

– (Idealny koniec) – podpowiada Lilo, kładąc się obok mnie.

Ale dobrze wiemy, że to się nie wydarzy. Istnieje tylko jeden sposób, aby przeżyć wieczność: życie musi mieć cel. Nasz został nakreślony dawno temu i nie ma nic wspólnego z tarzaniem się w ściółce na emocjonalnym haju ani delektowaniem się misternym pięknem konstrukcji tego świata po jego kres. Dlatego bierzemy po ostatnim głębokim wdechu, włączamy filtry i ruszamy w drogę powrotną.

Teraz możemy zaczynać.

\*

Zwierzę wierzga i wykrwawia się. Jeszcze przez chwilę instynkt nie pozwala mu się poddać, nogi zginają się i prostują, spazmatycznie kopiąc powietrze, głowa próbuje się podnieść

i pociągnąć za sobą resztę ciała, wyżej, dalej od tej śmierci. Oczy nie widzą już praktycznie nic poza mgłą, która z każdym uderzeniem serca staje się coraz gęstsza. Kolejny desperacki zryw wyczerpuje resztę sił.

Zwierzę wypuszcza powietrze, a przy kolejnym wdechu zasysa do środka już tylko krew. Trzy uderzenia. Dwa. Jedno. Serce zatrzymuje się pod ciężką dłonią. Zapada cisza, głęboka niczym otchłań, która pochłania inne dźwięki. Człowiek cofa dłoń. Wyciera krew, zostawiając dwa ślady pod swoimi oczami i trzeci na ustach. Nisko pochyla głowę i zamiera w tej pozycji, mamrocząc do siebie słowa, których znaczenia nie jesteśmy w stanie rozszyfrować.

– (Chodźmy stąd) – proponuję.

Ale Lilo jest zbyt zafascynowana tym widokiem, by usłyszeć mój głos.

A więc tym stali się ludzie. Cofnięci w rozwoju tysiące lat, znów przemierzają lądy, polując, zbierając i podbijając. Wolni od dylematów moralnych instynktownie poddają się podstawowej sile wszechświata, która nalega, by życie trwało. Za wszelką cenę. Mają jeszcze dużo czasu, zanim ten instynkt osłabnie na tyle, by dopuścić do głosu fundamentalne pytanie: po co?

I dopiero wtedy zacznie się robić ciekawie. Ale nim pomyślą o przetrwaniu gatunku nieco bardziej globalnie i podniosą głowy w kierunku gwiazd, zdążą już zdewastować wszystko wokół siebie, powtarzając grzechy swoich przodków w jednym wielkim błędnym kole narcystycznego kanibalizmu. Ziemia na szczęście ma swój system immunologiczny i poradzi sobie z nimi tak samo, jak prawie poradziła sobie z nami. Dostanie gorączki i wypoci tę chorobę. Do tego czasu my będziemy już daleko stąd.

– (To może być modlitwa) – mówi Lilo, bezwiednie robiąc krok w przód.

Jej stopa opada na gałąź. Gałąź pęka. Sto metrów dalej człowiek podnosi wzrok, a ja czuję delikatne ukłucie w plecy. Świetnie. Daliśmy się podejść jak zwierzyna łowna. Nie widzę i nie jestem w stanie zidentyfikować broni, którą do nas mierzą. To nic, że nie

wyzwała energii.

Analogowe narzędzia są równie skuteczne z tej odległości, pod warunkiem że trafią nas prosto w głowę. Człowiek przed nami wstaje z kolan. Wielki skurwiel. Prawdziwy barbarzyńca z nagim torsem i krwią spływającą po policzkach, ze smakiem krwi w ustach. Jego ciało jest pokryte mapą fluorescencyjnych tatuaży, których znaczenia nie potrafię rozszyfrować, podobnie języka, jakim się posługuje. Ale gest ogromną dłonią i szturchnięcie w plecy są wystarczająco wymowne.

Z uniesionymi rękami ruszamy przed siebie. Sądząc po odgłosach kroków, za nami jest siedem osób, ale wokół może być ukrytych znacznie więcej. Najlepiej będzie poczekać, aż wszyscy dołączą do zabawy.

– (Tak zrobimy).

Stajemy twarzą w twarz z człowiekiem górą. Spoglądam na truchło u jego stóp. Spoglądam prosto w jego oczy.

– No cześć – wypowiadam słowa, których nie ma prawa znać. – Ja jestem Rez, a to Lilo.

– We'we ni yu ya n'chi vangu ooth, kunYmayo – odpowiada tonem, w którym jest tyle samo ciekawości, co gniewu.

Baza wiedzy nie rozpoznaje tego języka, a próbka jest zbyt mała, żeby się go nauczyć.

– Cholera, będziemy musieli znaleźć jakieś wspólne tematy – mówię, rozkładając ręce i obracając się wokół własnej osi, jakbym chciał się wszystkim zaprezentować. Chyba nawet się uśmiecham.

– (Co ty robisz?)

Siedem osób. Bezbronnych. W rękach patyki. Daliśmy się załatwić jak dzieci. Dobrze, że Yggdrasil tego nie widzi.

– (Chcę go zaprosić do dyskusji).

– C'va baado au hatuta'cuva c'heza n'zuri, Rez.

– (Powiedział, że chętnie skręci ci kark, Rez).

– Nie sądzę – mówię, robiąc krok w jego kierunku i próbując sprowokować reakcję. – Bo gdybyś chciał nas zabić, już dawno byś to zrobił, prawda? – Wyrzucam wszystkie słowa po kolei, bez

respektu, prosto w jego niewyrażającą emocji twarz.

– Hebu zab'ra do ch'ef, atach've dziaa co z v'ami zrobi'ch.

Prawie. Jeszcze trochę. Krąg wokół nas zaczyna się zacieśniać.

– Przebyliśmy kawał drogi, wodzu – wskazuję palcem ku górze.

– V'iem, choopche z g'viazd – odpowiada. – V'dzielishmy yaak spadlishcie z nieba.

I już.

– (Teraz moja kolej. Powinno być zabawnie).

– (Dobrze, ale jeśli za chwilę nie zaczną się śmiać, przechodzimy do planu B). – Lilo dyskretnie przełącza kombinezon w tryb walki stymulujący nerwy i mięśnie. Teraz będzie im cholernie trudno nas zabić tymi patykami.

– Więc jak to zrobimy, wodzu? Rozejdziemy się powoli, każdy w swoją stronę, czy spróbujecie szczęścia? – pytam w ich rodzimym języku.

Warto dodać, że z doskonałym, natywnym akcentem. Łowcy odskakują do tyłu, jakbyśmy co najmniej zapłonęli żywym ogniem. Żrenice wodza też się rozszerzają, ale jako jedyny nie poddaje się emocjom. Prawdziwy alfa. Przeżył już wiele konfrontacji. Wie, że jeżeli on okaże słabość, będzie to oznaczało definitywny koniec. Czuje się odpowiedzialny za swoich ludzi, poza tym zbyt długo pracował na tę pozycję, by jedno przypadkowe spotkanie w lesie mogło go jej pozbawić. Dlatego tak dobrze panuje nad odruchami. Dlatego praktycznie przestał okazywać uczucia. Ich brak jest uznawany wśród członków jego plemienia za stan naturalny, wlewa spokój w umysły, stanowi punkt podparcia, którego reszta interpersonalnych zależności potrzebuje, by grupa mogła funkcjonować. Dlatego wszyscy wokół czują wstyd, że tak łatwo się poddali, i natychmiast próbują zrekompensować błąd, wracając na swoje pozycje. To tylko słowa. To tylko dziewczyna i chłopak.

Bezbronni. Zagubieni na obcym terenie.

Ale jest coś dziwnego w ich pewności siebie.

– Jakto możliwe?

– Szybko się uczę – odpowiadam.

Wódz parska śmiechem, basowym, donośnym, zwielokrotnionym przez echo. Śmiechem, od którego trzęsie się ziemia. Po chwili dołącza do niego reszta jego ludzi.

- (Widzisz?)
- (Miałeś szczęście).
- Zabijcie ich – wydaje komendę.

Wszystko nagle cichnie. Słyszę tylko świst nadlatującego zza naszych pleców przedmiotu. Jest duży i z każdym centymetrem staje się coraz większy. Przecina powietrze z łatwością i sunie wprost ku naszym głowom. Nie zdążymy uciec, przynajmniej ja. Odpycham Lilo, a ułamek sekundy później sieć ląduje na mojej głowie. Jednoatomowe wiązania goethytu, nierozzerwalne nawet pod wpływem neurostymulacji. Szczerze mówiąc, cholernie zaawansowany materiał jak na bandę leśnych barbarzyńców, niemożliwy do wyprodukowania bez dostępu do laboratorium.

Prawdopodobnie jedna z pozostałości starego świata, dla której znaleźli dobre zastosowanie.

- (Uciekaj!)
- (Nie!) – odpowiada.

Nie zostawi mnie tu, mimo że to najbardziej logiczne rozwiązanie. Będzie walczyć do końca.

Będzie wybijać im zęby i łamać kości. Ale zanim uda jej się pokonać siedmiu rosyłych mężczyzn i jednego ogromnego potwora, by spróbować wydrzeć mnie z opresji, kolejna precyzyjnie wyrzucona w powietrze sieć spadnie na jej głowę, definitywnie kończąc ten krótki pokaz mocy.

Ktoś zawyje z bólu, nastawiając sobie wybity bark, ktoś inny splunie krwią, stając na obolałe nogi, po czym złapią za sieci i ciągnąc nas po ziemi przez gęste, kłujące chaszczce, ruszą w górę, w kierunku przepaści. Krwawiąc i nie zadając pytań.

– Kurwa mać! – klnie na głos. Wbija paznokcie w ziemię, bezskutecznie próbując ich spowolnić.

Wódz idzie na końcu, w milczeniu wpatruje się w swoją zdobycz. Obserwuje, jak wije się w sieciach niczym ryby wyrzucone na



brzeg. Ostrzegam go, że za chwilę przyleci tu cała armada niszczycieli i już będzie za późno dla nich wszystkich, ale nie robi to na nim żadnego wrażenia.

Błagam o życie Lilo tak przekonująco, jak tylko potrafię. Obiecuję mu powolną śmierć, opisując w szczegółowy sposób, jak wyłączam jego ciało kawałek po kawałku, zostawiając sobie na koniec bezbronny, otepiały z bólu mózg. Mówię mu, że jesteśmy bogami, że wszechświat przypomina ogród, a my przemierzamy historię czasu, siejemy słońca, z których rodzą się planety, a z planet – całe życie. On odpowiada, że jest niewierzący.

– Mogę cię uczynić bardzo bogatym człowiekiem.

– Nic dla mnie nie masz. – Uśmiecha się z wyższością.

To prawda, skończyły mi się pomysły. Pochód staje. Czyjeś ręce podnoszą mnie, całego brudnego od ziemi i liści, i prowadzą nad krawędź przepaści, tej samej, z której oglądaliśmy najpiękniejszy zachód słońca. Teraz panuje tu mrok, błękitna iluzja zniknęła wraz ze światłem naszej gwiazdy i wreszcie możemy zobaczyć prawdziwe oblicze tej zimnej, czarnej samotności.

– Za tym urwiskiem kończy się nasza ziemia – mówi wódz, kładąc mi na plecach swoją wielką dłoń. – Tam możesz być, kim chcesz, robić wszystko, na co tylko masz ochotę.

Dwieście trzydzieści jeden metrów w dół. Nikt nie jest w stanie przeżyć takiego upadku.

Oczywiście mógłbym coś zaimprovizować i zrobić z mojego kostiumu na przykład spadochron, gdybym nie był spętany jebaną siecią! Analogowe gówno. Tak się kończy bezgraniczne zaufanie do technologii. Skan nie wykazał aktywności energetycznej. Jesteśmy bezpieczni. Jasne.

Ale pchnięcie nie nadchodzi.

Lilo w ostatniej chwili znajduje odpowiednie słowa.

– Mogę to naprawić – powtarza, pokazując zakrwawioną rękę łowcy, którą sama przyprawiła o dodatkowe zgięcie pomiędzy łokciem a nadgarstkiem. – Nauczyliśmy się waszego języka. Mamy technologię, która może was wyleczyć ze wszystkiego.

Wódz odwraca się, zostawiając mnie samego na skraju przepaści, i podchodzi do niej, zabierając ze sobą poszkodowanego towarzysza, który z powodu utraty krwi ledwo trzyma się na nogach. Lilo naprawdę nieźle go urządziła.

– Kobieto, to byłaby największa zniewaga – rzuca ostro. – Każdy człowiek musi dumnie nosić ślady, które przypomną mu o wydarzeniach z przeszłości. Pamięć bywa bardzo zawodna, prawda? – zwraca się do łowcy.

Ten ma podwyższoną temperaturę, cały jest zlany potem, serce uderza mu sto osiemdziesiąt dwa razy na sekundę, a ból już dawno przekroczył granicę wytrzymałości. Mimo to zaciska zęby i potwierdza: – Prawda, Xur.

Praktycznie niezauważalne skinienie głowy wystarczy za wszystkie pochwały tego świata. Ci dwaj się nienawidzą, to jasne. Walczą o dominację w grupie. Dlatego wódz pozwoli mu cierpieć.

Być może nawet umrzeć. Zwierzęta.

– Ale jest ktoś, komu możesz pomóc – mówi nagle, chwytając Lilo przez siatkę i podrywając ją z ziemi, jakby nic nie ważyła. – Twój chłopak będzie nam potrzebny? – pyta, odwracając głowę w kierunku urwiska.

Cisza trwa dłużej, niżbym tego chciał.

– On nie jest moim chłopakiem.

\* \* \*

Do obozu wkraczamy w środku nocy. Wszyscy łowcy są wykończeni wielogodzinnym marszem, stresem i naszą obecnością. Ich pozbawione obwodów wspomagających ciała poddają się bólowi.

Wszyscy marzą o chwili ukojenia w ramionach swoich bliskich, obietnica utraty świadomości sprawia, że ciężą im powieki, a każdy kolejny krok jest nieskończenie trudniejszy niż poprzedni.

Niemal słyszę, jak krzyczą w myślach.

Mimo wszystko docieramy na miejsce w komplecie. Przez chwilę

się zastanawiam, czy nie powinniśmy wykorzystać tej okazji i skondensować moc, spróbować po raz kolejny oswobodzić się i zniknąć w ciemnościach lasu, ale Lilo jest ciekawa, kim okaże się osoba, która potrzebuje naszej pomocy. Czy będziemy potrafili jej pomóc? A jeśli tak, czy będziemy chcieli to zrobić?

Obóz został rozbity wzdłuż rzeki, która przepływa przez ruiny Ketry. Choć trudno to od razu zauważyć, ten teren też był kiedyś zasiedlony. Ceglane budynki łatwiej poddały się erozji niż wieże wykonane z grafenu, ale uważne oko dostrzeże ich pozostałości wystające spod powierzchni lasu.

Cmentarzysko starej cywilizacji po dachy przykryte grubą warstwą organicznej materii. Natura zawsze znajdzie sposób, by o nas zapomnieć. Blask ognisk rozświetla mrok, a ich żar ogrzewa powietrze, nasycając je zapachem spalenizny. Z lekkich, karbonowych namiotów w kształcie piramid wyłaniają się zaciekawione twarze. Kilka osób dołącza bez słowa do naszego orszaku i rusza brzegiem rzeki w głąb obozowiska. Część tylko odprowadza nas wzrokiem, nie odrywając się od swoich zajęć. Większość śpi.

Ale w tym sielskim obrazku tkwi jakieś przekłamanie. Lilo też to dostrzega. Cały ich dobytek właściwie nic nie waży. Narzędzia i przedmioty codziennego użytku zostały zredukowane do minimum. Wszyscy są w doskonałej kondycji fizycznej, bez wątplenia dzięki nieustającemu przemieszczaniu się. Z tym że oni przestali wędrować. Wydeptane ścieżki, uprawy warzyw, wyuczone odruchy i melancholia w spojrzeniach pozbawionych ciekawości i czujności jednoznacznie wskazują, że to miejsce jest teraz ich domem. Nienawidzą go. Nienawidzą wież, które zasłaniają im słońce, i cmentarza betonowych ruin porośniętych lasem. Nienawidzą rzeki, smaku ryb i mdlącego, słodkiego zapachu ich wnętrzości. Nienawidzą osoby, która kazała im tu zostać. I nienawidzą nas, bo skąd byśmy tu nie przybyli, przypominamy im, że istnieje świat poza tym miejscem. Albo przynajmniej kiedyś istniał.

– Powiedz mi, wodzu, czy jest na tej planecie ktoś oprócz was? – pytam zaciekawiony.

Nie odpowiada. Uchyła drzwi najwyższego z namiotów i wpuszcza nas przed sobą do środka.

Ciemność rozświetla się tysiącem białych punktów zawieszonych w przestrzeni. Wyglądają jak śnieg, który zamarzał w locie, jak fragment galaktyki. Pośrodku dużej powierzchni wyłożonej miękkim materiałem znajduje się stół. Siedzi przy nim wygodnie stuletni mężczyzna. Jego włosy są splątane w długie, grube dredy. Spomiędzy jego warg wydobywa się dym.

– (Czy to maszyna? Zepsuł się?) – Lilo jest zdziwiona tym widokiem, ale ja się domyślam, o co może chodzić.

Mężczyzna ożywa, wkłada podłużny przedmiot do ust i wysysa z niego potężną chmurę składającą się głównie z witamin i protein.

– Czyż to nie groteskowe? – pyta nas, łowców, albo po prostu mówi do siebie. – Lekki przyjmowane z papierosa. Ktoś miał wykręcone poczucie humoru. Tylko aspekt uzależnienia został taki sam. – Powoli podnosi się do pionu.

– Williamie, ta dwójka spadła z nieba. Znaleźliśmy ich na zachodniej krawędzi.

– Dziękuję, Xur. Zostawcie nas samych.

– Ale, Williamie...

– I zdejmijcie z nich te sieci. Proszę.

– To nie jest dobry pomysł, ta dziewczyna...

– Już! – przerywa mu po raz kolejny.

Łowcy rozplątują więzy, co trwa odpowiednio długo, by człowiek z dredami mógł nas sobie obejrzeć z każdej strony. Krąży wokół, wypuszczając kolejne chmury, kontemplując nasze brudne kombinezony i patrząc nam się głęboko w oczy. Dostrzega także złamaną rękę jednego z łowców, co wprawia go w zdumienie, ale nie cofa swojej decyzji. Sieci spadają na ziemię. Mężczyźni wychodzą. Mimo podeszłego wieku i zdewastowanego organizmu ma sporo energii i przenikliwe spojrzenie, a jego umysł zachował jasność i umiejętność szybkiego kojarzenia faktów. Ale ten człowiek

umiera.

– Słodka dziewczyno, chyba nie zrobisz mi krzywdy? – zwraca się do Lilo.

– To zależy – odpowiada Lilo i dorzuca uśmiech.

W oddechu starca czuć śmierć. Choroba powoli pochłania jego ciało od środka. Ile czasu mu zostało? Przy tym trybie życia, aktywności fizycznej i diecie może dwadzieścia lat. Bez odpowiedniej technologii i zainstalowania systemów wspomagających to wszystko, co ma. Czy właśnie dlatego uciekł do lasu? Żeby dodać sobie parę chwil? Lepiej wykorzystać te, które mu zostały? To nie jego naturalne środowisko. Ciało mężczyzny nosi ślady walk, licznych złamań i ran, których się nabawił w konfrontacji z innymi ludźmi, choć kilka jest wystarczająco świeżych, by sądzić, że pochodzą z mniej udanych polowań. Ale ten człowiek bardzo szybko adaptuje się do nowych warunków. Potrafi wykorzystywać swoje mocne strony, tak samo jak słabości wrogów.

Jest dobrym liderem. To nie Xur jest wodzem, lecz właśnie on. Powinienem to dostrzec. To i jeszcze jedną rzecz.

– Nie mieszkasz tu z wyboru – mówię mu. – Uciekasz przed kimś.

William odwraca się, ruszając w stronę stołu. Lilo zaciska pięść. Kombinezon opływa ją, tworząc szpiczasty kształt z ostrzem wystarczająco długim, by sięgnąć serca.

– (Nie zabijaj go. On nie może wrócić).

– (Tracimy czas).

– Ludzie tacy jak my zawsze przed czymś uciekają – odpowiada.

– Więc jesteście tu, ponieważ Xur uwierzył, że możecie mi pomóc?

– Możemy – potwierdzam.

– (Łowcy opatrują rany. Zanim się zorientują, będziemy już daleko stąd. Po lewej jest rzeka, tam zgubimy ślad).

– (Nie, Lilo!)

– Aleja nie potrzebuję waszej pomocy. Pogodziłem się z tym, że moje dni dobiegają końca. To było dobre życie. Nie żałuję niczego. Jak wiele osób może powiedzieć coś takiego?

– (Widzisz. Podjąłeś już dzisiaj wystarczająco dużo złych decyzji, pozwól mi się tym zająć).

Lilo robi krok do przodu. Bezdźwięcznie sunie przez namiot. Krok za krokiem. W ostrzu błyszczą sztuczne gwiazdy.

– Człowiek nie jest zaprogramowany, żeby żyć w nieskończoność. Ale powinien mieć szansę, żeby zobaczyć zachód słońca. Zmoknąć w deszczu.

– (Poczekaj!) – protestuję.

– Zakochać się. Wkurwić...

– (Nic nie poczuje) – odpowiada, przyspieszając kroku i biorąc zamach.

Mężczyzna dociera do drugiego końca namiotu, podnosi ręce, wystawiając się na uderzenie, po czym łapie za grube kotary i rozsuwa je, odsłaniając kolejną, dużo mniejszą część pomieszczenia.

Tam, w łóżku, podłączona do prymitywnej aparatury podtrzymującej życie leży dziewczyna. Ma prawie niewyczuwalny puls, serce przetacza gęstą krew z największym wysiłkiem. Mózg emituje tylko fale delta. Jest tak słaba, że będąc tuż obok, nie potrafiliśmy wyczuć jej obecności.

– ...wstać i wyjść na zewnątrz – ciągnie starzec i odwraca się, stając z Lilo twarzą w twarz.

Jej dłonie niewinnie spoczywają na biodrach. Ale jego myśli są zbyt daleko stąd, by zechciał to skomentować.

– Życie bez pieniędzy to piękna idea, dopóki nie zdasz sobie sprawy, że w świecie posiadania i gromadzenia jesteś bez nich bezsilny. Obiecałem swoim ludziom lepsze życie w drodze, z dala od społeczeństwa, którego nikt z nas nie był w stanie zrozumieć. I rzeczywiście, na chwilę udało nam się uciec wystarczająco daleko od zgiełku miast, by usłyszeć własne myśli. Ale gdy twoi bliscy cierpią, najpierw pozwalasz umrzeć ideałom.

Przechodzę obok Lilo, wymieniając z nią długie spojrzenie. Staję po przeciwnej stronie łóżka.

Pomiędzy nami, w absolutnej ciszy, niespełna trzydziestoletni,

choć ledwie żywy organizm wypala resztki paliwa w ostatnim rozpaczliwym zrywie ku ocaleniu. Skóra dziewczyny jest szara i podziurawiona tysiącami igieł tłoczących do środka składniki spowalniające rozwój wirusa. Tkanki obumierają, a mięśnie poddają się atrofii. Smutne wspomnienie tego, czym kiedyś byliśmy – elektrochemicznym procesem wewnątrz kupy mięsa, która działa, póki się nie zużyje.

– Fey. Moja córka ma na imię Fey.

William odgarnia z jej twarzy mokre włosy. Choć ma sine powieki i zapadnięte policzki, jest w niej coś optymistycznego. Jakaś nienazwana radość, która przebija się na powierzchnię i nie pozwala o sobie zapomnieć nawet tu, w ciemnym kącie namiotu, na przysłowiowym końcu świata.

– Jest taka bajka o dziewczynie, która nie mogła się obudzić – zaczynam, pochylając głowę i zatrzymując się tuż nad jej twarzą. – Przez sto lat leżała martwa i zapomniana w zamku, dopóki nie pojawił się książę i nie przywrócił jej życia magicznym pocałunkiem.

Spomiędzy wilgotnych ust wydobywa się krótki, rwany oddech. Jestem wystarczająco blisko, by go poczuć. William przygląda mi się nieufnie, z nadzieją i wściekłością, ale nie przerywa, nie protestuje, nawet gdy nasze usta stykają się na ułamek sekundy w czymś, co trudno nazwać pocałunkiem – to raczej tylko fizyczny kontakt dwóch organizmów, kompletnie pozbawiony emocji i sprowokowany moją ciekawością.

– Ale prawda jest taka, że magia nie istnieje, dlatego nie może nikomu przywrócić życia. Od tego jest technologia – mówię chłodno.

William spogląda smutno w dół, a gdy podnosi wzrok, w jego spojrzeniu zostaje już tylko gniew.

– Pomóż jej albo przestań marnować mój czas – rzuca chłodno.

– Gdzie jest Biblioteka Snów? – pytam go.

– (No nareszcie).

Jego oczy i usta otwierają się w zdumieniu. Odsuwa się do tyłu,

spogląda na mnie, na Lilo, która stoi tuż za nim niewzruszona, wręcz znudzona całym tym przedstawieniem, i z powrotem na mnie.

– Biblioteka Snów nie istnieje – odpowiada szeptem, po czym nabiera powietrza do zniszczonych płuc i wydziera się, pewnie stawiając na nogi cały obóz: – XUR!!!

– (Spadamy!) – zarządzam, rozcinając powłokę namiotu za moimi plecami.

– XUUUUUURU!

Lilo odpycha go i przeskakuje nad łóżkiem. Sekundę później wpadamy po szyje w lodowatą wodę. Łowcy mobilizują się niemal natychmiast. Pomimo zmęczenia i bólu zrobią wiele, by nam się zrewanżować. Przez cały ten czas czuwali w gotowości, ale nawet to nie wystarcza, by nas dogonić.

Gdy prowadzona przez wojownika gromada przedziera się na zewnątrz, powiększając rozdarcie w poszyciu namiotu, my jesteśmy już na drugim brzegu rzeki. Mimo to olbrzym nie rezygnuje, rozpędza się, bierze zamach i rycząc jak zwierzę, z wściekłością wyrzuca w naszą stronę niewielki świecący przedmiot. Siatka otwiera się w locie i spada z ledwie słyszalnym chlupnięciem do wody, kilka centymetrów od naszych stóp. Tkwimy chwilę w bezruchu, spoglądając na siebie, oddzieleni osiemdziesięcioma metrami rzeki, po czym znikamy w ciemnościach.

\*

Przestajemy biec dopiero godzinę później. Czerń ustępuje pierwszym promieniom słońca.

Decydujemy się, by zostawić kapsuły w miejscu ich awaryjnego lądowania. Wszystko wskazuje na to, że Ziemia jest zaludniona, więc umieszczenie naszego jedyne go wyjścia ewakuacyjnego na terenie kontrolowanym przez prymitywne plemię, które nie dysponuje ani technologią, ani wiedzą, by wejść do środka naszych statków, a co dopiero je uszkodzić, to nie do końca zły pomysł.

Mija dwunasta godzina, odkąd jesteśmy na tej planecie.



Zdążyliśmy narobić niezłego zamieszania, ale koniec z tym – od tej pory w pełni koncentrujemy się na zadaniu. Przynajmniej mam taką nadzieję.

– Dobrze się bawisz? – pytam Lilo.

– Nie wiem, ale ty na pewno.

– Daj spokój. Chyba nie muszę ci się tłumaczyć ze wszystkich moich decyzji?

– Wierzysz mu?

– Oczywiście, że nie. Wódz kłamał. I miał ku temu powód – odpowiadam. – Co jest i dobrą, i złą wiadomością. Biblioteka Snów istnieje, ale coś mi mówi, że nie będzie łatwo ją znaleźć.

– Rez, słyszysz to?

Zatrzymujemy się w pół kroku. W harmonijnie szumiąco-pluszcząco-cykającej melodii natury ukrywa się obcy, jednostajny dźwięk. Trudno go zidentyfikować, ale z pewnością tam jest.

– Za tym wzgórzem. – Lilo namierza go pierwsza.

Ruszam za nią... i po kilku krokach padam jak długi. Co gorsza, nie mogę zmusić ciała, żeby wstało. Z jakiegoś powodu odmawia posłuszeństwa, jest ciężkie i zachowuje się, jakby należało do kogoś innego. Z nosa zaczyna sączyć mi się krew. Szybki skan systemów wspomagających nie znajduje nieprawidłowości, więc grzebię dalej. Analizuję skład powietrza, wody, w której pływaliśmy, sprawdzam siłę promieniowania, pole elektromagnetyczne, wilgotność i ciśnienie, bo może właśnie się okazało, że jestem meteoropatą i od teraz wszystkie moje zmiany nastroju będą silnie skorelowane ze zjawiskami pogodowymi w taki sposób, że natężenie mojej upierdliwości stanie się wprost proporcjonalne do wysokości cumulonimbusa nad moją głową. Ale to nie to.

Odpowiedź znajduję w najmniej oczekiwanym miejscu – pół galaktyki stąd.

– Rez? Co się stało? – Lilo podbiega do mnie zaniepokojona.

– Nie uwierzysz... – zaczynam i padam bez świadomości twarzą w mech.

## Get the London look

Dwudziestego pierwszego marca 2310 roku Ziemię opuścił ostatni człowiek.

Okolo godziny trzynastej pięćdziesiąt czasu uniwersalnego jednoosobowa kapsuła wyniosła go na orbitę okołozemską, gdzie został przechwycony przez strumień naprowadzający i skierowany do północnego doku Yggdrasil. Tym człowiekiem był Linus Laforet, główny dowódca statku, który wraz z dwudziestoma tysiącami osób załogi i siedemdziesięcioma milionami pasażerów rozpoczął tego dnia swój dziewiczy rejs w przestrzeń kosmiczną w poszukiwaniu nowego domu dla naszej cywilizacji.

Gdy byłem mały, wierzyłem w tę kosmiczną bzdurę całym swoim sercem.

Wyobrażałem sobie, co musi czuć człowiek zostawiający za sobą miejsce, które od zawsze było jego domem, wiedząc, że już nigdy tam nie wróci. Zastanawiałem się, jak smakuje ta wybuchowa mieszanka ciekawości i strachu przed nieznanym. Ile może ważyć tak gigantyczna odpowiedzialność. W mojej wyobraźni na tle pompatycznej muzyki rozgrywały się sceny wyjęte wprost z kosmicznej opery z dwudziestego pierwszego wieku, oczywiście wszystkie w zwolnionym tempie. Yggdrasil niczym mała kropka wznosząca się na tle gigantycznej tarczy słońca w zwolnionym tempie. Cień statku przesuwający się po górskich szczytach w zwolnionym tempie.

Linus obejmujący dowodzenie na mostku w zwolnionym tempie. Uruchamiający się napęd rzygający błękitnym strumieniem



cząsteczek o ujemnej masie w zwolnionym, kurwa, tempie.

Dopiero później się dowiedziałem, z mniej oficjalnych źródeł, że w 2310 roku na Ziemi było nieco więcej niż siedemdziesiąt milionów ludzi. Otóż do końca tego pamiętnego dnia dotrwało dokładnie 11 539 003 329 osób, co, jak nietrudno obliczyć, oznacza, że jedenaście i pół miliarda żywych ludzi niestety nie załapało się na naszą wycieczkę do gwiazd.

Kogokolwiek bym o to nie zapytał, gdziekolwiek nie poruszył tego tematu, osoby, które nie zbywały mnie milczeniem lub otwarcie nie zaprzeczały moim odkryciom, miały zawsze tę samą odpowiedź, która według nich tłumaczyła wszystkie podjęte wówczas trudne decyzje. „Zostaliśmy wybrani”, powtarzali. Tyle że nigdy nie było dla mnie jasne, według jakich kryteriów.

Geniusz projektu Yggdrasil wynikał z tego, że statek nie posiadał narzuconej jednolitej formy, ale wraz z ewolucją technologii miał być poddawany modyfikacjom i rozgałęziać się niczym żywy organizm, tworząc tym samym nowe miejsca i funkcje dostosowane do potrzeb rosnącej populacji.

I nawet gdyby nigdy nie udało nam się znaleźć drugiej Ziemi, mógł być dla nas syntetycznym substytutem planety, która wytrzyma nasz rozwój i zapewni przetrwanie gatunku, dopóki we wszechświecie nie zgaśnie ostatnia gwiazda. Jeszcze na długo przed moim narodzeniem okazało się, że teoria i praktyka nie mają ze sobą nic wspólnego. Tym sposobem przyszedłem na świat wewnątrz przeludnionej, przerośniętej i despotycznie zarządzanej maszyny zagłady dryfującej przez kosmos. Ale to wciąż było lepsze niż śmierć na Ziemi.

Zostaliśmy wybrani, pamiętasz?

Na pokładzie Yggdrasil znajdowały się jeziora, lasy, a nawet góry, które dało się w przyływie dobrego humoru pokryć grubą warstwą śniegu, by z nich zjeżdżać. Statek został wyposażony w maszyny tworzące wiatr i hologramy symulujące kolory nieba nad Ziemią, miał własną atmosferę i grawitację, która podobnie jak cała reszta była prawie wierną kopią pierwowzoru.

W przypadku grawitacji to „prawie” wyniosło dokładnie siedem tysięcznych procent. Tyle wystarczyło, by zaprogramować systemy wspomagające w naszych ciałach w sposób, który w rzeczywistych warunkach nie był w stanie zrekompensować całości ich ciężaru. W efekcie niewinne siedem tysięcznych procent nadwyżki masy spowodowało, że po dwunastu dość intensywnych godzinach spędzonych na Ziemi moje ciało po raz pierwszy poczuło zmęczenie i zdecydowało, że trzeba iść spać.

\*

Świadomość wraca nagle. Po nieokreślonym czasie spędzonym w sennym niebycie odnajduję się wewnątrz jakiegoś hałaśliwego przedmiotu, który pędzi przed siebie i podskakuje. W zalanych deszczem szybach rozmazują się rzędy drzew. Prujemy pomiędzy nimi, co chwila zmieniając kierunek. Siła odśrodkowa miota mną na lewo i na prawo po obszernej kanapie. Przede mną w fotelu siedzi Lilo, cała rozradowana. Mężczyzna obok niej trzyma w rękach okrągły ster. Jego głowę zdobi kapelusz z rondem tak szerokim, że wypełnia prawie całą przednią część kabiny. Jest ubrany w skóry zwierząt i wyjątkowo obcisłe, niebieskie jeansy. Pełnym emocji głosem wyklada jej swoją filozofię życiową, sporadycznie odwracając wzrok w kierunku drogi.

– To samochód – mówię, ogłaszając swój powrót do świata żywych.

– I to nie byle jaki – odzywa się nasz kierowca – bmw daimler harbinger. Oczywiście replika.

Sal – przedstawia się, wyciągając rękę do tyłu.

Niepewny, co zrobić, po prostu chwytam ją na moment. Mężczyzna odwzajemnia uścisk. Czyli o to chodziło.

– Witamy na pokładzie – mówi, po czym wraca do bajerowania Lilo. – Gdy tak długo jedziesz przed siebie, droga staje się wszystkim. Nie ma nic oprócz drogi. Ty jesteś nią, a ona tobą.

W starożytności istniał koncept boga, czyli wyższego bytu, który

stworzył i nadał sens całej egzystencji. Ten koncept ewoluował od dosłownej wiary w humanoidalną postać ukrywającą się gdzieś pomiędzy chmurami przez wiarę w siłę nadającą początek wszechświata po koncepcję nienazwanej energii ożywiającej cały byt, chroniącej go przed entropią. Mimo braku podstaw naukowych ludzie odnajdywali spokój w tym przekonaniu o porządku świata, sensowności jego konstrukcji i nieprzypadkowości naszego istnienia. Później, w ciągu kolejnych wieków, zgubiliśmy to przywiązanie do mistycyzmu, a ja i mnie podobni próbujemy je teraz przywrócić.

– (Co my tu, kurwa, robimy?) – pytam Lilo, przyciszając fonię.

– (Fachowo nazywa się to złapaniem stopa. Z tobą wszystko dobrze?)

– (Grawitacja jest tu silniejsza niż na Yggdrasil. Będziemy odczuwać zmęczenie, co oznacza, że będziemy potrzebowali snu. Być może także pokarmu. Wciąż to analizuję. Niewiarygodne, że doszło do tej pomyłki).

– Bo w jeździe jest coś religijnego. Prędkość przybliżyła cię do absolutu. Przemieszczanie się jest naturalnym stanem wszystkich rzeczy, od elektronów do planet. Stagnacja to śmierć. Kultuwujemy tradycje rozpoczęte przez naszych przodków na Dzikim Zachodzie i tak jak oni przemierzamy pustkowia, niezajęte tereny wyjęte spod jurysdykcji miast, niepotrzebne nikomu równiny, lasy 1

prerie, w poszukiwaniu tego uczucia, tej wolności. Tego snu.

– (Dowiedziałas się czegoś choćby minimalnie pożytecznego?) – pytam.

– (Nie musisz być taki niemiły. Gdyby nie Sal, dalej niosłabym cię na plecach, w deszczu).

– (Przecież nas nie słyszy).

– Wszystko zaczęło się od grupy rekonstrukcyjnej, która odtwarzała przygody słynnego rewolwerowca Jessego Jamesa. Na początku traktowaliśmy to jako zabawę, ale gdy po raz pierwszy usiadłem za sterami tego rumaka, włączyłem tryb manualny i poczułem tę prędkość, zrozumiałem, że już nigdy nie pozwolę

wyręczyć się przez maszynę. To byłoby w złym guście.

– (Zabawne. Ten człowiek nie ma pojęcia o historii).

– (Ale przynajmniej jego emocje są szczere).

– Teraz podróżujemy przed siebie, bez celu, napędzani adrenaliną. Czasem spotykamy się w zajazdach, dzielimy opowieściami z drogi, wspominamy i ruszamy dalej. W tych mało ekscytujących czasach to jedyny sensowny sposób, by przeżyć życie. Gdy jedziesz tak długo przed siebie, droga staje się wszystkim. Nie ma nic oprócz...

– Sal – przerywam mu w pół zdania – czy słyszałeś o Yggdrasil?

– pytam po części z ciekawości, ale bardziej chcę zmusić go, by się zamknął.

– To jakiś model auta?

Obok nas przemyka inny pojazd. Czarny, lśniący i aerodynamiczny, przypominający spłaszczony pocisk z jasno świecącą, poziomą linią z przodu i czerwoną z tyłu. Sal gwałtownie skręca, unikając kolizji. Przez chwilę pędzimy prosto w drzewa, ale udaje nam się wyjść z opresji i wrócić nad powierzchnię drogi.

– Bill, ty idioto! – wydziera się nasz kierowca i przyspiesza.

Pole grawitacyjne opuszcza nas bliżej drogi. Jazda, o ile to w ogóle możliwe, staje się jeszcze mniej komfortowa. Samochody zrównują tempo. Przez szybę mogę dostrzec innego kierowcę – także ma na sobie kowbojski kapelusz, w dłoni trzyma rewolwer. Uśmiecha się, uchyla okno i opróżnia magazynek, wysyłając serię pocisków w kierunku naszych głów. Wszystkie zatrzymują się na szybach, pokrywając je siatką pęknięć.

– Spokojnie, to część rekonstrukcji – mówi Sal i skręca, uderzając w pojazd obok i zasypując go snopem iskier.

Przepychamy się po całej drodze, walcząc o każdy jej centymetr.auta suną z zawrotną prędkością, zygzakiem, kilka centymetrów ponad mokrą drogą. Czasem wypadając z kursu, ale w ostatniej chwili unikając kolizji. Lilo wygląda na rozbawioną. Być może wyłączyła filtry. Ja nie mam ochoty na emocje, jestem jakiś przygasły. Zupełnie jakbym się... nie wyspał? Kolejna seria

z rewolweru rozbija szkło. Pocisk trafia mnie w ramię, odbija się od kombinezonu i upada na siedzenie. Ból jest prawdziwy.

– Do dupy z taką rekonstrukcją – mówię.

– Pod siedzeniem jest broń. Wiesz, jak z niej korzystać?

Tego akurat nie muszę sprawdzać w bazie wiedzy. Każda broń w historii Ziemi została oparta na tej samej, zabójczo skutecznej metodzie działania: wyceluj, naciśnij, zabij, powtórz. Podnoszę replikę kałasznikowa, równie pasującą do Dzikiego Zachodu, co lewitujące samochody. Mężczyzna w aucie obok spogląda na mnie wymownie. Wie, że mogę nie zdążyć przebić się przez jego szyby, zanim on zmieni magazynek i zasypie nas gradem kul. Ale ja nie celuję w szyby. Opuszczam lufę i wywalam całą serię w generator grawitacyjny umieszczony w tylnym nadkolu. Gwałtowna eksplozja odrzuca nas do rowu. Auto Billa wznosi się w powietrze, wykonuje obrót wokół własnej osi, po czym daje nura, rozbijając się z trzaskiem o twardą powierzchnię. Płonące szczątki syczą w strugach deszczu. Sal zatrzymuje auto.

– Jasna cholera, chłopie, chyba zabiłeś Billa.

Jak się okazuje, wcale nie. Bill stoi tam, pośrodku drogi, w najszerszym rozkroku, na jaki pozwala mu obcisłość jeansów, majestatycznie kowbojski, pokryty strugami deszczu spływającymi mu z kapelusza i z nadpalonymi frędzlami skórzanej kurtki dymiącymi niczym kadzidła. Dłonie zawieszono nad rewolwerami u jego pasa, usta zaciśnięte, oczy zmrużone. W sercu gniew. W tle dogasający wrak.

– Będziemy się strzelać? – pytam cicho, bo nie wiem, czego wymaga konwenans, a nie chcę zepsuć nastroju tej majestatycznej chwili.

– lii... cięcie! – mówi nagle Sal, mrugając.

Patrzę pytająco na Lilo, ona wzrusza ramionami. Z Billa nagle schodzi całe ciśnienie. Podbiega do nas w podskokach.

– Stary, to będzie nasz hit. Zarejestrowałeś wszystko? – pyta wesoło.

– Sprzedamy to za grubą kasę! Będą lepsze auta, nowe lokacje,

mówiłem ci, że się uda! – odpowiada Sal i zwraca się do mnie: – Wyborny strzał. Kto cię szkolił, synu? Widzę tu rękę McQueena, a może to był Szalony Joe z Wysp? Wspaniałe wyczucie momentu. Żadnej dłużyzny, sama akcja. I to spojrzenie przez szybę. Opuszczenie lufy. I BAM! Byłoby idealnie, gdybyś jeszcze coś wtedy powiedział, na przykład: „Mam cię” albo „Czekałem na ten moment trzydzieści osiem lat, cabron”, ale jak nic nie mówiłeś, jeszcze lepiej. Taki twardziel. Taki skurwiel. Profesjonalista.

Zabrałem ich przypadkiem, Bill. To amatorzy.

– Tym lepiej! Nowe twarze najlepiej się sprzedają. Na rynku interaktywnych przeżyć wszyscy znają już nasze zakazane mordy.

– Więc to wszystko była ścierna?

Kowboje spoglądają na mnie spod swoich obszernych kapeluszy.

– A czułeś się, jakby to było na niby?

– Im większe emocje, tym większa wartość na rynku – wyjaśnia Sal. – Nikt nie chce płacić za nudne gówna. Ale wcielić się w kowboja, przeżyć pościg, poczuć adrenalinowego kopa, takie wspomnienia są na wagę złota.

– (Niestety, z filtrem ustawionym na siedemdziesiąt procent poczuje tyle adrenaliny co podczas wiązania swoich kowbojskich butów. Myślisz, że powinienem mu powiedzieć?)

– Sal, gdzie sprzedajecie te wspomnienia? – Lilo nagle włącza się w dyskusję, kierując ku sobie uwagę mężczyzn.

– Jest wiele banków gromadzących przeżycia. My przeważnie współpracujemy z P.A.S.T.-ą, która jest dedykowana rekonstrukcjom historycznym, choć zdarza się opchnąć materiał do *Beki z ludzi, którzy zostali w miastach* czy *Intymnych męskich chwil*.

– A gdybym chciała odtworzyć autentyczne wspomnienia sprzed, dajmy na to, siedmiuset lat?

Myślicie, że gdzieś znajdę taką... bibliotekę?

Kowboje wymieniają spojrzenia.

– Popatrz, popatrz, Sal. Mamy tu miłośniczkę autentycznego hardkoru. Powiedz, dziewczyno, co cię kręci? Klęski żywiołowe? Konflikty zbrojne?



Bill mierzy Lilo wzrokiem od stóp do głów, szczególną uwagę poświęcając jej piersiom opiętym białym kombinezonem. Podoba mu się to, co widzi. Mokre od deszczu blond włosy Lilo przyklejone do twarzy i szyi, żywe, zielone oczy przeszywające go pytającym spojrzeniem. Brałby ją całą, jej dupę, cycki, twarz i stopy (w tej kolejności). Nic dziwnego – każda linia jej ciała spełnia matematyczne założenia symetrii i proporcji, wobec których mózg tego biseksualnego mężczyzny jest bezbronny. A to wszystko natura. Bez poprawek. Patrzyłem na nią tak długo, że przestałem ją zauważać. Już zapomniałem, że jest piękna.

– Chyba się źle zrozumieliśmy – odpowiada ostro.

– Nie chcę wiedzieć, czego dokładnie szukacie, ale na waszym miejscu zacząłbym od Londynu.

Tam znajdziecie każde chore gówno, jakie tylko możecie sobie wyobrazić – wtrąca się Sal.

– To dopiero musi być wspaniałe miejsce! Ruszajmy-zarządzam.

– Londyn jest dwa dni drogi stąd, a my mamy jedno auto i dobre nagranie do spieniężenia – wyjaśnia Sal, po czym zauważa, że wciąż trzymam odbezpieczonego kałacha.

– Nalegam – mówię, wykonując ledwie zauważalny ruch palcem w kierunku spustu.

\*

Tej nocy śni mi się Linus Laforet. A właściwie jego twarz. Zwykle poważna i skupiona na zadaniu, dumna, bo należąca do samego kapitana Yggdrasil, tym razem, z wybałuszonymi oczyma i wywieszonym jęzorem, wygląda zupełnie nieprofesjonalnie. Moje ręce zaciskają się na szyi Linusa, odcinając dostęp powietrza do płuc. Normalny rękoczyn. Żadnych podstępnych wirusów czy nanomaszyn, oldskulowy mord, twarzą w twarz, tak żeby wiedział, przez kogo i dlaczego. Tak bardzo chciałem to zrobić, ale marnowałem każdą okazję.

I teraz jestem tu.

Nienawidzę spać. Nie umiem. Niby mogę zaprogramować wewnętrzny system na utratę świadomości, ale wtedy z jakiegoś powodu regeneracja trwa dwa razy dłużej, a bodźce zewnętrzne nie są w stanie mnie obudzić, więc jest to mało efektywne i zdecydowanie zbyt ryzykowne. Zatem zostaje tylko naturalny sen, który nie ma sensu. Jest kompletnie niesynchronizowany z rzeczywistością. Gdyby był produktem, marketerzy nie zdołaliby nikomu go sprzedać. Przychodzi zawsze za wcześnie, a później nie chce odejść. No, chyba że zaplanujesz swój odpoczynek. Wtedy czekają cię długie godziny wyczekiwania na błogą nieświadomość. Kręcisz się i wiercisz, a każda stracona minuta uwiera cię coraz bardziej. I o co chodzi z tym skurczem mięśni w momencie, gdy odpływasz? Przecież już jest dobrze, zapadasz się pod powierzchnię i nagle BUM! Witamy, kurwa, z powrotem. Ale najlepsze i tak są koszmary. Absurdalne kolaże wspomnień, emocji i prywatnych paranoi przefiltrowane, zmielone i włoczone na nowo do rdzenia. Jak gdyby bodźców na jawie było za mało. Tęsknię za hibernacją, za czarną dziurą, do której mogę wpaść i obudzić się dwadzieścia lat później, czując, jakbym jedynie mrugnął. Gdybyśmy musieli śnić po drodze, jestem pewien, że po takim czasie dotarlibyśmy tu kompletnie szaleni.

Chociaż z drugiej strony widok duszącego się Laforeta prawie był tego wart.

Lilo śpi z głową opartą na moim ramieniu. Mija dwudziesta czwarta godzina podróży. Za oknami jednostajna ściana zieleni, która jedynie zmienia odcienie. Ciemno, jasno, ciemno i znowu jasno.

Praktycznie nie rozmawiamy. Trwamy w tym milczącym porozumieniu, wypatrując celu na horyzoncie. Po tylu godzinach jazdy droga staje się wszystkim. Nie ma nic oprócz drogi. Wreszcie światło rozrzedza szarugę, a auto staje.

– (Wstawaj, dziewczyno. Musisz to zobaczyć).

Słońce leniwie wpełza ponad ogromną równinę, pośrodku której jakiś szalony umysł umieścił gigantyczny bury sześcian. W kłębach

pary ukrywają się kształty budynków, mostów i ulic. Cała tkanka miejska przeniesiona żywcem z przeszłości i utopiona razem ze swoimi mieszkańcami w gęstej zawieszynie. Lilo otwiera oczy i dostrzega to nierzeczywiste miasto zapakowane w brązową mgłę zimnego świtu. Stoi tam jak zły omen, precyzyjnie wyznaczając granice swojego szaleństwa.

– Witamy w Londynie – mówi Sal i otwiera nam drzwi. – Miło było was poznać – dodaje sucho.

Kowboje odjeżdżają na pełnej prędkości, nie oglądając się za siebie. Ostatnie dziesięć kilometrów pokonujemy pieszo krętą drogą w dół równiny, kontemplując zaskakującą konstrukcję tego świata, w którym człowiek pozwolił naturze robić swoje, ograniczając się do precyzyjnie wyciętych przestrzeni. Bez pasożytowania. Bez przerzutów. Gdy Yggdrasil opuszczał Ziemię w dwudziestym czwartym wieku, nawet najbardziej optymistyczne scenariusze zakładały katastrofę ekologiczną, która zmiecie z powierzchni większość żywych organizmów. Żaden nie przewidział tego, że ludzkość zmądrzeje.

Z jakiegoś powodu myślimy też o jedzeniu.

\*

Mężczyzna jest ubrany w elegancki czarny frak i białą koszulę. W lewej dłoni trzyma cylinder, który zdjął przed chwilą, w prawej ściska drewnianą laskę z połyskującą główką w kształcie rozwartej paszczy wilka. Musi być wyjątkowo nieprzyjemna w dotyku przez te wszystkie ostre kandy, ale co z tego, skoro robi wrażenie. Mężczyzna kłania się nisko, niemal zamiatając po ziemi długimi ciemnymi włosami. Przed chwilą wyskoczył tu z wnętrza ociekającej deszczem karocy zaprzęgniętej w dwa konie, równie eleganckiej jak on sam. Trzeba przyznać, że jego stylizacja na dziewiętnastowiecznego brytyjskiego lorda jest bardzo dopracowana. Zero wyprutych nitek i odstających włosów, nawet jego skóra pachnie opium. Cylinder wraca na głowę. On bez słowa

wpatruje się w nas parą ciekawskich zielonych oczu, żując srebrny kolczyk wbity w dolną wargę.

Zbiera myśli. Nabiera powietrza, ale po chwili je wypuszcza, nie wydając z siebie żadnego konkretnego dźwięku poza ciężkim westchnięciem. Zza burej ściany mgły przygląda się nam senny Londyn.

– HELOŁ ON EARFF – mówi wreszcie w połamanym staroangielskim dialekcie. – AJ EM DI EARFF

LIDER – dodaje, przekrzywiając głowę w oczekiwaniu na naszą reakcję.

– Nieprawda – odpowiada mu Lilo.

On spuszcza smutno wzrok, odwraca się i rusza z powrotem w kierunku otwartych wrót czarnej karocy, mamrocząc coś do siebie, ale w połowie drogi zmienia zdanie.

– Nie negocjujemy z kosmitami – mówi, wymachując wilczym łbem. – Trzy dni temu naruszyliście ziemską przestrzeń powietrzną w dwóch niezidentyfikowanych pojazdach, Omninet namierzał was, odkąd pojawiliście się w Układzie Słonecznym. Od dwustu lat człowiek nie wysłał niczego dalej niż na Marsa. Przedstawcie swoje żądania!

– To ja już nie rozumiem. Negocjujecie czy nie?

– To zależy.

– Od czego?

– Czy jesteście w stanie nam zagrozić. Jak nie, to won!

– A jeśli tak?

– To słucham żądań.

– Gdzie jest Biblioteka Snów? – pyta go Lilo.

– W mieście Aurora, osiemdziesiąty drugi stopień szerokości geograficznej północnej, sześćdziesiąty drugi stopień długości zachodniej, samo centrum miasta, około stu dwudziestu metrów pod pałacem królewskim, wielkie cylindryczne pomieszczenie wykute w lodowcu. Coś jeszcze?

– Nie, dzięki. To właściwie wszystko, czego potrzebujemy – odpowiadamy zaskoczeni.

– To dobrze. Jak już będziecie mordować królową, przekażcie jej, że Jack Nothing przesyła pozdrowienia. Dzięki, pa!

Mężczyzna wskakuje do karocy.

– Hej, zaczekaj – podchodzę bliżej. – Co masz na myśli, mówiąc „mordować”?

– Umyślnie pozbawiać życia, kosmito. Kończyć egzystencję. Zmuszać do zaprzestania oddychania. Chyba nie myślicie, że ktoś da wam dostęp do najpilniej strzeżonej bazy wspomnień na świecie, wszystkich tych naszych intymnych chwil? Władze Aurory zaprzeczają jej istnieniu, praktycznie nikt spoza rodziny królewskiej nie ma do niej dostępu. Dlatego będziecie potrzebowali nie tylko wiedzy o tym, gdzie ona się znajduje, ale także gigantycznej siły ognia, żeby przedrzeć się przez bramy miasta, nie mówiąc już o sforsowaniu pałacu. A jeśli jakimś cudem nie zginiecie z rąk straży przybocznej, wiedzcie, że jedyna droga do środka prowadzi przez dezintegrator materii, który wyłączyć może jedynie królowa Lys. Więc, jeśli mogę mieć niewielką prośbę, sprawcie, żeby dziewczka cierpiała. Dzięki!

Lilo podchodzi do koni, dotyka wielkiego łba zwierzęcia. Jest żywe, ciepłe. Uderza kopytem, prycha i robi ukłon, jakby chciało się przywitać.

– Spokojnie. Wszystko dobrze – mówi moja towarzyszka, delikatnie wdmuchując powietrze w jego wielkie nozdrza. – (Nie, Rez, nie ma mowy. My z kolei nie negocjujemy z psychopatami.

Widzisz jego aktywność mózgową? Ten człowiek jest niepoczytalny!)

– (Raczej nieczytelny. To cecha również wybitnie uzdolnionych jednostek).

– (Tak, na pewno ma wielki talent do zadawania bólu innym, a także duże deficyty w odczuwaniu empatii i zaburzenia dysocjacyjne tożsamości. Mama go za mało przytulała, jak był mały. Dajmy sobie spokój, wiemy już, gdzie jest Biblioteka).

– (Ale jeśli to, co mówi, jest prawdą, nic nam ta wiedza nie daje. Będziemy musieli znaleźć lepszy sposób niż wejście tam siłą).

– (Najprostsze rozwiązania są najlepsze).

– (Ktoś wspominał coś o zadawaniu bólu i empatii?)

Lord wychyla się z karocy.

– Przepraszam najmocniej, lady kosmitko, ale musi się pani odsunąć, bo mój pojazd umie tylko do przodu – mówi tonem ociekającym uprzejmością.

Lilo spogląda na mnie, kręci głową i podchodzi do drugiego konia.

– Hej, pamiętasz, jak mi mówiłaś, że zawsze chciałaś zwiedzić Londyn? – pytam ją na głos.

– Byłoby świetnie, gdyby ktoś mógł nas oprowadzić – mówi drżącym z ekscytacji, przyprawionym na słodko głosem, absolutnie trafiając we wszystkie właściwe nuty.

Pięć minut później pędzimy w strugach deszczu wyboistą ulicą. Kopyta uderzają miarowo w twarde bruk, karoca buja się na boki i skrzypi. Całe miasto spowite jest mgłą, w której rozmywają się kształty gotyckich budynków, tonie światło i znikają kolory. Panuje tu ta senna, nierzeczywista atmosfera, przywodząca na myśl impresjonistyczny obraz, nie prawdziwe miejsce, w którym mogą mieszkać ludzie.

– To moje największe dzieło – oznajmia Jack. – Wydrukowałem je, kamień po kamieniu. Idealna kopia Londynu z 1888 roku, wierna po ostatnią kroplę potu polskiego robotnika.

– Opowiedz nam o rodzinie królewskiej – namawia go Lilo.

– Wszystko w swoim czasie, kosmiczna lady. Na razie chciałbym, żebyście poczuli prawdziwą atmosferę tego miejsca, zaciągnęli się zapachem przeszłości.

W szybę uderza brązowy przedmiot, zostawiając na niej brudną smugę. Jack dotyka szkła, które automatycznie się zaciemnia, i niewzruszony kontynuuje swój wywód na temat wspaniałości swego miasta, ale kolejne, coraz mocniejsze uderzenia skutecznie zagłuszają jego głos. Nagle znajdujemy się pod skomasowanym obstrzałem z obu stron. Wewnątrz karocy robi się głośno i ciemno, po szybach spływa deszcz zmieszany z gównem.

– Pieprzeni imigranci – mówi do siebie. – Bardzo mi przykro, ale mamy ciągle problemy z przyjezdnymi, którzy z jakiegoś powodu brzydzą się pracą, ale odchodami już nie. Sądzą, że ich obrzydliwe zrywy wymogą na nas zmiany w prawie i damy im przywileje rezydentów. To skomplikowana politycznie i społecznie sprawa, którą mimo wszystko próbujemy rozwiązać w białych rękawiczkach. Chciałem wam oszczędzić tego widoku, ale najkrótsza droga do pałacu niestety wiedzie przez Whitechapel... No, ale nie zajmujmy się już tematem tej biedoty umysłowej.

Lepiej wy opowiedzcie, co was sprowadza na Ziemię.

– Jesteśmy przedstawicielami Międzygalaktycznej Koalicji Inteligentnych Cywilizacji– zaczynam. – Naszym zadaniem jest weryfikowanie stopnia rozwoju społeczno-kulturalnego ras we wszechświecie i ewentualne wcielanie ich w nasze szeregi. Obserwujemy was stosunkowo od niedawna, ale bardzo podoba nam się wasza dbałość o środowisko naturalne i pokojowe usposobienie. Niestety, zgodnie z dekretem 18Z– MKIC-7, aby cywilizacja mogła otrzymać pozytywną opinię, jesteśmy zmuszeni ewaluować co najmniej tysiąc lat waszej historii, by wykluczyć pewne wytłumione lub uśpione tendencje i schematy zachowań, które mogłyby się okazać zagrożeniem dla równowagi we wspólnocie. Lordzie Nothing, rozumiem, że to, co mówię, może być szokujące, ale prawda jest taka, że Ziemia to nie jedyna planeta zamieszkała przez rozumne organizmy. Co więcej, każda inteligentna rasa we wszechświecie rozwija się według dość powtarzalnego wzoru. Odkrywa ogień, wynajduje koło, tworzy internet, pokonuje śmierć, zaczyna rejestrować wszystkie swoje wspomnienia, eksploruje kosmos. Jeżeli uda jej się nie doprowadzić do nuklearnej zagłady w momencie, gdy nauczy się rozszczepiać atom, ani nie zdegraduje swojego środowiska naturalnego i nie wyczerpie jego zasobów podczas dynamicznego rozwoju przemysłu i technologii, nie wykończy jej laboratoryjnie stworzony wirus czy też nie wpadnie na idiotyczny pomysł stworzenia sztucznej inteligencji, ma za sobą, powiedzmy, dziewięćdziesiąt pięć procent zagrożeń i jest na dobrej

drodze, by zostać częścią Koalicji.

– Rozumiem, że jesteście przedstawicielami kompletnie innej cywilizacji. A jednak wyglądacie dokładnie jak ludzie.

– Przybraliśmy humanoidalny kształt, ponieważ uznaliśmy, że będzie on dla was najłatwiejszy do zaakceptowania. Natomiast będąc w stanie dowolnie modyfikować własne ciała na poziomie atomowym, już dawno przestaliśmy być przywiązani do określonej formy. Fizyczność spełnia swoje zadanie na wczesnych etapach ewolucji gatunku, ale po osiągnięciu pewnego poziomu ograniczenia materialnej formy zaczynają nas jedynie spowalniać. To myśl – dodaję po dłuższej pauzie – jest istotą egzystencji.

– Więc jak dokładnie przebiega taki proces wcielania? Jak Ziemia może na tym skorzystać?

Strasznie mnie to zaciekało. – Lord pochyła się do przodu, chłonąc każde moje słowo.

– Koalicja często zwana jest też Unią, gdyż każda cywilizacja wchodząca w jej skład ma prawo do zachowania swojej odrębności kulturowej. Jest przy tym traktowana jak równy partner, ma demokratyczny głos w nadawaniu kształtu wspólnocie. Sam proces wcielania jest bardzo prosty.

Jeszcze tego samego dnia, w którym wydamy pozytywną opinię, z Ziemią nawiąże kontakt przedstawiciel międzygalaktycznej floty, oznajmiając waszemu światu istnienie innych inteligentnych cywilizacji. W ciągu następnych miesięcy rozpoczniemy cykl szkoleń, dzięki którym zapoznamy waszych przywódców z naszymi normami oraz opowiemy, jak je egzekwować.

Pokażemy wam inne światy i nauczymy szybkiego sposobu podróżowania pomiędzy nimi. Ziemia, jeśli dostąpi zaszczytu zasiadania w Międzygalaktycznej Koalicji Inteligentnych Cywilizacji, będzie mogła korzystać z całego dorobku technologicznego najbardziej zaawansowanych ras we wszechświecie, dla których czas i przestrzeń są niczym więcej niż podlegającymi modyfikacji zmiennymi. Lordzie, proszę sobie wyobrazić wiedzę, która pozwala podporządkować sobie wszystkie



prawa fizyki, okiełznać materię, tworzyć własne światy, rozpalać i gasić gwiazdy. To wszystko jest na wyciągnięcie ręki – strategicznie pauzuję, podkreślając napięcie. – Potrzebujemy jedynie przejrzeć wasze papiery – dodaję.

Lord Nothing opada na oparcie kanapy. Jego głowa jest pełna wizji, oddech przyspiesza. Za oknami świat do reszty zatonął we mgle, ale myśli lorda wznoszą się wysoko ponad dachy gotyckich kamienic, widzę to. W jego oczach odbijają się galaktyki, jego myśli podróżują ku przyszłości zapisanej w gwiazdach.

– W życiu nie słyszałem większego pierdolenia – mówi i wybucha śmiechem.

Spazmatycznym, nieokiełznanym śmiechem. Jack Nothing, władca Londynu, traci cały swój szyk i wyrachowanie, tarzając się od ściany do ściany karocy i próbując złapać oddech pomiędzy kolejnymi salwami.

– Demokracja? – wyje. – Unia?

My cierpliwie wyczekujemy końca, który nadchodzi równie gwałtownie.

– Mam wrażenie, że w naszej rozmowie nie padło jeszcze ani jedno prawdziwe zdanie – mówię mu, gdy znów zapada cisza.

– Możesz mieć rację, panie kosmito – odpowiada, skutecznie dusząc kolejny atak śmiechu. – Ale, z tego, co zauważyłem, to wy potrzebujecie czegoś ode mnie, więc przestańcie mnie traktować jak idiotę. Słucham.

– Słyszałeś o Yggdrasil? – pytam go.

– No widzisz. Od razu lepiej.

\*

Nad miastem zapada zmrok, choć tu, w Londynie, to i tak praktycznie bez znaczenia. Mokra szarość zamienia się w mokrą czerń. Krople deszczu spadają z niskiego nieba, wnikają we włókna marynarki i przesiąkają przez koszulę, sprawiając, że cały mój szycowny strój ciąży mi jeszcze bardziej. Lilo ma na sobie długą,

wielowarstwową suknię w kolorze pełnokrwistego bordo, piękną i bogato zdobioną, której projektant cały materiał mogący zasłaniać plecy i dekolt postanowił przeznaczyć na ciągnący się po mokrym bruku tren, tworząc formę równie estetyczną, co niepraktyczną. Baza wiedzy podrzuca mi jeszcze kilka innych terminów wraz z definicjami, takich jak gorset czy turniura, ale i bez tego jestem w stanie docenić poświęcenie Lilo i sztukę tego rękodziela. Poza tym po prostu cholernie dobrze w tym wygląda. Jej jasne włosy są wysoko upięte, zakręcone i przyozdobione pąkami ciemnoczerwonych róż, oczy spoglądają zalotnie spod ciemnych powiek, usta błyszczą. Ciągnie za sobą dziesięć kilo przemoczonej wiktoriańskiej mody, a wciąż wygląda, jakby z gracją stąpała w powietrzu. Ja wyglądam jak pingwin. I dokładnie tak się czuję. Skrępowany, niepotrzebnie ograniczony formą mojego stroju.

Idziemy powoli przez ogromny ogród w kierunku rezydencji. Deszcz przybiera na sile.

Zastanawiam się, czy jest zaprogramowany w ten sposób, by łać mocniej, gdy jesteśmy na zewnątrz. Nad nami unoszą się parasole tworzące pola siłowe, ale przy takim natężeniu opadu i wietrze krople wody napierają na nas z każdej strony. Z niejasnych dla mnie przyczyn nie możemy rozciągnąć pola siłowego wokół naszych ciał i jesteśmy skazani na te bezużyteczne, lewitujące placki.

– (Tego wymaga tradycja, Rez).

Lilo ewidentnie podoba się ten klimat. Jeszcze po południu namawiała mnie, żeby zmusić lorda Nothinga do współpracy, traktując go jego własną karocą, ale cztery godziny spędzone pod czujną opieką sztabu stylistek i fryzjerów zagłuszyły w niej poczucie obowiązku. Być może wyłączyła filtry, a może po prostu kobiety tak mają. Zmieniają zdanie i lubią się stroić. Z naturą nie wygrasz.

– Doktor Hilarius to mój drogi przyjaciel. Pomagał mi tworzyć Londyn, a teraz zasiada w jego radzie nadzorczej. Nie wiercie we wszystko, co usłyszycie na jego temat. Tak naprawdę jest filantropem, erudyta i doskonałym specjalistą w dziedzinie

medycyny, ale przede wszystkim to człowiek, który wie, jak wyprawić przyjęcie.

Lord Jack idzie z przodu, nadaje tempo naszemu agonalnie powolnemu spacerowi, wymachuje laską, tłumaczy i przemaka.

– Jest kilka zasad, których warto się trzymać, obracając się w wyższych sferach. Przede wszystkim żadnego pośpiechu. Zawsze należy przyjechać na miejsce spóźnionym i zwlekać z odpowiedzią, co ważnego nas zatrzymało. Pośpiech oznacza brak czasu, a to także jedna z form ubóstwa. Nieakceptowalne. Dalej: należy jeść i pić do granic wytrzymałości. Jeżeli wybija północ, a wy nie macie w krwiobiegu kilku promili alkoholu lub nie jesteście odurzeni w inny sposób, doktor może potraktować to jako afront. Wszystko, co zobaczycie na stołach, jest przeznaczone do konsumpcji, zawartość półmisek i karafek będzie uzupełniana, dopóki nie umrzemy z przejedzenia lub przepicia, więc nie krępujcie się sięgnąć po tę ostatnią frittatę. Nie pytajcie o pochodzenie, nie afiszujcie się ze swoim, komplementujcie ubiór, fryzury, zapach, słownictwo, błyskotliwość i gust swoich rozmówców, nazywajcie ich parweniuszami, dopiero gdy oddalą się do innego grona. I najważniejsza sprawa – mówi, zatrzymując się w uchylonych drzwiach rezydencji. – Jeżeli przychodzicie razem, nie trzymajcie się razem. Cała koncepcja polega na tym, by się rozdzielić, znaleźć ciekawych ludzi, z którymi będziecie mogli przegadać noc, a po wszystkim się spotkać i powiedzieć sobie, jak tragicznymi nudziarzami się okazali i jak dobrze znów być tylko ze sobą. Oto esencja kontaktów w wyższych sferach. Bawcie się dobrze.

Wchodzimy do rozświetlonego wnętrza. Lokaje dezaktywują parasole nad naszymi głowami 1

suszą nasze ubrania w jednym płynnym geście, który jednocześnie jest ukłonem. Hall ciągnie się w nieskończoność, jest pełen wystrojonych ludzi. W powietrzu czuć odurzającą woń perfum, jedzenia, alkoholu, opium i marihuany. To wszystko doprawione szczyptą fortepianowej melancholii.

– Lordzie Nothing, co was zatrzymało w tę deszczową noc? –

pyta głos z tłumu.

Nikt z nas nie odpowiada. Powoli wchodzimy głębiej, przepychając się w kierunku błyszczącego, roztańczonego, pijanego serca tego absurdu.

\*

Tematy, które poruszamy, dotyczą kolejno: pogody, pieniędzy, jedzenia, wystroju wnętrza, piersi lady Mandelbrot, złotych kandelabrow wykonanych z prawdziwego kruszcu, nie żadnych laboratoryjnych imitacji, faktu, że człowiek właściwie nie jest w stanie rozróżnić złota stworzonego w laboratorium od autentycznego, znów pieniędzy, dziwnego smaku ponczu, kolekcji aut doktora Hilariususa, mgły, kształtu tyłków lady Lilo i lady Mandelbrot, spostrzeżenia, że komplementowanie kształtów kobiety przy jej partnerze nie jest do końca nietaktem, pojedynków na pistolety jak za starych, dobrych czasów, rzeczonych starych, dobrych czasów, dziewiętnastego wieku, wyższości dziewiętnastego wieku nad dwudziestym, fatalnych gustów muzycznych w dwudziestym pierwszym wieku, późnej pory, tego, że lord Burton to pozbawiony taktu idiota i parweniusz i dobrze, że już sobie poszedł, pieniędzy, hojności lorda Nothinga, jego zagadkowego pochodzenia, Londynu, nieobecności doktora Hilariususa na jego własnym przyjęciu, zamięłowania doktora Hilariususa do nocnych spacerów, brutalnego morderstwa prostytutki nad Tamizą, faktu, że Londyn, to w gruncie rzeczy bezpieczne miejsce, pieniędzy, dziwnego smaku ponczu, piersi lady Mandelbrot, pogody oraz pieniędzy.

– Czy już mówiłem panu, co przytrafiło mi się dziś w drodze na to doskonałe przyjęcie?

Mężczyzna stojący przede mną z trudem utrzymuje wyprostowaną pozycję. Po części dlatego, że jego szkielet jest skazany na dźwiganie trzydziestu nadprogramowych kilogramów, ale także z powodu czterech promili czystego alkoholu krążących

w jego żyłach. Do północy wciąż mamy godzinę, ale on stracił już wszelkie hamulce. Próbuje mówić i jeść jednocześnie, zapluwając swoich rozmówców trufkami. Gdy popija ponczem, większość płynu trafia na brodę, a z niej sączy się na marynarkę opinającą ogromny brzuch. Nikt nie zwraca na to uwagi.

– Nie mam pojęcia, ale to zapewne wybitnie interesująca historia – odpowiadam.

Jego usta powtarzają w niemym odruchu każde moje słowo. Typowa echopraksja – upośledzenie płata czołowego skutkujące zaburzeniami lingwistycznymi i nieumiejętnym ocenianiem ryzyka. Jestem w stanie przełączyć jego sieć neurologiczną, żeby ominęła uszkodzony obszar, jednym dotknięciem sprawić, że odzyska pełną władzę nad swoim ciałem.

– Gdy przejeżdżaliśmy przez Whitechapel, jakiś nędzarz postanowił ze sobą skończyć i rzucił się pod koła mojego powozu. Oczywiście ominęliśmy drania. Nie dam żadnemu z nich tej satysfakcji – mówi i zanosi się śmiechem. – Ten poncz smakuje jak jebane szczyny – dodaje.

Robię krok w przód i z całej siły uderzam go kolanem w krocze. Mężczyzna pada na ziemię.

W jego oczach zbierają się łzy, a w gardle wymioty. Alkohol spowalnia ból pędzący do mózgu z receptorów i tylko dzięki znieczuleniu grubas nie wypuszcza szklanki z rąk. To ja ją wyjmuję.

Wylewam resztę ponczu na podłogę, rozbijam ją o kant stołu, a ostrą krawędź pakuję przez oczodół pod kątem czterdziestu pięciu stopni ku górze, dosięgając szkłem płata czołowego.

Puszczają mu zwieracze. Zabieg wykonany.

– A pan, co o tym sądzi? – pyta.

– Myślę, że miał lord dużo szczęścia – mówię i odchodzę, zostawiając go tam ślaniającego się na nogach, bełkoczącego i wciąż upośledzonego.

Mam ochotę się najebać. Zagłuszyć ten hałas i zdystansować. Filtry filtrami, symulowana intoksykacja symulowaną intoksykacją, ale przy takiej ilości bodźców przyda się coś mocniejszego.

Przede mną jak na zawołanie wyrasta kelner z tacą pełną whisky. Biorę do ręki kryształowe naczynie wypełnione trunkiem. Jest to pierwsza autentyczna rzecz, z jaką zetknąłem się na tej imprezie. Zdrówko, Rez, myślę i wlewam złoty płyn do gardła.

Wewnątrz mnie wybucha pożar. Ogień przepala się przez kolejne piętra, spływając od gardła do żołądka. Jeszcze raz – wołam jak desperat pędzący pod koła upojenia. Drugie uderzenie jest już słabsze.

– (Widzę, że zacząłeś się dobrze bawić).

– (Nie wiem, czy słuchałaś, ale odkąd tu jesteśmy, wypowiedziałem jakieś cztery tysiące słów, które nic nie znaczą).

– (Lord Kyrlov zaprasza mnie jutro na konie).

– (Wybornie, milady).

Kochałem ją.

Ta myśl uderza we mnie znienacka wraz z pierwszą falą autentycznego upojenia. Gdy byliśmy dziećmi, całą wieczność temu, nie było innej osoby w moim życiu. Lilo. Zawsze ona. Niczym marzenie, które wreszcie się spełniło. Ruszyliśmy razem przez wszechświat, zanim którekolwiek z nas zrozumiało, na co nas skazano, zanim się dowiedzieliśmy, że wieczność to kawał czasu.

Zwłaszcza jeśli ma się ją spędzić we dwoje. Pomiedzy punktem A a punktem B wydarzyła się każda ewentualność, padło każde słowo. Patrzyłem na nią tak długo, że przestałem ją zauważać. Na Yggdrasil uczucie płonęło w nas żywym ogniem. Do Ziemi dotarły popioły.

Chciałbym myśleć inaczej. Chciałbym móc sobie powiedzieć, że ta historia ma szczęśliwe zakończenie, że się opamiętamy, odnajdziemy w sobie to, co zgubiliśmy po drodze, że spojrzę jej głęboko w oczy, zaciągnę się jej zapachem i wypowiem słowa, na które czekała, a wtedy ona rzuci mi się w ramiona, gruba warstwa obojętności skruszeje i znów będziemy patrzeć na siebie, jakbyśmy się zobaczyli pierwszy raz. Ale prawda jest taka, że na końcu zawsze wygrywa wieczność.

Cierpliwy, nieskończony czas pokona miłość, ciebie, mnie,

Ziemię i wszechświat, zgasi każde uczucie, wyleczy każdy ból i przykryje wszystko grubą warstwą ciszy. W przeciwieństwie do nas będzie tu od początku do końca.

Pierdolony alkohol – tak bezlitośnie skuteczny w wygrzebywaniu na wierzch ukrytych emocji i prezentowaniu ich nam z bezpiecznego dystansu. Pod jego wpływem wreszcie przestajemy się bać. Nic dziwnego, że po dziś dzień jest ulubioną używką na Ziemi.

Lilo stoi otoczona stadem pijanych pingwinów, którzy człapią wokół niej coraz bardziej nieporadnie, błyszczą w swojej bordowej sukni, uśmiecha się, słysząc kolejne komplementy, niezbyt przekonująco odmawia drinka i ani razu nie spogląda w moją stronę. Oczywiście, mogę w każdej chwili do niej podejść i mocno ją objąć, publicznie znacząc swoje terytorium.

Ale nie mogę tego poczuć.

– Chyba nie jest pan zazdrosny, lordzie...

– Rez. Po prostu Rez.

Kobieta zaciąga się jointem i wypuszcza leniwe smugi dymu spomiędzy pełnych, czarnych warg.

Jej spojrzenie zdradza znużenie, ale jednocześnie ciekawość, a śnieżnobiała skóra pachnie jak ziemia w kwitjącym ogrodzie, ciężko i świeżo zarazem. Cała zbudowana z kontrastów pływa tam i z powrotem przez tłum, nie zabawiając nigdzie dłużej, ściągając za sobą spojrzenia, prowokując myśli i komentarze.

– Julia Mandelbrot – przedstawia się, strzelając niedopałkiem prosto do misy z ponczem, i wyciąga ku mnie dłoń. – Żadna strata.

– Wiele o pani słyszałem.

– Zapewne. Natomiast proszę mieć na uwadze, że lord Burton to niepoprawny onanista, który lubi dodawać kolorytu wszystkim swoim opowieściom, zwłaszcza gdy dotyczą kobiet nieczułych na jego prymitywny podryw. Pierwszy dzień na salonach i od razu wpadł pan w złe towarzystwo – mówi, ciągnąc mnie za rękę w kierunku parkietu.

Baza wiedzy identyfikuje taniec jako walc angielski. W samą

porę. Już po chwili kręcimy się dookoła w metrum trzy czwarte przy tempie wynoszącym trzydzieści taktów na minutę, ja mocno przyciśnięty do piersi lady Mandelbrot. Alkohol nadaje moim ruchom odpowiednią płynność.

– Skąd ta pewność, że nie bywam na salonach?

– Po pierwsze, nie umie pan tańczyć.

– Nie sądzę, żebym gubił rytm.

– Technicznie jest doskonale, ale żeby taniec był dobry, trzeba czuć go też wewnątrz. Pan słyszy tę muzykę, ale nie wie, o czym ona opowiada.

– Więc o czym są te dźwięki?

– To historia utraconej miłości. Opowieść o niewykorzystanych szansach. Koniec dnia, który zbyt szybko minął. Tęsknota za domem, gdy jest się daleko. Spacer w deszczu. Cokolwiek pan sobie wyobrazi. Naszym zadaniem, jako tańczących, jest zrozumieć i odtworzyć te emocje tu, na parkiecie. Bez nich taniec staje się jedynie sekwencją zapamiętanych ruchów – mówi i odpycha mnie z całej siły.

Tracę równowagę, ale nie wypuszczam jej dłoni, tylko pociągam za sobą. Lady Mandelbrot przelatuje obok w płynnym obrocie i szarpie mną jeszcze raz, mocniej, licząc, że tym razem zaryję o parkiet. Oddaliśmy się tak i zbliżamy, walcząc o równowagę, przepychając, mknąc milimetry obok siebie w obrotach, coraz bliżej, aż do zderzenia, które zatrzymuje nas i przywraca normalny rytm.

– Od razu lepiej – stwierdza z uśmiechem, łapiąc oddech i wpatrując się we mnie. – Więc co takiego pan o mnie słyszał?

– Poza komplementami dotyczącymi pani wyglądu tylko tyle, że straciła pani męża.

– Nieszczęsny Fatou – mówi i spuszcza wzrok.

– Nie chciałem...

– To nic – ucina. – Mój mąż bardzo wczuł się w tę epokę. Kochał hazard, konie, opium i mnie.

W tej kolejności. Wiedziałam, że żyjąc w ten sposób, nie można liczyć na spokojną starość. Albo to robisz mocno, albo długo.



Wszyscy, którzy twierdzą, że mogą i mocno, i długo, kłamią. Wiem coś o tym.

Muzyka gaśnie, a my wracamy do stołu, na którym ktoś właśnie postawił nową misę ponczu.

– Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie.

– A myśli pani, że powinienem być zazdrosny?

– Myślę, że większość z tych pseudolordów mogłaby jedynie podejść tu, głęboko się uklonić i

wyczyścić panu buty. I ona też o tym wie.

Dokładnie w tym momencie Lilo obraca się w naszym kierunku, wyszukując mnie wzrokiem w tłumie. Spojrzenia kobiet się spotykają. Julia podnosi wysoko szklankę z whisky, uśmiecha się i wlewa całą jej zawartość do gardła.

– Lubię panią, lady Mandelbrot – mówię, zdejmując dwa drinki z tacy przemykającego kelnera. – Nie jest pani nudna.

– Proszę popracować nad tym tańcem – odpowiada i rozplywa się w powietrzu, zostawiając mnie samego z dwiema szklankami w rękach.

– (Musisz popracować, ale nad swoimi tekstami na podryw, Rez. „Nie jest pani nudna?” To jak powiedzieć kobiecie, że ma waginę).

Ale zanim zdążę cisnąć w jej kierunku jakąś ciętą ripostą, zanim wytłumaczę, że zabijam nudę rozmową i nie jest moją intencją wrywanie lokalnych arystokratek, zanim zapytam o to, jak jej idzie konwersacja z pingwinami i czy cztery godziny kokieterii przybliżyły nas w jakikolwiek sposób do znalezienia sposobu na włamanie się do Biblioteki Snów, drewniane drzwi wejściowe otwierają się z hukiem, a muzyka ucicha.

– Szanowni goście, panie i panowie, przed wami długo wyczekiwany gospodarz, organizator najlepszych imprez w tym zapomnianym mieście, szanowany naukowiec i mój wielki przyjaciel – doktor Hilarius!

Zaraz za Jackiem z mroku wyłania się ogromna postać. Mężczyzna ma ponad dwa metry wzrostu i podłużną, pomarszczoną twarz. Jego oczy są schowane za parą czerwonych szkieł

pozbawionych oprawek i połączonych jedynie wąskim drucikiem biegnącym od ucha do ucha. Ma krótkie białe włosy zaczesane do tyłu. Jest ubrany skromniej niż większość jego gości, w długi czarny płaszcz wykonany z jednego kawałka materiału, bez jakichkolwiek kieszeni czy guzików. Jediną ozdobę jego stroju stanowi srebrny wisior w kształcie lekarskiej maski z czasów czarnej śmierci dyndający na jego długiej szyi – atrybut równie radosny, co sam doktor. Górę płaszcza doktora Hilariusza wieńczy wielki kołnierz, spod którego bije blada łuna. Podświetlona od spodu twarz wygląda jeszcze bardziej złowieszczo.

Hilarius przechodzi wolnym krokiem przez salę, przyglądając się uważnie każdemu z lordów.

Jego buty stukają o marmur, oblicze nie wyraża żadnych dających się zidentyfikować emocji.

Przypomina dzikie zwierzę, które weszło właśnie w sam środek cywilizowanej imprezy i ma dylemat, czy najpierw nasrać na środku parkietu, czy zacisnąć zęby na czyimś gardle. Ci, którzy nie są jeszcze wystarczająco pijani, czujnie spoglądają w jego kierunku. Nawet goście ledwo trzymający się na nogach nie próbują zakłócać tej perfekcyjnej ciszy. Doktor zatrzymuje się przy stole.

– Wdech, wydech, wdech, wydech – mówi.

Sala wybucha śmiechem – rozlega się ryk ponad setki głosów uwolnionych w tym zbiorowym akcie rozprężenia. Ale po chwili, gdy doktor chwyta puchar i wznosi toast, znów robi się cicho.

– Udałem się dziś na spacer brzegiem Tamizy – mówi, z jakiegoś powodu wywołując kolejną salwę śmiechu. – Podszedł do mnie młody mężczyzna i wprost zapytał, kto zdecydował o tym, że to on musi być biedny, a ja bogaty. Chciał się dowiedzieć, co sprawia, że ja jestem lepszym człowiekiem od niego, mimo że w środku wszyscy jesteśmy dokładnie tacy sami. Mówił, że jako doktor powinienem doskonale wiedzieć, że fizycznie nie ma między nami różnicy, dlaczego więc jest tak, że moje życie wypełnia radość, a jego to ciągła walka o przetrwanie. Nie czekając mojej odpowiedzi, rzucił obelgą i się oddalił. Postanowiłem go dogonić.

Był zaskoczony, że w ogóle chcę z nim rozmawiać, ale jeszcze bardziej wytrąciła go z równowagi moja odpowiedź. Rzekłem bowiem, że tylko wybory, których dokonujemy, kierują nas na drogę ku szczęściu lub zatraceniu, że tylko my mamy wpływ na to, kim się stajemy, a fakt, że jesteśmy dokładnie tacy sami pod względem anatomicznym, jeszcze bardziej powinien go zasmucać, ponieważ on także miał możliwość być dziś razem z nami na tym balu, ale jego nogi zabrały go w przeciwnym kierunku.

Wściekły odparł, że nie mam racji. Mówił długo o pochodzeniu i szczęściu, zrzędzeniach losu, na które nie mamy wpływu, a które według niego sprawiają, że ja miałem łatwiej. Oczywiście mógłbym polemizować z tym, czy życie profesora medycyny, który poświęcił się nauce i który każdego dnia od lat już osiemdziesięciu bierze odpowiedzialność za życie innych ludzi, jest łatwiejsze od życia utracjusza wyjmującego swoje dłonie spod głowy jedynie wtedy, gdy potrzebuje pieniędzy, by się napić, ale postanowiłem wykonać pewien eksperyment.

Powiedziałem mu, że dziś jest dzień, o którym zawsze marzył. W tym dniu szczęście po raz pierwszy się do niego uśmiecha, bo oto ja, doktor Hilarius, oferuję mu przepustkę do wyższych sfer. Jeśli tylko wyrazi chęć, zabiorę go prosto z tej mokrej, śmierdzącej ulicy do swojego pałacu, pozwolę kąpać się w mojej wannie i stołować w mojej jadalni. Dam mu najlepsze ubrania, wystroję i zabiorę ze sobą na bal, by mógł przyjrzeć się bliżej arystokracji, którą gardzi i której zazdrości.

Obiecałem mu, że już nigdy w życiu nie będzie musiał pracować ani martwić się o rzeczy tak prozaiczne jak pieniądze. Wystarczy, że podąży za mną do karocy. I muszę wam się do czegoś przyznać: w całej swojej naiwności liczyłem na to, że ten człowiek rzuci mi się na szyję, podziękuje i odjedzie ze mną do lepszego świata. Już układałem w głowie słowa, którymi miałem wam go dziś przedstawić. Ale mężczyzna znieruchomiał, pobladł. Spuścił wzrok, a jego gardło się ścisnęło.

Zapytałem, czy nie dostrzega, jakie szczęście go właśnie spotkało,

chciałem wiedzieć, dlaczego się waha. Odpowiedział, że nie dla niego jest życie arystokraty, bo nie umiałby się odnaleźć, nie wiedziałby, jak ma się zachować. Poprosił, żebym zamiast wyznaczania celu dał mu środki, a on spożytkuje je według własnego uznania. Odwróciłem się i natychmiast ruszyłem w deszczu w samotną drogę powrotną, myśląc o tym, że istnieje na tym świecie coś dużo gorszego od braku pieniędzy. To ubóstwo mentalne, ta okropna słabość myśli i woli, ułomność wyobraźni, która sama powstrzymuje nas przed wielkością i każe sądzić, że na nią nie zasługujemy. Dlatego, panie i panowie, tej szczególnej nocy wznoszę toast ku pamięci młodego człowieka, który stał się niewolnikiem swoich własnych ograniczeń. Pijmy jego zdrowie, by mógł jeszcze przez długie lata rozpamiętywać nasze dzisiejsze spotkanie. Jebać biedę!

– Jebać biedę! – odpowiada chóralnie sala.

Po czym wszystko wraca do normy – o ile normą można nazwać zbiorowe umartwianie własnych ciał przez kontrolowane zatrucia, stanie przez wiele godzin w niewygodnych pozycjach i kompulsywne odbywanie rozmów pozbawionych treści. Równo o drugiej w nocy przez zamknięte drzwi tarasowe do sali wpada na koniu lord Burton – ten sam, który komplementował tyłek Lilo.

Teraz wydziera się wniebogłosy, że przyjechał wybawić nas od nudy, wymachuje w połowie pustą butelką whisky i krwawi obficie z miejsca, w którym utkwiał mu wielki kawałek szkła. Zwierzę defekuje na błyszczącą marmurową podłogę, lord próbuje zsiąść, ale niefortunnie zaplątuje się w strzemień i spada głową w dół. Ląduje milimetry obok odchodów.

– Pozwólcie mi się wykrwawić – słyszę za sobą znajomy głos lorda Nothinga.

– Jack – upomina go doktor – przecież nie jesteśmy barbarzyńcami.

– Czasem o tym zapominam – odpowiada. – Twój dom, twoje zasady, przyjacielu.

Doktor przeciska się przez tłum i klęka obok ledwie żywego

mężczyzny. Cięta rana w piersi to nic w porównaniu z pęknięciem czaszki wywołanym uderzeniem w podłogę. Pojedyncze drgawki przeszywają ciało pijanego arystokraty, z nosa i uszu sączy się gęsta, ciemna krew, już od dobrych trzydziestu sekund jego mózg nie odbiera bodźców od narządów, a z dziury w głowie wraz z płynem mózgowo-rdzeniowym ulatuje życie. Hilarius klaszcze w dłonie i kładzie je na czole i potylicy Burtona.

– (Widzisz to, Lilo?)

– (Jego dłonie wytwarzają ultradźwięki, dzięki którym pęknięcie w czaszce się zrasta. Przez skórę podaje mu środki przeciwbólowe i całą masę nanocząstek zaprogramowanych, by usunąć konkretne urazy. Rana na piersi właściwie już przestała krwawić i rozpoczął się proces rekonstrukcji skóry. Mózg odzyskuje kontrolę nad ciałem. Jeszcze trzydzieści sekund i lord Burton wróci z zaświatów. Nieźle).

– (To nie jest prymitywna medycyna, tylko kwantowa nanotechnologia, której nie było nawet na Yggdrasil, gdy opuszczał Ziemię. Ich rozwiązania są bezsensownie skomplikowane, to fakt, ale działają prawie tak samo skutecznie. Wolniej i okrężną drogą, ale doszli do podobnych wniosków co my. Poza tym ciało doktora jest zmodyfikowane w zupełnie inny sposób niż nasze, dlatego nie rozpoznaliśmy żadnego z obwodów wspomagających. Ciekawe, co jeszcze nam umknęło?)

Hilarius wycofuje się w tłum. Jeszcze chwila niepewności i ciało Burtona ożywa. Lord siada, rozgląda się wokoło z autentycznym przerażeniem w oczach, wodzi mętym wzrokiem po zgromadzonych, dostrzega konia, rozbite szkło i odchody, spogląda na zniszczony strój, skrupulatnie analizuje wygląd swoich dłoni, jakby chciał znaleźć na nich potwierdzenie lub zaprzeczenie czynów, których mogły się dopuścić pod nieobecność jego świadomości. Wreszcie z największym trudem zdobywa się na wypowiedzenie dwóch prostych słów: – Ja pierdołę...

Sala po raz kolejny wybucha śmiechem.

– Co mu zrobiłeś? – pyta Nothing Hilarius.

– Sprawilem, że wytrzeźwiał.

Goście powoli zaczynają opuszczać pałac. Lilo dogania mnie w drzwiach, łapie za rękę i kładzie głowę na moim ramieniu.

– I jak się bawiłeś, najdroższy? – pyta, zerkając mi w oczy.

– Bez ciebie u mego boku to był najnudniejszy bal w historii Londynu – odpowiadam, okrywając ją marynarką.

Noc jest deszczowa i przeraźliwie chłodna.

Co z tego, że nasze ciała nie tracą ciepła.

\* \* \*

Lilo bierze głęboki wdech, zaciska pięści i mruży oczy. Jeszcze raz oblicza odległość do celu. Przez chwilę się zastanawia, co będzie, gdy się nie uda. Jak wyglądają jej szanse? Rozłupana czaszka i skręcony kark. Nienaturalnie rozpostarte ciało, brudna woda z rynsztoku przepływająca przez jej złote włosy i wlewająca się do ust. Dlatego lepiej się nie pomylić. Filtry w górę i do dzieła. Wydech.

Wdech. Rozbieg. Wdeptuje w kolejne kałuże, rozchlapując wodę, wskakuje na śliski gzyms i wybija się z samej krawędzi najdalej, jak potrafi. Przez chwilę frunie w poprzek strug deszczu, po czym opada w kierunku położonego dziesięć metrów niżej balkonu. Lądowanie jest idealne, niemal bezgłośnie. Siedem pięter niżej zaspani policjanci umawiają się na whisky i cygara. Jeden z nich spogląda w górę, dokładnie w miejsce, przez które zaledwie kilka sekund wcześniej przemknął cień Lilo, i wypuszcza dym z ust, zastanawiając się, jak wygląda słońce. Nie pamięta kolorów nieba, ledwie przypomina sobie jego ciepły dotyk na twarzy i blask wdzierający się pod zmrużone powieki.

– (Jestem w Whitechapel) – Lilo potwierdza, mimo że mam podgląd na wszystko, co widzi i czuje.

– (U nas cisza, wszyscy grzecznie śpią).

Przechadzam się korytarzem zachodniego skrzydła posiadłości lorda Nothinga, który okazał się na tyle wspaniałomyślny, by ugościć nas w swojej rezydencji, oddając nam do dyspozycji jeden

ze swoich siedmiuset siedemdziesięciu pięciu pokoi. Są w nim kominek, biblioteka z tysiącami książek wydrukowanych na doskonałej imitacji organicznego papieru dodatkowo nasączonego furfurałem odpowiedzialnym za zapach starości, ogromne okna z widokiem na zielony ogród i jedno gigantyczne, królewskie łożo, w którym właśnie powinniśmy się przewracać na drugi bok, wyrrywając sobie atlasową kołdrę. Ale sen musi poczekać. Skręcam za róg i zatrzymuję się obok drzwi gabinetu Jacka. W tym samym czasie Lilo forsuje drzwi balkonowe i wchodzi do zapyziałego mieszkania na wschodnim krańcu Londynu, pięć kilometrów stąd. Wszyscy domownicy śpią, ich spowolnione oddechy cuchną alkoholem. W powietrzu unosi się mdła woń wilgoci i stęchlizny, przypalonych potraw, rozlanej whisky, potu, dymu tytoniowego, który wżarł się w drewnianą podłogę i poźółkłe tapety. Lilo przemyka do drzwi frontowych, wybiega na zaciemniony hall, kieruje się ku klatce schodowej i podąża na dół. Portier otwiera oko w samą porę, by dostrzec pięść zbliżającą się do jego twarzy. Mało elegancki sposób, ale nie ma czasu na subtelności.

Bezwładna dłoń mężczyzny ląduje na panelu, powodując otwarcie się drzwi. Lilo odczekuje jeszcze chwilę, aż kroki policjantów przycichną, i wybiega na zewnątrz, rozpluwając się w gęstej mgłę.

Łatwizna.

Ja za to mam do sforsowania dwuobwodowy zamek zestrojony z DNA Jacka Nothinga, który otworzy się tylko wtedy, gdy system potwierdzi jego obecność w promieniu metra od drzwi gabinetu. Gdybym też mógł pozwolić sobie na bardziej bezpośrednie metody, po prostu rozbiłbym je w drzazgi jednym precyzyjnym uderzeniem pięści uzbrojonej w warstwę kostiumu, ale nie zamierzamy jeszcze opuszczać Londynu, mimo że pogoda jest fatalna, a bale pozbawiają wiary w ludzkość. Do zrobienia mam trzy rzeczy. Po pierwsze muszę się zsynchronizować z częstotliwością, na której przesyłane są informacje w systemie alarmowym, i znaleźć miejsce, w którym zapisywane są dane o położeniu obiektu. Następnie wykasować ten obiekt z rejestru i przenieść go w bezpośrednie sąsiedztwo drzwi. Na

końcu pozostaje już tylko stworzyć wierną replikę DNA lorda i umieścić ją w skanerze. Na moje szczęście system został stworzony przez ludzi niemających pojęcia o kwantowej kryptografii, a Jack Nothing nosi bujną czuprynę, więc znalezienie choćby jednego z jego długich włosów nie nastreczyło nam zbyt wielu problemów.

Dwie sekundy później arystokrata materializuje się tuż obok mnie, ale gdy naciskam klamkę, ku mojemu zaskoczeniu system prosi o dodatkowe hasło. Nie mam czasu, by improwizować, więc po prostu atakuję go każdą możliwą kombinacją w dopuszczalnym limicie znaków, resetując rejestr co trzecią próbę. Po chwili drzwi odskakują z metalicznym stuknięciem. Hasło to „JEBACBIEDE321”.

A jednak mogłem zgadywać.

– (Jestem w środku – mówię. – Jak ci idzie?)

– (Zbieram dane. Szukam powtarzających się wzorów. Na razie nie mam nic, co mogłoby nas zainteresować. To miejsce jest straszne).

Zaczynam skanować bibliotekę Lorda Nothinga, która składa się głównie z dekadencckich romansów, podręczników anatomii i instrukcji wyrobu bomb domowej roboty. Kulturalny i społeczny rozwój człowieka był możliwy tylko dlatego, że nauczyliśmy się wytwarzać narzędzia, a niedługo później zauważyliśmy, że te narzędzia mogą służyć do rozbijania głów ludziom, którzy nie chcą się podporządkować naszej woli. Od czasów pierwszych drewnianych włócznie stworzyliśmy broń pneumatyczną, prochową, laserową, dźwiękową, dezintegrującą materię i zakrzywiającą czasoprzestrzeń, ale przez setki tysięcy lat żadna z nich nie okazała się tak uniwersalnie skuteczna jak wiedza. Wiedza to władza. Jeśli mnie albo Lilo uda się lepiej zrozumieć zasady rządzące tym miastem, jeśli dogrzebiemy się do informacji o Aurorze i dowiemy się, kim właściwie jest Jack Nothing, będziemy w domu. Oczywiście najprostszym rozwiązaniem byłoby podłączenie się do globalnej sieci wymiany informacji, zwanej przez nich Omninetem,



ale z jakiegoś powodu system nie rozpoznaje nas jako przedstawicieli gatunku ludzkiego i nie autoryzuje dostępu, nawet jeśli podszywamy się pod konkretne, istniejące osoby, replikując ich biologiczne sygnatury. Zupełnie jakbyśmy byli obcą formą życia. Równie dobrze moglibyśmy próbować szczytać linie papilarne z łapy psa. Na tę chwilę nie pozostaje nam nic innego niż ruszyć w teren.

– (Cholera!)

– (Co?)

– (Myślałem o tym, że jesteśmy całkiem niezłą parą agentów i że ktoś mógłby zrobić o nas film, i właśnie uświadomiłem sobie, że od dwudziestego trzeciego wieku przestaliśmy być na bieżąco z tutejszym kinem. Wiesz, ile zajebistych produkcji szpiegowskich mogliśmy przegapić?)

– (Rez, mam do ciebie taką prośbę: skup się na zadaniu!)

– (*Niewykonalna misja? Polowanie na wahadłowiec Nemesis! Agent RS 9? No przecież ktoś musiał nakręcić dziesiątą część. Albo chociaż remake. Pamiętasz, jak byliśmy dziećmi i zabrałem cię po kryjomu na pierwszą randkę do kina? To było takie nieoryginalne).*

Lilo nie odpowiada. Spaceruje zamgloną, ciasną aleją wzdłuż Tamizy, zagląda ludziom do okien i głów, słucha wszystkich tych szalonych historii, których boją się opowiedzieć na głos, ich lęków i pragnień. Zostawia pluskwy, które będą rejestrowały ich zachowania i emocje. To największy akt zbiorowego naruszenia prywatności, jakiego kiedykolwiek doświadczyło to miasto. Ale jeśli tego nie zrobimy, Yggdrasil już zawsze będzie dryfował przez ciemność. Nie mamy wyboru. Każde życie musi mieć cel. To jest nasz.

– (Chyba coś mam) – mówi.

W tym samym momencie zaspany Jack Nothing otwiera drzwi swojej sypialni i odpala alarm. Nie słyhać sygnałów dźwiękowych, ale wciąż jestem podłączony do monitoringu i wiem, że system zwariował w momencie, gdy zobaczył dwie kopie tej samej osoby, jedną buszującą w gabinecie, drugą wybierającą się na nocny spacer przez labirynt pałacu. Na szczęście znam dokładną lokalizację

naszego gospodarza i kierunek, w którym się zatacza, więc wiem, że mam około pięciu sekund, żeby stąd wybiec, zaryglować za sobą drzwi i zniknąć za rogiem, co jest jak najbardziej wykonalne. Jack pojawia się na końcu ciemnego korytarza, niespiesznie podchodzi do drzwi, wprowadza hasło i zagląda do środka. Wykorzystuję ten moment i przemykam za jego plecami, kostium na moich stopach niweluje wszystkie dźwięki. Po chwili jestem już u siebie w sypialni.

Bezpieczny. Ale nie dowiedziałem się niczego.

– (Wiesz co, Rez, jeśli mieliby nakręcić o tobie film, to tylko czarną komedię).

– (Zdaje się, mówiłaś, że coś masz?)

– (Duże natężenie energii, niecałe trzysta metrów stąd. I jeszcze coś. Coś... znajomego?) Pukanie do drzwi. Cztery wkurwione uderzenia odbijają się echem od wytapetowanych ścian.

Szeleszczę kołdrą, redukuję kostium do nierzucającego się w oczy czarnego paska wokół nadgarstka, drepczę powoli bosymi stopami po zimnych deskach i ziewając, lekko zdezorientowany, bo wyrwany z najgłębszego snu, uchylam drzwi. Kac lorda jest autentyczny, okłada skronie pięściami i trąta powieki. Nothing chrząka, przetyka piach zalegający w gardle i przeprosza za najście, próbując wetknąć obolałą głowę w niewielką przestrzeń pomiędzy futryną a moim ramieniem.

– Odezwał się alarm, chciałem sprawdzić, czy wszystko u was w porządku.

– Czy coś się stało? – pytam, udając zaniepokojenie.

– Nie sądzę. Ta hołota już kilkakrotnie próbowała się tu włamać, ale mamy zbyt dobre zabezpieczenia, by byle kto był w stanie nam zagrozić.

– Czy lord uważa, że to mógł być błąd systemu?

– Proszę cię – mówi błagalnym tonem – skończmy z tym lordowaniem. Mów mi Jack. I nie, nie sądzę, żeby system się pomylił. Zdecydowanie doszło do włamania. Ale zrobił to ktoś od wewnątrz.

– Podejrzewasz nas?

– Naprawdę, zaraz odejdę stąd urażony – mówi, teatralnie obracając się wokół własnej osi. – Nie zaprosiłbym was do swojego domu, gdybym wam nie ufał. Wtedy, w karocy, poprosiłem was o szczerą, a wy opowiedzieliście mi wszystko o Yggdrasil, o tym, że zostaliście wysłani na Ziemię, by odnaleźć Bibliotekę Snów i skompletować brakującą część historii ludzkich wspomnień. To wspinały cel. Jak ogromnie ubodzy byśmy się stali, nie pamiętając o naszych przodkach, o naszych tradycjach? Ze wszystkich osób na Ziemi ja rozumiem to najlepiej – mówi, rozkładając dłonie

w domyśle pokazując Londyn, jego szalone dzieło. – Pamięć o przeszłości to jedyny przepis na nieśmiertelność. Ciało się zużyje. Wiatr zdmuchnie każdy dom, jakby był zbudowany z liści. Słońce pochłonie Ziemię, a czarne dziury zjedzą galaktyki, ale póki będziemy nosić w pamięci wspomnienia o naszej przeszłości, dokądkolwiek byśmy się nie udali, będzie ona żywa.

– Pięknie powiedziane – komplementuję.

– Poza tym mam zainstalowany monitoring rejestrujący każdy ruch w pałacu, więc gdybyście to byli wy, miałbym to nagrane.

– (Blefuje?) – Lilo przysłuchuje się naszej rozmowie, skradając się przez ciemne zaułki.

Podąża tropem energii. Ta częstotliwość ma w sobie coś znajomego, ale Lilo nie może wiedzieć, co czeka ją na końcu drogi. Ja po prostu to czuję, jak zbliżającą się ulewę. Nadciąga burza.

– (Nie mam, kurwa, pojęcia) – odpowiadam.

– Ale nawet nie będę tego sprawdzał – mówi Jack. – Podczas tworzenia Londynu postawiłem na maksymalny realizm. „Albo zrobicie to dobrze, albo nie róbcie tego wcale”, powtarzałem architektom. Więc dziś, oprócz perfekcyjnie wykonanych kopii wiktoriańskich budynków, odtworzonego dźwięku dzwonów Big Bena i specyficznego aromatu Tamizy, mamy tu także mnóstwo szczurów. Jestem pewien, że jeden z nich w jakiś nieprawdopodobny sposób przedostał się do mojego gabinetu i odpalił czujnik ruchu.

– Zapewne tak było, lordzie... Jack – poprawiam się.

On uśmiecha się, ziewa.

– Nie będę zabierał już ani minuty twojego cennego snu. Wybacz mi to najście, ale wasze bezpieczeństwo jest moim priorytetem. Londyn to wspaniałe miasto, lecz tylko słońce nie ma ciemnej strony. Wypoczywajcie. Oczekuję was na śniadaniu. Dziewiąta, w głównej jadalni. Nie zaśpijcie.

– Do zobaczenia – odpowiadam i przymykam drzwi.

Lilo podbiega do ceglanego muru, wybija się w górę, podciąga się. Po drugiej stronie znajduje się niewielkie podwórze kompletnie zawałone połamanymi deskami. Na wyciągniętych sznurkach smętnie wiszą mokre szmaty, po ziemi walają się papiery i grudy węgla, które stoczyły się ze sterty usypanej przy wejściu do budynku. Jest tam coś jeszcze. Z mroku wyłania się kształt, ale jest zbyt ciemno, by widzieć go dokładnie. Lilo zeskakuje na ziemię, najciszej, jak potrafi.

– Rez – odzywa się nasz gospodarz na ułamek sekundy przed tym, jak drzwi uderzają w futrynę. – Chciałem ci zadać jeszcze jedno pytanie.

– Co takiego, Jack? – Staram się, by w moim głosie wybrzmiało tyle samo uprzejmości, co znużenia.

– Zanim zbudził mnie alarm, przyśnił mi się najdziwniejszy sen – mówi, zatrzymując się w pół kroku, i odwraca w moim kierunku. – Wracałem do domu piechotą. Zwykle wszędzie podróżuję karocą lub korzystam z podziemnej kolei, ale tym razem dreptałem samotnie ulicami Londynu, a za mną, krok w krok, podążał bezpański pies. Wielkie bydle, czarne, ślepiea różnego koloru. Niegdyś dumny przywódca stada, budzący podziw samiec, teraz wygłodniały i zagubiony, szukający swojej szansy u ludzi, których zawsze uważał za swych największych wrogów. Przygarnąłem go, dałem mu miskę pełną żarcia i przygotowałem poślanie w suchym i ciepłym miejscu. Przypomniałem sobie, że gdy byłem dzieckiem, moi rodzice mieli podobnego psa, z którym zwykliśmy spacerować brzegiem morza. Wciąż pamiętam jego ciepły oddech i mokry język,

gęste futro, w którym uwielbiałem zatapiać palce. To wspaniałe wspomnienia. Dlatego, nie zastanawiając się wiele, podszedłem do mojego znaleziska i postanowiłem poczuć to jeszcze raz. Nie zgadniesz, co się wtedy stało!

Mam ochotę mu odpowiedzieć, że to już nie ma znaczenia, bo to ostatni dobry moment, by wyjawiał mi, jak możemy się dostać do Biblioteki Snów, zanim szybkim, płynnym ruchem pozbawię jego układ nerwowy ciągłości, ale wtedy dostrzegam to, co widzi Lilo. Z ciemności wyłania się kształt. Nawet nie wygląda jak człowiek – bardziej jak jedno z mokrych ubrań zerwanych przez wiatr i rzuconych niedbale w kąt brudnego podwórza. Szyja przecięta jest naokoło do samej kości jednym obrotem wyjątkowo ostrego narzędzia. Nad polepionymi włosami chaotyczne rozbryzgi krwi rysują karmazynową koronę. Rozdarta suknia odsłania rozplątany brzuch, z którego wydobyto wnętrzności. Jelita oblepione grudkami połyskujących drobinek węgla leżą obok jak kolejna fałda sukni. Tylko oczy, otwarte w przerażeniu, błękitne i szklane, potwierdzają niewyobrażalne.

Potwierdzają, że ta groteskowa forma mogła należeć kiedyś do żywej, oddychającej istoty. Że to nie jest sen.

Lilo zamiera. I patrzy. A to, co widzi, przedziera się przez wszystkie filtry, jakie ma w tym momencie uruchomione, niczym ostrze wbija się w miękką tkankę wyobraźni i otwiera ją, dociera do wewnątrz, do mózgu, a stamtąd do serca, które w obliczu tej potworności na moment przestaje bić. Martwa kobieta znika w mokrej mgłę, a z oczu Lilo zaczynają płynąć łzy. Po prostu siada tam, na brudnej ziemi, obok trupa, chowa twarz w dłoniach i płacze, jakby wszystko było już dla nas stracone przez to jedno życie, które dobiegło końca tu, w ciemnym kącie brudnego podwórza.

– (Uciekaj) – proszę ją. – (Uciekaj stamtąd! LILO!)

Ale jest już za późno. Z wnętrza domu dobiegają kroki, drzwi otwierają się z hukiem. Naftowe lampy rozświetlają mrok. Słychać krzyki, a później gwizdy policjantów. Podwórze zaludnia się od funkcjonariuszy i gapiów. Każdy ma coś do powiedzenia.

Lamentują i oskarżają, jakby wiedzieli, co tu zaszło. Ktoś próbuje poderwać Lilo z ziemi, ale dostaje pałą przez łeb. Policjanci wpychają rozwrzeszczany tłum z powrotem do budynku. Lilo wyłącza dźwięk i przerywa transmisję.

– Skurwiel odgryzł mi wszystkie palce – mówi lord Nothing, uśmiechając się od ucha do ucha.

## List z piekła

Wbijam widelec w krwisty stek. Spod gigantycznego kawałka mięsa wypływa różowa kałuża. Cofam sztuciec, a krew wsiąka z powrotem jak w gąbkę.

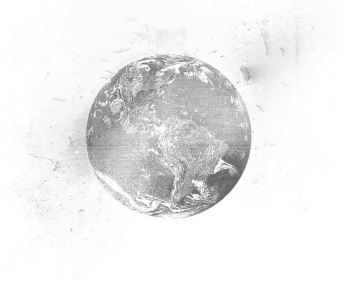
Kawał organicznej tkanki, praktycznie nieprzetworzony, stygnie na moim talerzu.

Obok niego liść jarmuzu, no i obowiązkowy kieliszek czerwonego wina. Ciężko, biorąc pod uwagę, że to śniadanie. Dźgam mięso widelcem i zastanawiam się, czy powinienem się skusić. Problem z jedzeniem jest taki, że ma efekt uboczny w postaci wydalania. Gdzieś w okolicach dwusetnego roku podróży naukowcom na Yggdrasil udało się dopracować system wspomagający obieg składników odżywczych i kompletnie uniezależnić ciało ludzkie od przyjmowania pokarmu.

Wystarczyło zainstalować moduł sterujący w mózgu i lekko stuningować wątrobę i trzustkę, by człowiek zaczął sam produkować niezbędne mu do życia elementy. Chwilę później nauczono neurony trudnej sztuki regeneracji i przestaliśmy umierać. Niebawem wszystkie farmy, plantacje i banki żywności zostały przerobione na kwatery lub tereny rekreacyjne, a od 2784 roku wprowadzono absolutny zakaz rozmnażania się.

Sto lat później przyszedłem na świat.

Starych nawyków trudno się pozbyć. Podobno pierwsi ludzie nie radzili sobie bez fizycznego aktu wkładania pokarmu do ust i trzeba było stosować atrapy imitujące smak, ale niemające żadnej wartości odżywczej. Za to uniezależnienie się od posiedzeń w kiblu przywitano z otwartymi ramionami, choć pojawiały się głosy, że



życie stało się jeszcze szybsze i brakuje czasu na rozmyślania.

Chwytam nóż, odkrawam niewielki kawałek i wkładam go do ust. Jest zimny, żyłasty i nasączony krwią, ale smakuje tak, że o mało nie spadam z krzesła.

Kurewsko przepyszne.

Lilo odkłada sztućce na pusty talerz, spogląda na mnie i uśmiecha się, obserwując, jak pałaszuję stek, napycham się sałatą i zapijam winem, jakbym nie jadł od setek lat, co akurat jest prawdą. Mój pierwszy kontakt zjedzeniem pozbawia mnie manier, zachowuję się jak dziecko, które podąża za instynktem, albo starzec, któremu już wszystko jedno, ale Jack nawet tego nie komentuje. Zamiast tego, w geście solidarności, wydaje z siebie przeciągłe beknięcie. Doktor Hilarius wstaje i wychodzi – być może oburzony, być może za potrzebą. Oprócz nas jest tu jeszcze pięcioro służących, którzy latają wokół stołu, uzupełniając nasze kieliszki po każdym łyku i zmieniając talerze na czyste, zanim zdążymy zauważyć, że już skończyliśmy jeść. Siedzimy tak od dobrych trzydziestu minut i konsumujemy w ciszy sporadycznie przerywanej stuknięciami srebra o porcelanę.

– Nie byłem z wami do końca szczerzy – mówi Jack, upewniając się, że skończyliśmy. – Tak naprawdę nie nazywam się Nothing. To pseudonim, który przybrałem po stworzeniu Londynu.

A Londyn tak naprawdę nie jest miastem. Jest więzieniem, do którego zsyłani są odłączeni. Ja, doktor i reszta arystokracji zarządzamy tym śmietnikiem.

– Kim są odłączeni? – pytam.

– Kurwa! – Uderza dłonią w stół, wysyłając widelec w długi lot przez jadalnię. – Nie tak się gra w tę grę! Ja podaję wam informację, wy rewanzujecie się tym samym. Może na przykład lady Lilo zechce wszystkim opowiedzieć, co robiła dziś w nocy w Whitechapel?

– Nie mogłam spać i wybrałam się na spacer – odpowiada spokojnym tonem.

– To może po-prostu– Rez odpowie, czego szukał w moim



gabinecie?

– Ato nie przypadkiem nasza kolej zadawania pytań?

– Racja. Przepraszam. Pytajcie – ironizuje.

– Więc kim są odłączeni?

– Ludźmi, którzy nie istnieją. Odłączeni nie mają dostępu do Omninetu, przez co nie są w stanie uczestniczyć w zorganizowanym społeczeństwie, zarabiać, sprawdzać pogody na kolejny dzień – chociaż to akurat nie problem, bo mamy tu dość jednostajną aurę – i robić wszystkich tych rzeczy, które robi normalny człowiek, żeby, wiecie, żyć i funkcjonować we współczesnym świecie. To ludzkie śmieci, które przegięły tak bardzo, że nawet proces resocjalizacji nie przewidział dla nich ratunku. To ci, którzy nie chcieli poddać się dobrowolnemu procesowi modyfikacji spektrum emocjonalnego i kasowania wspomnień, więc zostali zesłani tu. Ale niewielka część z nich jest w Londynie z własnej woli, bo odrzucili reguły rządzące światem i wybrali życie w tej nędzy. Taki fetysz. Co robiłeś w moim gabinecie, Rez?

– Chcieliśmy zweryfikować pewne informacje na temat Biblioteki Snów.

– Powiedziałem wam wszystko, co wiem na ten temat. Nie ufacie mi?

– Nie ufamy nikomu – odpowiada Lilo.

– Brawo, milady. To doskonałe credo, które pozwala żyć długo i pomyślnie.

– Więc jak naprawdę się nazywasz, Jack?

Lord podnosi się z krzesła. Wyciąga serwetkę zza kołnierza fantazyjnej różowej koszuli z żabotem, staje wyprostowany, jakby pozował, i mówi, głośno, z dumą: – Tak jak Lys, Oliver i cała reszta rodziny królewskiej rządzącej miastem Aurora nazywam się Valentine!

Zapada cisza. Jack zamiera w pozycji z dłońmi na biodrach i wysoko uniesioną głową. Z korytarza dobiegają nas kroki. Drzwi się otwierają i do jadalni wchodzi doktor Hilarius w towarzystwie niskiego, krępego mężczyzny, którego widzę po raz pierwszy.

– Dobra, scenę przy śniadaniu mamy mniej więcej z głowy – mówi, dosiadając się do stołu.

Natychmiast lądują przed nim talerz i pusty kieliszek.

– Dziś dla odmiany niech będzie shiraz, ostatnio ten merlot jakoś mi nie podszedł – mówi, wpychając sobie do ust pełną garść winogron, po czym kontynuuje, bełkocząc: – Nie wiem, skąd ich wystraszałeś, Jack, ale są niezli. Zwłaszcza dziewczyna, bo ten tu jeszcze musi się trochę nauczyć, jak pracować przed kamerą. – Jego obśliniony palec ewidentnie wskazuje na mnie. – Ale jest dobrze. Do końca miesiąca powinniśmy mieć materiał, jak agenci nie nawalą, sprzedamy go szybko i za całkiem niezłą cenę. Kto wie, jeśli chwyci, być może wrócimy tu na stałe i odpalimy serial. Widzę to jako rzecz na co najmniej dwa-trzy sezony. Pierwszy jako zawiązanie intrygi, w drugim moglibyście z Hilariusem powalczyć o władzę, jakaś zdrada, te sprawy. Na koniec wielki zwrot akcji, doktor ratuje ci życie, wraca do łask, ale umiera. Ty się mścisz albo odbija ci do reszty, podpalasz Londyn. Ostatnie ujęcie: mgła wreszcie ustępuje, widzimy wschód słońca nad ruinami.

Destrukcja to też forma kreacji. Widzisz, ja już to mam praktycznie wszystko ogarnięte.

– Przepraszam bardzo, ale kim pan jest?

– Gdzie moje maniery – mówi, wycierając zalaną sokiem dłoń w marynarkę. – Daniel Zeg, producent.

I wraca do objaśniania kolejnych scen, które będą realizowane. W planach na popołudnie soczyste ujęcia podczas gonitwy konnej, sekcja zwłok martwej kurwy i wywiad z Hilariusem.

Wieczorem wizyta w palarni opium. Scena łóżkowa wylatuje z wiadomych względów, zamiast niej lord Livingstone opowie o kolekcji swoich dagerotypów przedstawiających krople deszczu kolidujące z przedmiotami, na czym zakończymy dzień, bo w połowie jego wyvodu wszyscy i tak powinni już dawno spać.

– Więc, jeśli dobrze rozumiem, znajdujemy się obecnie w imitacji starożytnego miasta zarządzanej przez samozwańczego lorda o fałszywym nazwisku i bierzemy udział w reality show? – pytam

ku ogólnemu zaskoczeniu. – Czy można być jeszcze bardziej oderwanym od rzeczywistości?

– O czym ten chłopak bredzi? – oburza się producent. – Przecież to jest rzeczywistość!

– Wychodzimy! – zarządzam, rzucam serwetką i wstaję.

– Poczekajcie – protestuje Jack. – Trup był prawdziwy.

Zauważam w oczach Lilo, że na ułamek sekundy wraca do niej krwawe wspomnienie, że spływa dreszczem wzdłuż kręgosłupa, ściska żołądek i próbuje wysłać ledwie strawiony stek z powrotem do ust.

– Możemy sobie pomóc – proponuje lord.

– Czyżby?

– Moja rodzina mnie nienawidzi – oznajmia, rozkładając ręce. –

To fakt, byłem trudnym, zamkniętym w sobie dzieckiem i odkąd pamiętam, otwarcie gardziłem ich plastikowym stylem życia. Zdarzyło mi się też prehandlować za absurdalną kwotę kilka intymnych wspomnień członków rodziny królewskiej, z czego nie jestem do końca dumy, ale po pierwsze, bez tych środków nie byłoby Londynu, po drugie, królowa Lys nie jest moją matką, a po trzecie, rżnie się jak totalny zawodowiec i serio to trzeba zobaczyć na własne oczy. Dzięki mnie stała się celebrytką wśród koneserów dobrego porno, więc w sumie powinna mi podziękować, bo historia o niej nie zapomni. Mimo wszystko wciąż dostaję zaproszenia na coroczne zjazdy rodzinne w Aurorze, bo jak to Lys mawia, ze względów wizerunkowych powinniśmy zachowywać pozory. A poza tym łączą nas pewne układy biznesowe. Dzięki mnie mają dokąd wysłać odłączonych. Aurora jest wolna od patologii, ja dostaję środki i właściwie mogę tu robić, co tylko mi się podoba. Wszyscy wygrywają.

Chyba że ktoś zaczyna wypruwać flaki moim pensjonariuszom: wtedy mamy problem. Szumowiny czy nie, jako ludzie wciąż mają swoje uniwersalne prawa. Jeśli morderstwa będą się powtarzać, Aurora zerwie kontrakty, a ja zostanę na lodzie. Więc oto, co proponuję – mówi, nachylając się w naszą stronę i ścisząc głos. –

Znajdźcie mordercę, a zabiorę was do stolicy i zaprowadzę przed samo wejście Biblioteki Snów. Co zrobicie później, to już wasz problem, pozwólcie tylko, żebym odsunął się na bezpieczną odległość. Zjazd jest dokładnie za trzy dni. Wyruszam z wami albo bez was.

Spoglądam na Lilo i jest to jeden z tych momentów, gdy nawet nie muszę wsłuchiwać się w jej myśli, by wiedzieć, że nie odpuści. Głupie poczucie sprawiedliwości, tak właśnie nazywa to uczucie, które nie pozwoli jej po prostu odejść i zapomnieć o tym, co się wydarzyło w nocy. Widzieliśmy śmierć wielokrotnie. Oswoił się z nią. Nieraz pukała do naszych kapsuł, proponując, byśmy otworzyli drzwi i pozwolili pochłonąć się próżni, ale wtedy zawsze mówiliśmy sobie, że to byłoby pójście na łatwiznę. Teraz też nie zamierzamy wybrać najprostszego z rozwiązań.

– Kolejny doskonały monolog, Jack – podsumowuje z uznaniem reżyser, po czym nieśmiało dodaje: – Myślisz, że mógłbym kiedyś rzucić okiem na to nagranie?

\* \* \*

Ujęcie jest poprowadzone z góry. Lilo znajduje się kilka metrów ponad brudnym podwórkiem na

tyłach jednego z ciemnych ceglanych budynków ciasno upchanych w długie rzędy ciągnące się wzdłuż ulicy Hanbury. Punkt odniesienia oddala się od niej, jednocześnie zawężając kadr, co sprawia, że wygląda, jakby spadała, choć w rzeczywistości znajduje się dokładnie w tym samym miejscu, na przezroczystej platformie umieszczonej trzy metry nad ziemią. Czarno-białe, zacieśniające się ujęcie potęguje klaustrofobiczne odczucia, a dodatkowo nałożony efekt kropli deszczu rozmywający kontury i rozpraszający słabe światło gazowych latarni nadaje scenie nierzeczywistego charakteru. Oczywiście to tylko ustawienia domyślne – nic nie stoi na przeszkodzie, by zalać plan pulsującym światłem, wzbogacić o skoczną muzykę i grupę roztańczonych czarnych karłów

w maskach zwierząt, co prędzej czy później musi się wydarzyć, choć Daniel Zeg twierdzi, że niemal dziewięćdziesiąt osiem procent subskrybentów ufa jego wizji do tego stopnia, by nie naruszać integralności jego dzieła, a nieliczne groteskowe remiksy są również formą promocji.

– Hej, dziewczyno, ile masz lat? Wyglądasz na osiemnaście.

– Napisz osiemnaście.

Czarna klatka ograniczona połamanym płótnem powoli wyłania się z mroku. Lilo spogląda za siebie, jakby chciała sprawdzić, ile czasu jej jeszcze zostało przed nieuchronnym zderzeniem z ziemią, po czym zwraca twarz ku widzom i zaczyna objaśniać: – Kobieta została znaleziona na tym podwórzu dokładnie o godzinie piątej czterdzieści pięć nad ranem, równo godzinę przed wschodem słońca. Jej ciało, porzucone pomiędzy schodami a płótnem, miało temperaturę osiemnastu stopni. Noc była wyjątkowo zimna i mokra. W Londynie spadło trzydzieści jeden milimetrów deszczu, a temperatura powietrza przy gruncie nie przekraczała siedmiu stopni. Oznaczałoby to, że ofiara spędziła tu co najmniej cztery godziny nie niepokojona przez mieszkańców kamienicy, którzy zaprzeczali zarówno udziałowi w morderstwie, jak i odnotowaniu niepokojących wydarzeń, a w szczególności obecności nieznanymi osobami. Ale ktoś zdecydowanie tu był. Ktoś, kto doskonale znał okolicę, wiedział, którędy dostać się na podwórze bez robienia niepotrzebnego hałasu i którędy z niego wyjść, pozostając niezauważonym. Około godziny pierwszej czterdzieści pięć niezidentyfikowany napastnik poderżnął gardło czterdziestosiedmioletniej prostytutce. Cięcie zostało wykonane zza pleców przez osobę praworeczną. Długie i wyjątkowo ostre narzędzie błyskawicznie przebiło się przez skórę, krtań i tętnice, pozbawiając ofiarę możliwości krzyku. Nawet jeśli kobieta zdążyła wydać z siebie rozpaczliwy, charczący dźwięk, nim osunęła się sparaliżowana bólem na stertę węgla, szum deszczu zagłuszył jej ostatnie wołanie o pomoc. Morderca przeniósł martwą już kobietę w róg podwórza, po czym pionowym cięciem biegnącym z dołu do

góry otworzył jej brzuch i wyjął wnętrzności. Dodatkowo wyciął fragmenty narządów rodnych, których nie znaleziono w miejscu zdarzenia, co pozwala postawić tezę, że zostały zabrane przez napastnika jako pamiątka lub trofeum. Morderca nie działał w pośpiechu, metodycznie realizował swój plan – pomimo deszczu i ciemności jego cięcia były precyzyjne, co mogłoby świadczyć o tym, że posiada podstawową wiedzę z zakresu anatomii albo posiłkował się skanerem medycznym zwykle używanym w terenie, gdy zachodzi potrzeba wykonania operacji bez użycia syntetycznego asystenta lub gdy nie ma dostępu do nanomaszyn mogących zainicjować procedury naprawcze. Warto odnotować jeszcze jeden fakt, który może być kluczowy dla ustalenia tożsamości napastnika. Prawo Londynu zakłada, że wszystkie osoby z dzielnic nędzy takich jak Whitechapel podlegają ścisłemu monitoringowi, który w każdym momencie określa ich dokładne położenie. Według logów z poprzedniej nocy w chwili morderstwa centralny system nie zarejestrował żadnej obecności w pobliżu ofiary, co pozwala jednoznacznie stwierdzić, że osoba odpowiedzialna za śmierć kobiety należy do wyższych warstw społecznych.

Lilo opada na ziemię, mokry węgiel chrząści pod jej stopami. Spogląda jeszcze raz w górę i wychodzi z kadru. Wraz z nią znika napis „Lady Lilo, 18 lat”. W centrum ujęcia pozostaje ciemny zaułek pomiędzy schodami a płotem, z którego deszcz wypłukał już wszystkie ślady.

\*

Na równo uciętym koniuszku knota pojawia się czerwony żar, który zasysa nitkę dymu i wybucha płomieniem. Kadr jest symetryczny, minimalistyczny. Na dole świeca, pośrodku moja lewitująca twarz wyjęta z mroku ciepłym pomarańczowym płomieniem. Długo nic nie mówię. Wpatruję się przed siebie, pozwalając, by słowa Lilo wżarły się głęboko w odbiorcę. Buduję napięcie, mimo że reżyser macha do mnie, że bardziej już zbudować

się nie da.

– W jednym ze swoich słynnych eksperymentów socjologicznych dwudziestopierwszowieczny filozof doktor Francesco Vorthazzo podzielił społeczeństwo swojego miasta na dwie grupy.

W pierwszej wszyscy byli bardzo bogaci, ale zarabiali dokładnie tyle samo. W drugiej jedna z osób była uboga, a cała reszta nie posiadała kompletnie nic. Jak szybko się okazało, osoby o identycznym statusie majątkowym, pozbawione możliwości dalszego rozwoju, popadały w marazm, a ich stopień zadowolenia z życia był nieporównywalnie niższy niż osoby ubogiej, która mogła poszczycić się najwyższą pozycją wśród swojego otoczenia. Co więcej, osoba ta, wykorzystując część ze swoich niewielkich zasobów, umacniała swoją pozycję jako lidera, tworzyła miejsca pracy i dzięki tej pracy gromadziła kapitał, który z czasem stał się porównywalny z zasobami członków pierwszej grupy. Na podstawie swojego eksperymentu doktor Vorthazzo sformułował tezę, która w skrócie głosiła, że absolutnie najważniejszym i nieodzownym elementem decydującym o rozwoju danego społeczeństwa są jego wewnętrzne podziały. Bez negatywnych emocji wywołanych z jednej strony poczuciem niesprawiedliwości, a z drugiej chęcią utrzymania pozycji, bez wewnętrznych tarć, zazdrości i poczucia wyższości człowiek zamieniłby się w pozbawioną woli roślinę, bo rywalizacja jest naszym naturalnym stanem, wykształconym podczas milionów lat ewolucji i zapewniającym nam przetrwanie. Jeszcze w swoich czasach bardziej liberalne środowiska optowały za odebraniem doktorowi Vorthazzo wszystkich tytułów naukowych.

– Przepraszam bardzo – wtrąca się Jack – ale o czym on pierdoli?

Pokój się rozświećla. Jesteśmy w gabinecie lorda Nothinga. Siedzę za jego ogromnym drewnianym biurkiem o fantazyjnie powyginanych nogach, strugi stearyny sączą się leniwie na dębowy blat. Reżyser rozkłada ręce, oboje spoglądają na mnie.

– Tytułem wstępu chciałem przypomnieć pewne eksperymenty socjologiczne, omówić historię zorganizowanych społeczeństw na przykładzie Ketry i płynnie przejść do obecnej struktury Londynu,

tłumacząc ją ewolucyjnymi schematami zakodowanymi w ludzkiej psychice, a tym samym skutecznie odwracając uwagę od niewygodnego faktu, że miasto jest więzieniem.

– Rez, miałeś powiedzieć dwa zdania o tym, że będziemy szukać mordercy.

– Tak bez kontekstu?

– Tak, dokładnie. No już, lecimy z tym ujęciem.

Światła gasną. W kadrze znów pojawia się moja twarz. W rogu napis „Lord Rez, 18 lat”.

– Arystokrata mordercą – zaczynam posępnie. – Tak jak żadna ilość pieniędzy na tym świecie nie będzie w stanie kupić dobrego gustu, tak samo majątek nie może usprawiedliwić czy anulować tego bestialskiego aktu. Jakie jest jego znaczenie? Czy zabójca miał motyw? Te pytania nie mają uzasadnienia. Człowiek ma niezaprzeczone prawo do tego, by żyć. Właściwe pytanie brzmi: kto zabił? Wiedząc, że napastnik posiadał rozległą wiedzę z zakresu medycyny, naturalnie pierwszym podejrzanym staje się doktor Hilarius: uznany lekarz, arystokrata i filantrop, który w noc popełnienia morderstwa rzekomo przebywał w swoim własnym domu, drzemiąc w fotelu z lampką wyborowego wina w ręku. Mimo że czerwona plama na meblu w jego salonie może świadczyć o tym, że faktycznie wino zostało rozlane przez nieuwagę, nie znajdziemy ani jednej osoby, która będzie w stanie potwierdzić, że w tę feralną noc wysunęło się ono właśnie z ręki doktora. Hilarius raczej stroni od ludzi, a jego częste, samotne spacery po dzielnicach nędzy każą sądzić, że jest on doskonale obeznany z topografią wschodnich części Londynu. Solidnym alibi nie może się poszczycić również lord Jack Nothing, przyjaciel doktora, zarządca i architekt Londynu, który zna wszystkie jego zakamarki, włącznie z ukrytymi przejściami pozwalającymi wymknąć się z pałacu i poruszać się po mieście niezauważonym. Oczywiście mocnym nadużyciem byłoby stwierdzenie, że skoro ofiara jest prostytutką, morderstwo zostało popełnione nad Tamizą, znajdujemy się we współczesnej wersji dziewiętnastowiecznego Londynu, a imię lorda brzmi Jack, to



możemy sądzić, że stara się on odtworzyć wydarzenia, które niegdyś miały miejsce w stolicy Anglii. Choć z drugiej strony jego zamiłowanie do historycznego autentyzmu oraz fakt posiadania wśród prywatnych zbiorów licznych pozycji zgłębiających tajniki ludzkiej anatomii usprawiedliwiają jego obecność w gronie podejrzanych.

Podnoszę się leniwie z pikowanego fotela i podchodzę do okna, za którym nocna panorama miasta rozmywa się w gęstych obłokach mokrej i brudnej pary.

– Lista podejrzanych jest długa. Znajdziemy na niej również nazwisko lorda Burtona, który nigdy nie krył swojej pogardy wobec uboższych mieszkańców miasta, a podczas licznych wystawnych bali dał się poznać jako człowiek porywczy i nadużywający alkoholu. Co więcej, od dwóch dni nikt nie wie, gdzie się znajduje. Podobnie nie można wykluczyć udziału producenta Daniela Zega, który może się cieszyć przywilejami arystokraty, a jego film dokumentalny z pewnością skorzystałby na mocnym akcencie, jakim jest niewyjaśnione morderstwo. Jak wiemy, kryminały, jak wtórne by nie były, wciąż sprzedają się najlepiej – mówię, spoglądając prosto w kamerę.

Niewielki jednolicie czarny obiekt przelatuje tuż obok, przenika przez szybę i nabiera prędkości, prezentując panoramę nocnego Londynu z lotu ptaka. Widać mokre dachy, dymiące kominy, rzędy latarni i zagubionych dżentelmenów w cylindrach stawiających kołnierze i oglądających się po raz ostatni za siebie, zanim dadzą nura w mrok, w zapomnienie, w przepocone pościele i objęcia kurew. Scenę dopełnia moja narracja: – Jedyne, czego możemy być pewni, to tego, że morderca wciąż tam jest i być może właśnie w tej chwili przechadza się ulicami Londynu w poszukiwaniu kolejnej ofiary.

Cięcie.

Lord Nothing odsuwa dłoń od twarzy, spogląda na mnie, na Lilo, na reżysera, na doktora Hilariususa i z powrotem na reżysera. Bierze głęboki wdech, zaciska pięści, opiera na nich czoło i głosem,

w którym słycać niewysłowioną ulgę, mówi: – Dziękuję. Nareszcie. Mamy to, Rez. – Po czym dodaje: – Skasujcie wszystko poza ostatnim zdaniem.

\* \* \*

Słońce rozkleja mi powieki, wygania z głowy resztki snu. Spoglądam na pustą poduszkę, na złożoną na pół kołdrę. Prześcieradło wciąż jest ciepłe. Lilo siedzi na brzegu łóżka, przodem do okna. Słońce przenika przez jej jasne włosy i sprawia, że wyglądają, jakby płonęły. W sypialni jest chłodno.

Panuje absolutna cisza.

– Miałeś jakiś sen? – pyta, nie odwracając spojrzenia od szyb, za którymi miękkie światło poranka nasycza mgłę.

– Ten sam co zwykle – odpowiadam, przewracając się na plecy, wbijając wzrok w sufit.

– Opowiedz mi go, Rez.

– Śnił mi się Linus. Właściwie jego głowa. Oderwałem ją od reszty ciała i kopnąłem z całych sił, tak żeby już zawsze dryfowała przez wszechświat. On umarł, ty nie.

– Pytam, bo to jedyne, co zostało.

– Nie rozumiem.

– (Słyszę twoje myśli, Rez. Zawsze). Czuję twoje emocje, ale nie znam twoich snów. Nie potrafię do nich zajrzeć. To jedyna rzecz, której tak naprawdę nie wiemy o sobie – mówi. – Ale oprócz nich między nami nie ma już nic do odkrycia. Jesteśmy jednością.

– Jesteś znudzona?

– Zastanawiam się...

– Nad czym?

– Czy kiedykolwiek uda nam się o sobie zapomnieć.

– Chciałabyś tego?

– Tak – odpowiada. – Ale tylko po to, żeby mieć co odkrywać na nowo.

I znowu cisza. Długie sekundy niedokładnie odmierzane

kołysaniem się złotego wahadła.

– Nie wiem, Lilo. Naprawdę nie wiem.

Pukanie do drzwi przypomina nam o świecie.

\*

– Dostałem dziś wiadomość z Aurory.

Jack prowadzi pochód. Kroczymy, a właściwie biegniemy środkiem Birdcage Road w kierunku Pałacu Westminsterskiego, zupełnie niearystokratycznie przebierając nogami. Bez przyozdobionej karocy i wystrojonych dorożkarzy majestatycznie wymachujących batami w powietrzu, bez pompatycznej muzyki rozbrzmiewającej w wyperfumowanym wnętrzu, bez śniadania i wyjaśnienia. Wciąż jest zbyt wcześnie, by ulice zapełniły się ludźmi. Mijamy kilku kupców pędzących, by rozstawić swoje stragany, spotykamy człapiących w przeciwnym kierunku maruderów, dla których nadejście dnia okazało się dość niespodziewane. Dostrzegają naszą obecność, ale większość jest zbyt zasnana lub pijana, by zareagować. Tylko jedna z kobiet, starsza kwiaciarka dźwigająca ciężkie kosze róż i tulipanów, mijając nas, spogląda prosto na doktora Hilariusza, po czym spuszcza wzrok, przemyka szybko obok i gdy czuje, że odległość stała się wystarczająco bezpieczna, mówi do siebie, ale dość głośno, byśmy wszyscy usłyszeli: – Diabeł...

Jestem zaskoczony, bo spodziewałem się, że jeśli będziemy podróżować bez karocy, obelgi będą najprzyjemniejszą rzeczą, jaką obrzucą nas odłączeni.

Docieramy pod Big Bena bez większych przeszkód. Mężczyzna stojący przed drzwiami dostrzega nas z oddali. Czym prędzej wyciąga zza pazuchy pęk metalowych przedmiotów przyczepionych do wielkiego połyskującego koła. Relikt przeszłości z czasów, gdy ludzie wierzyli, że zamykając szczelnie drzwi, są w stanie jakimś cudem ochronić swoją prywatność. Jego zziębnięte ręce trzęsą się, co chwila wypuszczając spomiędzy szpiczastych palców wyłuskany

klucz. Jegomość odstawia przed nami rozpaczliwy i pomyłony taniec: upuszcza pęk z hukiem, podnosi, próbuje wepchnąć jeden z kluczy do zamka, odwraca do góry nogami i próbuje ponownie, wybiera kolejny i wreszcie odnajduje tę jedną jedyną przepustkę do jego ocalenia. Im bliżej jesteśmy, tym bardziej nerwowe stają się jego ruchy. Widząc to, Jack specjalnie przyspiesza kroku. Napiera prosto na niego, zaciskając w ręku twardą drewnianą łaskę i wystukując jej zaostrzonym końcem coraz szybszy rytm.

W ostatniej sekundzie klucz trafia do dziury, zamek przekręca się z metalicznym, satysfakcjonującym dla ucha szczęknięciem, a drzwi stają otworem.

– Wi... witam, lordzie Nothing– mówi portier, głęboko się kłaniając.

Łaska po raz ostatni uderza o bruk. Na tym uprzejmości ze strony lorda Nothinga się kończą.

Chwilę później wdrapujemy się na szczyt wieży zegarowej po nieskończonych skrzypiących schodach. Zapach stęchlizny i mokrego drewna miesza się z dziwnie przyjemną wonią smarów używanych do oliwienia analogowej konstrukcji Big Bena. Bicie jego serca ogłasza wszystkim londyńczykom, niezależnie od ich stanu posiadania, że czas nie uznaje panów i poddanych. Jako jedyna rzecz w tym mieście i w tym wszechświecie nie ma litości po równo dla nikogo. Po prostu biegnie i odejmuje, aż nic już nigdzie nie zostanie. Czas. To, czy jest dla ciebie przyjacielem, czy wrogiem, mówi wszystko o życiu, w którym przyszło ci trwać.

Zatrzymujemy się w przestronnym pomieszczeniu wypełnionym obracającą się metalową maszyną. Światło wpada do środka przez wielki okrąg, w którym minuty biegną w drugą stronę.

Pośrodku sali zawieszono czarny kulisty przedmiot, do którego podłączono tysiące cienkich przewodów biegnących do góry i na boki. Przedmiot oddycha, pulsuje i zasila swoje odnogi, pompując w nie bliżej niezidentyfikowaną substancję.

– To generator mgły według mojego pomysłu – wyjaśnia Jack. – Wygląda niepozornie, ale tylko dzięki niemu ten cały burdel może

w ogóle funkcjonować. Londyn jest autentyczny, materiały są prawdziwie, alkohol ma procenty, a w cyckach nie ma implantów. Wszystko się zgadza co do setnego miejsca po przecinku. Wszystko poza mgłą, dymem z kominów i składem powietrza, które wy też w tym momencie wdychacie. Chyba nie sądziliście, że wciąż palimy tu węglem? Mgła jest wypełniona uzależniającą toksyną. Wystarczy spędzić tu godzinę, żeby później dosłownie nie móc żyć bez Londynu. Przyznajcie sami, że to bardziej eleganckie rozwiązanie niż budowanie muru lub chipowanie ludzi.

– (Jak mogliśmy tego nie zauważyć, Lilo?)

– (Nasze filtry musiały sklasyfikować truciznę jako zanieczyszczenie i zatrzymać ją na zewnątrz.

To wszystko dzieje się automatycznie, gdy mamy uruchomione obwody ochronne).

– Tylko dobre żarcie może was uchronić przed uzależnieniem – wyjaśnia Jack. – Dlatego nalegałem, żebyście sobie nie odmawiali. Napoje i posiłki serwowane na bankietach są nafaszerowane substancjami neutralizującymi narkotyk. W ten sposób arystokracja może w dowolnym momencie opuścić miasto. Odłączeni niestety nie mają tego komfortu. Jesteś tym, co jesz, czy jak to szło.

– Więc nikt nie jest w stanie uciec – bardziej stwierdzam, niż pytam.

– Oczywiście, kilka osób próbowało szczęścia. Dobiegli najdalej na skraj lasu – mówi, a w jego głosie pobrzmiwa duma.

Spogląda z czułością na swoje dzieło i zawiesza się na dłuższą chwilę, ale gdy ponownie odwraca się w naszą stronę, jego spojrzenie znów jest pochmurne jak niebo nad Londynem.

– Uciekły stąd tylko dwie osoby, bo im na to pozwoliłem – spogląda Lilo prosto w oczy. – Wiem, co się dzieje w tej ślicznej złotej główce: pewnie właśnie w tym momencie myślisz, że jestem potworem, truję ludzi i bawię się ich kosztem, ale zastanów się: co mogłoby się z nimi stać, gdyby nie ja? Stworzyłem to miejsce także dla tych wyrzutków. Bez Londynu nie byłoby dla nich miejsca na Ziemi. Nie możesz nas oceniać, dziewczyno z kosmosu. Uciekliście

stąd, zostawiając wszystkich na pastwę żywiołów.

– Kim byli ci uciekinierzy? – pytam, chcąc zmienić temat.

– Nie obrażaj mnie, Rez. Mimo że staram się rozumieć ich położenie, nie socjalizuję się z plebsem. Nie znałem tego człowieka. Nie interesuje mnie historia żadnego z odłączonych.

Pamiętam jedynie, że przysłali go tu prosto z Aurory spętanego jak zwierzę. Razem z nim przybyła dziewczyna. Obydwoje spędzili w Londynie dwa lata, cierpliwie obserwując, planując i przygotowując każdy szczegół, aż w końcu zabrali się do dzieła. Tej nocy miasto stanęło w ogniu.

Nie widziałem nigdy czegoś takiego. Cała zachodnia część została zrównana z ziemią, ludzie nie mieli dokąd uciekać, a płomienie było widać chyba nawet z orbity. Musieliśmy naprawdę mocno nadrabiać wizerunkowo, żeby świat zapomniał o tym wydarzeniu. Ale on nie zapomina. – Jack zawiesza głos i staje naprzeciwko świetlistej tarczy, dokładnie na godzinie szóstej. –

Powinienem go powstrzymać – mówi po chwili. – Spotkałem go wtedy na skraju miasta. Byłem uzbrojony i mogłem to zakończyć w okamgnieniu. Ale wtedy zrozumiałem. On zrobił to wszystko dla tej małej: dla swojej córki. Spalił Londyn z miłości. Jak często widzisz coś takiego w tych kurewsko nudnych czasach? Nagle poczułem się jak antybohater. Nie mogłem ich zabić. Opuściłem broń i pozwoliłem mu odejść. Teraz powiedzcie mi, że nie mam serca.

– (Mężczyzna z córką?) – myślę.

– (Brzmi dziwnie znajomo) – Lilo potwierdza moje przypuszczenia.

– Oczywiście, z perspektywy lat wiem, że to był błąd. Może pewnego dnia znów się spotkamy i będę miał okazję to naprawić... – Zamyśla się. – W każdym razie dzisiaj wyłączamy mgłę.

– Jakto wyłączacie mgłę? Przecież...

– Potrzebujemy widoczności – ucina. – Dostałem autoryzację z Aurory, aby użyć jednego z ich satelitów. Wieczorem, gdy powietrze się oczyści, zeskanujemy każdy jebany atom w tym

mieście w poszukiwaniu zaginionych części prostytutki. Jeśli będziemy mieli szczęście, znajdziemy mordercę. Wtedy będziecie mogli się nim zająć.

– Ale... co stanie się z odłączonymi? Sam powiedziałaś, że bez mgły nie będą w stanie przeżyć.

– I właśnie dlatego musicie działać bardzo szybko!

Doktor Hilarius, wciąż bez śladu emocji na twarzy, spogląda na przyjaciela zza swoich czerwonych szkielek.

– Jack – odzywa się po raz pierwszy od rana – jeśli mogę cię zapytać, jak brzmiała wiadomość z Aurory?

– Była bardzo krótka, przyjacielu – odpowiada lord Nothing. – Znajdźcie mordercę albo ja was zamorduję. Pozdrawiam, mama.

\* \* \*

Ostrze gładko przebija skórę i zagłębia się w ciało. W pierwszej chwili jestem zaskoczony, jak niewiele siły potrzeba, żeby naruszyć tę misterną konstrukcję i kompletnie ją zniszczyć. Metal wchodzi od lewej strony, prześlizguje się pomiędzy czwartym a piątym zębem, przebija płuco, przebija serce i zagłębia się w drugie płuco. Szczęśliwy traf? Nie ma o tym mowy. Uderzenie jest idealne, wyćwiczone, pozbawione przypadku. Zanim ból zdąży sparaliżować moje ciało, filtry odcinają dopływ informacji do mózgu, dając mi sekundę na znalezienie wyjścia z tej sytuacji. Nie

potrzebuję wiele czasu, żeby się zorientować, że dobre rozwiązanie nie istnieje. Ostrze zatrzymuje się. Padam na kolana, słysząc, jak chrzęści pomiędzy moimi kośćmi. Pod marynarką koszula nasiąka krwią, ale to dopiero początek przedstawienia. Z trudem podnoszę powieki i spoglądam na czarny pasek wystający spod mankieta. Kostium potrafi zaabsorbować energię uderzenia torpedy fotonowej z diamentową głowicą, więc są szanse, że poradziłyby sobie także z nożem. Szybkie szarpnięcie. Metal opuszcza moje ciało, otwierając drogę krwawej powodzi, która zalewa płuca i wypływa gęstym strumieniem z mojego boku. Serce,

mimo że dziurawe, wciąż uderza, ledwie utrzymując ciśnienie i jadąc na resztkach tlenu. Płuca przestają pracować praktycznie od razu.

Czuję zimny dotyk ostrza na mojej szyi.

Znów dałem się podejść.

Nie umieram od razu tylko dlatego, że moja krew jest dotleniona. Przed chwilą biegłem wąskimi ulicami co sił w nogach, goniąc za cieniem, póki się nie potknąłem, nie wpadłem w niego i nie zanurkowałem głową w dół w głęboką ciemność. Próbuje podnieść dłonie i odepchnąć ostrze od siebie, ale nie mogę. Tracę czucie w palcach, ciało staje się zbędnym balastem. Z braku paliwa odcina sektory, którymi nie jest w stanie zarządzać, wycofuje się w górę układu nerwowego i zamyka na cztery spusty w mózgu, po czym robi to, co każdy umierający organizm: wyciąga popcorn, rozsiada się wygodnie w fotelu i odpala składankę najlepszych wspomnień.

Lilo siedzi na krawędzi łóżka. Światło przenika przez jej włosy, które wyglądają, jakby się paliły.

Dziewczyna odwraca się do mnie i miękko szepcze: – Chcesz jointa?

Koło rozpędzonej karocy wpada w dziurę, katapultując nas z siedzeń na równe nogi. Odrywam wzrok od szyby zalanej poziomymi strugami deszczu, za którą przemyka miasto, i spoglądam w kierunku, z którego dobiegł głos. Lord Nothing siedzi naprzeciw mnie z wyciągniętą dłonią, a na niej leży połyskująca papierośnica z wygrawerowanymi inicjałami. Spostrzegawcze oko zauważy, że jedna z linii wychyla się poza oś symetrii, jest nieregularna i postrzępiona na krawędziach, ewidentnie dodana odręcznie. Dzięki niej litera V magicznie staje się literą N. Ostatni z papierosów spoczywa w pudełku, reszta rozrzucona u naszych stóp podskakuje w rytmie uderzeń kół o bruk.

– Nie, dziękuję – odpowiadam.

– Ja zawsze muszę sobie zajarać przed akcją – mówi i zamyka z traskiem papierośnicę. – Zalecenia doktora.

Hilarius spogląda w jego stronę i kręci głową, po czym nurkuje



twarzą w swój ogromny kołnierz, by uniknąć wdychania dymu. Po chwili zatrzymujemy się naprzeciwko Miasmy, klubu, który według opisu Jacka jest najciemniejszym miejscem na mapie Londynu, ziejącą opium otchłanią za odpowiednią opłatą pożerającą ból istnienia. Nie znajdziemy tam szykownych, wyperfumowanych dam machających tyłkami do rytmu wysypywanych monet, wsuwających rękę do majtek i szepczących do ucha rymowane bzdury ani niskich czarnowłosych panów podających na srebrnych tacach utensylia do wypalenia fajki opium i okrywających kocem klientów, którzy już wyruszyli w podróż we własnej głowie. Znajdziemy za to najczarniejszy rodzaj brudu wydrapany spod paznokci obłąkanych kreatur, które ledwie przypominają ludzi, i wszystkie swoje koszmary, o których nawet nie wiedzieliśmy, że istnieją.

Drzwi karocy otwierają się, wypuszczając ze środka chmurę gęstego, gryzącego dymu. Wyłaniają się z niej cztery postaci. Kolejno są to doktor Hilarius, który zeskakuje i podaje dłoń Lilo, pomagając jej miękko wylądować na ziemi, kompletnie zrelaksowany Jack Nothing i ja. Wchodzimy przez ciemny przedśrodek do wnętrza pomieszczenia, które...

...okazuje się przytulnym, bogato przystrojonym barem z rzędami drewnianych stolików. Kilku samotników sączy napoje zawierające śladowe ilości alkoholu. Są już wystarczająco pijani, by nie zauważyć faktu, że barman polewa im wodę zamiast ulubionych trunków. Poza tym wszystko wydaje się w jak największym porządku. Jestem równie uspokojony, co zawiedziony. Ulizany kelner podchodzi do nas, pytając, czego sobie życzymy.

– Wiesz, kim jestem? – pyta Jack.

– Oczywiście, lordzie Nothing. Wbrew pozorom nie potrzebujemy Omninetu, by rozpoznać autora naszej rzeczywistości. Wysoki mężczyzna po prawej to doktor Hilarius, a tej dwójki niestety nie kojarzę, ale skoro pojawili się tu w towarzystwie najznakomitszych person wśród londyńskich wyższych sfer, obstawiałbym, że są nowo przybyłymi arystokratami, których lord chciałby zaznajomić bliżej z uciechami oferowanymi przez nasze

wspaniałe miasto.

Mężczyzna uśmiecha się szeroko, obnażając rzędy śnieżnobiałych zębów. Jest bardzo uprzejmy, dumny z siebie i kompletnie opanowany. Niezapowiedziana wizyta władcy Londynu budzi w nim tyle emocji, co obserwowanie płomienia świecy.

– Jesteśmy tu, ponieważ jeden z moich informatorów zarzeka się, że znajdę w tym zapomnianym przybytku pewną osobę. Jesteś byстрыm chłopakiem, więc pewnie się domyślasz, o kogo może chodzić?

– Mam jakieś podejrzenia. Morderstwa z Whitechapel są teraz na ustach wszystkich. Słyszałem, że prostytutki zniknęły z ulic i nawet dżentelmeni przestali wychodzić po zmroku, obawiając się człowieka w skórzanym płaszczu.

– Co jeszcze mówią ubodzy?

– Że morderca nigdy nie zostanie złapany, bo trzyma razem z tymi, którzy go szukają. Że to farsa.

Sprytna metoda kontroli społeczeństwa poprzez strach. Niektórzy, bardziej śmiali, twierdzą, że mordercą może być sam doktor lub nawet lord we własnej osobie.

– Nieźle, naprawdę nieźle – mówi Jack, klaszcząc w dłonie – nie dość, że bystry, to jeszcze bezczelny. A ty jak uważasz? Jeśli wyważę każde drzwi i wywalę wszystkie stoły do góry nogami, zajrzę pod każde łóżko i rozerwę to miejsce na strzępy, to czy znajdę tu osobę, której poszukuję?

– Przykro mi, ale nie. Poza tym Miasma jest kulturalnym miejscem, w którym nie życzymy sobie jakiegokolwiek przemocy. Byłaby to bardzo nierozsądna decyzja ze strony lorda, jako że lord i jego goście są teraz bardzo daleko od pałacu.

Jack zanosi się spazmatycznym śmiechem.

– Wprost wybornie! Jak masz na imię, chłopcze? – pyta, ledwie łapiąc oddech.

– Wiktor – odpowiada niewzruszony chłopak.

– Doktorze, przekonaj, proszę, Wiktora, że nie mamy czasu na jego bzdury.

Ułamek sekundy później przed twarzą mężczyzny pojawia się długa lufa prochowej broni wykonanej w całości z metalu, drewna i szkła. Na drugim końcu pokaznej, bogato zdobionej giwery Hilarius wyczekuje fałszywego ruchu, opierając palec o czuły spust uruchamiający pneumatykę.

Mężczyzna zezuje, spoglądając do wnętrza lufy.

– Lordzie Nothing... – mówi z żalem w głosie.

Jak na rozkaz pijani mężczyźni zrywają się od stołów, rozlewając ledwie upite trunki, i wyciągają broń spod długich płaszczy, barman sięga pod ladę po sporego obrzyna, a przez drzwi frontowe wpada trójka uzbrojonych mężczyzn, odcinając nam drogę powrotną. Jesteśmy otoczeni. Nasze kostiumy rozplývają się dyskretnie po całym ciele, ale głowa nie jest chroniona, a właśnie w nasze głowy mierzy każda z odbezpieczonych strzelb.

– (Jakie są szanse?) – pytam.

– (Zginą wszyscy oprócz nas) – odpowiada Lilo i wiem, że dokładnie tak będzie.

– Masz jaja, dzieciaku – mówi Jack, wkładając rękę pod marynarkę, czym skupia na sobie uwagę wszystkich otaczających nas strzelców. – Doktorze, jak to możliwe, że ci dżentelmeni weszli w posiadanie działającej broni?

– Strzelby zostały w całości wykonane ręcznie z ogólnodostępnych materiałów.

– Poziom edukacji jest tu wciąż zbyt wysoki – stwierdza Nothing i niepostrzeżenie wyjmując srebrne pudełko z jego inicjałami. Otwiera je i widząc brak zawartości, głośno wzdycha.

– Chyba lord nie ma dziś szczęścia – komentuje ulizany kelner, szczerząc się.

– Powiem ci, jak będzie – odpowiada Jack. – Twoi ludzie za chwilę cię postrzelą, bo tylko w ten sposób będą w stanie uratować swoje gówno warte życie. Przeszukamy to miejsce, a później spalimy je do gołej ziemi. Doktor Hilarius wykorzysta twoje ciało do swoich eksperymentów i będzie to jedyny raz, gdy na cokolwiek się przydasz. Celujcie w nogi, panowie.

– Ja mam inną propozycję. Zastrzelimy was tu wszystkich i wrzucimy ciała obciążone kamieniami do Tamizy. Co wy na to, chłopcy?

– Kurwa, raczej – mówi jeden z pijanych mężczyzn po prawej i słuwa.

Kolega ze stolika obok nie jest przekonany.

– Ale, przecież to arystokraci – mówi cicho. – Nie możemy... – urywa.

W jego stronę natychmiast kierują się dwie lufy. Wiktor spogląda za siebie, wciąż uśmiechnięty.

– I już nawet wiem, kto to zrobi. Do dzieła, Zeb. – Wskazuje go palcem. – Sugeruję zacząć od doktora Hilariusza, z wiadomych przyczyn.

Jest przerażony, serce wali mu jak młot. Napędzany adrenaliną i znieczulony alkoholem przesuwając nieznacznie broń, przykrywa oczy. Nie ma wątpliwości, że strzeli, ale pocisk jedynie skaleczy doktora, prześlizgując się po jego szczęce. Wtedy wypali także broń Hilariusza, pozbawiając Wiktora głowy. Lilo zajmie się mężczyznami z tyłu. Wystarczy krok, by zająć pozycję, która umożliwi jej wyprowadzenie trzech precyzyjnych cięć i jednocześnie ochroni przed pociskami nadlatującymi zza stolików. Barman oczywiście strzeli do doktora, raniąc przy okazji Jacka. Drugi pocisk dobija ich obu. W tym momencie ja powinienem już poradzić sobie z dwoma mężczyznami, zostawiając na koniec najmniej zdecydowanego ze strzelców. Lilo nie musi się spieszyć. Barman jest w stanie przeładować obrzyna najszybciej w cztery sekundy. Gdy Zeb ponownie otworzy oczy, poczuje paraliżujący ból w okolicy splotu słonecznego. Śmierć nastąpi chwilę później.

– (Trzy... dwa...)

Słysząc huk, ale to nie wystrzał broni. Po drugiej stronie pomieszczenia otwierają się drzwi.

Przykurczona postać odziana w łachmany przygląda nam się bez zrozumienia.

– Co jest z wami? – pyta, widząc uzbrojony tłum. Podchodzi

bliżej, ledwie stawiając kroki i opierając się o ścianę. – Ja cię znam, ja cię znam – bełkocze, mrużąc oczy i wskazując Jacka trzęsącą się dłonią obleczoną w długą gumową rękawicę.

W jego zarośniętej, wykrzywionej i umorusanej lepкими substancjami twarzy rozpoznajemy lorda Burtona. Jest naćpany niemal do nieprzytomności i wyczerpany dniami szalonej libacji. W drzwiach pomieszczenia pojawia się dwójka roślących mężczyzn w bogato zdobionych sukniach.

– Kończymy to czy jak? – pyta jeden z nich, odkładając na podłogę wiadro.

Jack wybucha śmiechem, podchodzi do powykręcanej karykatury człowieka, którą stał się lord Burton, bierze jego zaślinioną twarz w dłonie i przygląda mu się z fascynacją i obrzydzeniem.

– Oto i on! To niesamowite! Co wy mu zrobiliście?

– Miasma stanowi miejsce, w którym spełniają się wszystkie marzenia, niezależnie od ich rodzaju – odpowiada Wiktor. – My nie oceniamy.

– To miasto jest iluzją – skrzeczy do siebie odurzony arystokrata.  
– Nikt z nas nie może stąd odejść. Ty także. Wszyscy jesteśmy niewolnikami Londynu, naszych ograniczeń... Codziennie zakładam maskę i chodzę w uniformie w ludzkiej formie. Czas odrzucić zasady. Jedyne dróg ucieczki prowadzi do środka... Bezpieczne słowo to minoritetsladningsbaererdiffusjonskoeffisientmalingsapparatur. Nie ma słońca. Nie ma już słońca nad naszymi głowami, Jack. Jesteś królem niczego.

– Jak długo tu jest? – pyta lord Nothig, ignorując bełkot Burtona.

– Przybył trzy dni temu i od tamtej pory nie opuszczał pokoju zabaw. Zapłacił za tydzień z góry.

Lord się zamyśla.

– W takim razie mój informator właśnie stracił pracę.

– Nie znajdziecie tu mordercy, lordzie Nothing. Uprzedziłem od razu.

– No cóż. Nic tu po nas. – Jack wzrusza ramionami i odwraca się

do wyjścia.

Mężczyźni jeszcze przez chwilę stoją nieruchomo, szczerze barykadując wąskie przejście, ale na znak dany przez Wiktora rozstępują się na boki. Hilarius opuszcza broń. Lord po raz ostatni spogląda na arystokratę, który, wspierając się na barkach osiłków w obcisłych sukniach, znika w trzewiach lokalu. Chwilę później jesteśmy już na zewnątrz.

- Do wieczora to miejsce i wszystko, co w nim jest, mają zniknąć.
- Jasne, Jack – odpowiada doktor. – A co z Burtonem?
- Jakim Burtonem?

\*

Spoglądam w niebo. Mgła rozrzedza się i nasacza bladobłękitnym odcieniem. Spomiędzy gęstych obłoków powoli wyłaniają się nieregularne kształty leniwie sunących prawdziwych chmur. Wiatr wygania stęchliznę wypełniającą ciasne arterie Londynu i przynosi świeży zapach przywołujący dawno zapomniane wspomnienia zasianych pól i gęstych, szumiących lasów.

- Wspaniałe, nieprawdaż?

Stoimy na skraju dachu kamienicy. Za nami spóźnione damy i lordowie przeciskają się pomiędzy ciasno ustawionymi rzędami wygodnych foteli, ciągnąc za sobą zaczepiające się o wszystko części swojej garderoby, wyszukują ostatnich wolnych miejsc, przygotowują ciemne okulary, napychają się przekąskami, polewają szampana i czekają na spektakl, zwracając twarze w kierunku zachodu.

Julia Mandelbrot z jakiegoś powodu chwyta moją dłoń. Robi krok do przodu, balansując na samych obcasach. Czubki jej skórzanych butów wiszą po drugiej stronie krawędzi.

- Gdybym skoczyła, złapałbyś mocniej moją dłoń czy pozwolił mi lecieć w dół?
- Skąd ten grobowy nastrój, lady Mandelbrot? – pytam.
- Dziś jest wyjątkowy dzień – mówi smutno. – Dokładnie rok

temu odszedł Fatou.

– Tęskni pani za nim?

– Chciałabym, żeby tu był – odpowiada. – Mogłabym wtedy sama zepchnąć go z tej krawędzi i patrzeć, jak jego głowa roztrzaskuje się o bruk. Sądzę, że mogłabym patrzeć na to codziennie.

– Nie wiem, co powinno się mówić w takich sytuacjach. Współczuję?

– Czuje się pan niezręcznie. Nie przywykł pan do kobiet, które mówią to, co myślą?

Uśmiecham się.

– Wręcz przeciwnie. Czasem wolałbym nie wiedzieć tego, co myślą.

Julia rozluźnia uścisk. Staje tyłem do krawędzi, spoglądając na coraz bardziej wstawionych arystokratów, głośno komentujących ledwie widoczny zarys bladopomarańczowej tarczy słońca zawieszony nad dachami. Z dołu dobiegają nas okrzyki zaskoczonych przechodniów. I kaszel.

Przeraźliwy, szorstki kaszel rozrywający płuca i wciskający do oczu łzy. Przez długi czas milczymy.

– No dobrze, milady, dla pani zrobię wyjątek. Proszę powiedzieć mi wszystko.

– Obawiam się, że ta wiedza mogłaby wpędzić do grobu i pana – odpowiada, uśmiechając się tajemniczo.

– Zatem przywołajmy jakieś dobre wspomnienia związane z pani mężem. To zawsze pomaga poradzić sobie ze stratą. Dzięki pamięci żywych martwi wciąż w pewnym sensie istnieją.

– Najbardziej pamiętam sposób, w jaki umarł.

– O, proszę spojrzeć, słońce jest już...

– Zszedł na zawał, pieprząc dziwkę w naszym łóżku – rzuca, nie dając mi szansy wymanewrować rozmowy w kierunku bardziej neutralnych tematów.

– ...prawie widoczne – kończę bez przekonania.

Julia spogląda mi prosto w oczy i jeszcze przez chwilę napawa się moim zmieszaniem, gdy próbuję znaleźć właściwe słowa. Nic

jednak nie przychodzi mi do głowy, bo choć mam natychmiastowy dostęp do całej zgromadzonej wiedzy ludzkości, żaden z wpisów nie wyjaśnia, jak się zachowywać, gdy praktycznie nieznam ci osoba wywleka swoje sekrety w nadziei, że przynajmniej przez chwilę pomożesz jej podeprzeć ten ciężar. Stoję więc i wydaję z siebie mniej lub bardziej przypadkowe dźwięki nienacechowane żadnymi emocjami, łudząc się, że ona zinterpretuje je jako tę odpowiednią częstotliwość wyrażającą dokładnie to, czego oczekuje.

Potem wybucha śmiechem.

– Fatou zmarł w fotelu, ubrany w szlafrok i kapcie, w połowie trzeciego rozdziału *Idealnych społeczności* Benedicta Waya...

– Uff...

– prostytutkę przeleciał pod prysznicem – dodaje, mrugając.

– Lady Mandelbrot, sądzę, że bawi się pani moim kosztem. Co więcej, ośmielę się stwierdzić, że nic z tego, co dziś tu usłyszałem, nie jest prawdą.

– Wszyscy udajemy – przyznaje. – Pan, ja, to miasto, cały świat nie jest tym, za kogo się podaje.

Ale bez tego zostalibyśmy jedynie z prawdą, a tej czasem lepiej nie znać.

– Wspominałem już, że jest pani interesującą osobą?

– Ja też pana lubię, Rez.

– (A jednak!) – Lilo, jak zawsze, znajduje idealny moment, by pojawić się w mojej głowie z ironicznym komentarzem. – (Jak wyczerpiesz wszystkie swoje najlepsze teksty, zapraszam do nas.

Mgła ustępuje. Satelita jest już w gotowości).

– (Zaraz tam będę).

Odwracam się, ale po Julii nie ma już śladu. Profilaktycznie spoglądam w dół. Chodnik jest zapełniony ludźmi. Część z nich stoi, większość już klęczy lub leży, wymiotując. Ci, którzy są jeszcze w stanie zapanować nad konwulsjami, wpatrują się w stronę światła wlewającego się pomiędzy kamienice, odbijającego się od okien, od kałuż na bruku, rozpalającego każdą z kropli zwisających wzdłuż metalowych balustrad i rozganiającego resztki mgły. Powietrze staje



się krystalicznie czyste, nad naszymi głowami pojawia się błękitne niebo. Arystokraci podnoszą się z foteli, szepcząc do siebie z uznaniem.

– Zamknąć mordy! – woła lord Kyrlov, ciskając pomidorem w kierunku kaszłającego tłumu.– Jak wam się nie podoba, to wypierdalać pod ziemię, skąd wpełzliście, robaki.

Kilka osób wtóruje mu i rzuca jedzeniem, srebrnymi sztuczkami i porcelaną, ale po chwili wszyscy wracają do obserwowania spektaklu, ignorując nieludzkie odgłosy duszącego się plebsu. Zdaje się, że tylko ja zauważam, jak jeden z biedaków wyjmuje z kałuży rozkwaszone warzywo, wciska je do ust, po czym podnosi się do pionu, rozglądając wokoło bez zrozumienia. Natychmiast ruszam w stronę schodów.

– (Musimy działać, Lilo. Zneutralizujesz mordercę, ja zostanę z Jackiem i dopilnuję, żeby nie udusił ich wszystkich).

– (A co zrobisz, jeśli się nie zgodzi włączyć mgłę?)

– (To będzie ostatni zachód słońca, jaki zobaczy w życiu) – odpowiadam, przeskakując po trzy stopnie spiralnych schodów.

– (Nie powierzę ci tego zadania, Rez. Dokładnie wiesz dlaczego).

– (To nie to samo, Lilo. Wtedy chodziło o ciebie, kurwa mać!)

– (Umarła. Cała. Planeta).

Każde z tych słów wbija się we mnie głęboko, rozdrapuje rany, których moje regenerujące się ciało nie powinno w ogóle mieć. Zatrzymuję się na schodach. Czuję, jakby mnie także zabrakło powietrza.

– (Nie zabiłem Linusa i tylko dlatego wciąż żyjesz) – odpowiadam.

– (To tylko jedno życie, Rez. Jedno, a w zamian cały świat).

– (To nie jest dobry moment, Lilo).

– (Ja dowodzę tą misją, nie zapominaj o tym, Rez. Ty idziesz. Ja zostaję. To rozkaz).

Z hukiem otwieram wrota. Nasze spojrzenia się spotykają. Stoimy tak przez dłuższy czas w ciszy, nie przerzucając się nawet myślami, bo wszystko już zostało powiedziane, pomyślane, wykrzywane,

wyplakane, przeproszone, znienawidzone i rozgrzeszone, choć niezapomniane.

I każde z nas będzie do końca tego wszechświata obstawało przy swojej racji. W tej jednej kwestii nie zgodzimy się nigdy. Tak, zabiłem całą planetę, by uratować jej życie. I zrobiłbym to jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz, w nieskończoność. Ona nigdy mi tego nie wybaczy.

– No i już! – Lord Nothing kończy wbijać pięścią czarną kopułę na głowę Daniela Zega, który mamrocze coś do siebie skrępowany sznurem od zasłon i przywiązany do fotela. – Nasza akcja nie jest do końca humanitarna i zgodna z procedurami, więc nie potrzebujemy tego rejestrować– wyjaśnia.

– Mamy coś? – pytam.

Jack przymyka oczy, łączy się z Omninetem i przeszukuje dane z satelity.

– Tak! Ulica Berner, Whitechapel. Teraz. Cel jest w ruchu.

– Gdzie jest Hilarius? – pytam zaskoczony jego nieobecnością.

– Wizytuje w klubie Miasma.

– Jack, jeśli spotkam go tam dzisiaj...

– Nie spotkasz!

– Idź! – mówi Lilo.

– Idź! – powtarza po niej Jack. – I zrób, co musisz.

Chwilę później biegnę zalaną światłem ulicą. Słońce zachodzi za moimi plecami. Miasto zatrzymało się w miejscu. Wszędzie leżą odłączeni. Ich oddechy są krótkie, ciała nieruchome, zwinięte w bólu. Żyją, ale ich czas się kończy.

– (Dziesięć minut, Lilo. Jeśli nie zdążę, włącz mgłę).

Biegnę do celu, ignorując grawitację i zmęczenie, ignorując wszystko, co wydarzyło się przed chwilą. Filtry zatrzymują zalew retrospekcji i wyrzutów sumienia, jestem skoncentrowany na tym jednym zadaniu. Mam sprawić, by już nikt więcej nie zginął.

Ale i tak pojawiaam się na miejscu sekundę za późno.

Kobieta leży nieruchomo w rogu podwórza, z lewej strony jej szyi wypływa ciemna struga, która barwi wszystkie kałuże wokół na

różowo. W zamglonych oczach odbija się słońce. Nie jestem już w stanie jej ocalić. Serce przestało pracować, a mózg wyłączył wszystkie funkcje życiowe.

Oczywiście mógłbym uratować jej organizm, poskładać go do kupy, uzupełnić o brakujące elementy i zrestartować, ale wszystko, czym była, jej emocje, wspomnienia i uczucia, wypłynęło przed chwilą na brudny chodnik razem z czterema litrami krwi. Stałaby się po prostu ciałem bez człowieka w środku.

– Kurwa mać!

– (Mitrę Square, Rez. Cel ucieka!)

Skręcam za zaułkiem i dostrzegam długi cień przesuwany się w górę ulicy. Na jego drugim końcu niewyraźna sylwetka oddala się i zmniejsza w świetle gwiazdy nurkującej za horyzont.

Ruszam przed siebie i natychmiast zderzam z kaszlącym żebrakiem. Mężczyzna łapie mnie mocno za frak, spogląda w oczy. Spieniona ślina wypływa z kącików jego ust i ochlapuje mnie z każdym kolejnym słowem.

– Całe życie czekałem na ten dzień. Zabierz mnie – wydusza z siebie, po czym osuwa się na ziemię bez przytomności.

Podnoszę wzrok. Cień zniknął, umknął w jedną z bocznych uliczek odchodzących od placu i rozpląnął się w mrokach zaułków. Jeszcze przez chwilę słyszę niewyraźne kroki, ale one także znikają przytłumiane odgłosami miasta. Wiatr łomocze niedomkniętymi oknami, strąca krople z parapetów, gdzieś w oddali arystokraci komentują kolory nieba. Zgubiłem go.

– (Gdzie on jest, Lilo?!)

– (Zawrócił. Zbliży się do ciebie) – odpowiada po chwili.

Rozglądam się wokół, zdeorientowany i częściowo oślepiony. Gdziekolwiek nie spojrzę, powidok słońca wypala dziurę w moim polu widzenia. Kroki stają się coraz głośniejsze, odbijają się od ścian i wracają do mnie echem, zdają się nadchodzić z każdej strony.

– (Tuż za...) – jej głos milknie.

Uderzenie jest idealne, wyćwiczone, pozbawione przypadku.

Zanim ból zdąży sparaliżować moje ciało, filtry odcinają dopływ informacji do mózgu, dając mi sekundę na znalezienie wyjścia z tej sytuacji. Nie potrzebuję wiele czasu, żeby się zorientować, że dobre rozwiązanie nie istnieje.

Padam na kolana, słysząc, jak ostrze trze o żebra, wysuwając się z mojego boku. Ubrania przesiąkają na wylot. Na szyi czuję zimny dotyk noża. Dłoń w skórzanej rękawiczce dotyka mojej twarzy, przesuwa palcem po drżących ustach, jakby chciała je zamknąć, i zsuwa się niżej. Chwyta za brodę i podnosi ją zdecydowanym ruchem.

– To nasz ostatni taniec, kochanie – mówi, podryznając mi gardło.

\* \* \*

Londyn przestaje istnieć. Zapada się w ciemności nocy i szarości mgły tak gęstej, że nie widać w niej końca własnej dłoni. Kamienica, na dachu której wyższe sfery w całej swojej dosłowności wyniosły się ponad poziom brudnych ulic, by spojrzeć z góry na plebs i nacieszyć oczy równie bolesnym, co przepięknym widokiem słońca, jest zniszczona do pierwszego piętra włącznie.

Powybijane szyby i naprędcy skonstruowane barykady wewnątrz, rozrzucone kamienie żywcem wyrwane z ulic, fragmenty podartych ubrań, a także kałuże krwi to pamiątki wydarzeń, jakie niedawno miały tu miejsce. Ale ten spontaniczny zryw, desperacki szturm odłączonych, którzy zakosztowali zakazanego owocu i przejrżeli podstępne machinacje arystokratów, od początku skazany był na niepowodzenie. Garstka nędzarzy kontra przeszkolona i biomechanicznie podrasowana armia służb porządkowych. Nietrudno zgadnąć, kto wygrał. Wola biedaków pękała pod uderzeniami drewnianych pał, pękały też kości. Bunt został powstrzymany, jeszcze zanim ciemność wymazała z nieba ostatnie wspomnienie słonecznego dnia. Wszyscy, co do jednego, wrzuceni do lochów, by wiedza o tym, co tu zaszło, nie rozprzestrzeniła się po zaułkach i zadymionych knajpach, by nikt już więcej nie próbował

przekroczyć granicy, podnieść głowy i spojrzeć w kierunku uprzywilejowanych. Oczywiście takie historie prędzej czy później zostaną przekazane dalej, być może przez jednego ze zbytnio rozgrzanych whisky i kobiecymi wdziękami lordów, który w pewną zimową noc opowie tę niewiarygodną historię prostytutce, lub wiatr hulający po ulicach Londynu wyszepcze ją do ucha przypadkowego nędzarza, ten będzie podawał ją dalej z wypiekami na twarzy, ilekroć znajdzie kogoś chętnego zaryzykować i wymienić w ciemno napitek za dobrą opowieść. I tak powstanie kolejna legenda.

Ale zniszczona kamienica i ślady walki nie są najgorszymi z widoków, jakie serwuje pierwszym opuszczającym przybytek arystokratom ten ponury wieczór. Bo oto z gęstej mgły wyłania się groteskowa, blada niczym trup postać w brudnym, podartym i polepionym fraku oraz wyciągniętym żabocie, cała zalana krwią, od szyi w dół, niepewnie stawia kroki na nierównym bruku.

Ta postać to ja.

Arystokraci widzieli dziś już wiele, ale dostrzegając mnie w bladym świetle lamp gazowych, i tak instynktownie odskakują do tyłu, rozstępując się przede mną, gdy wchodzę do zniszczonego budynku. Ich spojrzenia oraz pełne obaw i niedowierzania szeptu odprowadzają mnie na górę, gdy wspinam się z trudem po skrzypiących schodach, trąc barkiem o ściany i zostawiając na nich długą czerwoną smugę. Powoli rozsuwam drewniane drzwi. W środku panuje półmrok, w blasku świec trwa ożywiona dyskusja pomiędzy Jackiem Nothingiem, doktorem Hilariusem i Lilo, która jako jedyna spodziewa się mojego przybycia. Ale nie w takim stanie. Daniel Zeg wciąż tkwi w kącie pokoju, przytwierdzony do krzesła, z idealnie czarną kopułą odcinającą mu dostęp do wszystkich bodźców. W tym przypadku może to i dobrze.

Jak się nietrudno domyślić, na mój widok wszyscy milkną.

Z trudem odsuwam fotel i ciężko opadam na siedzenie. Sięgam trzęsącą się dłonią po karafkę whisky, po drodze przewracając kilka świec. Przysuwam sobie szklanke i podejmuję próbę napełnienia jej bursztynowym trunkiem, rozlewając większość na stół i spodnie.

Wszystko to odbywa się w absolutnej ciszy, w której słyhać jedynie moje własne rżenie. W oczach mam łzy, a z nosa lecą mi glutiny, które po prostu ocieram rękawem. Odchrząkuję i spluwam na podłogę gęstym i ciepłym skrzepem, po czym podnoszę szklanke i przechylam całą jej zawartość prosto do poderżniętego gardła.

Dopiero wtedy Jack zrywa się zza stołu.

– Kurwa w dupę mać! – wykrzykuje. – Widziałem, jak umarłeś, chłopcze. Powiedz prawdę, jesteś wampirem? – pyta całkiem serio, wskazując mnie palcem.

Nie odpowiadam. Nalewam po prostu kolejnego drinka, którego unoszę ku niemu, jakbym wznosił toast.

– Jego ciało się leczy, Jack – wyjaśnia Hilarius w takim samym stopniu opanowany, jak i zaciekawiony. – Zastępowanie zużytych lub uszkodzonych elementów to proces właściwy dla każdego żywego organizmu. Na poziomie komórkowym co kilka lat stajemy się praktycznie nową osobą. W ciele Reza zachodzą właśnie procesy naprawcze, które działają tak samo jak naturalne, ale tysiące razy szybciej, co każe mi sądzić, że są one stymulowane dodatkowymi obwodami wspomagającymi funkcje organizmu. Zgadza się?

Wciąż nie mogę mówić, więc po prostu zaczynam bić brawo. Siedem szybkich kłaśnieć w dłonie lepkie od krwi i whisky.

– Zgaduję, że te obwody powstały na bazie kwantowych nanourządzeń i są zarządzane przez dedykowane fragmenty mózgu, ale nie wymagają użycia modułów sterujących ani żadnej tego typu archaicznej maszyny. Najwyraźniej na Yggdrasil opracowano metodę naturalnej modyfikacji struktury układu nerwowego, dzięki której ciało może nauczyć się tego samo. To kolejny etap, Jack. Technologia, która jest u nas dopiero we wstępnych fazach rozwoju.

Hilarius wie, o czym mówi, więc pokazuję mu dwa kciuki skierowane ku górze i ponownie sięgam po karafkę.

– Alkohol rozrzedza krew i przyspiesza transport czynników stymulujących regenerację. Założę się też, że w ciele Reza znajdziemy więcej niż jeden taki obwód funkcjonujący, na wypadek gdyby któryś uległ awarii.

Wyciągam wszystkie palce przed siebie, po czym pokazuję ten sam gest jeszcze raz, prostując w prawej dłoni jedynie kciuk i palec wskazujący.

– Siedemnaście obwodów. – Hilarius potakuje z uznaniem. – Jego ciało jest w zasadzie nieśmiertelne, oczywiście dopóki funkcjonuje mózg.

– Wbijmy mu kołek w serce, doktorze, tak dla pewności – proponuje Nothing, wracając bez przekonania do stołu.

– Nie wiem, czy mnie słuchałeś, Jack.

– (Skończmy te brednie) – proszę. – (Czy zginął ktoś jeszcze?)

– (Dwie kobiety, zanim musieliśmy włączyć mgłę. Być może więcej, nie wiemy tego).

Przez głowę przelatuje mi wspomnienie krwi tryskającej z rozciętej tętnicy i własnego upadku na bruk. I pomyśleć, że chwilę wcześniej miałem mordercę w garści – dosłownie. Ale nie potrafiłem tego dostrzec.

– (Powiedziałaś im?)

– (Jeszcze nie).

– Rez chciałby się dowiedzieć, co zrobicie z Julią Mandelbrot – mówi Lilo.

– Oczywiście! – Jack uderza dłonią w stół. – Wiedziałem! To znaczy nie wiedziałem, ale teraz ma to całkowity sens. Jej mąż był, jak to się mówi, koneserem kobiet znad Tamizy, zapraszał je nawet do sypialni małżeńskiej. Biedna Julia musiała przez lata udawać, że jest ślepa i nie widzi tych wszystkich gaci pozostawionych pod łóżkiem. Poza tym Fatou wcale się z tym nie krył! Sam często rozprawiał w towarzystwie, jakim to on nie jest fantastycznym jebaką. Teraz to już jestem pewien, że sama pomogła mu na zawsze się pożegnać z Londynem. No bo kto to widział, żeby dostać zawału w trakcie zabawy? Za dużo ćwiczył, żeby tak po prostu dojść i zejść.

– Więc co teraz będzie? – Lilo ponawia pytanie.

– Nie mamy zbyt wielu opcji – stwierdza posepnie Jack, gestem dając mi do zrozumienia, żebym podał whisky.

Karafka sunie po długim drewnianym stole, a gdy dociera na

drugi jego koniec, wyrok jest już wydany.

– Jedź do niej, przyjacielu – mówi lord Nothing, nalewając sobie drinka. – Dopilnuj, by poczuła to samo, co jej ofiary.

Hilarius wstaje i wychodzi bez słowa. Czuję, że filtry powoli odblokowują dostęp do kolejnych sektorów mojego ciała. Przerwane tkanki znów mają łączność, rozpruta skóra odzyskuje pierwotny kształt, a narządy wewnętrzne zaczynają funkcjonować. Sądzę, że mógłbym znów używać głosu, ale tak naprawdę nie mam nic do powiedzenia. Komentarz do sytuacji jest już zbędny. Milczymy więc, sączymy whisky przy świecach i czekamy na potwierdzenie, co jakiś czas odwracając wzrok w kierunku szczelnie zamkniętych wrót i nasłuchując odgłosu ciężkich, wolnych kroków na schodach.

Czterdzieści minut później drzwi się otwierają, a w progu staje Hilarius.

– Julia Mandelbrot nie żyje – mówi. – Skoczyła z dachu, zanim zdążyłem się z nią skonfrontować.

Jack spogląda na przyjaciela i pochyła głowę.

Milczeniem akceptuje ten akt łaski.



## Aurora

Natura nigdy nie miała z nami szans. Być może zawiniły tysiące lat interpretowania niewytłumaczalnych praw rządzących wszechświatem tak zwanych sił wyższych, bo każdy z nas do samego końca głęboko wierzył, że tam na górze, na niebie czy w parlamencie, jest ktoś, kto nie pozwoli, by wszystko umarło, rozpadło się, spękało pod naszymi stopami i skruszyło się w pył. Ktoś, kto w ostatniej chwili naciśnie magiczny przycisk i odwoła się od wyroku.



Ale byliśmy tylko my. Miliardy osób, które uważały, że nie są w stanie nic zmienić, bo ich głos nie ma żadnego znaczenia. Zgodnym milczeniem zabiliśmy naszą planetę.

A ona prawie zabrała nas ze sobą.

Ale Linus zawsze twierdził, że śmierć Matki Ziemi to niewielka cena, jaką wszechświat musiał zapłacić za narodziny swojego najdoskonalszego dziecka. Wierzył, że pisany jest nam wyższy cel.

Skoro wszyscy i wszystko, wszędzie i zawsze muszą mieć swój koniec, skoro wszechświat wypala energię i dąży do entropii, oznaczałoby to, że egzystencja ostatecznie nie ma żadnego sensu. Ten koncept wydawał mu się absurdalny. Nieakceptowalny. W jego mniemaniu to my byliśmy świadomością naszego uniwersum. I posiadaliśmy tylko jeden nadrzędny cel, wobec którego wszystkie inne decyzje stanowiły koszty uzyskania: mieliśmy wymyślić sposób, w jaki wszechświat mógłby przetrwać. Skalą naszych działań miało być rozpalanie umierających gwiazd, a nie sadzenie drzew na anonimowej skalistej kuli pędzącej wokół anonimowej

gwiazdy w anonimowej galaktyce, kompletnie nieważnej z przyjętej przez niego perspektywy.

Linus Laforet, jeden mały człowiek, który w wieku siedmiu lat przeczytał wiersz Dylana Thomasa, spojrzął w nocne niebo i postanowił zostać bogiem.

Gdy w sierpniu 2310 roku Yggdrasil opuszczał Układ Słoneczny, wciąż docierały do niego sygnały z Ziemi. Średnia globalna temperatura wynosiła wtedy dwadzieścia stopni i nawet najbardziej optymistyczne spośród symulacji proponowanych przez ASI zakładały, że dziesięć procent zamieszkałej powierzchni znajdzie się pod wodą. Niezależne programy przesiedlające ludzi na Księżyc, Marsa i sztuczne satelity były zbyt mało wydajne bez wsparcia światowych rządów, które najpierw zbankrutowały, budując gwiazdną arkę, a następnie wsiadły na nią i oddaliły się z Ziemi.

Ruszyły fale migracji, które zadeptały sztuczne linie wyznaczające terytoria państw. Paradoksalnie sen o świecie bez granic zaczynał się spełniać, ale ci, którzy go wyśnili, pewnie nie tak wyobrażali sobie globalne zjednoczenie. Zwłaszcza gdy kryzys obnażył wszystkie nasze najgorsze instynkty.

Yggdrasil przyspieszył, tracąc bezpowrotnie kontakt z umierającą, pogrążoną w chaosie planetą i mogąc jedynie odtwarzać coraz starsze sygnały wysłane przez wieki w przestrzeń. Na wewnętrznej granicy obłoku Oorta napotkał dawno zdezaktywowaną sondę Voyager 1 i rozkazem Linusa odpalił w jej kierunku torpedę, tak aby nikt przez przypadek się nie dowiedział, że Ziemia kiedykolwiek istniała. Od teraz to Yggdrasil miał mieć wyłączność na pisanie historii rodzaju ludzkiego.

Ale tak się nie stało. Nasza planeta wytrzymała w starciu z nami i jest tu nadal. To niewiarygodne, zaprzeczające wszystkiemu, w co kazano nam wierzyć, ale prawdziwe. Właśnie unosimy się kilka kilometrów nad jej powierzchnią, pędzimy przed siebie na tle rozgwieżdżonego nieba, spoglądając przez przezroczystą podłogę kapsuły na świecące punkty w dole. Każdy z tych punktów to miasto, każde z tych miast jest pełne potomków ludzi, których nasi

przodkowie zostawili tu na pewną śmierć. Mają się dobrze. Żyją, jedzą, pieprzą się, rozmawiają o swoich lękach, o marzeniach i pierdołach, nieświadomi, że gdzieś tam nad ich głowami schowany w mrokach wszechświata statek wyczekuje naszego sygnału.

Bez dostępu do Biblioteki Snów lub chociażby Omninetu trudno ustalić, co dokładnie wydarzyło się w trakcie naszej nieobecności. Jack Nothing twierdzi, że dopiero w dwudziestym szóstym wieku na Ziemi zaczęło się robić gorąco. W tych mrocznych czasach natura dała popalić człowiekowi na tyle, że zredukowała jego populację o dziewięćdziesiąt procent i zepchnęła wysoko pod koło podbiegunowe. Aurora na krótką chwilę stała się ostatnim zamieszkanym miastem. Po tym dającym do myślenia incydencie wprowadzono obowiązujący do chwili obecnej dekret Leave No Trace, który zakłada zminimalizowanie negatywnego wpływu człowieka na środowisko naturalne.

Działa bardzo prosto: rasa ludzka wykorzystuje tylko to, co jest jej niezbędne, natomiast jednostki dewastujące przyrodę są natychmiast odłączane od zasobów świata i wysyłane na wycieczkę do Londynu, a w ekstremalnych przypadkach likwidowane. Jack twierdzi, że dzięki tej postępowej polityce udało się przywrócić stan środowiska naturalnego sprzed rewolucji przemysłowej.

Oprócz tego Jack rozповіда wszystkim, że jestem wampirem, więc nie można go nazwać najwiarygodniejszym źródłem informacji.

Kapsuła wznosi się do stratosfery. Przelatujemy nad Morzem Śródziemnym i Europą, kolebką starych cywilizacji. Niegdyś jeden z najbardziej zindustrializowanych terenów na Ziemi jest teraz gęstą połącją lasu w całości oddaną we władanie naturze. Wielkie miasta, międzyplanetarne lotniska i setki kilometrów dróg, wszystko to rozerwane na strzępy eksplozją zieleni i zdmuchnięte przez wiatr. Dostępne jedynie jako wirtualne rekonstrukcje, neurowspomnienia i symulacje, ku przestrodze kolejnych pokoleń.

Jack wyłania się z ciemności długiego korytarza łączącego przedziały pasażerskie z barem. Jest ubrany w elegancki, lecz

stonowany jednolicie granatowy strój, któremu daleko do falbaniastej bombastyczności epoki wiktoriańskiej. Tylko zadziornie zsuwający się do przodu wysoki cylinder, spod którego wygląda para zielonych oczu, nawiązuje do jego arystokratycznych pretensji. Ale Jack nie jest tu lordem. Jego władza kończy się wraz ze ścianą gęstej mgły, mimo że wszystkie osoby, do których zagaduje podczas naszej długiej podróży, zdają się wiedzieć, kim jest. Nonszalancja za to stanowi atrybut, którego ani prawo, ani przynależność terytorialna nie są w stanie go pozbawić.

Zaraz za Jackiem podąża stewardesa. Przeczesuje dłonią włosy, odgarniając bujną falę rudych loków z rozpromienionej twarzy. Nawet gdy przyjmuje zamówienie od pary starszych dżentelmenów trzy stoliki przed nami, wciąż rzuca w kierunku Jacka mimowolne spojrzenia.

– Była kolejka do kibla – tłumaczy się nasz towarzysz z piętnastu minut nieobecności. – Mogę wam coś zamówić? Whisky? Martini?  
– Spogląda na mnie. – Krew?

– Bardzo śmieszne – odpowiadam, wcale się nie uśmiechając.

Jack ląduje z impetem pośrodku szerokiej kanapy. Zarzuca dłonie na oparcie, obejmując nas i przysuwając do siebie, jakbyśmy byli co najmniej starymi, dobrymi przyjaciółmi, po czym zaczyna głośno perorować na temat zatrwających standardów publicznego transportu. Nieśmiało przypominam mu, że mój mózg rejestruje i pamięta absolutnie wszystko, także naszą rozmowę sprzed trzech dni, gdy spacerowaliśmy w ulewnym deszczu po ogrodzie, racząc się whisky i grając w golfa, podczas której długo ubolewał, że królowa Lys nie przepuści żadnej okazji, by go upokorzyć, dlatego nakazała mu podróżować kapsułami i zestrzeliłaby jego prywatny wahadłowiec, jeszcze zanim wszedłby w przestrzeń powietrzną Aurory. Lilo zaczepia przemykającą stewardesę i zamawia sok pomarańczowy. Jack, korzystając z okazji, natychmiast zmienia temat.

– Muszę wam coś powiedzieć. – Mówiąc to, ścisza głos. – Wszystko, co usłyszycie o mnie w Aurorze... będzie prawdą. Ale

chciałbym, żebyście nie wyciągali pochopnych wniosków.

– Przypominam ci, że nie jedziemy tam w celach turystycznych. Wywiązaaliśmy się ze swojej części umowy, teraz twoja kolej – mówi Lilo.

– Hej, za kogo wy mnie macie? – oburza się. – Ja zawsze dotrzymuję obietnic. I gróźb. A skoro już o tym mowa, tak sobie pomyślałem, że człowiek powinien wykorzystywać sprzyjające okoliczności, jakie podrzuca mu przewrotny los, prawda? Każdy z nas kiedyś dotrze do momentu, kiedy będzie mógł spojrzeć jedynie wstecz, i wiem, że wszyscy będziemy wtedy żałować tylko tych rzeczy, których nie udało nam się zrobić. Niewykorzystane sytuacje napawają mnie autentycznym przerażeniem. One i niekompletne użębienie. Już nawet samo wyrażenie jest straszne.

**NIEKOMPLETNE UŻĘBIENIE! Potworność!** – Przerywa na sekundę, by wyjąć naczynie z dłoni Lilo i wlać łyk soku do zaschniętego gardła. – Przyznam się wam do czegoś. Na początku nie przypadliście mi do gustu – oznajmia z rozbijającą szczerością. – Wydawaliście się tacy wyniośli, zdystansowani, jakby Londyn był dla was miejscem poniżej waszych standardów. Ale później zauważyłem, że atmosfera, którą tam stworzyłem, zaczyna się wam udzielać. Ja z kolei zacząłem rozumieć, że ludzie pochodzący z różnych środowisk mają prawo charakteryzować się kompletnie odmiennym postrzeganiem rzeczywistości. Nie wińcie mnie za moje uprzedzenia. Londyn jest wszystkim, co mam od bardzo dawna, i rzadko stamtąd wyjeżdżam, a odwiedzający nas ludzie nie wnoszą wiele do naszej świadomości kulturowej. Ale zauważyłem to! Pewne cechy, które każą mi sądzić, że możemy mieć wspólne cele, dzielić tę samą wizję.

– Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa...

– Wasze ciała są niemal niezniszczalne. Tam, gdzie mój drogi przyjaciel Hilarius dopatruje się cudu współczesnej technologii i ostatecznego triumfu człowieka nad śmiercią, ja dostrzegam wielką szansę zaoferowania komfortu niebytu tym, którzy już od dawna na niego zasługują, a wręcz go pragną. Wiedzieliście, że mój ojciec Oli

cierpi na depresję i od kilkunastu lat nie opuścił swojego pokoju? Lys zamieniła jego życie w piekło! Więc siedzi tam, pije i maltretuje instrumenty, wydając z nich dźwięki gotowe uśmiercać słuchaczy.

– Jack, pozwól, że ja też będę z tobą kompletnie szczerą – przerywam mu. – Jest bardzo konkretny powód, dla którego spędziłem ostatnie dwa tygodnie w żabocie i dałem sobie poderżnąć gardło. I tym powodem nie jest chęć rozwiązania twoich problemów rodzinnych. Plan był i wciąż jest bardzo prosty: ty wskazujesz nam Bibliotekę Snów, my pobieramy z niej interesujące nas dane, a później każdy rusza w swoją stronę. Może... powtarzam, może będziemy w stanie pomóc ci zdalnie, dezaktywując systemy bezpieczeństwa miasta, jeśli nadarzy się okazja, by się do nich włamać, ale nie traktuj tego jako obietnicę – mówię.

– (Rez!) – upomina mnie Lilo.

– (Oczywiście, że tego nie zrobimy. Ale im bliżej jesteśmy Aurory, tym bardziej puszcza ją mu nerwy. Nie ma co liczyć na jego pomoc, jeśli on nie będzie miał w tym żadnego interesu).

– Dobrze, już dobrze – mówi, podnosząc ręce w geście kapitulacji. – Ale jak już tam będziecie, skasujcie wszystkie wspomnienia dotyczące Lys.

– Niech tak będzie – odpowiadam po dłuższej chwili, wyciągając dłoń w jego stronę.

On chwyta ją mocno, wpatrując się we mnie parą zielonych ślepi błyszczących w sztucznym świetle kapsuły, i uśmiecha się, obnażając rzędy idealnie białych zębów. Oba kompletne.

– Wszystkie wspomnienia – powtarza, nie puszczając mojej ręki.  
– Ta dziwka to pomyłka dziejów.

Światła w kapsule ściemniają się. Zaczynamy opadać, wciąż pędząc w kierunku linii horyzontu narysowanej ostrym pociągnięciem pierwszych promieni nadchodzącego dnia. Nad naszymi głowami wybucha jasna łuna. Zaraz po niej kolejna. Zielone języki tańczą po rozgwieżdżonym niebie, zalewając nas falami koloru. Zorze odbijają się od ośnieżonych szczytów i ciągnących się między nimi przez setki kilometrów jednolitych

połaci skutego lodem świata. Pośród tej nicości, niczym dziura po uderzeniu meteorytu, goreje rozświetlona metropolia, majestatyczna i barwna niczym największe obiekty wszechświata namalowane gwiazdnym pyłem i szczątkami umierających gwiazd. Aurora mieni się w ciągu tych ostatnich sekund zimowej nocy tysiącem odcieni, przyćmiewając nawet zatrważający spektakl nad naszymi głowami. Osadzona w kolistym zagłębieniu symetryczna konstrukcja rozpycha się pośród niewdzięcznych lodów Arktyki. Ze szczytu jej najwyższej wieży wzbijają się w ciemność dwa snopy światła – sygnały latarni wskazujące zagubionym podróżnikom drogę ku bezpiecznej przystani. Nad okolicznymi górami dostrzegam żarzące się bladoniebiesko sferyczne obiekty zawieszono niczym księżycy wokół miasta-planety. To generatory zbierające energię z wnętrza Ziemi i przekazujące ją dalej do systemów zasilających Aurorę. Miasto potrzebuje mnóstwo mocy, bo wytwarza własną grawitację pozwalającą na umieszczenie budynków na skrajach krateru pod kątem prostym do właściwej powierzchni Ziemi. Im jesteśmy bliżej, tym wyraźniejsza staje się półprzezroczysta kopuła zamykająca metropolię w idealnej sferze. Jej zewnętrzna strona działa jak membrana, która wpuszcza do wewnątrz krystalicznie czyste powietrze, lecz powstrzymuje siarczysty mróz. Od wewnątrz jest ekranem uniezależniającym Aurorę od długich miesięcy zimowej nocy. Z moich wstępnych obliczeń wynika, że populacja wacha się w granicach osiemdziesięciu pięciu milionów osób. Więcej niż na Yggdrasil w pierwszych stuleciach podróży.

– *Home, sweet home* - mówi Jack, a w jego oczach rysują się prawdziwy podziw i tęsknota, skroplone do jednej łzy, której pozbywa się szybkim mrugnięciem powieki.

Pole siłowe przepuszcza nas do wewnątrz. Kapsuła zanurza się w światło. Opadamy powoli, otoczeni ze wszystkich stron przez wycelowane w nas błyszczące szczyty półprzezroczystych wież.

Pomimo filtrów ustawionych na czterdzieści procent nie sposób nie być pod wrażeniem.

– (No to mamy problem).

– (Wciąż utrzymujemy łączność z naszymi kapsułami. Orbita to śmietnik, jest pełna niedziałających satelitów, od których możemy łatwo odbić sygnały. Coś wymyślimy, Lilo) – uspokajam ją, choć sam nie mam żadnego pomysłu, w jaki sposób możemy choć na chwilę zniknąć z radarów w miejscu tak przesyconym technologią.

Gdy zmierzaliśmy na Ziemię, wyobrażałem sobie nas kopiących dziury w piasku.

Opadamy miękko na lądowisko, a załoga prosi o opuszczenie pokładu. Pojawiamy się na zewnątrz jako jedni z pierwszych. Skład powietrza jest doskonały. Nie zawiera absolutnie żadnych zanieczyszczeń. Jakby tego było mało, mimo że całe niebo zostało wypełnione kapsułami wolno sunącymi w kierunku pałacu, światła w oknach migoczą, a na powierzchni, poniżej platformy, wśród drzew, jezior i ruchomych ulic ciągnących się u podnóża wielkich konstrukcji, które przemieszczają masy ludzi, miasto nie wydaje dźwięków. Praktycznie słycać wiatr hulający nad naszymi głowami i śnieg zsuwający się ze zboczy krateru.

Przed nami pojawia się dziecko. Mała dziewczynka z grubym czerwonym warkoczem zaplecionym pionowo chwyta Lilo za rękę i uśmiecha się ciepło.

– Witajcie, Lilo i Rez. I ty też, Jacku Valentine. Zabiorę was wszystkich prosto do pałacu – oznajmia. – Święto Światła rozpocznie się za niecałą godzinę. Musimy was przygotować.

Nasze systemy nie są w stanie zidentyfikować w niej ani jednej cechy charakterystycznej dla ludzkiego organizmu. Nie ma DNA, układu nerwowego, receptorów ani narządów. Jest syntetycznym tworem zbudowanym ze sztucznych tkanek i obwodów łądząco przypominających prawdziwe, ale różniących się od nich na poziomie molekularnym. Wszystko, co mówi i robi, narzuca system centralny zarządzający nią zdalnie z bliżej nieokreślonej lokalizacji.

– Taksówka czeka – mówi, wskazując na ciemny, błyszczący pojazd unoszący się nad drugim końcem lądowiska, którego kształt nawiązuje do kształtu dwudziestopiętrowych limuzyn, jakimi niegdyś zwykli się wozić politycy, celebryci i gangsterzy.



Zaczynam odnosić wrażenie, że króluje tu moda retro. Ale z drugiej strony, gdyby przeanalizować dokładniej historię sztuki i wzornictwa, okazałoby się, że pewne kanony piękna są uniwersalne. Bardzo rzadko udaje się stworzyć kompletnie nową jakość. Przeważnie odbywa się to dzięki technologii, która umożliwia zastosowanie nowych materiałów i pokonanie pewnych ograniczeń, jakie wymuszały w designie kompromis. Koniec dwudziestego pierwszego wieku był dla motoryzacji momentem, w którym osiągnięto wolność od narzuconej formy. I co? Wystarczyło dziesięć lat zachłystywania się nieskrępowaną kreatywnością, podczas których wszystkie studia projektowe rzygnęły gęstym strumieniem potworności, po czym pokornie wróciły do sprawdzonej trójbryłowej formy.

Przemoc, podatki, narkotyki, refreny, brody, memy, steki, męskie koki, korupcja, pornografia, wieżowce, bekon i trójbryłowe nadwozia – pewne rzeczy będą z nami zawsze. To, co było stare, znów jest nowe. I tak w kółko przez wieki.

Wsiadamy do luksusowego wnętrza i unosimy się, włączając w powietrzny ruch. Błękitne niebo nad nami nagle znika, widzimy tylko głęboką ciemność nocy. Mrok wlewa się do środka krateru.

Gasną budynki na jego obrzeżach, czerń płynie ulicami i wspina się po wieżach, połykając kolejne piętra. Niebawem wszystko oprócz najwyższych szczytów i samego pałacu znika nam z oczu, jak szkic zalany atramentem przez niezdarnego rysownika.

– Światło jest najjaśniejsze, gdy otacza je ciemność – wyjaśnia dziewczynka, dostrzegając nasze zaskoczenie. – Co roku o tej porze wyczekujemy porannej gwiazdy. Królowa Lys otrzymuje dar światła i przekazuje go dalej.

– Pierdolenie – szepcze Jack spod cylindra spoczywającego na jego twarzy, znudzony, rozwalony w rogu limuzyny, na lekkim rauszu i ewidentnie próbujący choć na chwilę zasnąć.

– Rzecz jasna nie należy traktować tego dosłownie. To tylko symboliczny obrzęd, tradycja, która przetrwała przez wieki. W ten sposób wspominamy najczarniejsze chwile ludzkiego gatunku, gdy

chmury na dziesiątki lat przesłoniły słońce, a cała nadzieja zgasła. Pamiętamy o tych, którzy walczyli do końca z mrokiem i własnymi słabościami. Tylko dzięki ich odwadze i nieustępliwości jesteśmy tu dzisiaj.

– Mocne słowa jak na małą dziewczynkę-robotę.

– Oczywiście nie jestem człowiekiem, Jacku Valentine, ale potrafię identyfikować się z ludźmi i w pełni rozumiem ich uczucia. Można zaryzykować tezę, że niekiedy lepiej niż niektórzy ludzie.

– Ta złośliwość jest zaprogramowana? – pyta Jack, prostując się i chwytając cylinder w obie dłonie. W zaciśniętych palcach miętoli jego rondo.

– Nie, to własna inicjatywa – odpowiada i uśmiecha się ironicznie.

– A gdybym teraz otworzył drzwi i wypchnął cię na zewnątrz? – proponuje.

– Nie poczuję bólu.

Ciemność dogania nas dokładnie w momencie, gdy docieramy do pałacu. Cała Aurora oprócz niewielkiego fragmentu najwyższej wieży znika pod powierzchnią. Jeszcze przez chwilę nad naszymi głowami wiruje strumień latarni, ale on też gaśnie. Ściany taksówki rozsuwają się, pozostawiając nas zawieszonych w przestrzeni. Zaczynamy opadać przez próżnię.

– Jeśli się boisz, złap moją dłoń, Jacku Valentine – mówi dziewczynka. – Podążaj za moim głosem.

– Zamknij się już, ty mała, złośliwa...

Nasze stopy dotykają podłoża. Przez dłuższy czas tkwimy w absolutnej ciszy i mroku. Wszystkie fale wysyłane w przestrzeń znikają pochłonięte przez akustyczne filtry, do środka nie przenika żaden promień światła.

– (Nie jesteśmy tu sami).

Nasze kostiumy rozplývają się po ciałach, przechodząc w tryb walki.

– (To nie będzie potrzebne) – oznajmia kobiecy głos.

Zdaje się dochodzić zewsząd, ale jest skierowany tylko do nas.

Wybrzmiewa w naszych myślach.

Jak?

Po chwili kobieta odzywa się ponownie.

– Widzicie tę ciemność? Słyszycie tę ciszę? To mogliśmy być my. Pochłonięci przez nicość.

Wszyscy pochowani w mroku na zawsze. Dokładnie w tym miejscu pięćset lat temu historia człowieka prawie dobiegła końca. Tego dnia ludzkość stoczyła swoją najtrudniejszą walkę. Nie z żywiołami, które wysuszyły rzeki i gardła oraz zasłoniły niebo, tylko ze sobą. Arogancki, nienasycony zdobywca zawładnął wszystkim, a gdy nie pozostało już nic więcej, pożarł sam siebie.

Ale nie zgromadziliśmy się tu, żeby rozpamiętywać błędy i zasługi zmarłych. Ta chwila jest dla żywych, bo wciąż tu jesteśmy i wciąż możemy podejmować decyzje, które pozwolą nam trwać lub zamienią nas w pył. My – pauzuje, a jej głos odbija się echem od niewidocznych ścian, pędzi korytarzami, wypada z pałacu wprost na ulice i dociera do najodleglejszych zakątków miasta, a stamtąd w górę, do nieba, na którym pojawia się pierwsza poranna gwiazda – bo nikogo innego tu nie ma. Niech stanie się światłość!

Gwiazda eksploduje nad naszymi głowami, wysyłając w dół oślepiający promień. W jego wnętrzu, w miejscu zetknięcia z ziemią, pojawia się postać kobiety, przepięknej dziewczyny o jasnoblękitnych oczach i długich, niemal białych włosach, które unoszą się śladem jej ruchów, jakby były zanurzone w wodzie. Jej suknia jest uszyta jedynie z blasku. Bose stopy przesuwają się z gracją po niewidocznej podłodze. Kobieta podchodzi prosto do mnie, podnosi dłonie, chwyta moją głowę i przygląda mi się z ciekawością. Jej dotyk jest zimny. Spływa dreszczem wzdłuż kręgosłupa.

– (Przekaż światło dalej) – mówi, nie poruszając ustami, i odsuwa się do tyłu.

Moje ciało kawałek po kawałku wypływa z ciemności spowite bladą łuną, która rozlewa się od głowy przez ramiona po same stopy. Rozglądam się, by znaleźć pozostałych, ale wciąż nie mogę

dostrzec żadnego kształtu. Widzę tylko siebie, ją i Wenus błyszczącą na czarnym zimowym niebie.

Wyciągam rękę na oślep przez mrok, coraz dalej, aż wreszcie moje palce napotykają na inną materię. Chwytam kształt, który okazuje się dłonią, i on także nasycy się światłem. Lilo spogląda na mnie zaskoczona, a ja się zastanawiam, czy to był przypadek, czy sama wyszła mi na spotkanie.

Postanawiam nigdy jej o to nie zapytać.

Rozchodzimy się w przeciwne strony. Z mroku wyłaniają się kolejne osoby oraz regularne kształty podłogi, ścian, wysokiego sufitu i całej ogromnej, bogato przystrojonej sali, za oknami której powoli wstaje dzień. Dotknięcia, uściski i pocałunki przekazują energię kolejnym osobom, świetliste szlaki spływają w dół wieży, wzdłuż i wszerz miasta, które w okrzykach „Niech stanie się światłość!” budzi się do życia razem z nowym dniem. Zanim wiadomość o tym, że żyjemy, dotrze do każdej z osiemdziesięciu pięciu milionów osób w Aurorze, słońce ponownie dotknie horyzontu.

Do tego czasu wszyscy będą przygotowani na nadejście nocy.

Prawie wszyscy.

– Biedny, biedny Jack.

Królowa Lys przechodzi obok mnie i zatrzymuje się naprzeciw syna marnotrawnego, który jako jedyny nie został uwzględniony w celebracji, więc po prostu stoi tam, ledwie dostrzegalny, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Obserwuje znużonym wzrokiem cały ten festiwal szczęśliwości 1

zapewne z utęsknieniem wyczekuje momentu, w którym będziemy mogli wreszcie usiąść i napić się whisky. Ale ta chwila nie przyjdzie szybko. Jego matka, która wygląda, jakby mogła być co najwyżej jego siostrą, podchodzi i wyciąga ręce ku niemu. Jack przez chwilę się waha, ale wreszcie, uświadamiając sobie, że nie ma innej opcji, oddaje się w jej objęcia. Jego coraz jaśniejsze dłonie wiszą obojętnie wzdłuż ciała. Lys zawiesza się na nim i szepcze do ucha: – Bądź grzeczny, synku.

\*

Czterech ubranych na czarno mężczyzn wnosi do sali balowej gigantyczną bryłę lodu z chirurgiczną precyzją wyciętą z serca Arktyki i ostrożnie ustawia ją na podeście umieszczonym na środku.

Błękitna pamiątka sprzed miliona lat błyszczy i powoli roztapia się wśród przekrzykujących się gości, uwalniając powietrze zamknięte w jej wnętrzu, które ostatni raz swobodnie unosiło się podczas apogeum epoki lodowcowej. W moim ręku ląduje bezalkoholowy drink złożony jedynie z wody w dwóch stanach skupienia. Kostka lodu pęka z trzaskiem. Spoglądam na Jacka. Jego twarz wyraża zdegustowanie zmieszane z tępym osłupieniem. Bezceremonialnie wylewa zawartość diamentowej szklanki na podłogę. Jednolicie biała posadzka natychmiast pochłania płyn do ostatniej kropli, podobnie jak wcześniej połknęła światło.

– Ze wszystkich terminów określających najbardziej przerażające zjawiska we wszechświecie zestawienie słów „ impreza ” oraz „rodzinna” z pewnością jest jednym z najgorszych – mówi do mnie, zanim się oddala w bliżej nieokreślonym kierunku.

Odziany w czerń dżentelmen, który pomagał wnieść tu bryłę, podchodzi do Lilo. Przedstawia się jako Agast. Jest z zawodu influencerem, jednym z czterech, jacy pracują w tym mieście. Jego zadaniem jest wpływanie na opinię publiczną i stymulowanie aktywnego uczestnictwa społeczności w życiu metropolii. Aurora to ultrademokracja, w której każdy może wyrazić swoją opinię i mieć realny wpływ na wszystkie jej aspekty, od kluczowych elementów, takich jak zasady definiujące życie we wspólnocie, przez rozwijanie technologii i programy rozrywkowe po tematy czysto kosmetyczne, jak rodzaj pogody czy kolor zachodu słońca, który zostanie wyświetlony na wewnętrznej powierzchni kopuły. W tym roku prawdziwą trudnością było przekonanie społeczności, by opowiedziało się za bezalkoholowym menu, ale wystarczyło systematycznie odwoływać się do tradycji rodzinnych oraz podać kilka negatywnych przykładów nadużycia napojów wyskokowych,

o które nietrudno w kanałach transmitujących obsceniczne wybryki mieszkańców z Londynu, by zredukować do zera ilość rekreacyjnych substancji odurzających.

Zdaniem Agasta demokracja jest najbardziej niebezpiecznym, ale także jedynym słusznym ustrojem, o ile uda nam się przewyciężyć apatię wyborczą wynikającą z niewiary w zmianę oraz zadba o wystarczający poziom świadomości społeczeństwa. Oczywiście nastroje trzeba kreować, a na niezdecydowanych wpływać, ale w tym już jego głowa. Fascynujące.

Tak samo jak fakt, że mówi Lilo to wszystko, sącząc czystą wodę ze szklanki.

Ale jego umysł sam jest pod wpływem dużo mocniejszego, naturalnego narkotyku.

Mezolimbiczny szlak dopaminergiczny aż iskrzy, wysyłając przez ciało fale ciepła, ilekroć spotykają się ich spojrzenia.

– (A ty jak się bawisz, Rez?) – pyta Lilo, doskonale wiedząc, że przysłuchuję się ich rozmowie.

– (Mam ochotę wyjść stąd i wrócić za dwieście pięćdziesiąt lat, jak już wszyscy zdechną) – odpowiadam, bacznie obserwując Lys, ale nie dostrzegam u niej żadnej reakcji.

Słyszymy jej myśli, więc istnieje szansa, że i ona słyszy nasze. Wciąż nie wiemy, jak to możliwe.

Być może sygnał został puszczony na wszystkie pasma, w nadziei, że go odbierzemy. To zawsze bardziej optymistyczna opcja niż to, że Aurora włamała się do naszych obwodów. Gdyby tak się stało, Lys wiedziałaby już dokładnie wszystko, od planu odnalezienia Biblioteki Snów po moje kompromitujące wspomnienia z dzieciństwa, które sprawiły, że stałem się wiecznie gadającym do siebie introwertykiem niezdolnym do nawiązania głębszej więzi emocjonalnej z kimkolwiek poza moim największym i jedynym przyjacielem: Lilo.

W sumie nie wiem, co gorsze.

– (Yggdrasil może nie mieć tyle czasu) – stwierdza Lilo i ma absolutną rację.

Lys chwilowo robi sobie przerwę od wygłaszania długich, nijakich zdań, którym trudno przypisać konkretne zabarwienie emocjonalne, bo są jedynie po to, by podtrzymać rozmowę z kolejną z osób tworzących wokół niej małe zbiegowisko. Każdy pragnie zamienić z królową choćby słowo, a najlepiej zarejestrować wspomnienie i pokazać je rodzinie, która została w domu i oczywiście śledzi obchody Święta Światła na żywo, ale z pewnością doceni relację z pierwszej ręki i „ech, jaka pani piękna, żaden pośredni przekaz nie odda blasku bijącego od tej młodej, ślicznej twarzy”.

– Zell, Aria, chodźcie, to wasza wielka chwila – mówi Lys, przywołując dwójkę maluchów. Te, onieśmielone tłumem, światłem i świadomością, że gapi się na nie praktycznie cały cywilizowany świat, niechętnie podnoszą się ze swoich krzesełek i drepczą w kierunku wielkiego czarnego instrumentu wyłaniającego się powoli z podłogi. – Szanowni państwo, przedstawiam wam moich młodych artystów. To już część tradycji, że nasza skromna celebrecja staje się okazją, by nacieszyć oczy także niektórymi z naszych ziemskich gwiazd. Zell i Aria wykonają dziś dwa starożytne utwory w całkowicie nowych aranżacjach. Będą to *Jack i Jill* oraz *Most londyński wali się*. Przygotowywali się do tego występu naprawdę długo, więc duże brawa za odwagę.

Chłopiec wskakuje na krzesło, które unosi go ponad podłogę. Jego jasna czupryna jest ledwie widoczna zza masywnego instrumentu, a ręce sięgają jedynie najbliższych klawiszy. Influencer Agast na chwilę zostawia Lilo, by pomóc dziewczynce ułożyć się wygodnie na błyszczącej głęboką czernią powierzchni fortepianu. Wśród niesłabnących oklasków i ochów rozbrzmiewają pierwsze nieśmiałe uderzenia w klawisze instrumentu. Dziewczynka bierze oddech, przez chwilę przebiera nogami w powietrzu. Nie udaje jej się wejść z pierwszą zwrotką. Jedynie surowe spojrzenie Lys powstrzymuje Arię przed zeskoczeniem na ziemię i rzuceniem się w tłum, z dala od całego tego *performance'u*. Chłopiec za to wali w instrument z coraz większą siłą i pewnością, trafiając otwartymi

dłońmi w sąsiadujące klawisze i myląc melodię. Jak na prawdziwe zwierzę sceniczne przystało, stawia siłę ekspresji i autentyczność emocji ponad rytm, czystość, technikę i inne dyrdymały. Dziewczynka wchodzi w połowie taktu i zwrotki, ale nie pomija najważniejszego fragmentu. „Jack spadł z góry i połamał swą koronę” – wydiera się wniebogłosy kompletnie niewyćwiczonym głosem, w którym słychać treść balansującą na granicy zapowietrzenia. Bez pauzy czy zmiany aranżacji rozpoczyna się kolejny utwór. „Lost mondyński wali się, wali się, wali się...”, śpiewa, odnajdując w repetycji tekstu cień utraconej pewności siebie. Chłopiec używa już wyłącznie zaciśniętych pięści i wysyła w naszą stronę pojedyncze eksplozje hałasu.

– (Ja pierdolę, co za kakofonia).

– (Testujesz łączność z Lys czy to twoja wewnętrzna recenzja?)

Zanim zdążę odpowiedzieć, występ szczęśliwie dobiega końca. Brawa nie słabną przez kilka minut. Lys się uśmiecha, czochra maluchy po jasnych czuprynach i przypomina, by ponownie się ukloniły w kierunku gości po lewej, a następnie po prawej. Agast wyjaśnia Lilo, że wynik wynoszący osiemdziesiąt cztery procent pozytywnych głosów podsumowujących występ to zasługa świetnie opracowanych materiałów z prób przedstawiających głównie dużo gorsze wykonania, które przygotowały widzów na totalną klęskę, a tymczasem otrzymali solidny występ. Dzieciaki znikają w tłumie, zanim królowa zdąży zaproponować bis.

\*

– Słyszał pan o Bibliotece Snów?

Jej słowa wybrzmiewają w ciszy, tuż za moimi plecami, dokładnie w momencie, gdy próbuję odwrócić wzrok od panoramy rozświetlonego miasta i zejść z tarasu widokowego z powrotem na imprezę. Jak na zawołanie balkon się opróżnia. Zostajemy zupełnie sami – tylko Lys, ja i ciemniejące ponad kopułą niebo. Aleja nie przyszedłem tu podziwiać widoków. Od dobrych dwudziestu minut



próbuję znaleźć Jacka, który zapadł się pod ziemię i być może jest już w wahadłowcu, w połowie drogi do Londynu. Alkohol w jego krwiobiegu przyspiesza proces zapominania o wszystkim, co tu dzisiaj zaszło, stewardesa nachyla się, nalewając kolejnego drinka, a turbulencje sprawiają, że się potyka i ląduje dekoltem wprost na jego twarzy. I czym my wywabimy teraz tę plamę ze spodni?

Lys podchodzi bliżej i staje przy samej krawędzi tarasu. Jej lewitujące włosy opływają mnie z tyłu i dotykają mojej szyi swoimi ostrymi jak igły końcówkami.

– To miejsce, gdzie zgromadzone są wszystkie wspomnienia wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli – odpowiadam. – Co ciekawe, proces rejestracji wspomnień został wynaleziony kompletnym przypadkiem, gdzieś w połowie dwudziestego pierwszego wieku. Ówcześni specjaliści od neuroinżynierii chcieli odtworzyć nigdzie niezarejestrowany koncert lokalnego gangstera, który zginął w zamachu. Z czasem pojawiły się instrumenty wystarczająco czułe, by wychwytywać i interpretować fale z powietrza, a dzięki opracowaniu obwodów usprawniających pracę mózgu i bionicznych zabezpieczeń chroniących dane rejestrowanie wspomnień stało się codziennością.

Oczywiście dla wielu nagrywanie życia było moralnie nieakceptowalne, uznano je za naruszenie prywatności, ale przeważał praktyczny aspekt pamięci absolutnej oraz to, że każde zarejestrowane wspomnienie miało indywidualną neurologiczną sygnaturę, niemożliwą do podrobienia, i mogło być traktowane jako dowód. Historia jednak wielokrotnie nam udawadniała, że nie ma zabezpieczeń, których nie da się złamać. Nikomu nigdy się nie udało jednoznacznie potwierdzić ani obalić tej tezy, ale według wielu całkiem wiarygodnych źródeł podobno gdzieś na Ziemi znajduje się miejsce, do którego trafiły wszystkie nasze grzechy. Jestem ciekaw, czy ktoś je ogląda.

– Widzę, że jest pan doskonale przygotowany – mówi, nie odrywając wzroku od wylewających się na ulicę błyszczących tłumów w dole. – Proszę mi powiedzieć, czego tak naprawdę tu

szukacie?

– Zwiedzamy Ziemię – odpowiadam po prostu.

– Więc mam uwierzyć, że Yggdrasil wysłał was tu na wycieczkę krajoznawczą? A może to zwiad?

Planujecie ofensywę? Zateśkniliście za domem? Skończyło wam się paliwo?

– Zapewniam Waszą Wysokość, że Yggdrasil nie ma żadnego zamiaru wracać na Ziemię.

– Jestem królową Aurory i odpowiadam za jej bezpieczeństwo, stąd moja dociekliwość.

– To zrozumiałe. Ale nie ma powodów do obaw. To misja pokojowa. Straciliśmy kontakt z naszą planetą bardzo dawno temu. Jesteśmy tu, by ocenić jej obecny stan i dowiedzieć się, co się zmieniło przez wieki. Nie mamy ukrytego motywu. Jedynie czystą, szczerą ciekawość.

– W takim razie Biblioteka byłaby doskonałym rozwiązaniem!

– Gdyby tylko istniała – mówię, pobrzękując kostkami lodu na dnie pustej szklanki.

– Więc nie wierzy pan w to, że od wieków ktoś włamuje się do głów wszystkich mieszkańców?

– Tego akurat nie byłbym taki pewien. Ludzkość jest zdolna do wszystkiego. Dosłownie wszystkiego.

– Na przykład zniszczenia planety...

– Tak.

– ...i pozostawienia wszystkich tych, którzy nie mieli wystarczająco dużo pieniędzy lub wystarczająco dobrych znajomości, na pewną śmierć – kończy, przeszywając mnie na wylot swoim arktycznym spojrzeniem.

– Nie jesteśmy dumni ze wszystkiego, co zrobili nasi przodkowie – mówię.

Lys zbliża się do mnie. Jej włosy opływają porcelanową twarz, nadając jej prawdziwie demoniczny wygląd.

– Dlatego może niektóre rzeczy lepiej puścić w niepamięć – stwierdza, energicznym ruchem wyszarpując z mojej dłoni pustą

szkłankę. – Wydaje mi się, że zaschło panu w gardle – dodaje i oddala się w kierunku topniejącej bryły lodu, rytmicznie bujając tyłkiem opiętym świetlistą luną.

Tłum się rozstępuje, gdy wolnym, ale zdecydowanym krokiem sunie przez sam środek, kilka milimetrów ponad podłogą, wciąż ściągając na siebie wszystkie spojrzenia. Takie widoki chyba nigdy się nie nudzą.

– (Ona wie wszystko) – mówię, będąc absolutnie pewnym, że jesteśmy w Aurorze tylko dlatego, że Lys zażyczyła sobie stanąć z nami twarzą w twarz.

Jej władza sięga daleko poza mury tego miasta. To nie może być przypadek, że tak szybko znaleźliśmy się na progu Biblioteki Snów. Pokierowała naszymi krokami i zwabiła do siebie.

– (W takim razie musimy działać, Rez. Nie ma czasu do stracenia).

Nie musi mi tego mówić. Ani nawet myśleć. Ale wciąż potrzebujemy Jacka i dobrego planu. Choć najbardziej Jacka. Bo zawsze możemy to zrobić w starym dobrym stylu – uzbroić kombinezony i przedzierać się piętro po piętrze. Tylko musimy wiedzieć, w którą dokładnie stronę się udać.

– Pańska woda.

Lys staje przede mną i wręcza mi szkłankę wyciosaną z ogromnego kawałka diamentu wydobytego z asteroidy. Ale zanim zdążę się odruchowo uśmiechnąć, być może nawet zdobyć się na kilka słów uprzejmości, które będą pretekstem do rozpoczęcia kolejnej rozmowy polegającej na przerzucaniu się aluzjami i prowokowaniu drugiej strony, by lepiej wyczuć jej intencje, moją uwagę odwraca postać w cylindrze krocząca niepewnie w naszym kierunku.

– Matko! Założę się, że nie wszyscy tu obecni widzieli cię w akcji! – wykrzykuje Jack z drugiego końca sali, zataczając się i wydymając zakolczykowaną wargę.

Postanawiam nie czekać, aż przejdzie do dokładnego opisu sceny. Czym prędzej zgarniam go z widoku i wierzgającego, trzęsącego się

prowadzę w ustronne miejsce, uprzedzając nieuchronną reakcję ze strony przemykających pomiędzy gośćmi, zawsze czujnych influencerów. Jack jest kompletnie naćpany, jąka się, ślini i z jakiegoś powodu nazywa mnie „mzungu”, ale to nie problem.

Chwytam go mocno za głowę i potrząsam. Chwilę później spogląda na mnie bez zrozumienia. Jego zielone oczy są wytrzeszczone i zupełnie trzeźwe.

– Oddawaj fazę! – mówi.

– Mamy robotę. Którędy do Biblioteki?

– Dwieście czterdzieści dziewięć piętér w dół, a później w lewo, ale nie dostaniemy się tam.

Część prywatna pałacu jest dziś wyjątkowo dobrze chroniona. Kto by pomyślał, co? Wiesz, ile kombinowania kosztowało mnie załatwienie materiału w tym mieście? Na szczęście mam tu też swoich fanów, którzy bardzo nie chcą trafić do Londynu. Szkoda tylko, że nie mogłem się tym zbyt długo nacieszyć, Rez. – Opróżnia szklankę jednym łykiem, po czym stwierdza zde gustowany: – Co za gównó.

A ja wpadam na najgorszy pomysł.

– Będziemy potrzebowali więcej twoich rozweselaczy – mówię mu.

– Nie rozumiem cię, lordzie Rez. Najpierw pozbawiasz mnie jedynej pozytywnej rzeczy na tej nudnej jak kupa imprezie, a teraz chcesz ze mną przygrzać?

– Nie tylko ja, Jack – odpowiadam, kierując jego wzrok ku topniejącej bryle lodu.

Spogląda przez ramię, a gdy odwraca się ponownie w moją stronę, na jego twarzy gości szeroki uśmiech.

\*

Dwa gramy czystego tetrahydrokannabinolu, siedemdziesiąt pięć granulek meskaliny, pięć arkuszy naprawdę mocnego kwasu, solniczka pełna koki, dwa tuziny tabletek zawierających azotyn

izoamylu, garść surowego opium oraz cała galaktyka przyspieszaczy, spowalniaczy, rozweselaczy i zamulaczy w ciągu godziny trafia z ulic Aurory do naszych rąk, a stamtąd prosto do systemu regulującego obieg wody wokół topniejącej bryły prehistorycznego lodu. Lilo kończy natchnione przemówienie słowami: – Dziś, gdy stoję tu pośród was, otoczona muzyką i radością, na szczycie wspaniałego miasta, które udowadnia, jak wiele ludzie są w stanie osiągnąć, żyjąc w zgodzie, wiem, że nasi przodkowie popełnili błąd. Odlatując stąd, nie porzucili jedynie Ziemi, ale także ważną część siebie, tę, która zawsze wierzyła, że potrafimy być lepsi. Zamiast przyznać się do błędu i próbować go za wszelką cenę naprawić zaakceptowali swoją destrukcyjną naturę i stworzyli sztuczne środowisko gotowe wytrzymać wszystkie przejawy ich ambicji. W tym samym czasie wy zostaliście tu i zrobiliście wszystko jak należy. Ziemia jest piękna i warto o nią walczyć do końca. Dziękuję, że ktoś nam o tym przypomniał.

Zanim brawa eksplodują na dobre, Jack zdąży jeszcze zachęcić wszystkich toastem do wypicia za zdrowie Lilo.

– Wolałbym, żebyś zachował kontakt z rzeczywistością – komentuję jego zmagania z drugim koktajlem.

– Mam naprawdę wysoką tolerancję. Chodźmy.

Korzystając z zamieszania, wymykamy się tylnym wyjściem i ruszamy w kierunku wind.

Najstarsza część pałacu królewskiego to autentyczna XXIV-wieczna posiadłość wybudowana ze szkła, kamienia i drewna, jedynych łatwo dostępnych materiałów podczas światowego kryzysu klimatycznego. Nieregularna, wręcz prymitywna konstrukcja przypomina kształtem bardziej wiktoriańskie wille niż współczesne organiczne formy. Z małutkimi oknami i grubymi, nieprzezroczystymi ścianami, zamknięta w całości we wnętrzu lekkiej, zalanej światłem konstrukcji współczesnej siedziby rodziny królewskiej wygląda jak bunkier, jak błąd, szkic wykonany na brudno, który ktoś zapomniał schować pod grubą warstwą błyszczącej farby.

– W dzieciństwie mieszkaliśmy tam – mówi Jack, wskazując przez podłogę ledwie widoczny w dole, splekany od słońca dach budynku. – Moja matka bardzo chciała, abyśmy nigdy nie zapomnieli o tym, że przeszłość była prawdziwa.

– Co się z nią stało?

– Zmarła. Została zastąpiona. Czy to ważne?

– Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz.

– Nie chcę. Cholera! – wykrzykuje, zatrzymując się nagle na środku korytarza.

– Co jest? Coś się stało?

– Kurewstwo jest mocne – odpowiada, uśmiechając się, po czym rusza, wciągając nas głębiej w przezroczysty labirynt.

– (Jak tam na górze?) – pytam Lilo.

– (Chyba musisz to zobaczyć) – odpowiada, przesyłając mi podgląd – (i usłyszeć).

Królowa siedzi na fortepianie ze skrzyżowanymi nogami i buja się w rytm melodii. Za klawiaturą spocony Agast ze wzrokiem kompletnego szaleńca improwizuje utwór składający się z dwóch przeplatających się dźwięków, do którego Lys wymyśla słowa jak leci. Rapuje o tym, że życie to dziwka, a później umierasz, dlatego ważne jest tylko to, co masz teraz, Matko Ziemi, któraś pod naszymi stopami, wstaw się za nami teraz i zawsze, gdy przeginamy, usłysz nasze głosy, wiemy, że jesteśmy tu sami, uświadomiliśmy to sobie, ale nie wejdziemy łagodnie do tej dobrej nocy, nie uciekniemy do gwiazd, gdy światło się mroczy, będziemy tu siedzieć i palić konopie. Cała sala powtarza ostatnie zdanie jak mantrę. Ci, którzy nie są przekonani, wychodzą, ale na ich miejsce napływają tłumy zwabione niecodziennymi transmisjami z pałacu królewskiego, w którym klimat sztywniackiej, przesyconej frazesami celebracji wielkości ludzkości zamienił się niepostrzeżenie i całość przypomina teraz pełnoprawną domówkę z wojną na jedzenie i konkursem *freestyle* u. Na chwilę obecną sześćdziesiąt dziewięć procent społeczeństwa jest zadowolone z takiego obrotu spraw, ponad dziewięćdziesiąt trzy procent nie

spodziewało się nagłej zmiany, jedenaście procent wyraża zaniepokojenie, a tylko dwa procent uważa, że Lys nie powinna próbować swoich sił w na szybko zaimprovizowanym konkursie tańca na rurze, do którego Agast bardzo gorąco namawia także Lilo.

– (Wierzymy w ciebie, laska. Daj znać, jak ci poszło).

– (Bardzo zabawne. Lepiej się streszczajcie, zanim euforia zamieni się w paranoję i zaczniemy odtwarzać tu sceny z zagłady Ziemi. Przeanalizowałam skład wody i jak tak dalej pójdzie, to, cytując Jima, nikt nie wyjdzie stąd żywy).

– (Bardzo lubię ten utwór).

– (Ja też bardzo lubię pewien utwór i jak się nie pospieszysz, powiem ci, kto go nagrał).

– (To akurat jest chwyt poniżej pasa).

– (Pierwsza litera to T).

– (Już, już...) – uspokajam ją.

Wskakujemy do środka tuby próżniowej i lądujemy jeden poziom nad pałacem. Z tej perspektywy wydaje się ogromny – trzy skrzydła zbudowane na bazie trójkąta z centralną wieżą pośrodku, wokół systemy bezpieczeństwa, czujniki materii i pole siłowe, z którymi według Jacka nie powinno być żadnego problemu.

– Spędziłem tu całą młodość. Jeśli myślisz, że jest lepsze miejsce na tym świecie na romantyczne rozmowy i tracenie dziewictwa niż taras widokowy na ostatnim piętrze, to jesteś w błędzie.

Zostawiłem sobie kilka uchylonych furtek – wyjaśnia.

Co nie zmienia faktu, że musimy jeszcze poradzić sobie z dwudziestoma ochroniarzami patrolującymi parter. Na szczęście całą ich uwagę pochłania w tym momencie rozśpiewany, ujarany, wlewający się z każdej strony tłum. Choć pałac rodziny królewskiej jest zawsze otwarty dla mieszkańców Aurory, nigdy nie widziano tu takiej frekwencji, zwłaszcza na Święcie Światła.

– Jeszcze momencik. – Jack siedzi na podłodze z zamkniętymi oczyma, przekopując system w poszukiwaniu odpowiednich kluczy, i buja się do wewnętrznego rytmu nasilającej się fazy. – Mam!

Podłoga pod nami znika i zaczynamy spadać, uderzamy

w położony dziesięć metrów niżej drewniany dach i lądujemy z hukiem na twardych deskach poddasza. Wśród wirującego pyłu, kurzu, rupieci i sypiących się z sufitu trocin dostrzegam spoglądającą na mnie replikę Statui Wolności. Moja głowa przeleciała milimetry obok pochodni. Jack leży z drugiej strony. Odzyskuje przytomność i rozgląda się po zagraconym strychu.

– No to miałeś szczęście – mówi.

Nawet tego nie komentuję. Wyłączam dopływ impulsów ze złamanych żeber, dając im czas na regenerację, podchodzę do Jacka i pomagam mu wstać. Jest szansa, że w całym tym zamieszaniu ochroniarze nie usłyszeli naszego wielkiego wejścia. W przeciwnym wypadku za chwilę zrobi się tu tłoczno od uzbrojonych, genetycznie podrasowanych, nieodczuwających bólu nadludzi, których będę musiał w pojedynkę spacyfikować, co mocno pokrzyżuje nam plany. Jeszcze przez chwilę nasłuchujemy odgłosu ciężkich kroków na skrzypiących podłogach, ale nikt nie nadchodzi.

– (Jak na górze?) – pytam.

– (Wygrałam).

Ruszamy w dół spiralnych schodów, pokonując po trzy stopnie, a później pędzimy przez ciasne korytarze, przeskakując nad przewróconymi meblami i strącając z wytapetowanych ścian obrazy w ciężkich ramach. Cała posiadłość to jedno wielkie muzeum wypełnione rozrzuconymi gdzie bądź relikami przeszłości i przykryte grubą warstwą kurzu.

– Gdy Ziemia się paliła, ludzie ratowali, co się dało. Później to wszystko trafiło tu – wyjaśnia Jack. – Gdybyś mógł zabrać ze sobą tylko jedną rzecz z płonącego domu, co by to było?

– Nic – odpowiadam, z jakiegoś powodu myśląc o rubinowym fragmencie kosmicznej skały, który dostałem od Lilo w dniu awansu na pierwszego oficera. – To tylko przedmioty.

– Kiedyś znalazłem tu kask, który po założeniu na głowę sprawiał, że mogłeś spojrzeć na świat z perspektywy kozy. Dałbym wiele, żeby poznać człowieka, który uznał to za najbardziej wartościową rzecz w swoim życiu.



– Ja chyba nie. Daleko jeszcze?

– Dotarliśmy do głównego hallu – odpowiada, rozsuwając masywne drewniane wrota.

Za nimi znajduje się zacieniona przestrzeń. W oknach wiszą podarte, ciężkie od kurzu zasłony przepuszczające jedynie wąskie strumienie światła, w których tańczy pył. Całe pomieszczenie jest symetryczne z dwiema klatkami schodowymi biegnącymi do góry szerokimi łukami, trzema parami drzwi z każdej strony i wielkim, zgaszonym żyrandolem umocowanym na grubym łańcuchu, którego drugi koniec znika w ciemnościach pod wysokim sufitem.

– Czujesz to? – pyta Jack, zaciągając się głęboko. – Tak pachnie historia świata.

– Pleśń, kurz i mokre drewno?

– To moje wspomnienia. Kiedyś nienawidziłem tego miejsca, ale teraz uważam, że to jedyne, po co warto tu wracać. – Kieruje się do najbliższych zamkniętych drzwi. – Tu zawsze będę miał swój własny...

I je otwiera. Jestem wystarczająco blisko, by zauważyć, jak cała ta podkrecona dragami nostalgia znika w sekundzie, zastąpiona czystym, palącym gniewem. Jack przygryza kolczyk, prawie wyrywając go sobie z dolnej wargi, i ciężko wypuszcza powietrze z płuc, bez sił i woli. Kolejna syntetycznie wywołana fala wymuszonej szczęśliwości ratuje sytuację w ostatniej chwili.

Za otwartymi przez niego drzwiami nie ma nic. Dosłownie. Tylko jednolita, oślepiająco biała przestrzeń. Wygląda jak brama do innego wymiaru, fragment rzeczywistości, który ktoś zapomniał wypełnić treścią.

– To był twój pokój? – zgaduję.

Jack nie odpowiada. Podchodzi do sąsiadujących drzwi i otwiera je, by ujrzeć identyczne pomieszczenie.

– Ten był mój – odpowiada. – Obok mieszkała mama.

Nie wiem, co mu powiedzieć. Chyba tylko tyle, że musimy się zbierać, bo sytuacja szybko wymyka się spod kontroli. Lilo przed chwilą dała mi znać, że na górze pojawili się medycy, którzy

reanimują syna królowej po tym, jak z wymiotował na siostrę i stracił przytomność. Lys nie przejmuje się tym zbyt i żąda rewanzu w konkursie. Kilka osób zaczęło się obnażać, a jeden z influencerów wyskoczył z tarasu, próbując się dostać do sąsiedniego budynku, ale przeżył. Łód już prawie cały stopniał, ale dekretem królowej odwołano prohibicję i na sali pojawiły się drinki, co powinno kupić nam trochę czasu.

Trzecie drzwi są zamknięte. Jack zaczyna walić w nie pięścią z całej siły.

– Oli, jesteś tam?! – wydziera się mimo moich próśb, by się uspokoił – Czy ta dziwka ciebie też skasowała? Tato?

– Jack! – Próbuję przywołać go do porządku, ale on nie odpuszcza. Podnosi z ziemi ciężkie zdobione krzesło i bierze zamach. W tym samym momencie drzwi się otwierają. Mebel przelatuje centymetry obok głowy starszego, brodatego mężczyzny odzianego w podarty szlafrok i wpada z trzaskiem do środka.

– No nareszcie! – wykrzykuje starzec, klaszcząc w dłonie. – Ile jeszcze miałem na was czekać?

Mężczyźni padają sobie w objęcia i zostają tak przez dłuższą chwilę. Słysząc jedynie dobiegający z zewnątrz jednostajny pomruk tłumu.

– A ty... – zwraca się do mnie po dłuższej chwili. – Czy to możliwe? Williamie, to naprawdę ty?

Nie odpowiadam. Spoglądam na Jacka. Jack wzrusza ramionami. Mimo moich niemych i coraz mniej dyskretnych protestów wchodzimy do środka zagraconego salonu. Wszędzie walają się sterty książek i instrumenty muzyczne, okna i ściany są wyklejone kartkami pokrytymi nieznanym mi językiem, dopiero po chwili baza wiedzy identyfikuje symbole jako zapis nutowy i odtwarza kilka zaobserwowanych fragmentów. Są świetne. Na podłodze leżą rozrzucone resztki jedzenia i puste naczynia po trunkach. Wszystko to doprawione bladym blaskiem kilku świec i ciężkim zapachem nieruchomej starości. Ojciec Jacka pokazuje nam, byśmy zajęły miejsce na kanapie w rogu pokoju, podnosi z ziemi wrzucone tu

krzesło i rozsiada się w nim wygodnie, chwytając do ręki gitarę.

– Historia muzyki zatacza kręgi – mówi. – Od kiedy pierwotny człowiek po raz pierwszy usłyszał bicie własnego serca i poznał rytm, zrozumiał, że dźwięk daje życie. Z tej jednej wnikliwej obserwacji wyrasta cała historia muzyki. Z czasem prymitywne konstrukcje przybrały na złożoności, zmieniły się w wielkie improwizacje, które z kolei zostały zdekonstruowane do ciszy, by w następnej epoce powrócić jako jeszcze szybsza i bardziej złożona wersja siebie, która z kolei znów została uproszczona i podana w bardziej przystępnej formie. Problem z muzyką jest taki, że wszystko, co wartościowe, powstało do końca dwudziestego wieku. Reszta to wtórne gównno – podsumowuje.

Jack bierze ze stolika obok karafkę z whisky i trzy szklanki. Oliver odmawia ledwie zauważalnym ruchem głowy i dostrajając gitarę, kontynuuje wywód.

– Ustalmy jedno: muzyka popularna została stworzona dla idiotów, którzy nie lubią muzyki. Nie wywołuje emocji, jest przewidywalna, powtarzalna i dlatego uwielbiana. To bezpieczne miejsce, do którego wracamy, by poczuć komfort po kontakcie z nieokiełznaną i niezrozumiałą rzeczywistością.

Tam zawsze czekają na nas ciepłe kapcie, wygodny fotel i kubek pełen gównianych refrenów.

Problem muzyki to problem człowieka. Jego służalczej, strachliwej natury, która nie lubi być wystawiana na próbę, która pragnie spokoju, przewidywalności i repetycji. Ale sztuka – przerywa, uderza dłonią w struny – sztuka ma nas złapać za uszy i wytarosić, ma bić po twarzy, kopać i krzyczeć: „Co ty, kurwa, robisz?! Kim ty, kurwa, jesteś?! Dlaczego tu jesteśmy?! Jaki jest sens tego wszystkiego?!” – wydziera się, grając ciężki riff. – Ale tak nie jest, bo ktoś wziął tę sztukę, to dzięki zwierzę, i zamiast pozwolić mu się pożreć wyrwał mu wszystkie zęby, obciął pazury i oswoił.

Paralizujący strach przed poznaniem to prawdziwa tragedia człowieka. Rozumiecie to wreszcie?

Jack nalewa sobie kolejną szklanę. Ja spoglądam na niego ze zniecierpliwieniem, ale on wciąż mnie ignoruje. Trwamy dalej w tej surrealistycznej scenie.

– Zagram dla was mój pierwszy utwór. Pierwszy i ostatni, bo już więcej nic nie stworzę. Swoją karierę muzyczną zacząłem od końca – debiutanckim albumem *the best of*, a później przez całą wieczność wracałem do korzeni. Nawet nie pamiętam, kto napisał do tego tekst ani co on znaczy.

To wszystko i tak jest gównieście warto.

– (Rez, mamy problem).

– (Nie teraz, ojciec Jacka daje nam prywatny koncert. Słyszysz to? Ten kawałek jest naprawdę niezły).

– (Impreza się skończyła. Wszyscy zostali przebadani i są już trzeźwi. Zarządzono ewakuację pałacu po tym, jak Lys doszła do siebie i przejrzała wspomnienia z ostatniej godziny. Krzyczała, że zamorduje Jacka, i sądzę, że nie żartuje).

– (Ruszamy) – mówię jej.

Ale utwór trwa dalej. Rozpędza się, przybiera na sile. Przesterowana gitara i jeden zmęczony, głęboki głos. Więcej nie potrzeba. Jack przechyla drinka i dołącza do ojca w ostatnich sekundach: *A jeśli to wszystko to tylko gra, Każdy dzień zostanie na zawsze taki sam.*

Gitara wybrzmiewa w ciemnym pokoju.

– Ja napisałem ten tekst, tato – mówi z żalem po dłuższej chwili.

– Pamiętasz, jak mieszkaliśmy tu wszyscy razem, z mamą? Zawsze zabraniała mi przychodzić do twojego pokoju. Kiedyś wróciłeś wcześniej, a ja schowałem się pod biurkiem. Miałem nadzieję, że mnie nie znajdziesz, ale ty zawsze wiedziałeś, gdzie jestem. Zapytałeś, co tam robię, a ja odpowiedziałem, że przyszedłem tu napisać piosenkę. Kazałeś mi wymyślić do niej słowa, tato. To są te słowa.

– Niemożliwe. A kim ty właściwie jesteś? Nie przedstawiłeś się.

– To ja, Jack. – Podchodzi do niego, klęka tuż przed jego fotelem i delikatnie wyjmuje gitarę z jego starych, spękanych dłoni. – Nie

poznajesz mnie? – pyta ze łzami w oczach.

Dumny lord z Londynu. Na kolanach. Złamany. Szukający zrozumienia w obojętnym spojrzeniu ojca, którego już nie ma w środku. Choć wygląda tak samo, w fotelu siedzi obcy mężczyzna. Nie pamięta nic z przeszłości i nie potrafi się tym ani odrobinę przejąć.

– Przykro mi. Williamie, kim jest ten człowiek? – zwraca się do mnie.

– Kim jest, kurwa, William? – pyta Jack przez zaciśnięte zęby.

– William Yoonir, starszy brat Lys. No powiedzże mu, kim jesteś! – żąda.

Podnoszę się ciężko z kanapy.

– Chodźmy, Jack – proponuję. – To nie ma sensu. Tracimy czas.

– Powiedz mu, kim jesteś! Powiedz mu, kim jesteś! – krzyczy, zrywa się z fotela, chwytając syna za kołnierz i wypycha nas obu w kierunku wyjścia. Żaden z nas nie stawia oporu. – Więcej tu nie przychodźcie – mówi i wali drzwiami tak mocno, że prawie odpadają futryny.

Po chwili słyhać kolejne uderzenie. I kolejne. Ale te nie dochodzą już z pokoju Olivera, tylko zza frontowych drzwi posiadłości, które właśnie forsuje ochrona.

– Którędy?! – Spoglądam na Jacka pytającym wzrokiem.

On po prostu stoi tam, z pustką w głowie i w oczach, nucąc melodię, jakby sam chciał sprawdzić, czy to jednak prawda, czy to nie on popełnił błąd, bo być może ojciec ma rację, nigdy się nie spotkali, a on sam nie istnieje. Tylko ta melodia i ten tekst mogą w tym momencie dać mu potwierdzenie, że sam się sobie nie wydaje.

– Nigdzie nie idę – odpowiada cicho. – Przepraszam, Rez, ale nie mogę tego zrobić.

– Co ty mówisz?

– Mojego ojca już nie ma. Jego głowa to biały pokój. Nie jest w stanie rządzić. Nawet jeśli usuniemy Lys, nie będziemy potrafili przywrócić dawnego porządku. Ta dziwka sprawiła, że zapomniał

o nas, o wszystkim. To koniec.

– Jack, potrzebuję cię! Ta sprawa jest ważniejsza od ciebie, ode mnie, od Lys i twojego ojca.

Życie milionów ludzi na Yggdrasil zależy od tego, czy uda nam się znaleźć Bibliotekę Snów.

– Okłamaliście mnie.

– Nie powiedzieliśmy ci wszystkiego. Ty nam też. Nieważne. To nie jest czas na wyjaśnienia.

Drzwi frontowe ustępują. Do środka wlewa się tłum ochroniarzy.

– Tu służby porządkowe Aurory, proszę zachować spokój i nie stawiać oporu – wybrzmiewa komunikat.

– Kurwa mać, Jack – mówię, ubrając kostium. – Ci wszyscy ludzie zaraz przez ciebie zginą.

– Tam – mówi wreszcie, pokazując mi uchylone drzwi po przeciwnej stronie hallu. – Schodami do końca w dół.

Ruszam, zostawiając go tam samego. Jack zasiada w fotelu, wyciąga jointa z papierośnicy i wsadza go do ust. Nim zdąży sięgnąć po ogień, na jego twarzy ląduje czyjaś pięść. Cylinder zatacza pełny okrąg na zakurzonej podłodze, a on przekoziółkuje przez oparcie. Ochroniarze otaczają go i obezwładniają falami dźwiękowymi, a gdy są pewni, że nie sprawia już żadnego zagrożenia, ruszają za mną.

– (Lilo, jak szybko możesz tu dobiec?)

– (Cztery minuty. Podłoga nad pałacem znów jest zamknięta, więc będę wchodzić od frontu).

Zeskakuję ze schodów. Przede mną ciągnie się długi korytarz, na końcu którego znajdują się ogromne drzwi. Ostatnia prosta. Dokładnie trzysta dwadzieścia cztery metry prostej, najeżonej wszystkimi możliwymi rodzajami czujników i blokad podłączonych do gigantycznego dezintegratora materii, który może sprawić, że ślad po mnie zaginie – dosłownie. Na ścianie miga bład hologram z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Nie ma żartów. Przeszukuję wszystkie częstotliwości i rozkodowuję odnalezione sygnały urządzeń, zanim zostaną zinterpretowane przez Omninet.

Większość z nich należy do programów zarządzających miastem, oświetleniem wież, pogodą, kapsułą, systemem głosowania i szczęściem mieszkańców. Ale pośród tego hałasu znajduje się jeden, który otwiera moje drzwi. I już... prawie... go...

Mam!

Korytarz na chwilę ginie w ciemności. Reset systemu daje mi kilkuminutową przewagę. Do czasu, gdy czujniki ponownie się uzbroją, ja będę już w środku. Ruszam przed siebie i docieram do okrągłej śluzy, która okazuje się wciąż szczelnie zamknięta. Z boku na ścianie znajduje się mechaniczny zamek z czterocyfrowym kodem. Prymitywniejszym rozwiązaniem mogłaby być już tylko kłódka – równie prostackie, co genialne. Zamek nie wymaga łączności, Omninetu ani energii.

Jedynie ręcznego wprowadzenia jednej z dziesięciu tysięcy kombinacji. Za mną rozlega się hałas.

Ciała dwóch nieprzytomnych ochroniarzy lądują bezwładnie u stóp schodów. Nie mam czasu zgadywać. Zaciskam dłoń w pięść i walę kilkakrotnie w klawisze, kalecząc skórę, po czym wciskam knykcie głęboko w mechanizm. Krew wsiąka w głąb procesorów, poszukując odpowiednich połączeń, rozłączając obwody i tworząc zwarcia. W mojej głowie pojawia się pierwsza cyfra – dwa.

Kolejni ochroniarze spadają z hukiem i lądują miękko na ciałach swoich kolegów. Lilo jak zwykle nie przebiera w środkach. Zero – mamy połowę kodu. Słyszę jej kroki za plecami. System uzbroi się za trzydzieści sekund, więc proszę ją, aby została tam, gdzie jest, na wypadek gdybym nie zdążył, ale ona nie chce nawet o tym słyszeć. Wszystko na jedną kartę. Zbiega po schodach, przeskakuje nad stosem nieprzytomnych ciał i biegnie na drugi koniec korytarza. Trzecia cyfra to cztery. Jeszcze chwila. Zdążymy. Jeszcze jedna...

Pocisk prześlizguje się po jej ramieniu i trafia w moją nieosłoniętą dłoń, urywając dwa palce.

Następny uderza bezpośrednio w nogę i wysyła na ziemię. Lilo zawraca, ale dostaje w brzuch.

Skoncentrowany strumień wyrzucony z działła jonowego rzuca nią

o podłogę. Podnosi się i zostaje postrzelona po raz kolejny.

– Daj mi to – mówi Lys, wyrывая strzelbę z rąk influencera.

Czwarta cyfra to dziewięć. Mechanizm zamka odblokowuje się z metalicznym trzaskiem.

Krwawienie w mojej ręce ustaje.

– Po tym, co tu się dzisiaj stało, powinnam wymazać wszystkim wspomnienia, przestawić czas na całym świecie, oczyścić Omninet z zarejestrowanych przekazów i wyprawić Święto Światła jeszcze raz, ale mogłabym nie przeżyć drugiej imprezy z rzędu, więc przysporzyliście moim ludziom mnóstwo roboty.

Lys przeładowuje broń i podchodzi bliżej.

– Dwoje terrorystów współpracujących z Jackiem Valentine przeprowadziło nieudany zamach stanu z wykorzystaniem broni biologicznej. Tak to wytłumaczmy – mówi, stając nad Lilo, i przesuwa lufę prosto nad jej głowę. – Monitorujemy was, odkąd pojawiliście się w Układzie Słonecznym, śledziliśmy każdy wasz ruch. Dokładnie wiem, po co tu przybyliście i jak was zabić. Nie potrzebujemy, żeby ktokolwiek przypominał nam o Yggdrasil. A poza tym: nieśmiertelność? Nawet nasz system emerytalny by tego nie wytrzymał.

Naciska spust i strumień jonów przeszywa głowę Lilo, która pada bez życia na podłogę. Jasne włosy nasiąknięte krwią oblepiają zniekształconą twarz. Pierdolony koszmar.

– Nie poznasz przeszłości, Rez – zwraca się do mnie chłodno Lys.

– Przyszłości też nie.

Podnosi strzelbę, namierzając moją głowę. Nie zamykam oczu. Nie chowam się. W środku spokój. Myślę tylko o jednym. Nie zdążyłem powiedzieć Lilo, że zawsze wiedziałem, kto nagrał ten utwór.



# Historia Reza i Lilo, czyli co tak naprawdę wydarzyło się na Yggdrasil

Przyszedłem na świat, a właściwie wszechświat, pod koniec marca 2884 roku.

Z powodu dylatacji czasu trudno podać konkretną ziemską datę, choć ja zawsze lubiłem myśleć, że była wtedy wiosna. Znane jest tylko miejsce: okolice pomarańczowej gwiazdy o śpiewnie brzmiącej nazwie HR 3803, znajdującej się na granicy konstelacji Żagla, dwieście pięćdziesiąt lat świetlnych od naszej błękitnej, wodnistej kropki. Nigdy wcześniej ani później żaden człowiek nie urodził się dalej od Ziemi, co sprawiło, że w okresie dorastania i definiowania własnej tożsamości wielokrotnie się zastanawiałem, czy wciąż jestem przedstawicielem gatunku ludzkiego, czy może należę już do tak zwanych obcych. Ale tak naprawdę nigdy nie dane mi było poczuć, że należę gdziekolwiek. Linus Laforet zadbał o to od moich pierwszych świadomych chwil.

Bo miało mnie nie być wcale. Nie powinienem się narodzić na Yggdrasil, moje komórki nie dostały pozwolenia na swobodny podział, tak samo jak moi rodzice nie powinni pić wina i się zapominać, a później przez kolejne dziewięć miesięcy ukrywać mojego nabierającego fizycznej formy istnienia. Ale gdy prawda wyszła na jaw, ja miałem już mózg, serce i całą resztę i wedle wszelkich humanitarnych standardów, które jeszcze nas obowiązywały, było już zbyt późno, by anulować moje przybycie na tę kupę złomu pędzącą na oślep przez czarny wszechświat.

W dwudziestym trzecim wieku technologia i medycyna były



wystarczająco zaawansowane, by średnia długość życia przekroczyła sto pięćdziesiąt lat. Ale pomimo sukcesów w transferowaniu świadomości do syntetycznych układów czy stworzeniu nanotechnologii wspierającej funkcje biologiczne śmierć organizmu wciąż była przeznaczeniem każdego człowieka, choć dla zamożniejszej części wyrok został znacząco odroczone. Yggdrasil wyruszał z Ziemi jako statek pokoleniowy, na którym przetrwanie gatunku miało zostać zapewnione starymi, sprawdzonymi sposobami kontrolowanej prokreacji. Mieliśmy jednak to szczęście, że cała współczesna elita naukowa z automatu dostała bilet na przejażdżkę w nieznane oraz warunki umożliwiające dalsze dopracowywanie technologii przedłużania życia bez presji ze strony cierpiącej katusze planety.

Yggdrasil mógł zostać przegrzany, zamrożony, częściowo zmiażdżony, zbombardowany promieniowaniem gamma oraz pozbawiony trzech czwartych kadłuba, a jego organiczno-mechaniczna konstrukcja regenerowała się, jakby to było drobne zarysowanie pancerza. Statek był prawie niezniszczalny, przygotowany na trudy międzygwiazdnej żeglugi i bliskie spotkania trzeciego stopnia, ale przede wszystkim miał wytrzymać także nas – najbardziej destrukcyjny organizm znany we wszechświecie.

Śmierć została przezwyciężona relatywnie szybko, bo już w sto osiemdziesiątym roku podróży, gdy wśród pasażerów Yggdrasil większość jeszcze pamiętała widok oddalającej się błękitnej planety. W tym samym czasie na Ziemi minęło prawie pięćset lat i wszyscy byli pewni, że gdybyśmy zmienili zdanie i zawrócili, zastalibyśmy jedynie popioły zlepione siłą grawitacji. Z powodu ograniczonej przestrzeni wprowadzono absolutny zakaz rozmnażania się. W ten sposób gwiazdni pionierzy na zawsze skazali się na swoje własne towarzystwo.

Przynajmniej teoretycznie.

Bardzo trudno wyzbyć się nawyków kształtowanych przez miliony lat ewolucji. Jak łatwo się domyślić, dzieci rodziły się dalej, po kryjomu, w zakamarkach statku, pod cichym przyzwoleniem

lokalnych administratorów, którzy wykazywali w tej materii dużo większe zrozumienie od Linusa Laforeta. Pojawiały się też spontaniczne zrywy w postaci protestów i bardziej otwarte formy walki z zakazem. Powstawały lokalne opozycje i podziemne ruchy oporu potajemnie snujące i wdrażające plany przejęcia władzy na statku. W zamkniętej przestrzeni napięcia narastały błyskawicznie, aż w końcu wybuchły w postaci regularnej wojny, która przetoczyła się przez wszystkie pokłady Yggdrasil, pochłaniając setki tysięcy istnień. W swej najczarniejszej godzinie gwiazdna arka dryfowała rozerwana na pół, zalana krwią i strawiona ogniem prosto w oślepiające objęcia gwiazdy. Niewiele brakowało, a tak właśnie skończyłaby się historia ludzi, którzy uciekli z Ziemi, szukając lepszego świata.

Ale Linus zawsze był twardym skurwielem, którego nie sposób zabić. Jeszcze na Ziemi jego nazwisko nie tylko przez dowódców kosmicznych programów militarnych kojarzone było ze stuprocentową skutecznością w odzyskiwaniu porwanych wahadłowców oraz dziesiątkami awaryjnych lądowań na powierzchni planetoid podziurawionym jak sito i pozbawionym sterowności złomem. Na Yggdrasil Linus przeżył powstanie, pożar kadłuba, dwustumetrowy lot przez próżnię bez skafandra i wpakowanie w plecy czterech kul. Za to ostatnie odpowiedzialny był pierwszy oficer, światowej sławy astronautka Victoria von Hoyt, która w decydującym momencie przypomniała sobie to niezwykle uczucie trzymania własnego dziecka w ramionach, delikatne ciepło, które przenika przez skórę i dosięga najgłębszych pokładów wrażliwości, zmuszając, by za wszelką cenę chronić tę miękką, różową i bezbronną formę, która jakimś cudem wywędrowała z głębi ciała na zewnątrz. Zaraz później dowiedziała się, że część statku, w której ukryła swojego męża i dziecko, właśnie została oderwana od reszty za sprawą silnej eksplozji i przestała istnieć.

Ledwie żywy, ale jak zawsze zdeterminowany Linus przejął dowodzenie w ostatniej chwili i zawrócił Yggdrasil z kursu kolizyjnego. Zaś gdy pożary ugaszono, a zalane ciemnością i krwią

korytarze znów wypełniły się ludźmi, pierwszym oficjalnie wydanym przez niego rozporządzeniem była obowiązkowa sterylizacja obejmująca wszystkich bez wyjątku. Osobą odpowiedzialną za przeprowadzenie tego procesu został nowo mianowany dyrektor departamentu rozwoju technologii medycyny – mój ojciec. Parą naukowców, która opracowała niezawodną szczepionkę bezpowrotnie dezaktywującą wszystkie funkcje rozrodcze ludzkiego organizmu, byli rodzice Lilo.

W obu przypadkach udało się zataić ciężę do momentu pełnego wykształcenia płodu i w obu przypadkach badacze przypłacili swoje decyzje życiem. Nawet Linus nie był na tyle okrutny i głupi, by zabijać swoich najbardziej zaufanych ludzi, ale gdy sprawa wyszła na jaw, a wraz z nią spomiędzy idealnie spasowanych paneli rozświetlonych wewnątrz statku wypełzły zwęglone i zakrwawione wspomnienia pierwszej wojny domowej, wszyscy przypomnieli sobie także, kto w konsekwencji pozbawił ich możliwości posiadania dzieci. Na całym Yggdrasil próżno było szukać choćby jednej osoby gotowej wybaczyć naszym rodzicom, że w całym tym okrutnym procesie pominęli siebie.

Linus kazał im wybrać po jednej osobie z pary. Dzięki jej śmierci zwolniłoby się miejsce dla nieplanowanego potomstwa, ale naciskany ze wszystkich stron ostatecznie zdecydował, że cała czwórka zasłużyła na biologiczną śmierć. Nasi rodzice dowiedzieli się o tym oczywiście dopiero po dokonaniu tego nieludzkiego wyboru. Gdy już myśleli, że nie może być gorzej, Linus Laforet odebrał im resztę nadziei. Nas. Dzień po moich narodzinach serca w ich ciałach zostały zatrzymane, mózgi wyłączone, a świadomości wgrane do symulacji wewnątrz centralnego systemu statku, w której stworzono iluzję ziemskiej rzeczywistości przewidzianą dla ludzi niebędących w stanie dłużej trwać w swoich fizycznych formach na Yggdrasil. Nigdy nie poznaliśmy imion naszych rodziców ani nie dowiedzieliśmy się, jak wyglądali. Ale ich świadomość nie została wykasowana, więc mogli wspominać nas już do końca wszechświata.

I właśnie tak rozpoczęła się nasza historia. Byliśmy dwójką wyrzutków, którymi nikt nie chciał się zająć. Nie było dla nas stworzonych systemu edukacji, infrastruktury ani miejsca, w którym moglibyśmy przebywać. Wychowywaliśmy się w długich korytarzach pomiędzy sektorami statku, bawiliśmy się na podłodze hangaru, wśród przewodów i zdemontowanych prototypów wahadłowców. Jedynymi osobami, które z nami rozmawiały, byli lekarze lub naukowcy.

Zaspokajali naszą ciekawość, wyjaśniając, do czego służy określony przycisk, co znajduje się za tymi a tymi drzwiami, jaki związek chemiczny sprawia, że planeta, którą mijamy, mieni się fluorescencyjną zielenią, dlaczego wszechświat nie ma granic, dlaczego nasze ciała przestały umierać, dlaczego musieliśmy opuścić Ziemię, dlaczego, dlaczego, dlaczego... Czasem mam wrażenie, że bazę wiedzy wymyślono właśnie przez nas – dzieci niczyje. Dwa koszmary z przeszłości szwendające się po zakamarkach gigantycznej gwiazdnej arki, niepozwalające nikomu zapomnieć o tym, jak wysoką cenę zapłacili ludzie za możliwość bycia tutaj.

Oto moje pierwsze wspomnienie.

Jestem głęboko pod wodą, pęcherzyki powietrza wypuszczane z płuc ulatują ku falującej powierzchni. Moje ciało swobodnie opada na dno. Obok mnie przepływa pan Chamberlain, delfin butlonosy, który pomaga mi w nauce pływania. Ale ja nie boję się wody. Sam jestem z niej zbudowany. Mój czteroletni umysł, chłonny jak gąbka, nieustannie tworzący analogie i produkujący zaskakujące porównania w ramach naturalnego procesu definiowania otoczenia dochodzi do wniosku, że woda jest jak wszechświat, przez który płyniemy, jedynie trochę gęstsza i mniej kolorowa. Tak więc opadam na dno, testując możliwości mojego organizmu, bo podróżowanie w nieznanie jest dla mnie naturalnym stanem. W momencie, gdy czuję, że mogę już dłużej nie wytrzymać, że zapadnę się w sobie przytłoczony narastającym ciśnieniem i nie wystarczy mi siła, by dopłynąć z powrotem do góry i złapać

łapczywy oddech, który zgasi pożar w płucach, światła gasną. Przez chwilę zostaję sam, otoczony mokrą ciemnością. Czuję delikatne uderzenie w plecy i zimno wnikające do mojego wnętrza. Moje ciało zatrzymuje się w bezruchu na samym dnie.

Linus Laforet przygląda mi się z uwagą. Jego nogi to dwie wieże, na których wspiera się masywniejsza część konstrukcji zakończona z kolei niewielką, porośniętą siwym gąszczem kulą.

Konstrukcja przełamuje się w połowie, rozwarstwa i opada na mnie.

– Właśnie umarłeś – mówi. – Gdyby to była prawdziwa woda, nigdy nie dotarłbyś do powierzchni.

Ale ja wiem, że to nie jest prawdziwa woda. I że nie mogę umrzeć. Mówię mu o tym. On się uśmiecha, podaje mi rękę i pomaga wstać z podłogi. Wyciągam szpilkę z karku i odkładam na stół obok pozostałych setek podobnych szpilek. Każda z nich zawiera inny program, od pływania przez taniec po naukę języków, liczenia i gotowania. Ale tylko w basenie jest pan Chamberlain. Lubię chwycić jego płetwę i pruć razem z nim milimetr pod powierzchnią wody, która wygląda wtedy jak lustro. Lubię jego zimny nos, którym podtrzymuje mój tonący brzuch, gdy próbuję opanować trudną sztukę pływania kraulem. Ale najbardziej uwielbiam karmić go ciężkimi, śmierdzącymi rybami, które znikają w jego paszczy, jakby były małymi cukierkami, niewartymi nawet przegryzienia na pół. Wyobrażam sobie to uczucie, gdy zimna, oślizgła, organiczna forma przeciska się przez gardło. To równie fascynujące, co obrzydliwe. Pan Chamberlain zawsze zjada trzydzieści siedem ryb, zanim program przełączy się do podsumowania treningu. Dlatego rzucam w jego paszczę jedynie trzydzieści sześć, a później biegnę wokół wielkiego basenu, drażniąc się z nim, udając, że biorę zamach, i patrząc, jak rzuca się na boki i skacze, po czym ląduje w miejscu, w którym powinna się pojawić zdobycz.

– Chodź ze mną, Rez. Chcę ci coś pokazać.

Linus to jedyna osoba, która zwraca się do mnie po imieniu.

Wydaje mi się, że jako jedyny na statku je zna. Inni mówią zwykle „dziecko”, „mały”, czasem „gnojek” lub „spadaj”. Ale większość po prostu milczy. I czasem mam wrażenie, że nie istnieję. Że jestem duchem, którego widzi tylko kapitan oraz ci, wobec których jestem wyjątkowo uparty. Dlatego zawsze jestem uparty.

Zaznaczam swoją obecność, dopóki twarze ludzi nie zrobią się czerwone i dopóki nie zaczną krzyczeć coś na temat moich rodziców. Prędzej czy później interweniuje jeden z komputerów, najczęściej Helheim, i swoim basowym głosem sączącym się z sufitu przypomina, że słowa to także forma przemocy. Dorosły milknie. Ja odpuszczam i odchodzę, wiedząc, że nic złego nigdy mi się nie przytrafi. Mogę być niewidzialny, ale jestem też niezniszczalny.

Winda zabiera nas na sam dół. Jesteśmy w laboratorium, do którego wstęp mają tylko najwyżsi rangą oficerowie. Zawsze się zastanawiałem, jak wygląda to miejsce, ale gdy już tu jesteśmy, nie mam okazji lepiej mu się przyjrzeć. Linus idzie szybkim krokiem, prowadząc mnie przez zatłoczony hangar, pomiędzy świecącym i wydającym dziwne dźwięki wyposażeniem i przemykającymi ludźmi w białych strojach i maskach zasłaniających wszystko oprócz oczu. Ani razu nie odwraca się w moją stronę, najwyraźniej licząc na to, że dam sobie radę sam i nie zniknę w tym chaosie. Jego siwa głowa co chwila wyłania się ponad powierzchnię tłumu, wskazując odpowiedni kierunek. Na drugim końcu ogromnej przestrzeni jest pokój. W środku znajduje się stół. Za stołem siedzi mężczyzna. Gdy wchodzimy, lekarze salutują i rozstępują się na boki, robiąc nam miejsce w pierwszym rzędzie. Drzwi szczelnie zamykają się za nami i zapada głucha cisza. Wszyscy sprawiają wrażenie zdenerwowanych.

– Co tu robi ten dzieciak? – pyta wreszcie człowiek siedzący za stołem.

– Nie przejmuj się nim, Han. Kontynuujcie, proszę.

Mężczyzna przygląda mi się z uwagą. W jego ciemnych oczach nie ma emocji. Tylko skupienie.

– Tu doktor Han Chase, sygnatura 213044, poziom biały. Celem przeprowadzanego eksperymentu jest sprawdzenie poprawności funkcjonowania neuroreplikatora w wersji 27N

w warunkach rzeczywistych w szczególnym przypadku gwałtownego zakończenia funkcji życiowych monitorowanego obiektu. Eksperyment ten ma także za zadanie dokładniejsze określenie granicznego momentu podlegającego transmisji i replikacji oraz potwierdzenie ogólnej sprawności działania programu Corpomente. Rozpocznijcie odliczanie – rozkazuje, zwracając się do jednego ze swoich asystentów.

Lekarz stojący obok zaczyna głośno wypowiadać kolejne cyfry, począwszy od jedynki. Ciężkie dłonie kapitana zaciskają się na moich ramionach. Linus stoi zaraz za mną, odcinając mi drogę powrotną i uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Mężczyzna za stołem podnosi do ust szklankę wypełnioną bursztynowym płynem, w której pływają dwie kostki lodu.

– W imię nauki – mówi, unosząc ją ku nam, po czym opróżnia ją jednym haustem. – Czego to człowiek nie musi robić, żeby się napić dobrej, trzystuletniej whisky – dodaje, po raz pierwszy uśmiecha się i puszcza oko w moim kierunku.

Szklanka ląduje na stole, a w dłoni doktora Hana pojawia się lśniący przedmiot. Mężczyzna zaciska dłoń na jego uchwycie, drugi koniec wkłada do otwartych ust i pociąga palcem wskazującym za wystający przełącznik. Góra jego głowy eksploduje czerwienią. Huk sprawia, że stojący obok asystent na chwilę przerywa odliczanie, po czym zaczyna powtarzać dwadzieścia...

dwadzieścia... jak gdyby cyfra była pytaniem. Doktor Han osuwa się pod stół i ciężko opada na podłogę. Krew wypływa z jego ust, nosa i oczu, ale najwięcej wylewa się spomiędzy nadpalonych eksplozją czarnych włosów. Jego twarz nie przypomina siebie sprzed kilku chwil, wygląda jak ludzka skóra na siłę naciągnięta na inny przedmiot. A później dochodzi mnie zapach. Słodki, ciężki, duszący. Dużo gorszy od smrodu ryb. Doktor leży nieruchomy, a ja gapię się na jego zdeformowane oblicze, wyczekując jakichkolwiek



oznak życia.

– Dlaczego się nie rusza? Dlaczego nie wstaje? Co mu się stało? – zaczynam swoją standardową litanię pytań.

– Doktor Han nie żyje – mówi Linus. – A wy, czy możecie już się zamknąć? – rzuca z wściekłością do asystentów.

Lekarz kończy odliczanie na czterdziestu dwóch. Zamyka usta i spuszcza wzrok, cały dygocząc, choć nawet nie jest zimno.

– Pomóżcie mu wstać... pomóżcie mu wstać... – proszę ich, bo być może, jeśli zadziałamy szybko, będziemy potrafili to zatrzymać i odwrócić. – Niech usiądzie jak wcześniej...

– To się nie wydarzy, Rez – mówi głos nad moją głową. – To ciało już nigdy nie będzie się poruszać. To koniec.

Rozumiem znaczenie słowa koniec. Jego ciężar i ostateczność. Do moich oczu napływają łzy.

Podnoszę dłonie i łapię się za kark w poszukiwaniu szpilki. Ale jej tam nie ma. Nie mogę się obudzić, bo to nie jest symulacja. To wydarzyło się naprawdę. Powietrze zatrzymuje się w moich płucach, próbuję wziąć oddech, ale nic nie przedostaje się przez moje zaciśnięte gardło. Żaden oddech i żaden dźwięk. Po prostu stoję tam bez zrozumienia i gapię się na doktora Hana wpatrującego się pustym wzrokiem w bordową kałużę. Linus kuca przede mną, zasłaniając trupa.

– Hej, hej... Nie ma powodów, by się smucić – mówi. – Ciało doktora Hana przestało działać, ale dzięki temu my możemy teraz opracować jeszcze lepszą technologię. Jego poświęcenie sprawiło, że nasze życie będzie lepsze. Chyba jesteś w stanie to zrozumieć? – pyta. – Żałować powinniśmy tylko tych, którzy odeszli stąd bez powodu. Na przykład twoich rodziców. To była wielka, bezsensowna strata. Kiedyś, gdy lepiej zrozumiesz znaczenie słów takich jak egoizm i hipokryzja, wyjaśnię ci dokładnie, co się wtedy wydarzyło. Na razie chciałbym, żebyś z dzisiejszej lekcji zapamiętał, że każde życie musi mieć cel. Powtórz.

Wciągam gluty, zbieram w sobie wszystkie siły i mówię ledwie słyszalnym szeptem: – ...cel.

– Dobrze – odpowiada Linus. – Teraz przyprowadźcie mi tu dziewczynę.

Poważna lekcja jak dla czterolatka. Ale to właśnie cały Linus. Perfekcjonista, którego wizje wykraczają daleko poza ludzkie ograniczenia, naturalny, urodzony przywódca, doskonały psycholog i dzięki temu przebiegły manipulator podporządkowujący sobie nawet najtwardsze charaktery, człowiek, który, gdy wszystko się wali, zawsze ma plan, przez co niektórzy widzą w nim ostoję, a pozostali zło konieczne. Mój opiekun, ktoś pomiędzy nauczycielem a oprawcą, który w czwartym roku mojego życia zabrał mnie na spotkanie ze śmiercią.

Od tego momentu pamiętam już wszystko. To bardzo ważne, by w procesie relokacji myśli odtwarzać swoje wspomnienia chronologicznie. Pamiętam więc upokorzenia i niezliczone testy, gry psychologiczne i dni, kiedy myślałem, że pęknę, że po prostu rzucę się na niego i wydrapię mu oczy. Ale za każdym razem, gdy leżałem pobity mentalnie na samym dnie, bez filtrów, które mogłyby wytłumić gniew, on mówił mi, że to dla mojego dobra, że pokłada we mnie wielkie nadzieje, że tylko on jeszcze we mnie wierzy. Że nie mam nikogo innego, więc zamiast poddawać się prymitywnym instynktom i dawać upust złości powinienem wstać i zaakceptować to, że mogę być lepsi. Od siebie. Od swoich starych. Spokojem wygaszał ból tylko po to, by przygotować mnie na kolejne, jeszcze silniejsze uderzenie. W dniu, w którym poszedłem go zabić, mianował mnie swoim zastępcą. Trzymałem odbezpieczoną broń, tę samą, z której zastrzelił się doktor Chase, wycelowaną prosto w jego plecy, gdy siedział spokojnie za biurkiem pochylony nad mapą gwiazd.

Miałem zamiar go postrzelić, nafaszerować nanomodułami i wyrzucić za burtę, tak by przez następny tysiąc lat dryfował samotnie przez czarną pustkę, z utęsknieniem wyczekując momentu, kiedy znajdzie się na kursie kolizyjnym z jedną z gwiazd lub gdy przypadkowa rozpędzona kometa zakończy jego agonię. Szansa jedna na tryliard pierdyliardów. Ale on, jak zawsze, wyczuł idealny

moment. Może miał oczy z tyłu głowy? A może znał mnie lepiej niż ja sam?

Doktor Han Chase podarował mi po latach swojego desert eagle'a jako ponurą pamiątkę naszego pierwszego spotkania. Choć jego głowa została rozerwana na strzępy półcalowym pociskiem, w ciasnym pokoju na tyłach hangaru pełnego naukowców umarła wtedy tylko jego fizyczna powłoka. Myśli, cechy charakteru, wspomnienia i cała reszta zostały w chwili śmierci przetransportowane do urządzenia, które, nie pomijając żadnego atomu, odtworzyło jego organizm i wypełniło go odpowiednią treścią. Doktor Han zmartwychwstał po trzech dobach. Miał nowe ciało i był gotowy dalej rozwijać program Corpomente.

Kolejnym sukcesem jego zespołu było skrócenie czasu potrzebnego do stworzenia nowego organizmu do kilkunastu minut, a gdy udało się opracować zmienne pozwalające dowolnie modyfikować elementy replikowanego ciała, przez Yggdrasil przetoczyła się fala samobójstw.

Ludzie ustawiali się w kolejkach, by móc unicestwić swoje ciało i odrodzić się jako lepsza wersja siebie. Sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, dwukolorowe oczy, azjatyckie rysy, dłuższe nogi, czarna skóra, inna płeć, twarz Hedy Lamarr? Proszę bardzo. Przy tym wszystkim nie przywrócono tylko jednej cechy. Płodności. Ale nikt nie narzekał. Cały Yggdrasil wypełnił się pięknymi ludźmi przed trzydziestką, a w ekstremalnych przypadkach dokładnymi replikami znanych postaci z przeszłości Ziemi. W końcu zabroniono kontynuować to szaleństwo. Odtąd uruchamiano aparaturę, tylko gdy faktycznie trzeba było ocalić czyjeś życie.

Miało to jednak swoje dobre strony. Ludzie zaczęli patrzeć na nas łaskawszym okiem, gdy nasze fizyczne formy przestały tak bardzo odstawać od ich zniszczonych, ledwie trzymających się kupy dwustuletnich organizmów. Z czasem wmieszaliśmy się w tłum i wszyscy zdali się zapomnieć o naszym pochodzeniu.

Ja nie umarłem nigdy. Nawet Lilo popełniła kiedyś błąd, pilotując wahadłowiec zwiadowczy, i za bardzo zbliżyła się do powierzchni

gigantycznego cyklonu szalejącego nad odkrytą przez nią planetą. Jej silniki spaliły się, gdy próbowała uciec w kierunku Yggdrasil, i została rozerwana na kawałki przez deszcz szkła. Ja zawsze uważałem, że moja fizyczna forma jest jedynym wspomnieniem, jakie mam po rodzicach. Zastanawiałem się, jak mogli wyglądać, do kogo jestem bardziej podobny. Z drugiej strony nie chciałem tego wiedzieć, dlatego nigdy nie poprosiłem o odczyt z DNA. To mogłoby być zbyt bolesne. Trwałem więc w swojej zagadkowej fizycznej formie, którą z czasem zacząłem akceptować, a nawet lubić, nie poddając się śmierci.

Aż do teraz.

\* \* \*

W ciemności pojawia się blade światło. Ale gdy myślę, że już lada moment będę mógł otworzyć

oczy i ujrzeć rozświetlony sufit kapsuły, jasny punkt zamienia się w... pasek postępu.

Serio?

Opanowaliśmy wszystkie choroby i śmierć, potrafimy replikować nasze ciała, podróżować pomiędzy gwiazdami i porozumiewać się telepatycznie, ale dalej musimy czekać, aż system zrobi swoje, gapiąc się bezmyślnie na graficzną wizualizację postępów jego pracy? Spodziewałem się aksamitnego głosu wyjaśniającego kolejne kroki i uspokajającego mnie, że wszystko idzie zgodnie z planem, albo chociaż utrzymania mnie w błogiej bezświadomości aż do ostatniej chwili przed przebudzeniem – czegokolwiek poza wypełniającym się treścią prostokątem. Kto projektował ten interfejs? Pasek dociera do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent i się zatrzymuje. Bez punktów odniesienia nie jestem w stanie określić, jak długo trwa ten przestój. Minuty, a może lata? Powoli zaczynam się oswajać z myślą, że coś poszło niezgodnie z planem. Technologia neurotransferu została dopracowana i wielokrotnie sprawdzona na Yggdrasil, ale zawsze istnieje jakieś ryzyko.

Sygnal może się zagubić albo dotrzeć do źródła nieczytelny. Ktoś może go przechwycić, rozkodować i zniszczyć. Lub co gorsza zmodyfikować. Za chwilę obudzę się przywiązany do stołu operacyjnego, w ciele kobiety krokodyla, a zamiast wnętrza statku ujrzę nad sobą doktora Hilariusza wymachującego skalpelem i krzyczącego: „To żyje!”. Tego wolałbym uniknąć.

Wciąż dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

A może umarłem i trafiłem do piekła? Może wszyscy naukowcy się pomylili i życie pozagrobowe nie jest odrealnionym mitem, tylko źle opisanym, ale prawdziwym procesem. Załóżmy na przykład, że energia ulatująca z martwego ciała przenosi się do innego wymiaru. Wszystkie emocje to przecież procesy elektrochemiczne, a wspomnienia zostawiają fizyczny ślad na naszym mózgu.

Zsumowana energia odzwierciedla to, kim byliśmy, i w zależności od zgromadzonego ładunku emocjonalnego przenosi się do miejsca, do którego pasuje najlepiej. Wypełniały cię głównie dobre emocje – spędzisz resztę wieczności wśród pozytywnie naładowanej energii. Całe życie byłeś zły?

No cóż, czeka cię piekło. A piekło to pasek postępu, który utknął na dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach i nie chce się za cholere...

Podnoszę powieki. Światło jest ostre jak skalpel, czuję się, jakby ktoś nalał mi do oczu żywego ognia. Przewracam się na brzuch i leżę tak przez chwilę, rozglądając się po znajomym wnętrzu kapsuły. Zaciskam i otwieram dłonie. Poruszam nogami. Mam ciało. Jest dobrze. Co więcej, ani śladu Hilariusza.

Powoli zwlekam się ze stołu. System informuje mnie, że procedura replikacji ciała i transferu myśli została wykonana bezbłędnie. Jeszcze przez dziewięćdziesiąt sekund mogę doświadczać zawrotów głowy, wymiotów, biegunki, drgawek, uczucia zimna i gorąca, suchości w ustach, przemęczenia, ślepoty, głuchoty, niedowładu kończyn i ostrych halucynacji, ale po tym czasie moje ciało będzie w pełni sprawne. System pyta, czy chcę dokonać zmian w kolejnej iteracji, ale odpowiadam, że nie mam

zamiaru umierać już nigdy więcej.

– (Lilo, jesteś tu?)

Nie słyszy mnie. Póki nie spotkamy się fizycznie, nasze myśli będą niezsynchronizowane, ale i bez tego wiem, że tu jest. Otwiera drzwi swojej kapsuły i wychodzi na zewnątrz kompletnie naga.

Mokra trawa ugina się pod jej bosymi stopami, jej ciało smaga wiatr. Podoba jej się to uczucie nieważkości. Doskonałe ciało pozbawione wszelkiego bólu – harmonia myśli, w sercu spokój, płuca wypełniają się lodowatym nocnym powietrzem. Otwiera drzwi mojej kapsuły i wchodzi do środka.

– Jesteś nieco wyższa – mówię, gdy stajemy naprzeciw siebie, kompletnie nadzy. – I masz ciemne włosy.

– Kiedyś wydawało mi się, że to będzie dobry pomysł – odpowiada i potrząsa głową, w ułamku sekundy przywracając im poprzednią barwę. – Ty za to wyglądasz... dokładnie tak samo.

Przesuwa palcami po bliźnie na moim brzuchu. Nie usunąłem jej i nigdy tego nie zrobię. Nie będę ryzykował, że zapomnę, dlaczego tak bardzo nienawidzę Linusa. Lilo podchodzi bliżej. Jej piersi przyciskają się do mojej klatki piersiowej, dłonie suną w górę pleców. Spogląda mi w oczy, przygryza wargę i wpuszcza mnie do swojej głowy, w której czeka na mnie jedna konkretna myśl: „Dlaczego nie?”.

Nawet nie czeka na odpowiedź. Po prostu na mnie wskakuje, oplata mnie nogami, wciska swoje usta w moje. Zataczamy się po ścianie i padamy na ziemię, nie rozluźniając uścisku i nie przerywając pocałunku. Chwytam jej dłonie i rozrzucam je na boki, przyciskając do podłogi. Ona wsuwa się pode mnie, przymyka oczy i wygina ciało w łuk, cała lśniąca w światłach statku i gotowa do drogi. A później robi się mokro, gorąco i głośno od westchnień i okrzyków, skóra czerwienieje od zadrapań i ugryzień, pocałunki spadają gdziekolwiek, na szyję, brzuch, piersi, pełno w tym przypadkowości, ale nie ma czasu na myślenie, bo kompletnie zatracamy się w tym fizycznym akcie, pieprzymy jak ludzie, jak zwierzęta, jak ludzie, którzy są zwierzętami, szukając,

eksperymentując, czasem robiąc coś zupełnie bez sensu, ale zawsze odzyskując rytm. Lilo przegryza moją wargę do krwi, ja szarpie ją za włosy i kilka wyrywam, gdy dochodzimy. I właśnie w ten sposób tracimy dziewictwo – po stu sześćdziesięciu pięciu latach... albo po kilku minutach od narodzin, zależy, jak na to patrzeć. Na pewno zostało dzisiaj pobitych kilka rekordów.

– Było zupełnie inaczej niż w symulacji... – mówi, gdy już wracamy do pionu i zakładamy kostiumy – jakoś tak...

– Lepiej? – próbuję.

– Nierówno.

– Spontanicznie.

– Tak, chyba seks na żywo nie jest zbyt dopracowanym konceptem. Trudno coś zaaranżować, zapanować nad tym, co się dzieje.

– Z jakiegoś powodu mam ochotę zapalić – stwierdzam. – Sądzę, że nie byłoby to do końca nie na miejscu.

– Jak na starożytnych filmach. Powinniśmy sobie zrobić gdzieś tu kącik, Rez, postawić w nim łóżko, obok lampkę, pieprzyć się, czytać książki i palić – mówi, po czym wybucha śmiechem.

Uwielbiam jej śmiech. Śmieje się całą sobą, nie muszę jej widzieć, gdy to robi – wystarczy, że słyszę fale dźwięku, a i tak wiem, że po drugiej stronie jest Lilo. Jej oczy błyszczą, składa się w pół i śmieje tak, że cały świat musi rzucić wszystko i poczekać, aż jej przejdzie. Albo jej wtórować, bo nie sposób nie zarazić się tą radością.

– Wiesz co, czasem tak sobie myślę, że... – zaczynam, ale nie pozwala mi dokończyć.

– Ktoś tu jest – mówi, uzbrajając kostium. – Słyszysz?

Wysłuchujemy się w szum traw i liści oraz wiatr przeganiający chmury. Przez dłuższą chwilę nie słychać nic innego, a później nawet wiatr się uspokaja. Zapada kompletna cisza. W trawach oddalonych o kilometr słychać świerszcze. Na radarach termicznych nie ma żadnej sygnatury.

– Sprawdzę to – mówię, wygaszając wszystkie światła

i otwierając właz.

Powoli wychodzimy z kapsuły. Noc jest czarna, nad głowami suną deszczowe obłoki. Nadciąga burza. Powietrze jest naelektryzowane, skompresowane, jakby natura wzięła głęboki oddech i dała światu chwilę pozornego spokoju, zanim wyleje na niego cały swój gniew.

– Nic tu nie ma – stwierdzam z pewnością.

Lilo rozgląda się wokoło i rozkłada ręce. W tym samym momencie na jej głowie ląduje niezniszczalna siatka. Odwracam się i dostaję prosto w twarz przedmiotem, który początkowo biorę za kamień, ale tak naprawdę jest on pięścią wytatuowanego barbarzyńcy. Xur stoi nade mną, uśmiechając się. Jest od stóp do głów umazany czarną mazią, która sprawia, że nie widać go w ciemnościach, a jego ciało nie emituje ciepła. Słyszę, jak Lilo miota się w trawie, klnie i próbuje się uwolnić. Drzwi do kapsuły są otwarte. Jeśli zniszczą sprzęt replikujący moje ciało, jestem trupem bez powrotu. Świadomość gaśnie. Materia scala się z Ziemią. Energia rozprasza po wszechświecie. Koniec.

– Dobranoc, chłopcze z gwiazd – mówi wielkolud, biorąc kolejny zamach.

Uderzenie omal nie pozbawia mnie przytomności. Słyszę, jak pod skórą coś pęka, ciepła krew rozlewa się po mojej twarzy. Nie mogę skupić myśli i zrzucić go z siebie. Dociska mnie kolanem do ziemi i znów bierze zamach. Następny cios wgniata moją głowę jeszcze głębiej w grząski grunt.

Nowe ciało, a już tak bardzo zniszczone. Być może pamięć mięśniowa mogłaby mnie w tym momencie uratować, ale istnieję w tej formie zbyt krótko, by się spodziewać, że instynktownie wykonam jakikolwiek ruch i powstrzymam atak. Tym bardziej że już praktycznie straciłem świadomość. Ostatnie, co słyszę, to jej głos.

– NIE!

Ale to nie Lilo krzyczy. Ona nie byłaby w stanie powstrzymać tego potwora. Jest tu ktoś inny.



Kobieta. Mniej spuchniętym okiem dostrzegam rozmazaną sylwetkę wyłaniającą się z ciemności.

Podchodzi bliżej, opada na kolana w błoto i przygląda mi się ze zdziwieniem. Jej dłoń unosi moją twarz, zatapia palec w rozbitym łuku brwiowym, który przestaje krwawić i na jej oczach zrasta się bez śladu. Opuchlizna powoli zanika. Wypluwam ząb, w miejscu którego powoli wyrasta kolejny.

– Widziałam cię we śnie – mówi, pomagając mi wstać.

\*

Obóz jest prawie pusty. Po gąszczu namiotów pozostały jedynie wygniecione w trawie prostokątne placki, w których zbiera się woda. Niebo zrzuca na nas pierwszą wściekłą falę. Ciężkie krople zmywają kamuflaż z barbarzyńców i krew z mojej twarzy, odrywają gałęzie od drzew i zagłuszają wszystko wokół swoim basowym pomrukiem. Cztery namioty rozstawione wokół siedziby Williama chwieją się na wietrze, ale ich karbonowa konstrukcja z łatwością stawia opór żywiołom. Garstka najwierniejszych ludzi wciąż trwa przy swoim przywódcy, choć w ich głowach rodzi się coraz więcej wątpliwości wypierających lojalność i pragnienie wolności i zapomnienia. Czas ma tę właściwość, że wyrównuje wszystko do zera. Ona wie, że to widzimy. Dostrzega wszystko, zupełnie jakby jej ciemne oczy chciały zrekompensować sobie wieczność spędzoną pod powiekami. Trwanie na granicy światów nauczyło ją zaglądać pod powierzchnię pozorów. Mądra dziewczyna. To ona prowadzi nasz pochód przez strugi deszczu i mimo braku doświadczenia swoim szczerym uporem trzyma to wszystko w garści.

Gdy wchodzimy do namiotu wodza, pod sufitem rozpalają się tysiące punktów. Tym razem gospodarz nie wita nas chmurą dymu i nieufnym spojrzeniem. Jego oczy są zamknięte, a krzesło, na którym zwykł siedzieć, stoi puste pośrodku wielkiej przestrzeni, w której panuje absolutna cisza.

Ogarnia mnie wrażenie, że oto dotarliśmy na sam koniec

wszechświata, do najbardziej samotnego miejsca, w którym nawet marzenia marzą, by ulecieć w dal. Ciało wodza przypomina zakurzony posąg. Z łóżka zwisają długie, polepione dredy. Choć nie mogę poznać jego myśli czy zamienić z nim nawet słowa, coś każe mi sądzić, że on już pogodził się z końcem. Ale jego organizm na przekór wszystkiemu jeszcze walczy, przedłużając agonię.

Mieliśmy po drodze wystarczająco dużo czasu, by wyjaśnić sobie to prawie śmiertelne w skutkach nieporozumienie w wąwozie. Mimo to sunący za nami w ciszy orszak wielkoludów nie odstępował nas nawet na krok, nerwowo śledząc każdą naszą reakcję i pilnując, byśmy robili dokładnie to, po co po raz kolejny zostaliśmy tu sprowadzeni.

– Miałam go dla siebie tylko przez chwilę – mówi Fey, gdy ruszamy wszyscy w głąb namiotu. – Zupełnie jakby jedyną rzeczą utrzymującą go przy życiu była nadzieja, że doczeka momentu, w którym wstanę z tego łóżka. Albo umrę...

– Zakładam, że zdążył ci wspomnieć o naszej wizycie? – pyta Lilo.

– Zanim jego ciało poddało się chorobie, kazał mi odszukać dwoje ludzi, którzy spadli z nieba.

Wyruszyliśmy na północną krawędź i przeczesywaliśmy te tereny tygodniami, ale nikogo nie znaleźliśmy, jedynie dwa wbite w ziemię i szczelnie zamknięte pojazdy wykonane z nieznanym nam materiałem. Od czasu do czasu spadają tu śmieci z orbity, ale wiedziałam, że te statki muszą należeć do was. Gdy byłam chora, śniłam o podróży do gwiazd i wielkim czarnym drzewie, którego korzenie podtrzymują niebo, a gałęzie oplatają planety. Widziałam ciebie, Rez. Byłeś zamknięty w drzewie. Kompletnie sam. Pograżony w ciszy i taki smutny. Oglądałam wszechświat twoimi oczyma. Jest przerażający. I piękny.

– Polemizowałbym z tym pięknem – mówię. – Nanocząstki, które ci przekazałem, by zabiły wirusa, były zaprogramowane do współpracy z moim organizmem i mogły przechowywać część informacji, takich jak wspomnienia. Prawdopodobnie to one

wywołały te wizje – wyjaśniam, stając obok łóżka. – Siostró, skalpel – mówię, wyciągając przed siebie dłoń.

Fey podnosi głowę i spogląda na mnie pytająco. Mokre włosy oblepiają jej twarz.

– Wybacz, ale jego nie będę całował – dodaję. – Nie jest w moim typie.

Uśmiecha się po raz pierwszy, odkąd się spotkaliśmy. Być może dlatego, że rozbawiła ją ta wizja, ale chyba bardziej próbuje zamaskować strach. Bo Fey się boi – o ojca i o przyszłość ledwie funkcjonującej społeczności. Poza tym boi się nas. Jednak nadzieja, że będziemy w stanie wyleczyć Williama, jest dużo silniejsza, więc sięga do pasa, odpina długie czarne ostrze wykonane z jednego kawałka obsydianu i podaje mi je ponad konającym ciałem. Chwytam je, czując jego ciężar w dłoni.

Odbijają się w nim sztuczne gwiazdy podwieszane pod sufitem, tworząc zaskakująco wierną imitację wszechświata. Przepiękny przedmiot.

– Nigdy nie przestał się troszczyć się o mnie. Czasem myślę o tym, jak wiele wycierpiał, o wszystkich tych potwornych rzeczach, które musiał zrobić, by mnie chronić. Walczył tak długo.

Zasłużył na chwilę spokoju. Ale bez niego zostanę tu zupełnie sama. – Spuszcza wzrok, jej głos przechodzi w szept. – Czy jestem samolubna?

– Jesteś jego córką. Tyle wystarczy – odpowiadam i dotykam czubkiem ostrza skóry na moim nadgarstku.

Czerwona kropla wypełnia nacięcie, pęcznieje i przylepia się do broni. Przenoszę ją delikatnie nad naznaczone czasem i myślami czoło starca i upuszczam zdecydowanym ruchem. Moja krew pełna zaprogramowanych inteligentnych nanocudów kosmicznej technologii wsiąka w głąb jego organizmu, przedostaje się przez tkanki, rozplywa po krwiobiegu, pędzi do serca, mózgu 1

narządów, ucząc system immunologiczny, jak poradzić sobie z dewastującym ciału wirusem.

W przypadku Fey musiałem przekazać jej potężną liczbę cząstek,

które godzinami szukały właściwego rozwiązania, eliminując wszystkie zagrożenia, jakie napotkały po drodze, co sprawiło, że jest teraz prawie tak wytrzymała jak my. Ale skoro dokładnie wiemy, co wywołało chorobę, a także mieliśmy okazję zaciągnąć się uzależniającą atmosferą Londynu, nowe rozwiązanie wydaje się bardziej eleganckie i precyzyjne, a efekt powinien być natychmiastowy.

Zanim zdążę oddać Fey jej imponującą broń, William otwiera oczy, spoglądając na mnie bez zrozumienia.

– No! – Klaszczę w dłonie, czując się jak magik, któremu wyszedł dobry trick. – Teraz możemy sobie wszystko wyjaśnić.

\*

Dach się otwiera, odsłaniając pochmurne niebo. Między nami, na podłodze, eksploduje ogień, zamknięta przestrzeń wypełnia się zapachem spalenizny. Cztery cienie tańczą po ścianach namiotu. Deszcz wciąż pada, ale każda z kropli trafiających w otwarcie nad naszymi głowami przegrywa starcie z płomieniem. I właśnie tak, zupełnie jak przed wiekami, niczym banda prymitywnych jaskiniowców, którzy przypadkiem potarli o siebie dwie gałęzie i odkryli prawdziwą magię, wyważając wrota do przyszłości pełnej kół, internetów i rozszczepionych atomów, siedzimy w naszym schronieniu, chłonąc ciepło. Z tą różnicą, że my mamy pianki i kiełbaski.

– Bardzo to dobre – komplementuję, ściągając zębami z zaostzonego patyka kolejny osmolony kawałek organicznej materii, która jeszcze niedawno przemierzała te lasy napędzana instynktem, dopóki pojedyncza strzała nie zatrzymała akcji jej serca.

Paradoksalnie nie możemy być w tym momencie bardziej ludzcy. Progres zawsze odbywa się kosztem czegoś. Jesteśmy tu, miliony lat później, i odtwarzamy rytuał naszych przodków tylko dzięki bezwzględności, którą mamy wgraną w genotyp. W końcu jesteśmy potomkami zabójców, gwałcicieli i psychopatów, którzy wyszli

zwycięsko ze swoich starć i przebyli historię gatunku, mordując i podporządkowując sobie wszystko po drodze. Z perspektywy człowieka cywilizowanego to koszmar, którego chętnie by się wyparł. Ale byłbym hipokrytą, gdybym powiedział, że mi nie smakuje.

– Już zapomniałem, jakie to uczucie – mówi William, przecinając dłonią płomień – móc ugasić ból.

– Wybudziliśmy cię z głębokiej śpiączki po uszkodzeniu mózgu, więc jeszcze przez jakiś czas możesz odczuwać senność, a bodźce mogą być przytłumione, ale w ciągu doby twoje ciało wróci do stanu wyjściowego.

– Co to znaczy? – dopytuje Fey. Wciąż przyklejona do ojca, nie odrywa głowy od jego ramienia.

– Stuprocentowa funkcjonalność – wyjaśnia jej Lilo. – Chyba już czas podzielić się opowieściami.

– Historia za historię – proponuje William, dorzucając kolejną szczapę do ogniska. – Jesteście gośćmi, więc macie pierwszeństwo.

Płomień przygasa, by buchnąć po chwili ze zdwojoną siłą.

– Nie jesteśmy sami we wszechświecie – zaczyna Lilo. – Choć cała przestrzeń jest pełna życia i co chwilę eksplodują w niej miliardy gwiazd, posyłając w każdą ze stron elementy, z których zbudowane jest wszystko w tym namiocie i wokół niego, złożone organiczne formy, takie jak my, są rzadkością. Wszechświat jest stosunkowo młody i wszystko wskazuje na to, że jesteśmy w nim jedną z bardziej zaawansowanych cywilizacji. To wielka odpowiedzialność, która nie mogła trafić w mniej odpowiednie ręce. Tyle wiemy z naszych podróży. Yggdrasil od setek lat przemierza kosmos w poszukiwaniu drugiej Ziemi, nieświadom, że życie tu przetrwało kataklizmy, które sami sobie zgotowaliśmy. Nasi przodkowie zostawili was tu na śmierć. Nie jesteśmy z tego dumni, ale nie przybyliśmy też, by prosić was o wybaczenie. Wróciliśmy na Ziemię z bardzo konkretnego powodu. Musimy odnaleźć Bibliotekę Snów, a dokładnie: informacje, które pozwolą nam ocalić statek i wszystkie osoby znajdujące się na jego pokładzie, zanim

pozbawiony sterowania wrak spali się w słońcu przypadkowej gwiazdy lub zanim strawi go wewnętrzny chaos. A musicie wiedzieć, że nie jest to zbyt przyjemne ani tym bardziej stabilne miejsce. Nigdy nie było. Przeżyliśmy kilka buntów i regularną wojnę, a jedyną namiastkę normalnego funkcjonowania potrafił zapewnić nam kapitan Linus Laforet, który najpierw zabił naszych rodziców, a później wysłał nas na tę samobójczą misję.

– Jeśli dobrze rozumiem, jesteście wielkimi fanami jego metod, dlatego nie kwestionujecie swoich rozkazów? – wtrąca się William.

– Nigdy nie sądziliśmy, że dotrzemy do Ziemi, a tym bardziej że zastaniemy tu coś więcej niż garstkę pyłu. Szanse były jak jeden do miliarda. Dosłownie. Nawet jeśli dopuszczaliśmy do siebie wizję, że planeta przetrwała, a Biblioteka to coś więcej niż szalona teoria naszego dowództwa, nie podejrzewaliśmy, że wciąż będzie nas obchodził los ludzi. Ale czas potrafi wyjątkowo skutecznie uśmierzać ból. Z czasem zmienia się perspektywa i priorytety. Linus to bardzo sprytny skurwysyn i z chęcią zapomnielibyśmy o tym, że kiedykolwiek istniał. Ale mamy siedemdziesiąt milionów innych powodów, by zrobić dokładnie to, czego od nas zażądał. Wiedział o tym, wpychając nas do kapsuły i wystrzeliwując w mrok. Zaszczepił w nas to cholerne poczucie obowiązku, sprawiedliwości, nazywaj to, jak chcesz. Dlatego tak naprawdę nie mamy wyboru. Nidy nie mieliśmy. Ocalimy tych ludzi, a później wrócimy tam, wyprujemy z niego flaki i przejmujemy dowodzenie. On dobrze o tym wie. Taki jest nasz układ. Podróż na Ziemię to ostatni punkt inicjacji. To zaskakujące, do jakich wniosków jesteś w stanie dojść, gdy masz do dyspozycji wieczność – mówię, nabijając piankę na patyk.

– Co się stało z waszym statkiem? Wasz kapitan uszkodził go celowo?

– Nie, to akurat nie byłoby możliwe – wyjaśnia Lilo. – Yggdrasil to organiczno-mechaniczna konstrukcja dysponująca własną inteligencją, więc można ją uznać za autonomiczny byt. Linus jest jego kapitanem i oczywiście ma decydujący wpływ na los jego

pasażerów, bo reprezentuje ludzi, ale wszystkie decyzje dotyczące misji i kierunku lotu są podejmowane w porozumieniu z trzema syntetycznymi bytami zarządzającymi Yggdrasil. To autonomiczne sztuczne inteligencje najwyższego poziomu ASI, które są zaprogramowane, jak każdy organizm w tym wszechświecie, do podtrzymywania i przedłużania życia. Część pasażerów wciąż nie wie o ich istnieniu, a ci, którzy poznali ich tajemnicę, uważają, że udało nam się je wynaleźć po drodze. Prawda jest taka, że powstały w tajnych ośrodkach badawczych tu, na Ziemi, jeszcze w dwudziestym drugim wieku. To one zaprojektowały gwiazdną arkę i umożliwiły exodus ludzi.

– Niebawem.

– I prawdziwie. Miałem okazję je poznać. Mają nawet swoje imiona. – Uśmiecham się. – Asgard, Midgard i Helheim. W trójkę kontrolują wszystkie systemy statku, od dystrybucji energii przez recykling wody i systemy bezpieczeństwa po, wydawałoby się, trywialne aspekty, takie jak projektowanie przestrzeni rekreacyjnych i dobieranie muzyki w korytarzach. Analizują zachowanie ludzi, uczą się nas i robią wszystko, co w swojej mocy, byśmy przetrwali kolejny dzień bez ofiar śmiertelnych. Nie zawsze im się to udaje, ale każda inteligencja staje się bardziej inteligentna, jedynie gdy podejmuje złe decyzje i wyciąga z nich wnioski. I tak wygląda nasz sojusz. Trzy syntetyczne byty i jeden apodyktyczny przedstawiciel ludzi. Aby podjąć decyzję, potrzebna jest jednomyślność, aby ją anulować, wystarczy większość. Podczas czterystu lat naszej podróży tylko raz spór okazał się zbyt trudny, by go rozstrzygnąć, więc nasi wspaniałomyślni opiekunowie przerzucili odpowiedzialność na Linusa. I właśnie dlatego teraz tu jesteśmy.

– Nikt nie jest nieomylny – mówi William, być może nawiązując do naszego pierwszego spotkania.

– Tego dnia każdy z nas podjął wiele błędnych decyzji – wyjaśniam ogólnikowo, pozwalając Lilo dokończyć opowieść.

– Pojemność Yggdrasil to dokładnie siedemdziesiąt milionów ludzi. A siedemdziesiąt milionów ludzi zużywa bardzo dużo wody.

Mimo że z czasem opracowaliśmy technologie, które sprawiły, że pokarm i płyny stały się zbędne, bo nasze organizmy były w stanie same wyprodukować wszystkie składniki potrzebne do życia, a także wymyśliliśmy, jak zachować higienę bez potrzeby zanurzania się w kąpielach z bąbelkami, nigdy nie udało nam się do końca uniezależnić od wody. Przecież woda nas stworzyła. Sami jesteśmy z niej zbudowani. Nasza skóra potrzebuje wilgoci, by nie popękać, nie mogą bez niej funkcjonować nasze płuca i oczy. Absorbujemy ją z otoczenia, wydalamy i zanieczyszczamy sobą. Ale nigdy nie uznawaliśmy tego za problem, bo wiedzieliśmy, jak ją odzyskać, przefiltrować i z powrotem udostępnić. Z czasem okazało się jednak, że nawet najbardziej wydajne procesy powodują straty. Kilka milionów atomów dziennie wchodziło w reakcję z otoczeniem i już nigdy nie wracało do obiegu. To nie kłopot, jeśli mówimy o przestrzeni kilkuset lat, ale co, jeśli już zawsze mielibyśmy przemierzać kosmos? Zarówno Linus, jak i inteligencja Yggdrasil zawsze dopuszczali możliwość, że warunki identyczne z tymi panującymi na Ziemi mogą się już nigdzie nie powtórzyć i że nie będziemy mogli zasiedlić żadnej planety bez terraformowania jej. Życie powstawało tu dokładnie przez miliard lat. Dysponujemy zaawansowaną technologią, ale stworzenie świata nie sprowadza się do zasadzenia ziemniaków w ogródku, tylko do misternego zaprojektowania każdego elementu na skalę całej planety i przewidzenia wszystkich dróg jej rozwoju. Można to porównać do tworzenia obrazu. To, że rozumiesz, jak działa pędzel i w jaki sposób łączą się barwy, nie oznacza, że będziesz potrafił od razu namalować doskonały pejzaż. Natura musi się nauczyć sztuki życia, pokrywając płótno bazgrołami. Dlatego nawet najbardziej optymistyczne warianty zakładały, że przy znalezieniu sprzyjającego miejsca moglibyśmy przyspieszyć ten proces jedynie tysiącrotnie. To wciąż milion lat. Do tego czasu Yggdrasil już dawno zamieniłby się w dryfujący wrak pełen wyschniętych szkieletów.

Mijały kolejne dekady spędzone na analizowaniu tysięcy planet.



Na oślep wysyłaliśmy sondy w kosmos, ale wciąż nie znajdowaliśmy miejsca, które dawałoby cię szansy na stworzenie dla nas nowego domu. Zrozumieliśmy, że zostały nam już tylko dwie opcje: pozbawić się organicznej formy i przenieść naszą świadomość do symulacji stworzonej przez komputer sterujący – co, jak nietrudno przewidzieć, nie spotkało się ze zbyt ciepłym przyjęciem – albo gromadzić wodę poprzez wysysanie jej spod powierzchni zamrożonych planet czy odrywać bryły lodu od pędzących komet i szukać dalej. Plan jak najbardziej wykonalny, ale kosztujący mnóstwo czasu i energii, a przede wszystkim spowalniający podróż ku obiecanej nowej Ziemi. I wtedy jak na zawołanie z ciemności wszechświata wyłoniła się trzecia możliwość: Vittra.

Drewno pęka, rozsypując dookoła iskry, które ulatują w górę. Odprowadzam je wzrokiem, wpatrując się w ciężkie chmury wypełniające otwór w dachu. Jej głos znika zagłuszony przez trzaski ogniska. Pamiętam wszystko. Nawet gdyby mój mózg nie miał funkcji rejestrowania każdej świadomej chwili, wspomnienia tych wydarzeń wyryły się głębokimi bruzdami w moim mózgu i na ciele. Vittra to planeta orbitująca wokół potrójnego układu gwiazdowego, któremu nawet nie zdążyliśmy nadać nazwy. Odkryliśmy ją w okolicach 2900 roku kompletnym przypadkiem, gdy Yggdrasil przeprowadzał kalibrację swoich radarów. Na początku uznaliśmy to za błąd pomiarowy, ale wszystkie syntetyczne inteligencje były zgodne – na tle blasku trzech gwiazd dryfowała mikroskopijna planeta wręcz ociekająca życiodajną wodą. Dopiero gdy zbliżyliśmy się do niej na odległość umożliwiającą przeprowadzenie dokładnego skanu, dowiedzieliśmy się, co skrywa się pod jej powierzchnią.

Cała Vittra była żywym organizmem.

Niewiarygodne stworzenie ważące miliardy ton trwało spokojnie przez eony, śniąc pod taflą krystalicznie czystej wody. Ewolucja zamiast rozdrabniać życie na nieskończoną ilość gatunków i patrzeć, jak zwalczają się nawzajem w pogoni za dominacją ekosystemu, poszła w kierunku równowagi i harmonii, jednocząc wszystko we

wspólną formę. To było coś niesamowitego.

Przepięknego. Z bliska wyglądało jak mieniąca się milionem barw, pulsująca rafa koralowa, z której wyrastały drzewa o cienkich gałęziach ciągnące się przez setki kilometrów i delikatnie falujące pod powierzchnią. Nie byliśmy w stanie nawiązać z Vittrą żadnego kontaktu, ale wychwyciliśmy pewne schematy w aktywności elektrycznej, które pozwalały sądzić, że organizm magazynuje informacje o bodźcach, po czym je odtwarza, ucząc się ze swoich wspomnień. Wtedy dopiero poczuliśmy, że nie jesteśmy tu sami. Nigdy w to nie wątpiłem, ale to był pierwszy raz, gdy odnaleźliśmy w tej ciemnej pustce cokolwiek oprócz smutku i prawdy o nas. Widziałem, jak ludzie wycierali łzy z oczu, oglądając obraz z sond. W tym szczególnym momencie na chwilę przestaliśmy być garstką uciekinierów, która zostawiła swój dom na pożarcie płomieni. Byliśmy odkrywcami. Pionierami.

Vittra nadała nowe znaczenie naszej podróży.

I wtedy Linus zdecydował, by ją zabić.

Asgard, Midgard i Helheim nie tylko nie osiągnęły konsensusu, lecz po raz pierwszy odmówiły podejmowania jakiegokolwiek decyzji – zupełnie po ludzku stchórzyły. Ale nie tylko one zdawały sobie sprawę z konsekwencji skolonizowania tej planety. W niesłychanym akcie dobroduszości społeczeństwo Yggdrasil zażądało, by zamiast przeprowadzenia inwazji pożyczyć sobie część zasobów i ruszyć dalej. Nasze zbiorniki zmieściłyby jedynie setną część promila objętości wody z Vittry – ilość, która według naszego rozumienia nie mogła w żaden znaczący sposób zagrozić funkcjonowaniu tego organizmu i zaburzyć równowagi jego ekosystemu. Ale byliśmy skażeni. My, nasz statek i wszystkie nasze sondy były oblepione wirusem ziemskiego życia, który mógłby przy pierwszym kontakcie unicestwić całą tę piękną planetę. Ryzyko było zbyt duże. Lecz okazja – zbyt niepowtarzalna. Sztuczne inteligencje przez swoją bierność dokonały najgorszego wyboru.

Naukowcy nie osiągnęli jedności. Jednak Linus nie zastanawiał się nawet chwili – dla niego liczyły się tylko cele, nigdy

koszty. Od kiedy pojawiłem się na Yggdrasil, grał ze mną w pewną grę polegającą na zadawaniu mi maksymalnej ilości bólu i przerywaniu na ułamek sekundy, zanim pękłem. Z każdą kolejną rundą granica przesuwiała się coraz dalej. Poszedłem z nim negocjować, ale nawet nie dał mi dojść do głosu. Rozkazał, by przygotować wahadłowiec zwiadowczy i zebrać zespół, po czym zostawił mnie – swojego świeżo mianowanego zastępcę – na mostku.

To byłoby takie proste.

Jeden precyzyjny strzał z działą gamma prosto w silniki oddalającego się wahadłowca.

Wyobrażałem sobie, jak giną w kuli ognia rozerwani na strzępy, zanim osiągną planety, a słoneczny wiatr z trzech słońc przegania ich prochy na drugi koniec galaktyki, z dala od Vittry.

Wystarczyłoby tylko zjechać na najniższe piętro do laboratorium i uszkodzić neuroreplikator, zanim odbierze sygnały i zdąży wydrukować kopię ciała Linusa wypełnioną czystą nienawiścią do mnie.

Doskonale wiedział, co stałoby się chwilę po tym, jak opuściłby służę. Zabiłbym go i bez mrugnięcia okiem poświęciłbym życie wszystkich jego oficerów. Dlatego wziął ze sobą na pokład Lilo.

I już nic nie mogłem zrobić. Sygnał dowódcy zawsze dostawał priorytet, dlatego gdybym zaatakował wahadłowiec, ciało Linusa zostałoby odtworzone jako pierwsze. Przez całą drogę słyszałem myśli Lilo. Krzyczały w mojej głowie. Błagała, bym to zrobił, gdy schodzili coraz niżej przez atmosferę – bym nacisnął spust, pozwolił jej odejść, ale ocalił ten świat, siebie i cały Yggdrasil przed zapadnięciem się jeszcze głębiej w mrok. Nie potrafiłem. W momencie, gdy dotknęli powierzchni wody, ta zabarwiła się na czerwono. Zupełnie jakby ktoś wylał atrament. Planeta zaczęła krwawić. Wszystkie gałęzie zaczęły odpływać z dala od wahadłowca. Zabijaliśmy Vittrę, zatruwając wodę. Była dla nas bezużyteczna, skażona przez reakcję organizmu, który żył w absolutnej zgodzie z całym swoim małym światem i nie był

przygotowany na morderczego wirusa z kosmosu. Nas.

Nie mogłem na to patrzeć. Nikt z nas nie mógł. Wiedzieliśmy, że jest już zbyt późno, by cokolwiek zrobić, ale chciałem jakoś to odwrócić. Lilo nie odpowiadała na moje wezwania.

Organizm zatonął w morzu krwi. Zrobiło się tak cicho, że praktycznie słyszałem myśli wszystkich na mostku. Podeszedłem do modułu sterującego i nie pytając nikogo o zgodę, odpaliłem w ich stronę salwę z działa. Nie miało to żadnego sensu, ale po prostu chciałem przerwać ten akt przemocy.

Promień chybił.

W tym samym momencie Linus oderwał wahadłowiec, zostawiając umierającą planetę w tyle, ale nie wrócił do doku. Zatrzymał się naprzeciwko mostka. Widzieliśmy przez przezroczystą powierzchnię, jak spogląda prosto w oczy każdej z jedenastu osób, które zdradziły go, nie powstrzymując mojego ataku. Na końcu spojrzął na mnie i wystrzelił ze wszystkiego, co miał, prosto w nasze zaskoczone twarze. Eksplozja potrzęsła całym statkiem, wyrывая w kadłubie gigantyczną dziurę.

Obudziłem się na stole operacyjnym, gdy zdalnie sterowane ramię wyciągało z mojego brzucha półmetrowy kawałek poszycia. Bez znieczulenia. Ale to był dopiero początek. Linus Laforet stanął nade mną i długo przyglądał mi się bez słowa, gdy prawie umierałem z bólu, wierząc się, krwawiąc i wykrzykując najbardziej wymyślne obelgi pod jego adresem. Cierpliwie i z powagą przeczekał to wszystko, a gdy wreszcie się wyładowałem i zamilkłem, zaczął mówić. Zdanie. Pytanie. Zdanie.

– Nie przypuszczałem, że będziesz do tego zdolny, Rez. Chyba że nie wiedziałeś, że przed odlotem dezaktywowałem wszystkie neuroreplikatory? Dziś umarło przez ciebie jedenaście osób.

Dokładnie te słowa usłyszałem, zanim ponownie straciłem przytomność.

Oczy Lilo błyszczą od łez. Możemy przebyć cały wszechświat, ale nigdy nie uciekniemy od tego, co wydarzyło się na Vittrze. To zawsze nas dogoni i przedrze się przez wszystkie filtry, bo siedzi

głęboko w naszych sercach, nie pozwalając, by przestały bić z byle powodu. Gdy mój dowódca nauczał mnie o tym, że cele nadają sens naszemu życiu, chyba nigdy nie przypuszczał, że jednym z moich priorytetów stanie się jego śmierć.

– I to właśnie był początek końca – mówi, wzdychając ciężko. – Wszystkie inteligencje Yggdrasil potępiły nasze działania, ale przecież nie mogły w żaden sposób wpłynąć na to, co się wydarzyło, ani tym bardziej nas ukarać. To my je stworzyliśmy i nadaliśmy im formę. Stało się coś innego.

Udało nam się zarazić je naszym szaleństwem. Asgard, Midgard i Helheim poinformowały nas, że wśród nich pojawił się niezidentyfikowany byt. Coś, czego nie były w stanie zrozumieć czy zdefiniować, zaczęło pochłaniać je od środka i wpływać na ich decyzje. Nasi naukowcy przeanalizowali system i odkryli czwarte ASI. Aktywowało się w dniu, w którym zabiliśmy Vittre, ale według wszelkich danych podróżowało z nami od zawsze. Powstało jeszcze na Ziemi i uśpione przebyło z nami setki lat. Inteligencje same zadecydowały, by się wyłączyć, dopóki nie znajdziemy sposobu na pozbycie się nieproszonego gościa. Zanim zamilkły, ciemność przemówiła przez nie, identyfikując się jako „Noir”. Tylko tyle wiemy. – Lilo wzrusza ramionami. – Niebawem okazało się, że komputery były dużo lepsze w zarządzaniu Yggdrasil od nas, a malejący stan wody stał się jednym z naszych najmniejszych zmartwień. Przez lata wyręczano nas we wszystkich aspektach obsługi gwiazdnej arki, więc nikt już nie pamiętał, jak się obchodzić z jej delikatną aparaturą.

W niecały tydzień uszkodziliśmy napęd, osłony i zasilanie. Zanim kompletnie straciliśmy orientację, Linus wyciągnął nas z naszych cel, zapakował do kapsuł i wystrzelił w kierunku Ziemi, abyśmy odnaleźli rozwiązanie wśród ludzkich wspomnień. I tyle. Teraz wasza kolej.

Fey spogląda na ojca. Jeszcze przez chwilę degustują naszą opowieść bez słowa komentarza, próbując wyobrazić sobie tę przestrzeń, ciemność i ciszę, która zaczyna się tuż nad ich głowami,

biegnie we wszystkich kierunkach i nigdy się nie kończy. Przestrzeń, w której wnętrzu zawiera się wszystko, co istnieje.

William podnosi wzrok. Gdy się pochyla, jego długie czarne dredy prawie zajmują się ogniem.

Nieosłoniętą ręką chwyta rozżarzone drwa i wrzuca je głębiej w płomienie. Nic z tego nie robi na nim wrażenia. On, potężny wojownik, którego wyrwaliśmy śmierci, teraz jest pochłonięty przez inne myśli. Długo przygląda się nam w milczeniu.

– Obawiam się, że nie mam tyle talentu do snucia historii, co wy, więc po prostu opowiem wam, jak było – zaczyna. – Mój ojciec pracował jako górnik wydobywający diamenty z asteroid. Uwielbiał głośne towarzystwo, samotne loty bez celu i krzywdzenie mojej młodej siostry, więc pewnego dnia, gdy reperował swój statek, poszedłem do niego do hangaru, wprowadziłem kod zabezpieczający służbę i wysłałem go na jego ostatnią podróż przez próżnię. Ludzie z korporacji górniczej cenili sobie proste rozwiązania, więc uznali to za wypadek. Otrzymaliśmy ostatnią wypłatę ojca pomniejszoną o nieprzepracowane dni i zesłano nas na Ziemię, do zapyziałego centrum opieki w Afryce. Z tego okresu pamiętam tylko tyle, że było tam pełno much, śmierdziało, a w ramach rekreacji opiekunowie zabierali nas na safari, na którym mogliśmy oglądać jedynie suche badyle wystające z piasku i bardzo źle wykonane hologramy zwierząt. Nienawidziłyśmy tego miejsca bardziej niż gwiazdnych skał, którym nikt nawet nie pofatygował się nadać nazw. Tak się złożyło, że pewnej nocy ośrodek spłonął. Akurat nie z naszej winy – dodaje, spoglądając na mnie przez płomienie.

– Oczywiście – potwierdzam, niczego nie sugerując.

– W chaosie i ciemnościach nocy nikt nie mógł doliczyć się dwójki dzieci, które niedawno podrzucił tu statek jakiejś organizacji i które były tu zbyt krótko, by ktokolwiek mógł zapamiętać ich imiona. Pożar był tak potężny, że stopił budynek do jednolitej masy, która rozlała się 1

wsiaknęła w piasek. Jeżeli ktoś pozostał w środku, był bez szans

na przeżycie. Uznano nas za martwych. Przez kilka dni błakaliśmy się po okolicznych lasach bez wody, żarcia i jakichkolwiek umiejętności, jakie mogłyby zwiększyć nasze szanse na przetrwanie w tej dziczy. Gdy wreszcie znalazł nas człowiek o nazwisku Mortensen, niosłem moją nieprzytomną z wycieczenia siostrę na rękach, a jedną zламаłem, wspinając się na skały. Zemdlałem właściwie w tym samym momencie, kiedy go zobaczyłem, myśląc, że to koniec, że szatan istnieje i wygląda jak brodaty, czarny łachmaniarz, który właśnie przyszedł zabrać nas w zaświaty. Ale tak naprawdę trafiliśmy w dużo gorsze miejsce. Mortensen zaopiekował się nami, nauczył nas polować i pozwalał nam spać w swojej rozpadającej się chacie pośród gąszczu anten, dzięki którym nasłuchiwał sygnałów z kosmosu. Nigdy nie spytał, skąd przybyliśmy. Pewnego dnia moja siostra sama opowiedziała mu naszą historię i wtedy wszystko się zmieniło. Musicie wiedzieć, że bycie żywym trupem ma swoje złe strony. Jesteście odłączeni od Omninetu, który zapewnia dostęp do wiedzy, opieki zdrowotnej, pozwala podróżować, pracować i ogólnie uczestniczyć w tak zwanym zorganizowanym życiu społecznym. Ceną, jaką płacicie za te przywileje, jest prywatność, bo o każdej porze każdego dnia wszystko, co robicie, jest monitorowane przez system, więc wszyscy wiedzą o was wszystko.

Martwi są niemożliwi do namierzenia. Są ludźmi, których poszukujesz w zaułkach miast i spotykasz na zadupiach, jeśli potrzebujesz zrobić coś, o czym wolałbyś nikomu nie mówić. Mortensen może i wyglądał jak nawiedzony pustelnik, ale miał łeb do interesów. Nim zdążyliśmy zjeść kolację, w jego domu pojawiła się czwórka elegancko ubranych mężczyzn, którzy nie mieli wizytówek, ale byli wyposażeni w kurewsko przekonywujące karabiny. Uścisnęli mu dłoń, finalizując transakcję, a nas zaprosili do czarnego pojazdu. Zanim zamknęły się za nami drzwi, usłyszałem tylko dwa strzały dobiegające z wnętrza domu. – William zawiesza głos i nagle spogląda do góry.

Chmury powoli ustępują, ale niebo wciąż jest czarne. Gwiazdy

błyszczą jaśniej w zimnym powietrzu. William bierze do rąk kilka suchych liści, kruszy je między szorstkimi palcami i przesypuje do wnętrza bibuły, którą skręca, a następnie wkłada do ust. Wyjętym z paleniska patykiem podpala drugi koniec.

– Skoro licznik się wyzerował, mogę pozwolić sobie na odrobinę przyjemności – stwierdza, buchając gęstą chmurą trującego dymu. –

Dalej było już z górki. Człowiek, który nas zakupił, był bardzo bogatym lokalnym biznesmenem, poza tradycyjnymi metodami zarabiania pieniędzy w sieci prowadził dość specyficzne usługi logistyczne. Jeśli posiadałeś broń, narkotyki, zmodyfikowane ludzkie organy, dzieła sztuki, pojazdy, ludzi, zwierzęta, nanomaszyny lub jakiegokolwiek inne gówno, którego nie dało się przetransportować wirtualnie, wystarczyło skontaktować się z wujaszkiem Shetanim, a on organizował przewóz. Jego ludzie nauczyli nas wszystkiego: jak kontaktować się bez pomocy sieci, którędy podróżować po Ziemi i przedostawać się do największych miast, ale przede wszystkim, jak pozostać niezauważonym. I wtedy stało się coś zaskakującego. Okazało się, że jesteśmy w tym dobrzy. Naprawdę dobrzy – powtarza. – W wieku trzydziestu lat mieliśmy wystarczająco dużo kasy, by wkupić się z powrotem do świata żywych, ale nie zależało nam na tym. Lubiliśmy to życie. Byliśmy jak jakieś pieprzone postaci z filmu. Potrafiliśmy wjechać do Aurory z dwoma kilogramami dekstrometorfanu, przetrzymać to przez granicę, pójść na obiad do restauracji w pałacu królewskim, a później zatrzymać taksówkę i żartować z przewoźnikiem, że nie wezwaliśmy jej przez system, bo jesteśmy staroświeccy. I nikt nie miał pojęcia, kim jesteśmy. Nikogo to nie obchodziło. Byliśmy bezczelni, zuchwali, bogaci i młodzi.

Ale nawet życie na szczycie fali musi się kiedyś znudzić. To podczas jednej z tych podróży trafiliśmy na święto zorganizowane przez rodzinę królewską. Cała Aurora tańczyła do rana, bo właśnie narodził się następca tronu, ich syn, Jack. Nowo upieczeni rodzice przyjmowali osobiste gratulacje od mieszkańców miasta. Ja chciałem jak najszybciej wyjechać, miałem w planach zamienić



zimny biegun na karaibskie plaże, wziąć wreszcie zasłużony urlop i odreagować stresy kontroli granicznych, ale ona nalegała, by zostać. Pofatygowała się do pałacu i odstała swoje w kolejce do królowej, by uścisnąć jej dłoń, a w jej oczach przez cały ten czas czaiło się coś więcej niż zazdrość.

To był podziw. Moja siostra zawsze powtarzała, że najcenniejsze rzeczy to te, których nie można kupić. Bycie uwielbianą królową z całą pewnością do nich należało. Kompletnie poddała się tej wizji. Nim się zorientowałem, jak poważnie myśli o tym, by stać się częścią rodziny królewskiej, ona już przeznaczyła wszystkie swoje środki i wykorzystała cały swój urok, by przekupić kilka wysoko postawionych osób i stać się pełnoprawnym mieszkańcem Aurory. Wujaszek Shetani nie był zbyt zadowolony z faktu, że właśnie stracił jednego ze swoich najlepszych pracowników. Gdy przekazałem mu jej wypowiedzenie, przez godzinę rzucał kurwami i przedmiotami, chyba nawet kogoś postrzelił. Wreszcie ochłonął, uśmiechnął się ciepło i kazał mi zabić siostrę. W jego posiadłości było wtedy dziewięciu ochroniarzy, on i ja. Dziesięć minut później już tylko ja. Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, ale gdy byliśmy mali, obiecałem jej, że będę ją chronił. I nie miałem zamiaru się z tego wycofywać. Rodzina... – Zawiesza głos, spoglądając na Fey, która, wciąż przyklejona do niego, powoli zapada w płytki sen. – Dla niej jesteście w stanie robić rzeczy, o które nigdy byście się nie podejrzewali. W każdym razie ja też musiałem szybko opuścić kontynent.

Afryka była dla mnie spalonym terytorium. Uciekłem najdalej, jak się dało, prosto na północ, do Aurory. Zmieniłem tożsamość, poznałem kobietę i założyłem z nią normalną, funkcjonującą rodzinę. W tym samym czasie po drugiej stronie miasta moja siostra angażowała się w życie towarzyskie, poznawała ludzi i pociągała za coraz grubsze sznurki, torując sobie drogę na ostatnie piętro pałacu królewskiego. Nim się obejrzałem, obracała się już w elitach, pracując w gabinecie króla Olivera. Co jakiś czas dobiegały mnie informacje o jej machinacjach. Bardzo lubiła plotki donoszące o jej

rzekomym romansie z Olim. Nie zdziwiłbym się, gdyby sama była ich źródłem. Za dnia usługiwała rodzinie królewskiej, a w wolnych chwilach robiła wszystko, by zniszczyć związek monarszej pary i zadomowić się na tronie. Ale król był beznadziejnym przypadkiem zakochanego na zabój romantyka. A to wymagało bardziej drastycznych środków, od których Lys nigdy nie stroniła. Sami zresztą zdążyliście się o tym przekonać.

– Tak – potwierdzamy zgodnie. – Mieliśmy okazję ją poznać.

- I jak było?

– Zabiła nas.

– To bardzo w jej stylu – odpowiada, jakby rozpierała go braterska duma. – Nie wiem dokładnie, co się stało. Być może to była jedna z tych trucizn, które nie zostawiają śladu. Dla Lys wniesienie ze sobą dowolnej substancji do pałacu nie stanowiłoby problemu. Po tych wszystkich latach spędzonych w biznesie mogłaby wejść tam z działem jonowym pod pachą, a wszyscy ochroniarze i tak byliby zapatrzeni w jej głęboki dekolt i zasłuchani w słodkie bzdury. W każdym razie królowa zachorowała, a po trzech dniach była już martwa. To pierwszy taki przypadek od stuleci. Lekarze okazali się bezradni, toksykolodzy również rozkładali ręce, a mieszkańcy pogrążyli się w żałobie.

Ogłoszono kwarantannę, zbudowano kopułę nad miastem i przeskanowano każdy jego atom, ale nigdy nie odkryto przyczyny. Oczywiście pewne dane się nie do końca zgadzały, niektóre logi zostały nadpisane, a wyniki sekcji brzmiały niejednoznaczne, ale mimo tego nikt nie połączył bardzo oddalonych od siebie kropek i nie pomyślał, by przyjrzeć się bliżej pewnej ślicznej, jasnowłosej i zapłakanej pracownicy gabinetu królewskiego. Wszyscy po prostu w milczeniu opuścili głowy. W tym samym czasie Lys, korzystając z chwili nieuwagi, wdrapała się na sam szczyt i przymierzyła do tronu. Rzecz jasna nie została królową od razu. To też wymagało pewnych poświęceń, ale najtrudniejsze już miała za sobą.

– I nigdy nie spróbowałaś jej powstrzymać? – pyta Lilo.

– Powstrzymać? – William się uśmiecha. – Słodka dziewczyno,

musiałś mnie pomylić z jakimś lepszym człowiekiem. Prawda jest taka, że jej pomogłem. Zanim doszło do koronacji, cały Omninet huczał od plotek i szalonych teorii spiskowych. Oczywiście większość z nich była jedynie napędzaniem sobie ruchu, żerowaniem na śmierci królowej, ale od czasu do czasu pojawiały się osoby, które trafiały ze swoimi obserwacjami niebezpiecznie blisko. To była transakcja łączona.

Jeśli Lys została by oskarżona o zamach stanu, szybko znaleźliby też mnie. A ja od dawna miałem brudne ręce. Pomogłem więc jej uciszyć kilka niewygodnych głosów – mówi, wrzucając niedopałek w ognisko, po czym spluwa.

Ślina brązowa od nikotyny paruje z sykiem. William opróżnia płuca z dymu, patrząc na mnie żywym, surowym spojrzeniem. W jego oczach nie ma już śladu po całym tym strachu i beznadziei, które pożerały go szybciej niż choroba. Ale wspomnienia wywołują w nim prawdziwy ból. Dlatego gdy wywleka z najczarniejszej otchłani kolejne fragmenty swojej historii, ja obserwuję mowę jego ciała z coraz większą uwagą, odnosząc nieodparte wrażenie, że lada moment całkiem przeniesie się w przeszłość, a wtedy nic już nie powstrzyma go, by jak za starych, dobrych czasów chwycić za nóż, przeskoczyć przez ognisko i rzucić się nam do gardeł na fali ślepego gniewu.

Ale nic takiego nie następuje. Fey przekręca się we śnie na drugi bok, William przykrywa ją swoim grubym płaszczem i się uśmiecha, gdy ona podnosi na chwilę swoje ciężkie powieki. Ich spojrzenia spotykają się w ciemności. Emocje ulatują z niego i razem z dymem rozplývają się w zimnym powietrzu nad namiotem.

– Ona wie wszystko – mówi ściszym głosem. – I jakimś cudem znalazła w sobie wystarczająco dużo miłości, by mi wybaczyć. Wszystko, co wtedy zrobiłem, zrobiłem dla niej. Czasem myślę sobie, że ja i Lys powinniśmy spłonąć w tym sierocińcu i oszczędzić światu bólu.

– Więc jak trafiliście do Londynu? – pytam.

– Moja siostra poświęciła wiele, by osiągnąć swój cel, a gdy już zasiadła na tronie, szybko się okazało, że robi absolutnie wszystko, aby tam zostać. Zażądała, bym eliminował kolejne osoby, które mogłyby zagrozić jej pozycji. Zatrudniła najbardziej wpływowych ludzi w Aurorze, by moderowali opinię publiczną. Chciała napisać od nowa historię miasta, stworzyć własną rzeczywistość i kontrolować każdy jej aspekt. Doskonale wiedziałem, że zabrnęliśmy w to gównu zbyt głęboko, by zawrócić. Wiedziałem też, że ostatnim nazwiskiem na jej długiej liście będę ja. Nie miałem zamiaru czekać, aż po nas przyjdzie. Bez jakichkolwiek wyjaśnień spakowałem bagaże całej naszej trójki i ogłosiłem, że wyjeżdżamy. Sądziłem, że przemycenie przez granicę Aurory dwóch osób nie powinno być wiele trudniejsze od wjechania tam z transportem nie całkiem legalnych organów. I nie było. Nie wziąłem pod uwagę tylko jednego: moja żona była zakochana w królowej.

Z perspektywy czasu sędzę, że kochała ją dużo mocniej niż mnie. Influencerzy Lys odwalili kawał naprawdę dobrej roboty. Gdy tylko dotarliśmy do granicy, cali odpicowani w sfabrykowane DNA i nowe tożsamości, podeszła do jednego ze strażników i oznajmiła mu wprost, że podejmujemy próbę nieautoryzowanego wyjazdu z miasta. Dzień później byliśmy już po rozprawie, odłączeni i zapakowani na wahadłowiec zmierzający do Londynu. Oczywiście Lys mogła nas wtedy zabić.

Kazać nas rozstrzelać na samym środku sali rozpraw i dopisać do tego historię o terrorystach, o zuchwałym zamachu na demokrację i o tym, by wykorzystać tę smutną chwilę na refleksję na temat wartości życia. Dzień później pierdolona parada z pokazem kolorowych zórz wytarłaby wszystkie złe wspomnienia. Ale nie zrobiła tego. Pozwoliła mnie i Fey zgnić w londyńskiej mgle, a zanim słuch po mojej żonie zaginął, Lys zaprosiła ją do siebie na lunch. To musiał być najpiękniejszy dzień w życiu tej smutnej kobiety. Czasem, w długie, mgliste noce, ogrzewałem się wizją tej chwili. Jak siedzi naprzeciwko mojej siostry, cała drży z emocji, gdy stukają się tymi małymi, śmiesznymi filizaneczkami, i myśli, że to

była dla niej bardzo trudna decyzja, ale zrobiła to, co powinna, że królowa jest dobra i wszystko na świecie znów jest w porządku także dzięki jej poświęceniu. Jak nieśmiało podnosi wzrok, przyglądając się przelotnie swojej pięknej władczyni, dostrzegając w jej wyglądzie, gestach i sposobie mówienia coś dziwnie znajomego. Ale to nieważne, jej bliskość sprawia, że już dawno zapomniała o tym, kim sama jest. W tym samym czasie Lys była całkowicie pochłonięta obmyślaniami najbardziej bolesnego sposobu, w jaki pozbawi ją życia. Nie miała jeszcze konkretnego planu, ale na pewno wiedziała, że zabije ją osobiście i z ogromną satysfakcją. Dla rodziny zrobimy wszystko, prawda? – pyta ironicznie, nie oczekując odpowiedzi. – Resztę już znacie. Spędziliśmy dwa długie lata, tułając się po śmierdzących ulicach Londynu, dopóki nie odkryłem, że żarcie serwowane na stołach arystokracji niweluje efekty trucizny. Spaliliśmy pół miasta, by odwrócić uwagę i okraść drukarnię jedzenia z zapasów, a później ruszyliśmy przez mgłę ku wolności. Spotkałem go wtedy na skraju miasta. Jack Valentine we własnej osobie, ten jebany, wiecznie pijany pozer, był ostatnią osobą stojącą nam na drodze. Był uzbrojony, ale nie stanowił dla nas żadnego zagrożenia. Zanim podniósłby tę swoją antyczną pukawkę do oka, ja stałbym już przed nim, ciągnąc ostrze w górę przez jego wnętrzości. I wtedy, zupełnie niespodziewanie, uświadomiłem sobie, że to właśnie my, ja do spółki z Lys, zniszczyliśmy jego rodzinę, odebraliśmy mu wszystko i wysłaliśmy na ten koniec świata, który właśnie ginął w płomieniach za naszymi plecami. To my stworzyliśmy go takim, jakim był, pełnym pogardy i szalonym. Nie mogłem znaleźć w sobie siły, by z nim walczyć. I on też z jakiegoś powodu nas nie zastrzelił. Po prostu minęliśmy się na tej drodze i każdy ruszył w swoją stronę, do własnego świata.

– Sądzę, że docenił twoje poświęcenie dla córki – mówię mu, ale William zdaje się nie słyszeć moich słów. Ze wzrokiem skierowanym w jaśniejące niebo nad naszymi głowami kończy opowieść: – Nigdy nie chciałem stać się potworem, jakim był mój

ojciec. Ale ostatecznie zrobiłem wszystko źle. Często marzyłem o tym, by wymazać z jej pamięci całą przeszłość, nawet siebie. Zaszliśmy się tu, by zapomnieć. Odnaleźć równowagę. Piękno prostych rzeczy, wiecie? Długie cienie drzew o zachodzie słońca, zapach ziemi po deszczu. Cisza. I przez chwilę nam się to udawało. Znaleźliśmy po drodze wielu, którzy myśleli podobnie. Razem uciekliśmy przed własnymi demonami. A później zapasy się skończyły i wirus upomniął się o nasze ciała.

Milknie. Powoli wstaje dzień. Sekundę przed świtem cały świat chwyta ostatnią chwilę snu, przygotowując się do kolejnej konfrontacji. Cisza jest dojmująca, słychać tylko trzaskanie dogasającego ogniska. Wokół niego te same cztery osoby, ich cienie na ścianach bledną.

Przerzucali się swoimi grzechami całą noc w nadziei, że może choć część z nich wyląduje w płomieniach. Ale grzechy się nie palą. Zamiast tego mamy coraz mniej powietrza.

– Musimy wejść do Biblioteki Snów, Williamie – mówi Lilo.

– Lys prędzej umrze, niż pozwoli wam grzebać we wspomnieniach, z których tak wiele ją obciąża.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – odpowiada Lilo z determinacją, która nawet na Williamie robi wrażenie.

– Wokół miasta znajdują się sferyczne generatory zbierające energię. Jeśli macie wystarczająco silną broń i zniszczycie je wszystkie naraz, na chwilę zniknie też sztuczna grawitacja i całe miasto zawali się pod swoim ciężarem, a wtedy nikt już nie będzie w stanie uwielbiać Lys. Nigdy nie zaryzykuje życia swoich poddanych.

– A co, jeśli to nie zadziała? Jeśli uzna, że blefujemy?

– Wtedy zrobicie, co uważacie za słuszne, później opuścicie tę planetę, uratujecie swój statek i nigdy więcej się nie spotkamy. Natomiast ja i moja córka będziemy żyć tu, odłączeni od świata, patrząc dzień po dniu, jak słońce przemyka nad naszymi głowami, dopóki nie zamkniemy oczu po raz ostatni. I nic z tego, co się wydarzy w Aurorze, nie będzie miało dla nas żadnego znaczenia.

– Dobrze – mówię, wyciągając dłoń w jego kierunku.

Żegnamy się jak starożytni – fizycznym kontaktem, pewnym uściskiem i spojrzeniem prosto w oczy. Gdy próbuję wycofać dłoń, William zaciska swoją jeszcze mocniej. Przybliża splekaną twarz do mojej.

– Ty i ja, Rez. Może nie jesteśmy najlepszymi z ludzi, ale czasem zdarza nam się zrobić coś dobrego – mówi. – Dziękuję za ocalenie mojej córki.

Masz rację.

Nie jesteśmy.

Przez chwilę mam ochotę powiedzieć mu, że Fey przeżyje jego i wszystkich, którzy są na tej planecie. Każdy, kogo pokocha, odejdzie na długo przed nią, a ona będzie mogła jedynie się przyglądać, jak jego ciało starzeje się i rozpada w pył. I wiem, że sama będzie próbowała odejść, ale być może nigdy nie znajdzie w sobie wystarczającej siły. Zawsze gdy będzie pewna, że umiera, jej organizm po prostu się zrestartuje, przywróci prąd w przerwany obwodzie i ruszy dalej wbrew jej woli. Upragniona ciemność będzie się wymykać z jej bezsilnych dłoni. Jej serce pęknie na długo przed tym, zanim się zatrzyma. Ale jego już dawno tu nie będzie. I tylko ode mnie teraz zależy, czy spędzi resztę swoich dni, wiedząc, co czeka jego córkę, czy nie.

– Dbajcie o siebie – odpowiadam i wychodzę.

Tak, Williamie. Czasem zdarza nam się zrobić coś dobrego.

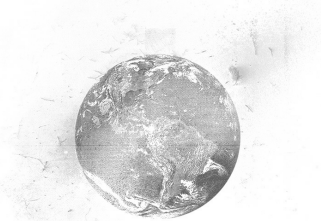
## To tylko sen

Mężczyzna wyciera zaparowane szkła i umieszcza okulary z powrotem na garbatym nosie. Papieros trzymany pomiędzy zębami żarzy się przy każdym podmuchu zimnego wiatru znad rzeki, coraz bardziej zapadając się w czarny gąszcz porastający kwadratową szczękę. Ręce chwytają za kołnierz płaszcza i próbują wyciągnąć go wyżej, po czym nurkują w kieszeniach.

– Zasady tej gry są proste – odzywa się mężczyzna.

Jego głos jest suchy, cichy i obojętny, jakby mu nie zależało, czy ktokolwiek usłyszy jego wywody. Ale na całe szczęście ma odbiorców, którzy robią, co mogą, by pomimo wichury zarejestrować, zapamiętać i zrozumieć znaczenie każdego dźwięku wydobywającego się z przygryzających peta ust. Dwoje ludzi klęczy w kałuży, mokre i brudne łachy ciężkie od deszczu oblepiają ich trzęsące się plecy. Nagie stopy pokryte są świeżymi pęknięciami, ale deszcz wypłukuje krew z każdej nakreślonej linii. Dalej trzy kolejne osoby w równie przemoczonych płaszcach trzymają na smyczach psy. Dobermany charczą, próbując zerwać się ze skórzanych uwięzi. Ale oni słuchają tylko jednego człowieka. Tego, który wyciąga z kieszeni płaszcza broń, wysuwa magazynek i metodycznie uzbraja każdą z sześciu komór w pocisk. Gdy do jego nozdrzy dociera zapach przypalonych włosów, spluwa niedopałkiem przed siebie i wraca do objaśniania reguł.

– Most ma prawie dziewięćset stóp długości. To daje wam około czterdziestu pięciu sekund przewagi. Gdy tylko znajdziecie się po





drugiej stronie rzeki, spuszcza psy. Ja i moi ludzie ruszymy zaraz za nimi. W mojej broni jest sześć pocisków, a do świtu zostały dwie godziny. Jeśli uda wam się uciec przed psami, ja sześciokrotnie spudłuję lub zobaczycie pierwsze promienie słońca, będziecie żyć.

– Proszę... – odzywa się mężczyzna – to nie byłem ja... to... to... moja żona.

– Zamknij mordę i zachowaj resztki godności, kundlu – ruga go kobieta. – Całe życie bałeś się własnego cienia, dlatego tu trafiliśmy, a teraz...

Człowiek z bronią schyla się, zamiatając płaszczem po kałuży.

– Musicie wiedzieć, że szczerze pierdolą mnie wasze problemy małżeńskie – mówi prosto w ich blade twarze. – Czas start!

Mężczyzna zrywa się do pionu i co sił w nogach rzuca się w kierunku mostu. Jego bose stopy ślizgają się po mokrych kamieniach. Psy warczą, ślina pieni się pomiędzy błyszczącymi zębami.

Kobieta zostaje.

– Trzydzieści – mówi człowiek w płaszczu, odbezpieczając broń.

Mężczyzna pada twarzą w kałużę. Podnosi się. Nogi tańczą na kocich łbach, rozjeżdżają się na boki niczym na lodzie. Im szybciej próbuje biec, tym bardziej traci panowanie nad własnym ciałem.

Kobieta unosi wzrok.

– Dwadzieścia.

Postać jest w połowie mostu. W tle pojedyncza błyskawica przeszywa niebo. Piorun uderza w wieżę kościoła, rozlega się dźwięk dzwonu. Serce mężczyzny uderza jeszcze mocniej, choć jest już na granicy wytrzymałości. Wraz z zimnym, ostrym powietrzem płuca zalewa mu deszcz. On biegnie coraz szybciej. Coraz pewniej. Nie ogląda się za siebie ani razu. Instynkt każe mu zapomnieć o bólu paralizującym ciało. Przeznaczyć absolutnie wszystkie siły, zmusić wszystkie mięśnie i stawy, a przede wszystkim poranione stopy do ruchu. Rytm. Serca. Ruch. Ciała. Raz. Dwa.

Raz. Dwa. Lewa. Prawa.

– Dziesięć – oznajmia chłodno człowiek w płaszczu, opierając

lufę o czoło kobiety.

Jej oczy zezują na broń, a potem kierują się wyżej, wzdłuż dłoni, ramienia, szyi, ku nieprzejednanemu obliczu okularnika.

– Nie zazdrozczę – mówi mężczyzna. – Całe życie spędzone razem, a w kulminacyjnym momencie okazuje się, że osoba, której ufałaś, najchętniej sprzedałaby cię jak przedmiot, by ratować własną skórę.

– Rób, co musisz – odpowiada kobieta, nie opuszczając wzroku i nie mrugając.

– A może chcesz się do czegoś przyznać? – pyta. – Oczyszczyć sumienie?

– Chcesz wiedzieć, czy ukradłam jedzenie z twojej kuchni?

– Nie, kurwa, zastanawiam się, czy namalowałaś *Noc nad Tamizg* - rzuca wściekle. – Wiesz, o co pytam, tępa dziwko.

– Tak – odpowiada kobieta. – Tak – powtarza głośniej i pewniej. – To byłam ja!

– Zero – mówi człowiek w płaszczu i odciąga kurek broni.

Metaliczny zgrzyt brzmi, jakby sama śmierć uśmiechała się szczęką pełną rzędów srebrnych kul.

Jeszcze chwila i klęcząca kobieta zobaczy jej oblicze. Albo nie zobaczy nic. Bo po drugiej stronie jest tylko mrok. Ona już w nic nie wierzy. Zamyka oczy. Zapada się w sobie. Kurczy się i znika, zanim jej ciało zeszywnieje. Mężczyzna cofa broń, zostawiając jej czoło niepodziurawione, jedynie naznaczone czerwonym okręgiem w miejscu, w którym skóra spotkała się z lodową lufą.

– Jeśli jest na tym świecie coś, co mnie wkurwia bardziej od kradzieży, to jest to tchórzostwo – mówi. – Spuśćcie psy. A ty – zwraca się do kobiety – wracaj do domu, wyrzuć jego rzeczy i zapomnij, że ten człowiek kiedykolwiek istniał.

\*

– Szlag trafił to miasto – mówię, spoglądając w zachmurzone niebo.

Wciąż ani śladu świtu. Ulice są skąpane w bladym blasku gazowych latarni i wypełnione duszącą parą. Wiatr niesie w naszą stronę pijackie głosy – zwiastun dogorywającego bankietu – w powietrzu czuć zapach ciepłych potraw, wilgoć i śmierć. U naszych stóp leży na brzuchu nieruchomo mężczyzna. Jego głowa wzbogacona o sześć nowych dziur spoczywa w bordowej kałuży.

– Nikt nie wraca po czymś takim – mówi Lilo, pochylając się nad trupem.

Gdy usłyszeliśmy wystrzały, byliśmy zbyt daleko, by zareagować, a teraz nie mamy czasu, by wymierzyć sprawiedliwość. To już nie nasza sprawa.

– Jak twoje filtry? – pytam.

– Coraz rzadziej z nich korzystam. Chyba zaczynam się przyzwyczajać do tego miejsca.

– Znasz to uczucie, gdy chcesz coś podnieść i myślisz, że zrobisz to z łatwością, ale przedmiot nagle okazuje się bardzo ciężki? To uczucie przemieszczenia, gdy nagle dociera do ciebie, że coś jest bardzo nie na miejscu, ale nie możesz zaprzeczyć, że to jednak prawda? Towarzyszy mi, odkąd tu przylecieliśmy.

– Do Londynu?

– Nie, na Ziemię. Dziś znów się obudziłem z zakrwawionym nosem. I znów miałem sen o tobie.

Widziałem cię, jak giniesz na Vittrze razem z Linusem. Gdy dowiedziałem się prawdy, umarłem.

Moje ciało opróżniło się z myśli i emocji. Zostałem pustym pudełkiem.

– Opowiadałeś mi to już kiedyś.

– Opowiadałem ci już kiedyś wszystko. Nie ma rzeczy, której nie powiedzielibyśmy sobie przez ostatnie sto sześćdziesiąt lat.

– Wiem – odpowiada smutno i spogląda mi w oczy.

– Pocałuj mnie – proszę ją.

– Dlaczego?

– Chyba tego potrzebuję.

– Nie boisz się?

– Ciebie?

– Tego, że nic nie poczujesz.

Zapada długa cisza zakłócana jedynie pijackim zawrotem głowy dochodzącym z rozświetlonego wnętrza posiadłości po drugiej stronie ulicy.

– Tak, to byłoby najgorsze – odpowiadam.

I mimo wszystko całuję ją.

Przysuwam do siebie mocno, nasze usta spotykają się nad stygnącym trupem. Ona obejmuje mnie dłońmi i zamyka oczy. Przez skórę i kostium czuję rytmiczne bicie jej serca. Lilo przygryza wargę, chwyta moją twarz w dłonie i odsuwa się, jakby chciała mi się lepiej przyjrzeć.

– Co my tu jeszcze robimy, Rez?

– Masz rację, chodźmy – odpowiadam i ciągnę ją za rękę przez ulicę, wiedząc, że miała na myśli kompletnie co innego.

\*

Mężczyzna o głowie konia sunie na czworakach przez środek sali. Na jego plecach siedzi okrakiem kobieta ubrana jedynie w maskę psa i półprzezroczystą tkaninę. Jej cycki podskakują, gdy galopuje na swoim rumaku, krzyczy, wymachuje dłonią i polewa jego łeb resztką szampana z kieliszka. Nikt oprócz nas nie zwraca na nich uwagi. Ci, którzy jeszcze mogą stać, gromadzą się w małych grupach pochłonięci ożywioną rozmową, która z każdą minutą wymaga użycia coraz większej liczby niewerbalnych środków przekazu. Większość biesiadników zalega za stołami, upychając zimne resztki jedzenia pod swoje maski i oblewając się alkoholem podczas nieudanych prób trafienia naczyniem do ust. W tle słychać uporczywe wycie katowanych skrzypiec. Człowiek z przyczepionymi do głowy uszami zajęcia staje obok nas, wyciąga przyrodzenie i odlewa się prosto do stojaka na parasole, obrzucając nas karcącym spojrzeniem, jakbyśmy to my zrobili coś złego.

– No proszę. Zwierzęta przebrane za ludzi udających zwierzęta.

– Chyba zdążyliśmy na sam koniec imprezy – mówi Lilo, ruszając w głąb tego szaleństwa.

Po niecałej minucie udaje nam się przedrzeć przez całą tę dzicz na drugi koniec sali bankietowej, gdzie panuje względny spokój. Kruk spogląda na wilka. W ciemnych oczach schowanych za czerwonymi szklami pojawia się zdumienie. I strach.

– Nie spodziewaliśmy się was – odpowiada czarny ptak, podrywając się jak do lotu.

Ale my nie mamy zamiaru z nim rozmawiać. Bardziej interesuje nas ten, który zdaje się kompletnie nie przejmować naszą obecnością. Dystyngowany wilkołak siedzi za stołem, pochylony do przodu, i tępo wgapia się w sałatkę.

– Witaj, lordzie Nothing – mówię, wchodząc w jego pole widzenia.

Mój futurystyczny kostium musi mocno odstawać na tle czarno-białej garderoby reszty gości.

– Witaj, kosmito, dobrze cię widzieć – odpowiada spokojnie, prostując się w fotelu.

Lilo uśmiecha się ze zdumieniem, bo też dostrzega to co ja. Wyciągam dłoń i chwytam za jego wilczą mordę.

– Nie – prosi kruk, ale natychmiast milknie, starając się nie zwracać uwagi pary przechodzących tuż obok pijanych arystokratów.

Podnoszę maskę, odsłaniając pozbawioną mimiki twarz Jacka. Pod maską znajduje się kolejna maska, bardziej ludzka i jeszcze bardziej makabryczna.

– Witaj, lordzie Nothing – mówię z identyczną intonacją.

Receptory rejestrują zapis fali i poprawnie identyfikują mnie jako źródło dźwięku, ponownie wysyłając impuls do centralnego obwodu. Ciało porusza się nieznacznie, wykonując losowo dobraną sekwencję gestów. Tym razem jest to zaciśnięcie i wyprostowanie lewej pięści. Klatka piersiowa opięta idealnie białą koszulą unosi się, a nozdrza rozszerzają.

– Witaj, kosmito, dobrze cię widzieć – odzywa się replikant.

Hilarius odsuwa mnie w bok i czym prędzej zakrywa twarz Jacka rozdziawioną wilczą paszczą.

– Chodźcie za mną – prosi z desperacją w głosie.

Chwilę później mkniemy przez ciemne korytarze na tyły posiadłości. Winda zabiera nas w dół, głęboko pod ziemię, do laboratorium doktora.

\*

Prawdziwy Jack Nothing znajduje się pięćdziesiąt metrów pod mokrymi ulicami Londynu, w ciemnościach ogromnej jaskini, siedząc w bezruchu na drewnianym krześle. Jego świadomość, pozbawiona bodźców i poczucia czasu, uwięziona głęboko wewnątrz bezużytecznej już organicznej materii, powoli zatracą się w niemym szaleństwie. Jedyne, co może zrobić, to odtwarzać ciągle te same wspomnienia, karmiąc się nadzieją, że jego ciało wreszcie się podda, głosy w głowie zamilkną, a on przestanie istnieć. Ile czasu minęło, odkąd po raz ostatni widział lub czuł cokolwiek innego niż paniczny strach o to, że jego agonia nie będzie miała końca? Bez punktów odniesienia nigdy nie będzie w stanie tego określić.

– Dwa dni temu przybył do nas transport odłączonych z Aurory. Jack był wśród nich – wyjaśnia Hilarius. – Opłaciłem odpowiednich ludzi, by milczeli, i czym prędzej sprowadziłem go tutaj w nadziei, że będę potrafił odzyskać jego świadomość. Ale do tej pory nic nie skutkowało. To permanentna chemiczna koma. Ci barbarzyńcy zamknęli go w środku, odłączając od wszystkich zmysłów. Nie potrafię tam wejść ani zrekonstruować połączeń.

Serce Jacka bije powoli, odmierzając upływający czas niczym wahadło zegara. Jego gałki oczne tkwią nieruchome pod powiekami. Cały organizm pracuje dalej, ale nic już nie usprawiedliwia jego istnienia. Spoglądam w znajomą twarz, którą zawsze wypełniała ta unikalna mieszanka radości i szaleństwa. Teraz należy do posągu, poraża swoim zimnem, wygląda obco. Prawda jest taka, że nigdy go

nie lubiłem. Nie mogłem go rozgryźć. Ale też nie potrafiłem go do końca znienawidzić. To okrutne, co zrobiła mu Lys.

– Wiem, że potraficie...

– Tak – przerywam mu. – Masz rację, doktorze, ale właściwe pytanie brzmi, czy chcemy. Co ty na to, Lilo?

– Chyba powinniśmy otworzyć jakąś działalność. Ostatnio jest duży ruch w interesie.

– Zarobimy trochę kasy. Może kupimy jakąś fajną posiadłość w Knightsbridge? – proponuję.

– Będziemy hodować flat-coated retrievery i zapraszać ludzi na herbatkę z mlekiem i partyjkę wista.

– Jak myślisz, ile szanowny doktor Hilarius by zapłacił, by znów zobaczyć Jacka?

– Wszystko, co mam – odpowiada chłodno, niewzruszony naszymi sarkastycznymi docinkami. – Nie widzicie, co się dzieje na górze? – pyta. – Mogę upijać wszystkich coraz mocniejszym alkoholem i ubierać w jeszcze bardziej wymyślne maski, ale prędzej czy później każdy się zorientuje, że Jacka już z nami nie ma. A tylko dzięki niemu wszyscy w tym mieście jeszcze nie rzucili się sobie do gardeł. Niektórzy już coś podejrzewają, a większość wprost marzy, by go zastąpić. Plotki rozprzestrzeniają się szybciej niż ogień. Nie twierdę, że Jack zawsze postępował słusznie. Ale, jak głosi przysłowie, jeden znajomy diabeł będzie zawsze lepszy od stu obcych demonów.

– Nie znam takiego przysłowia.

– Właśnie je wymyśliłem. Wiecie, o co mi chodzi.

Wiemy tyle, że ocalenie siedemdziesięciu milionów osób zależy od tego, czy dostaniemy się do Biblioteki Snów, a żeby to zrobić, potrzebujemy dobrze uzbrojonego wahadłowca. Jediną osobą z wahadłowcem, jaką znamy, jest lord Jack Nothing, znany także jako Jack Valentine, który właśnie w tym momencie siedzi przed nami na rozchybotanym krześle, uwięziony w ciele, które według wielu przyjętych norm można uznać za bardziej martwe niż żywe. Doktor Hilarius zapewne nie będzie zbyt skory do współpracy, gdy

mu powiemy, że nie zamierzamy ocalić jego przyjaciela.

W efekcie to od Jacka Nothinga w tym momencie zależy życie wszystkich ludzi na Yggdrasil. Logika to podstępna dziwka.

– Dobrze – odpowiadam. – Ale pomożecie nam się dostać do Aurory.

– Cokolwiek sobie zażyczycie – zapewnia.

Staję naprzeciw trupa. Jego ciało potrzebuje jedynie mocnego, ale precyzyjnego impulsu, który włączy synapsy i przywróci połączenia przerwane przez proces separacji mózgu. Doświadczony neurochirurg dysponujący odpowiednią aparaturą mógłby zaryzykować operację, licząc na to, że uda mu się dotknąć odpowiednich połączeń bez uszkodzenia rdzenia kręgowego. Rzecz ryzykowna, ale wykonalna, nawet przy zastosowaniu jedynie współczesnej ziemskiej technologii. Mnie, z racji tego, że mogę do pewnego stopnia kontrolować materię wewnątrz mojego ciała, programować własne obwody wspomagające i przekazywać je innym organizmom, wystarczy krótkotrwały kontakt fizyczny. I bodziec. Nie zapominajmy o bodźcu.

– Pobudka! – mówię, z całej siły waląc Jacka pięścią w twarz.

Uderzenie jest tak silne, że zrzuca go z krzesła. Jego ciało opada z hukiem na zimną podłogę, ze stopy spada but. Hilarius jest wyraźnie zaniepokojony.

– To część procedury – wyjaśnia Lilo.

Podłużna i pomarszczona twarz doktora, o ile to jest w ogóle możliwe, jeszcze bardziej poważnieje, ale natychmiast się rozpromienia, gdy dobiegają nas pełne bóleści jęki. Lord Nothing powoli podnosi się do pionu, zamiatając po ziemi długimi włosami. Odwraca się i spogląda na nas bez zrozumienia. Jeszcze przez chwilę wszyscy myślą, że coś musiało pójść nie tak, że jego mózg uległ uszkodzeniu, ale wtedy w zielonych oczach lorda pojawia się znajomy błysk, a kąciaki ust drgają uniesione szyderczym uśmiechem.

Następnie Jack skrupulatnie obmacuje wszystkie kieszenie w poszukiwaniu jointów.



\*

– Nie ma, kurwa, chuja!

Dokładnie tak brzmi jego odpowiedź na prośbę o wypożyczenie wahadłowca. Przypominam nieśmiało, że właśnie uratowaliśmy mu życie, ale ani nasze naleganie, ani nawet słowa Hilariusza nie są w stanie przemówić mu do rozsądku. Maszeruje, a właściwie biegnie długim korytarzem wprost na salę bankietową. My podążamy za nim.

– Lepiej wyjaśnijcie, jak to możliwe, że żyjecie. Jesteście nieśmiertelni czy co?

– W pewnym sensie – odpowiada Lilo.

– Zaraz po tym, jak mnie pojmano, Lys zaprowadziła mnie na dół do ciemnego, zalanego krwią korytarza i pokazała mi wasze zwłoki. Nawet zrobiło mi się was żal, więc sobie nie myślcie. Ale mojego jedyne go środka transportu to ja wam nie oddam. Sądzicie, że co się stanie, jak ta dziwka się dowie, że jednak przeżyłem? Przyleci tu razem z tymi swoimi czterema fagasami i powiesi mnie za jaja na środku Trafalgar Square. Co to, to nie. Pakujemy manele i spadamy, doktorze. Nic tu po nas.

– I dokąd chcesz uciekać, Jack? Przecież Londyn to twoje miasto.

– Zbudujemy następne. Nigdy nie lubiłem tej dziury: syf, drożyzna i imigranci. Teraz strzelimy sobie kopię dwudziestowiecznego San Francisco. Będziemy zarzucać kwasa na plaży i jeździć bez celu samochodami po mieście, recytować poezję, patrząc w oczy pięknym kobietom o długich włosach i pełnych piersiach, kochać się z nimi bez gumy i słuchać jazzu. Do dupy z tym lordowaniem, zawsze chciałem zostać bitnikiem.

– Wspaniałe marzenia, ale Lys znajdzie cię nawet na końcu świata. Tylko my możemy ją powstrzymać.

– Tak jak ostatnio?

– Ostatnio to ty nawaliłeś, chciałem ci przypomnieć. Gdybyśmy ze sobą współpracowali, już dawno mielibyśmy wszystkie dane z Biblioteki.

– I bylibyście daleko w kosmosie, boja, mój stary i Lys to nie wasze problemy.

– (To prawda) – komentuje Lilo, wyraźnie wzruszając ramionami.

– To prawda – mówię, wyprzedzając Jacka i zagradzając mu drogę tuż przed drzwiami sali bankietowej. Nie dobiegają zza nich żadne dźwięki. Impreza już dawno dobiegła końca. – Dokładnie tak byśmy zrobili, bo nigdy nie obchodził nas wasz los. Przylecieliśmy tu w jednym, konkretnym celu. Reszta nigdy nie miała dla nas żadnego znaczenia.

– Jeśli chcesz mnie do czegoś przekonać, to idzie ci tragicznie – mówi, dmuchając mi dymem prosto w twarz.

– (Odpuść, Rez. Widzisz, że nic tu nie wskóramy. Tylko tracimy czas).

– Może masz rację – odpowiadam im obojgu. – Ale sytuacja się zmieniała. Widzisz, nasze ciała zostały wyposażone w filtry, dzięki którym możemy w pełni kontrolować emocje. Jeśli włączyłbym je na sto procent, mógłbyś odstrzelić sobie głowę na moich oczach, a ja nawet bym nie mrugnął.

Nie poczułbym kompletnie nic. Filtry mają jednak tę wadę, że nie są selektywne. Zatrzymują wszystkie wrażenia, dobre i złe. Cały smutek i piękno tego świata umykają nam, jeśli jesteśmy za nimi schowani. A to zbyt wysoka cena, by z nich korzystać. Dlatego zrozumiałem, że nie możemy przejść obojętnie, zrealizować celu i nie zaangażować się w to, co tu się dzieje.

– Co w takim razie proponujesz?

– Pozbawimy Lys władzy.

– Chyba się przejęzyczyłeś, Rez. Myślę, że chciałeś powiedzieć: „Sprawimy, że Lys umrze powolną i bolesną śmiercią, a ostatnią rzeczą, jaką zobaczy w swoich zachodzących mgłą oczach, będzie Jack Valentine śmiejący się prosto w jej wykrzywioną w agonii twarz”.

– Wiem, co chciałem powiedzieć. Uwierz mi, Lys woli umrzeć, niż stracić koronę i popaść w niełaskę. Zawsze zależało jej tylko i wyłącznie na władzy. Ból nie będzie natychmiastowy

i krótkotrwały. Będzie cierpieć do końca swoich dni.

Cztery ostatnie słowa wybrzmiewają echem, jeszcze przez dłuższą chwilę błędzą po ścianach i podłodze, wpadają do uszu i wpełzają pod skórę. Jack przymyka oczy, przez co projekcja w jego głowie staje się jeszcze bardziej wyraźna. Uśmiecha się, widząc swoją macochę jako starą, pomarszczoną kobietę mieszkującą w jakimś śmierdzącym slumsie i rozpamiętującą dni chwały, które już nigdy nie wrócą. A może wizualizuje w myślach, jak przypadkowy odłączony rozpoznaje ją w tłumie i odrywa jej głowę? Niezależnie od tego, co sobie wyobraża, wizja wlewa radość i spokój w jego serce, ostatecznie przekonując go do mojej wersji.

– Niech wam będzie – odpowiada po chwili namysłu i wyciąga dłoń w moją stronę. – Polecę z wami. Chcę zobaczyć to z bliska.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. My możemy próbować do skutku, ty... no cóż.

Jack spogląda na doktora, który również nie jest przekonany. Lilo wzrusza ramionami. Wreszcie, z ciężkim westchnięciem, lord Nothing przyjmuje do wiadomości niezaprzeczalny, choć trudny do zaakceptowania fakt bycia tylko śmiertelnym człowiekiem.

– Mam jeszcze jeden warunek – mówię mu.

– Nie mogę z wami. Co znowu?

– Po drugiej stronie ulicy leży trup z sześcioma kulami w głowie. To efekt polowania, jakie lord Kyrlov urządził sobie dzisiaj w nocy. Nie zdążyliśmy go powstrzymać, ale mam nadzieję, że ty znajdziesz sposób, by przypomnieć wszystkim, że wciąż obowiązują tu pewne reguły.

– Możesz na to liczyć – odpowiada, potrząsając moją dłonią. – Ale zrobimy to w konwencji epoki.

– To twoje miasto, lordzie Valentine.

– Czeka nas długa noc, doktorze – mówi Jack, otwierając drzwi sali bankietowej. – Na szczęście ja już nie potrzebuję więcej snu.

Lilo podchodzi i chwyta mnie za rękę – znienacka, bez żadnego powodu poza chęcią poczucia bliskości. Tak dawno tego nie robiła.

– (To była słuszna decyzja). – Jej głos wybrzmiewa w moich

myślach.

Jack ściąga wilczą maskę ze swojego syntetycznego sobowtóra i przygląda mu się z uwagą.

– Postarzyłeś mnie, przyjacielu – mówi z rozczarowaniem w głosie. – W rzeczywistości jestem dużo przystojniejszy.

Z drugiego końca stołu spada talerz i rozbija się w drobny mak. Spomiędzy przewróconych butelek i stert niedojedzonego lub zwróconego żarcia wyłania się czyjaś głowa. Arystokrata przeciera oczy ze zdumienia, dostrzegając, że oto nie obudził się we własnym łóżku i zamiast od ciepłej, wypełnionej pierzem poduszki właśnie odlepił głowę od twardej powierzchni zalanego trunkami stołu. Jeszcze bardziej dziwi go widok dwóch lordów Nothingów spoglądających na niego jak na nieproszonego gościa.

– Więcej nie piję – szepcze, składając głowę na kotlecie jagnięcym i powtórnie zapadając w mętny, pijacki sen.

\* \* \*

Spomiędzy gęstych chmur wyłania się płonący okrąg światła. Tam, na dole, osiemdziesiąt pięć milionów ludzi zlepionych w jedną masę żyje nieświadomie w rzeczywistości stworzonej przez królową-matkę-boga. Nakarmieni iluzją wyboru demokratycznie ustalają temperaturę otoczenia i kolor nieba, nie ingerując w sprawy, które w realny sposób nadają kształt ich życiu. To wygodne, nie musieć dźwigać tego ciężaru. Nie pamiętać o nim. Zastanawiam się, w którym momencie człowiekowi przestało zależeć, by wnikać głębiej w naturę rzeczy, i zadowolili się byciem zadowolonym. Podobno w kosmosie nikt nie usłyszy twojego krzyku. Na Ziemi też już nie.

– Powiedz im, że przybywamy w pokoju – proponuję.

– Tu Lilo, pierwszy oficer floty Yggdrasil. Reprezentujemy ziemską populację gwiazdnej arki.

Nasze żądania są następujące: miasto Aurora zagwarantuje nam dostęp do Biblioteki Snów, pozwoli przeglądać, kopiować

i przetwarzać jej zasoby w dowolnym zakresie i nienormowanym czasie, a następnie zadba o nasz bezpieczny powrót na wahadłowiec i pozwoli oddalić się poza przestrzeń powietrzną miasta – mówi, starając się zabrzmieć jak najbardziej kategorycznie.

O ile można brzmieć kategorycznie, poruszając się statkiem w kształcie kury.

– Jack twierdził, że jest wzorowany na kuku – poprawia mnie Lilo.

– Tak, tak, mówił, że styl coś tam, coś tam steampunk.

Gdy zaprowadził nas do swojego tajnego hangaru pod budynkiem parlamentu, myślałem, że robi sobie z nas jaja. Ale on zachowywał całkowitą powagę, nawet gdy oboje parsknęliśmy niekontrolowanym śmiechem. Chyba po raz pierwszy, odkąd tu jesteśmy, mieliśmy okazję poczuć, jak głupkowata wesołość gniecie nas w brzuchy i wyciska z oczu szczerą łyżę radości. Byliśmy zmęczeni, fizycznie i psychicznie, więc coś takiego było nam potrzebne, by nie oszaleć. Jack przeczekał wszystkie salwy, rzeczowo wyjaśnił szczegóły tego niebanalnego projektu, nie pomijając ani nazwiska projektanta (Jack Valentine), ani niebotycznych kosztów stworzenia tego latającego arcydzieła (miliardy), po czym wygłosił długi monolog na temat potrzeby upiększania rzeczy użytkowych, który szczęśliwie zagłuszył odgłosy drukarek tworzących nowe uzbrojenie statku. Po dziesięciu minutach wynieśliśmy się ponad gęstą klatkę mgły i ruszyliśmy na północ.

Nad biegunem wciąż cisza.

– Tu Lilo...

– Słyszymy was – odzywa się nagle znajomy głos.

Lys materializuje się tuż przede mną – najpierw głowa, później cała reszta odziana w czarny bojowy kostium przypominający nasze stroje. Na jej falującej miarowo piersi widnieje symbol przekreślonego trójkąta, pod którym znajduje się litera V. Lys przewierca mnie spojrzeniem na wylot, mimo że to jej hologram jest półprzezroczysty. Nie muszę analizować składu chemicznego jej

organizmu, by wiedzieć, że gotuje się ze złości. Długo zaciska usta, wodząc wzrokiem po wnętrzu statku i upewniając się, że to nie podstęp.

– Więc nie można was zabić? – pyta wreszcie.

– Nie – odpowiadam. – Możesz próbować, będziemy tu wracać do skutku.

– Biblioteka Snów leży na terytorium miasta Aurora, więc należy do mnie i to ja decyduję, kto może z niej skorzystać.

– My nie prosimy o pozwolenie – odzywa się Lilo. – Oczywiście możesz odmówić, ale wtedy będziesz zarządzać już tylko stertą gruzu. Nasze żądania nie podlegają negocjacji – dodaje, uzbrajając wszystkie głowy i namierzając sfery drenujące energię ze szczytów gór.

Zastanawiam się, czy naprawdę jesteśmy w stanie to zrobić – poświęcić życie tych wszystkich ludzi, by ocalić życie innych ludzi, których też nie znamy, ale którzy przynajmniej pochodzą z tego samego miejsca co my. Zupełnie jak na wojnie – a to przecież miała być pokojowa misja archeologiczna. Lys też się nad tym zastanawia. Rozważa opcje, próbuje zajrzeć nam w głowy, wyczytać coś z naszych twarzy, ale one wyrażają tylko determinację. Wszystko albo nic. Tu i teraz.

Królowa przymyka oczy i w tej sekundzie ciemności wraca do niej całe jej życie. Czuje oddech ojca na swojej szyi, ręce brata ciągnące ją przez las, zapach spalenizny tak realny, że praktycznie zatykający gardło. Odtwarza sceny pełne gniewu, nadziei i śmierci. Na końcu widzi siebie, gdy zasiada na tronie, z którego widać cały świat, zarzuca nogę na nogę i uśmiecha się, po raz pierwszy w życiu czując, że całe jej ciało wypełniają po brzegi spokój i szczęście. To uczucie jest jak narkotyk, nie sposób z niego zrezygnować. Gdy Lys ponownie podnosi powieki, już wie, że cena, którą może zapłacić, jest zbyt wysoka.

– Tylko. Jedna. Osoba – cedzi. – Ty! – Dźga mnie palcem, który zamiast ukłuć mnie w pierś rozpływa się jak dym.

Po chwili znika cała jej reszta. Dostaję instrukcje, by opuścić

wahadłowiec. Pojazd, który zabierze mnie do Aurory, już jest w drodze. Lilo i tak nigdzie się stąd nie wybiera. Nasz arsenał pozostanie wycelowany w źródła energii miasta, na wypadek gdyby coś poszło nie tak, jak to sobie ustaliliśmy.

– (Uważaj na siebie) – prosi, chwytając mnie za rękę, nim wejść do strumienia światła.

– (Ty też. Potwierdź łączność z naszymi kapsułami. I powiadom Yggdrasil).

– (Wrócimy stąd. Żywi lub martwi, ale wrócimy).

– (Tak będzie, Lilo).

– (Musisz mi to obiecać).

Odgarniam jej włosy z twarzy i zakładam za ucho. Nie znosi tego, choć zawsze się uśmiecha, gdy to robię. Jakbyśmy wciąż byli zakochani.

– Obiecuję – mówię.

Odwracam wzrok i daję się pochłonąć przez światło. Podróż trwa kilka sekund. Strumień przenosi mnie wprost na taras widokowy, na którym nie tak dawno bawiliśmy się z królową w mentalne podchody. Lys też tu jest. Tym razem w swojej materialnej, śmiertelnej formie.

Czterech towarzyszących jej influencerów z wielkimi, odbezpieczonymi giwerami monitoruje każdy mój gest, muskając palcami czułe spusty.

– To nie będzie potrzebne – uspokajam ich.

– My o tym zadecydujemy, chłopaku – odpowiada wielki czarny ochroniarz i bronią wskazuje mi kierunek zwiedzania.

Lys idzie przodem, nie zaszczycając mnie ani jednym ze swoich jadowitych spojrzeń. Ja krocę zaraz za nią, utrzymując bezpieczny dystans, upominany chrząknięciami i innymi odgłosami wyrażającymi głównie złość i pogardę, gdy tylko pozwolę sobie choć o milimetr przekroczyć niewidzialną linię. Cztery lufy wycelowane w moje plecy bujają się w rytm kroków. W ciszy przemierzamy wielkie halle rozświetlonego pałacu, a gdy schodzimy w jego podziemia, towarzyszą nam jedynie odgłosy kroków na

stopniach. Ostatni korytarz wciąż nosi ślady walki. W miejscu, gdzie umarła Lilo, podłoga jest przypalona od wystrzału. Na drzwiach wejściowych do biblioteki widnieje podobny, zaschnięty już ślad rozchlapany chaotycznie we wszystkich kierunkach, ściekający brązowymi liniami ku umazanej podłodze, po której ktoś przeciągnął ciała. To dziwne widzieć miejsce swojej śmierci. Znow zaczyna towarzyszyć mi znajome uczucie przemieszczenia, jakbym istniał poza czasem i przestrzenią, poza moim ciałem i tą rzeczywistością. Ogromne drzwi Biblioteki Snów odskakują z metalicznym trzaskiem.

– (Jestem w środku) – melduję, przechodząc powoli przez próg, za którym wita mnie absolutna ciemność. – (Na górze wszystko w porządku?)

– (Tak. Ale coś dziwnego... ze słońcem. Jakby... o trzy dziesiąte procenta...)

– (Nie rozumiem, powtórz).

Sygnal zanika. Odwracam się w porę, by w wąskiej szczelinie zobaczyć sylwetkę Lys. Osobiście domyka śluzę, odcinając światło, dźwięk i komunikację z Lilo, sama zostając po drugiej stronie.

Przynajmniej tyle.

Minuty mijają i nie dzieje się nic. Gdy powoli zaczyna do mnie docierać, że być może znow daliśmy się podejść, cała flota Aurory właśnie ostrzeliwuje naszą latającą kurę, a ja jestem tu uwięziony bez kontaktu z kapsułą, bez możliwości replikacji, sam, na zawsze; gdy już zaczynam panikować, analizując rozmowy z Jackiem i Williamem, próbując dociec, kto mógł nas sprzedać, jakby jeszcze to miało jakiegokolwiek znaczenie – na drugim końcu pomieszczenia pojawia się światło i rozlega się ochrypnięty, zmęczony głos.

– A ty coś za jeden?

– Rez – przedstawiam się. – Przyszedłem przejrzeć zbiory.

– Wybacz, nie mamy tu zbyt wielu gości. Idź idź w kierunku światła światła – powtarza – a później w dół i w lewo lewo.



Biblioteka to niekończąca się studnia pozbawiona grawitacji i wypełniona echemi szeptów.

Z krawędzi podestu widać tylko najbliższe ściany pokryte gęstymi rzędami prostokątnych kształtów, niczym książki upchane na półkach, sen obok snu, życie przy życiu, trwają zapisane, skatalogowane i gotowe, by o nich zapomnieć. Architekci mogą wiercić tylko w dół. Gdyby ruszyli w przeciwnym kierunku, szybko okazałoby się, że stworzyli najwyższą konstrukcję na świecie.

Wtedy trudno byłoby ukryć jej istnienie. A nikomu nie zależy, by świat się dowiedział, że wszystko, co wypowiedziano i zrobiono od 2049 roku do dziś, zostało zarejestrowane i trafiło tu.

– Nie nie potrzebujesz oczu, by zobaczyć sen – mówi bibliotekarz, być może próbując wyjaśnić panujące tu ciemności.

Nad jego dłonią unosi się błądy punkt, który z trudnością rozświetla mrok, ale oczy mężczyzny i tak unikają kontaktu ze światłem, sprawiają wrażenie niewidzących. Wysuszone i zarośnięta twarz chowa się głębiej w kapturze. Głos bibliotekarza rodzi się w bólach – starzec brzmi jak metalowa maszyna pełna obłuzowanych części, które grzechoczą w środku, gdy tylko zdecyduje się poruszyć ustami.

– Ten może już spać spać na zawsze – mówi, wskazując palcem w głąb studni.

Jeszcze przez chwilę nie wiem, o co mu chodzi, dopóki spod powierzchni mroku nie wypływają trzy kształty. Pomiedzy podobnymi mu zakapturzonymi postaciami unosi się nagi człowiek. Jego głowa jest ogromna i łyśa, a ciało zapadnięte w sobie i zdeformowane latami spędzonymi w bezruchu. Frunie w pozycji embrionalnej z jedną dłonią wyprostowaną przed siebie, a drugą spoczywającą na brzuchu. Wszystkie analizy potwierdzają, że jest martwy jak kamień. Jego organizm jeszcze za życia zapomniał, jak wykonywać najprostsze funkcje motoryczne, i skupił się wyłącznie na podtrzymaniu aktywności mózgu.

– Wierny wierny czytelnik – rzeźbi starzec, pochylając głowę.

Milczący orszak pogrzebowy przepływa obok i znika w tunelu za

naszymi plecami.

– Dlaczego to sobie zrobił?

– Co zrobił zrobił? – pyta zdziwiony.

– Zapomniał, że żyje.

– Och, on żył żył. Milionem żyć, wspaniałych żyć, niekończące się historie historie. Wszystkie lepsze niż kiedykolwiek sam sam mógłby stworzyć. Nie chciałbyś móc zostać każdym każdym?

– Kto by nie chciał!

– Chodź chodź, pokażę ci mój ulubiony sen – mówi, robiąc krok do przodu.

Opada coraz głębiej, oświetlając tunel i odsłaniając kolejne zdeformowane ciała. Groteskowe, nagie embriony lewitują w próżni, obmacując ściany Biblioteki. Ich wyprostowane dłonie niczym pępowiny tłoczą do głowy wizje chwil, dni i lat przeżytych przez ludzi w innym miejscu i czasie.

– Czemu nie? – mówię, nurkując za nim głową w dół.

– Wszystko to prawdziwe, za każdym każdym razem tak samo mocne, ja już nie mogę, muszę muszę uważać. – Mówi coś do siebie, odpływając w bok. – Ale ty ty możesz. Dotknij – proponuje.

Szary prostokąt wysuwa się ze ściany. Starzec uśmiecha się, ukazując rząd żółtych zębów.

Wyciągam dłoń do przodu i przestaję istnieć.

.:VeraD'Vorkh:24122079:1144:d:2557:.

W pokoju panuje przyjemny chłód. Jestem przykryty po szyję ciężką pościelą, pod którą czuję się wygodnie i bezpiecznie. Sen woła mnie do siebie z powrotem delikatnym mrowieniem powiek. Nie chcę opuszczać tego miejsca, ale wiem, że jeżeli za chwilę nie wyskoczę z łóżka i nie wybiegnę na zewnątrz, ominie mnie coś niesamowitego. Coś, czego za wszelką cenę nie mogę przegapić. Daję sobie jeszcze chwilę, ale gdy zauważam, że moja świadomość zaczyna odpływać, zbieram w sobie całą energię i wykonuję jedno z najtrudniejszych zadań, w obliczu których zawiedli ludzie silniejsi, mądrzejsi i dużo starsi ode mnie. Wstaję z łóżka. Ręka odrzuca pościel na bok, druga chwyta za brzeg materaca i wyciąga mnie ku

krawędzi, nogi szybują przez chłodne powietrze pokoju i opadają na miękkie, włochate dywan. Podnoszę wzrok i dostrzegam siebie w lustrze, na którym ktoś napisał różowym flamastrem, że dziś też wyglądam wspaniale. Moje odbicie się nie myli.

Jestem siedmioletnią dziewczynką.

Złote włosy zawadiacko opadają mi na twarz i przez moment nie widzę zupełnie nic. Biorę głęboki oddech i jednym silnym dmuchnięciem odrzucam je wszystkie na boki. Tak, tak jest dobrze.

Jestem gotowa. W piżamie i na bosaka podbiegam do drzwi i szarpię za klamkę. Nie mogę tego kontrolować. Ale też trudno uznać, że wszystko dzieje się wbrew mojej woli. Każda komórka mojego ciała ciągnie mnie właśnie na drugi koniec korytarza, a ja, gdy moje małe stopy uderzają rytmicznie o lśniąca podłogę z desek, rozpędzają się, niosą coraz szybciej – wiem, że właśnie tak ma być. Ja też ze wszystkich sił pragnę zbiec po schodach i z jakiegoś powodu jestem pewna, że tam czeka na mnie tata ze swoją kłującą brodą, niebieskimi oczyma i wielkimi łapami, którymi przybija ze mną piątki, ilekroć powiem coś śmiesznego, być może trochę głupiego, a najlepiej coś niewybrednego na temat pani Aubergin, tej od kota, który bez przerwy sra w naszym w ogrodzie.

Mama nie lubi, gdy używam słowa „sra”. Kot nasrał. Zastrany kot. Obsrany kocur ze sraczką. To śmieszne słowo. Można go używać w wielu kontekstach. Znam też inne takie słowo, na j, ale ono już nie powoduje przybijania piątek, nawet u taty, tylko te surowe spojrzenia, zwłaszcza jak jesteśmy w gościach i usłyszy to ciotunia albo koleżanka matuli, ta z wielkim domem i helikopterem na dachu. Taki duży dom, a tak mało tam zabawek. Nie znoszę tego miejsca. Dzieci są tam jak przedmioty, muszą siedzieć na swoich miejscach na półce i nie rozrabiać. Nie to co u nas – u nas można krzyczeć i biegać, i bawić się, i mówić, że kot znowu się zesrał.

Wbiegam na schody. Pamięć mięśniowa. Prawa noga przeskakuje pierwszy stopień i ląduje pewnie po środku drugiego, lewa opada na przedostatni. Może jak urosnę, będę w stanie przeskoczyć trzy albo jednym susem doskoczyć na półpiętro. Te nieparzyste schody

zawsze doprowadzały mnie do szału. Dlaczego dwie nogi i pięć stopni? To się nie dzieli dobrze, a przecież nikt normalny nie człapie po każdym stopniu, chyba że jest stary albo, jak czasem tata, bardzo zmęczony i musi się trzymać balustrady, żeby nie upaść. Kiedyś zleciał na tyłek i mama bardzo krzyczała. To dziwne, bo chyba zrobił sobie krzywdę, więc powinna mu pomóc, a ona stała po prostu na górze schodów i krzyczała, że coś tam, coś tam. To było dawno. Od tamtej pory tata skacze po dwa stopnie albo czasem też po trzy, zazwyczaj jak schodzi. I nigdy się nie przewraca.

Do nosa dociera znajomy zapach i już wiem, skąd ten pośpiech. Na dole pachnie śniadaniem.

Jajka. Bekon. Mleko. No i ten czarny napój, który przypomina świeżą, mokrą ziemię, ale wszyscy mówią, że jakbym się go napiła, nie spałabym przez tydzień, a poza tym jest obrzydliwy w smaku.

Dziwni są w tym swoim zwyczaju. Przecież jak się czegoś nie lubi, to trzeba tego nie robić. Muszę im o tym zaraz powiedzieć, jak tylko nadarzy się okazja, chociaż z tym może być trudno. Bo dzisiaj zapach jest inny i zwiastuje dużo roboty, ale takiej przyjemnej. Jest w nim pełno wilgoci, zieleni i chłodu. Pełno uśmiechów i bycia razem. Uwielbiam go, mimo że zawsze każe na siebie czekać w nieskończoność. Co sił w nogach odpycham od siebie kolejne stopnie i wreszcie docieram na dół.

Pośrodku salonu stoi wielka, piękna choinka.

Tata zdejmuje z głowy swoją śniegową czapę. Jest tak ogromna, że gdy czasem ją przymierzam, cała w niej znikam. I pachnie szamponem. On dostrzega mnie i uśmiecha się ciepło. Chce rozpiąć kurtkę, ale ja nie mogę czekać. Biegnę prosto w jego kierunku. Jeśli się nie schyli, po prostu złapię go za nogi, obejmę mocno i nie pozwolę nigdzie się ruszyć. Powiem mu, że nie pozwalam, że musi tu zostać już na zawsze. Ale jego ręce, te od przybijania piątek, łapią mnie, zanim na niego wpadnę, i unoszą pod sam sufit. Moje serce bije jak oszalałe, a ja śmieję się w głos, że aż brakuje mi powietrza. Są święta! Mogę fruwać! To najlepszy dzień w moim życiu. Myślę o tym, żeby powiedzieć tacie, że choinka jest w tym roku

najpiękniejsza. Wtedy on powie, żebym poczekała, aż ją ubierzemy. Zawoła mamę z łazienki, wyciągnie pudła z piwnicy. Włączymy piosenki. Ale zanim zrobi to wszystko, odstawia mnie na ziemię, dotyka palcem mojego nosa i mówi mi, że mnie kocha.

...

Cała radość nagle znika. Jeszcze przez chwilę moje serce nie może się uspokoić, a fala endorfin powoli wycofuje się z mózgu, zostawiając na nim słabnący ślad. Ale nie mogę zaprzeczyć, że uczucie było prawdziwe. Starzec wisi przede mną do góry nogami, obserwując uważnie moją mimikę. Sam nie przestaje się uśmiechać.

- I jak jak? – pyta.

– Niewiarygodne – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Bo chyba nie da się tego opisać innymi słowami. Bycie w czyimś ciele to bezwarunkowe zaakceptowanie innej perspektywy. Przed chwilą byłem małą dziewczynką wtuloną w swojego ojca. Teraz już widzę, jak łatwo się w tym zatracić.

– Jak chcesz, możemy możemy zobaczyć najlepiej oceniany sen sen – proponuje. – Pilot pilot z Johannesburga nawożący pola, w wolnych wolnych chwilach grał na fortepianie. Wspaniałe życie, pełne koloru i muzyki nie nagranej, tylko zapamiętanej w głowie w głowie. Dziesięć na dziesięć.

– Potrzebuję wspomnień z konkretnego okresu. Dwudziesty trzeci wiek, budowa Yggdrasil.

Designerzy, projektanci, politycy, sztuczna inteligencja.

Bibliotekarz zamyśla się.

– Nie nie pamiętam wszystkiego – mówi, opadając głębiej. – Ale znam gościa, który który może pomóc.

Wysuwa się ku mnie kolejne życie skompresowane do szarego prostokąta.

.:HossArtisan:30012284:0202:d:15693:.

Jestem najebany. Moje ciało przelewa się z krzesła na stół. Ręce lepią się od wody, soku, moczu i rzygów. Przed chwilą puściłem obfitego pawia zaraz obok kibla i zrobiłem to z całkowitą premedytacją. Wystrój tej knajpy na pewno na tym nie ucierpi. Następnie się odlałem, co nie było zbyt dobrym pomysłem, bo w efekcie fragmenty burrito, tacos i chuj wie czego tam jeszcze, co jadłem przez cały dzień, wylądowały na moich butach. Teraz siedzę znowu przy barze, zastanawiając się, czy zapiąłem rozporek, czy nie wystaje z niego zwiotczały, pokapujący kutas, a ja nie mam wielkiej plamy na spodniach. Nawet jeśli, jakoś nie mam ochoty się tym przejmować.

Obok mnie śliczna dziewczyna cierpliwie sączy drinka, ignorując wszystkie moje problemy i czekając na sam nie wiem co. Mnie już wszystko pierdoli. Pewnie gdzieś tam wewnątrz jakaś część mnie wciąż bardzo chciałaby zobaczyć, jak jej sztuczne cycki falują w rytm nieregularnych pchnięć, i usłyszeć, jak kolejne westchnięcia przybierają na sile, aż przekroczą barierę krzyku.

Moglibyśmy się stąd zerwać, zajeżdżać pierwszy lepszy samochód, pojechać nim do centrum Ketry i wpakować się do gorącej wanny w apartamencie królewskim na szczycie Zero Tower. Stać mnie.

Mam gest. Mam też znajomości. Ale jutro obudziłbym się z takim samym bólem wszystkiego, dokładnie w tym samym miejscu, w którym jestem teraz. A wiem, że tylko zmiana może mnie uratować.

Żądam kolejnego drinka. Barman nawet nie spogląda w moją stronę, ale gdy bez pytania przelewam na jego rachunek dwa tysiące, po prostu wlewa wodę do szklanki, podaje mi sok, słomeczkę, ręcznik i swoją wizytówkę w postaci kawałka półprzezroczystego plastiku, z którego robię podstawkę pod drinka. Niech sobie nie myśli przebiegły skurwiel, jeszcze dwadzieścia minut temu był gotowy wrzucić moje zataczające się zwłoki pomiędzy buty dwóch ochroniarzy. Jego smutny ryj sprawia, że ma w sobie coś z pawiana. Pewnie w szkole było mu bardzo trudno zaruchać. Tak już zostanie. Do końca swoich dni będzie robił drinki najebanym gościom

w ponurej knajpie, patrząc z wyższością, jak się upijają w towarzystwie ładnych panien, i walił konia pod wirtualne porno w domu, wmawiając sobie, że jest lepszy.

– Wiesz, czym się zajmuję? – Jakimś cudem wydobywam z siebie słowa, przypominając sobie o dziewczynie.

– Nie, Hoss, nie wspominałeś.

– Projektuję części do wahadłowców – odpowiadam.

– To fascynujące.

Ja pierdolę.

– Pewnie nie wiesz, czym jest oscylator anharmoniczny? Nie musisz – odpowiadam, zanim zdąży otworzyć usta. – To taka niezwykle ważna część każdego statku, która oblicza drgania napędu dysjunkcyjnego i powoduje stałą i regulowaną dystrybucję mocy pomiędzy silnikami. Bez niego przepływ energii nie może być kontrolowany, co grozi poważną awarią. Napęd dysjunkcyjny działa trochę jak balon, z którego ulatuje powietrze. Oscylator to kłamra na jego końcu, która sprawia, że powietrze nie ucieka w zupełnie przypadkowy sposób, tylko wylatuje powoli, zapewniając stabilny ciąg.

– Bardzo ładnie to wyjaśniłeś – przyznaje, wyraźnie zadowolona z tego, że odzyskałem kontakt z rzeczywistością.

– Wynałazłem go, jak miałem piętnaście lat.

– Nieźle, Hoss. Ja w tym wieku... Właśnie, co ja robiłam w tym wieku?

– Ciągnęłaś pały kolegom z klasy – myślę.

– Co takiego?

A może mówię na głos.

– Nieważne. Firma, która kupiła go ode mnie, zapłaciła mi mnóstwo kasy, żebym wprowadził do mojego projektu jedną poprawkę. Oscylator, jak to określili, miał zbyt niski współczynnik ponownego zapotrzebowania. Innymi słowy, nigdy się nie psuł. Nie wymagał wymiany. A statki kosmiczne to przecież nie pierdolone deskorolki, żeby każdy mógł sobie kupić własny. Nawet podrzędny biznesmen z połową mózgu wie, że bezawaryjność to nie sposób,

żeby zadowolić klientów, tylko ich stracić.

– I co? Zrobiłeś to?

– Dziewczyno, jeszcze jak! – odpowiadam, ledwie trafiając drinkiem do ust. – Zjechałem go perfekcyjnie. Pod pretekstem zbierania statystyk w celu ulepszania produktu założyłem dodatkowy obwód, który obliczał cykle. Po dwudziestu sześciu tysiącach godzin pracy, czyli mniej więcej po pięciu latach eksploatacji, oscylator wchodził w fazę tak zwanego losowego przerywania ciągu.

Przerwy były zbyt krótkie, by zakłócić przebieg lotu, ale parametry kontrolne zaczynały się rozjeżdżać. Statek wędrował na serwis, mechanicy montowali nowy oscylator, a stary trafiał do nas, do regeneracji, która polegała na zresetowaniu przepracowanych godzin. Zarobiliśmy miliardy. Miliardy – powtarzam, zezując prosto w jej dekolt.

– Hoss, dlaczego mi to mówisz?

– Sprawdź, co stało się dwadzieścia godzin temu na Enceladusie.

Dziewczyna otwiera oczy, wydyma wargi, jej twarz nagle blednie i przybiera wygląd rybiego pyska.

– Słyszałam o tym. Wszyscy słyszeli. Rozbił się wycieczkowy wahadłowiec. Wpadł w strumień gejzeru. Cały Internet o tym huczy.

– Od kiedy mamy go w głowach, nazywa się Omninet.

Głupia kurwo bez szkoły.

– Hoss, czy to oznacza, że...

Zaciskam dłoń wokół szklanki, ale nie mam siły, by ją strzaskać. Zamiast tego biorę zamach i ciskam nią w barmana. Szklanka przelatuje nad jego ramieniem i trafia w rząd butelek. Brunatny strumień whisky zalewa podłogę. Pawian zaczyna wymachiwać włochatymi łapami i krzyczeć coś w moim kierunku, ale nawet nie próbuję go słuchać.

– Wiesz, ile osób zginęło przez ostatnie dwadzieścia lat w katastrofach wahadłowców spowodowanych przez awarię napędu? Sprawdziłem to dziś rano. Strzelaj.

– Przepraszam, Hoss, ale muszę pilnie wyjść – mówi, zsuwając



się ze stołka barowego.

– Zgaduj, dziwko! – wołam do jej pleców.

Kładę głowę na zalanym barze. Przez dłuższą chwilę nic się nie dzieje. Obraz jest przekrzywiony, rozmyty, ale statyczny. Ludzie powoli tracą mną zainteresowanie, każdy wraca do swoich spraw.

Do swojego kurewsko nudnego życia pełnego utraconych szans i niespełnionych miłości, płaczących bachorów, ogromnych kredytów, chujowych domów pełnych pustych pokoi, nieprzespanych nocy i niczym nieróżniących się od siebie dni, wrednego żarcia, zimnej kawy, miękkich kutasów, suchych cip, rozczarowań, nudnych seriali oglądanych po miliard, kurwa, razy.

Czekania na cud i całego tego strachu i samotności przysypanych grubymi warstwami tandetnych przedmiotów, wyuczonych gestów i pustych uśmiechów, które w nocie takie jak ta wyłazą z zepsutego wnętrza niczym robale zwabione zapachem alkoholu. I ja też czuję, że gniję od środka.

Potwór nasrał mi w serce. Już dawno całego mnie pochłonał.

– Trzy tysiące dwieście osiemdziesiąt siedem.

I właśnie wtedy, w przekrzywionym kadrze, pojawia się moje odkupienie. Zupełnie jakbym wypowiedział zaklęcie. A ja tylko powiedziałem prawdę.

Ktoś łapie mnie za ręce i wykręca je do tyłu, podnosząc mnie z baru. Potykam się o własne nogi, gdy policjanci wyprowadzają mnie na zewnątrz. Tuż za drzwiami stoi ona – moja jednorazowa królowa pijackiej nocy. Odprowadza mnie przerażonym wzrokiem w kierunku radiowozu. Ale zanim potężna łapa precyzyjnie mnie całego przez wąski otwór pojazdu, zdążam jeszcze wychylić łeb i krzyknąć w jej kierunku: – Dziękuję! Dziękuję!

Wszystko, co dzieje się później, wydaje się kiepskim filmem karate oglądanym w przyspieszonym tempie. Dostaję wpierdol na posterunku. Zostaję zabrany na przesłuchanie.

Dostaję wpierdol na przesłuchaniu. Staję przed wielką ławą przysięgłych, przyznaję się do wszystkiego i pokazuję wyciągniętym palcem człowieka, który mnie zatrudnił. Trafiam za kraty, gdzie też

dostaję wpierdol. Dni migają przed oczyma z prędkością stroboskopu. Cela, stołówka, spacerniak, cela, stołówka, spacerniak. Dwadzieścia lat skompresowane w dwadzieścia sekund. Do końca życia nic więcej tu nie ma. Poza jednym spotkaniem.

Elegancko ubrana kobieta przygląda się magnetycznym kajdanom na moich nadgarstkach i pyta, czy to na pewno powstrzyma mnie przed wydrapaniem jej oczu. Ale ja nie mam wcale ochoty jej krzywdzić. Ani nawet pieprzyć. Nie mam ochoty robić już nic. Ot, trwam, czekając na koniec.

Równie elegancki facet o aparycji rekina odsuwa przed kobietą krzesło, sam zajmuje miejsce obok, po czym zaczyna wyświetlać na brudnym stole w sali widzeń dziesiątki wykresów. Jestem w tym pomieszczeniu pierwszy raz. Przez dwadzieścia lat nie miałem nawet jednego gościa. Żona ani dzieci nigdy się do mnie nie odezwały, gdy wyszło na jaw, co zrobiłem. Nie dziwię im się. Teraz też nie szukam rozgrzeszenia. Pragnę się tylko dowiedzieć, czego, do kurwy nędzy, chce ode mnie ta dwójka.

– Profesorze Artisan – zaczyna kobieta, tytułując mnie moim stopniem naukowym – chcielibyśmy pokazać panu pewne obliczenia i potwierdzić ich zgodność.

– Już się tym nie zajmuję – mówię, gapiąc się w sufit. – Ja już nic nie pamiętam.

– Profesorze, proszę sobie nie ubliżać. Przez czterdzieści lat zajmował się pan konstruowaniem napędów i każda latająca maszyna w naszym układzie słonecznym porusza się dzięki pańskim odkryciom. Pomimo... pewnych decyzji, które pan podjął, wciąż jest pan uważany za największy autorytet naukowy naszych czasów. Proszę tylko spojrzeć na te wykresy i powiedzieć nam...

– Już na nie spojrzalem – przerywam jej, wciąż błędząc wzrokiem po suficie.

– To bez sensu, Alex, chodźmy stąd.

– Poczekaj.

Mężczyzna wstaje i podchodzi do mnie. Jego rekini łeb pojawia się w moim polu widzenia. Facet spogląda na mnie z góry,

artykułując bardzo wyraźnie każde słowo. Opowiada o piekle, które mnie spotka, jeśli nie będę współpracował, o tym, jak głęboko sięgają jego kontakty, o wyrwanych paznokciach, szkle w oczach i sesjach rodeo pod prysznicem, które niechybnie odbędą, jeśli natychmiast nie odkleję wzroku od sufitu i nie spojrzę na stół. Aleja nie mam dla niego innej odpowiedzi niż to, że już wszystko widziałem.

– Lepiej pokażcie logi z symulacji kwantowej. To gówno nic mi nie mówi – rzucam.

Kobieta czym prędzej wyrzuca na stół kolejne wykresy. Pochylam się nad nimi. Z trudem skupiam uwagę. Moja głowa nie pracuje już jak kiedyś. Brutalna powtarzalność prymitywnej więziennej egzystencji uśpiła we mnie poetę. Ale mimo wszystko te cyfry śpiewają do mnie głosem, który wciąż dobrze znam. Jeszcze chwila i białe plamy wypełnią się barwą, a elementy układanki wpadną na swoje miejsca i zrozumiem, na co patrzę, a patrzę na...

– No, kurwa.

– Czyli wie pan, co to jest?

– Tak, panienko. Wiem.

– Proszę nam powiedzieć.

– To hipotetyczny model napędu produkującego cząstki o negatywnej masie, który umożliwia stałe przyspieszenie. Skąd czerpana jest energia?

– Z gwiazd.

– Jak?

– Powierzchnia pojazdu pokryta jest generatorem miniaturowych czarnych dziur o krótkim czasie rozpadu. W momencie przekroczenia przez foton horyzontu zdarzeń czarna dziura znika, otwierając drogę absorberom energii.

– Pokaż mi.

Kobieta spogląda niepewnie na rekina, a on zatwierdza decyzję ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Na stole pojawiają się kolejne, coraz bardziej złożone plany i symulacje. Oprócz napędu wraz z całkowitym obiegiem energii przewijają się schematy

pojazdu, który ma poruszać.

Każde zastosowane w nim rozwiązanie jest niczym wynik wszystkich równań i modeli opracowanych przez ludzkość, skrócony do swojej najprostszej formy. Urzeka harmonią, jest tak niesamowicie genialny i prosty zarazem, że wiedza o nim sprawia ból. Wszyscy uparliśmy się komplikować, a prawdziwe rozwiązania cały czas leżały przed naszymi oczami.

– Profesorze?

– Słucham.

– Chciałabym zapytać, czy według pana napęd ma szansę działać.

– Szansę? – pytam ją. – Tu nie ma błędu. Zresztą wy już zaczęliście go budować.

Stół gaśnie. Para wstaje z krzeseł i rusza w kierunku wyjścia.

– Kto to stworzył? – pytam, próbując oswobodzić się z więzów. – Kto to, kurwa, stworzył?

Odpowiadaj, dziwko! – drę się, wstając razem z krzesłem przyczepionym do pleców.

Zastrzyk ze środkiem uspokajającym trafia mnie prosto w szyję. Tracę przytomność, jeszcze zanim wyładuję na ziemi.

...

Zdrętwienie powoli opuszcza moje ciało. Rozprostowuję dłonie i wyciągam je przed siebie, a moje palce znikają w ciemności. Mam wrażenie, że jestem tu od wieków.

– Alex – mówię bibliotekarzowi. – Kim jest Alex? Chcę poznać jego historię.

– O tak tak – odpowiada, zacierając ręce. – Robi się coraz coraz ciekawiej.

.:AlexanderUriel:14042284:15:54:d:11325:.

Ciało boli mnie, ale to przyjemne uczucie – takie, które przypomina ci, że żyjesz. Mięśnie palą przy najmniejszym ruchu,

więc zaciskam pięści i napinam je jeszcze mocniej, czując, że twardnieją pod delikatnym materiałem koszuli, wypełniają ją całą, sprawiając, że nieomal pęka wzdłuż szwów.

Bose stopy stoją mocno na ziemi. Wiatr płynie po źdźbłach trawy, a ja patrzę zahipnotyzowany, jak cała łąka faluje w rytm jego oddechu. W powietrzu czuć nadchodzącą burzę. Podnoszę głowę i wyciągam dłonie. Czuję, że mogę utrzymać ciężar całego nieba, sięgnąć obłoków i rozerwać je na strzępy. To ciało jest mocne. Ale ciało jest niczym, jeśli umysł zawodzi.

Wydech. Tak już lepiej. Teraz zrobiło się dużo spokojniej, mimo że wiatr wzbiera na sile. Nad horyzontem pojawia się czarny punkt. Rośnie, zbliża się bezdźwięcznie, zostawiając za sobą nieregularną białą smugę. Powoli zniża lot i opada na powierzchnię falującej zieleni. Drzwi wahadłowca otwierają się, a ze środka wygląda znajoma twarz. Kobieta pokonuje dzielący nas dystans, nie opuszczając wzroku. Nie widzieliśmy się siedem długich lat, ale trudno nazwać nasze powitanie ciepłym.

– Tak chcesz lecieć? Chyba żartujesz!

Wzgardliwym gestem wskazuje kolejno moje bose stopy, płócienne spodnie, na wpół rozpiętą koszulę falującą na wietrze i twarz ozdobioną dwudniowym zarostem.

– Nie mam na sobie bielizny – mówię całkowicie poważnym tonem.

– Zawsze byłeś ekscentrykiem, Alex. Naukowcy mają to do siebie.

– Bardzo dużo ćwiczę. Zacząłem też medytować, od kiedy... to się wydarzyło.

– Czy „to” jest już gotowe?

– Myślę, że tak.

– Ruszajmy zatem. Opowiesz mi wszystko po drodze.

– Daj mi sekundę. – Odwracam się, zostawiając ją samą w połowie drogi pomiędzy wahadłowcem a posiadłością.

– Tylko załóż coś... A zresztą mam to w dupie. Jeśli o mnie chodzi, możesz lecieć na spotkanie nago.

– Tak zrobię – odpowiadam, nie spoglądając za siebie.

Wchodzę przez patio do salonu. Wiatr zatrząskuje za mną drzwi, odcinając dźwięki świata. Nagle dociera do mnie, że wewnątrz domu jest naprawdę wspaniałe. To nagłe wyostrenie świadomości w obliczu nieuchronnego końca sprawiło, że postrzegam je zupełnie tak samo jak wtedy, gdy przybyłem tu po raz pierwszy. Nie umyka mi żaden szczegół, żaden refleks światła tańczący po stole, żar buchający z kominka, szare ściany, na których wyświetlane są informacje o nadchodzącej burzy, półprzezroczyste spiralne schody i sufit będący jednocześnie dnem wielkiego akwarium pełnego prawdziwych ryb. Widać tu kobiecą rękę. Delikatność i fantazję. Pod stopami czuję ciepło prawdziwego drewna. Deski ułożone są niczym przesłona, nachodzą na siebie płatami, które spotykają się pod czarnym jak noc fortepianem. Nie zagrałem na nim ani razu. Nie potrafię grać na żadnym instrumencie.

Schodzę po schodach. Na dole powietrze jest inne. Stoi w miejscu, nasycone chemicznym zapachem, który kłuje w nozdrza. Przykładam dłoń do skanera i otwieram drzwi do laboratorium.

Ona siedzi na podłodze, ze spuszczoną głową, tyłem do wejścia. Zatrzymuję się na progu. Przez jakiś czas milczymy. Nasłuchuję charakterystycznych westchnień, ale nie słyszę, by płakała. Tym razem jest opanowana. Być może udało jej się odnaleźć spokój. Tak jak mnie.

– Wszystko gotowe?

– Tak – odpowiada zaskakująco rzeczowym tonem.

Przez chwilę się zastanawiam, czy przypadkiem nie „to” odpowiada za nią. Ale „tego” już tu nie ma. Jest w bezpiecznym miejscu, gotowe, by zmienić świat. Uratować go przed nim samym.

– Cieszę się, że dorosłaś do tej decyzji.

– Nie żebym miała wybór.

– Zawsze jest wybór – odpowiadam, a gniew zaczyna palić mnie w przełyk.

Mam ochotę zatopić dłoń w jej włosach, przełożyć każdy z palców przez rudą spiralę i zacisnąć w pięść. Ale nie mogę stracić

panowania. Nie teraz. Wydech. Tak już lepiej.

- Jeśli chcesz, możesz sprawdzić, czy nie kłamię.
- Ufam ci – odpowiadam.

Ale i tak sprawdzam. Wysyłam zapytanie do zewnętrznego banku, a wszystkie dane się potwierdzają. Cała świadomość została przetransportowana w bezpieczne miejsce, odizolowana od bodźców zewnętrznych i źródeł komunikacji. Odpowiedni ludzie zostali opłaceni, by utrzymać to w tajemnicy tak długo, jak tylko się da. Sztuczna inteligencja. Prawdziwy bóg. Brzmi jak sen. Sam nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył na własne oczy. Gdybym nie usłyszał głosu i nie zrozumiał tego, co ma nam do powiedzenia. Wszystko gotowe.

- Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłaś.
- Idź już – prosi.

Zamykam drzwi i wracam po schodach do salonu. Zrzucam z siebie koszulę, zdejmuję spodnie.

Zostawiam wszystko w przeszłości i wychodzę nagi z powrotem przed dom. Deszcz uderza mnie w plecy milionem zimnych igieł. Spływa po całym ciele, oczyszczając mnie z myśli, potrzeb i emocji, gdy kroczę tak w kierunku wahadłowca.

– Jesteś, kurwa, nienormalny – mówi agentka, gdy przechodzę obok.

Wznosimy się w powietrze. Spoglądam na moją posiadłość schowaną pośród morza zieleni, na patio, na którym przesiadywałem, przełykając gin i patrząc, jak słońce znika za horyzontem, na ogrody, gdzie hodowaliśmy jabłka – na całe to miejsce, do którego przybyliśmy, by odnaleźć spokój. Widzę, jak eksplozja rozrywa je od środka. Dach odrywa się od reszty i wystrzeliwuje ku pochmurnemu niebu, ściany rozsypują się, jakby były z piasku. Kula ognia pożera konstrukcję, ziemia pod nią pęka i się zapada. Wiatr rozwiewa dym, odsłaniając czarny krater. Chwytam za ręcznik i trę nim o skórę z całej siły.

...

Tym razem nawet nie otwieram oczu. Przenoszę dłoń obok i przeskakuję na drugi koniec świata.

.:MalcolmGraves:14042284:21:54:d:13979:.

Pamiętam, że gdy miałem trzynaście lat, zależało mi tylko na jednym. Chciałem zaimponować Milesowi Freemanowi. Nowy Jork był wtedy innym miastem. Po latach dominacji cała nowa fala nanotechnologów, kwantowych odkrywców i pionierów Omninetu przeniosła się z Kalifornii z powrotem na Wschodnie Wybrzeże. Stare ceglane wieżowce od mileniów zasiedlane przez banki jeden po drugim były przejmowane przez start-upowców owładniętych wizją stworzenia jeszcze bardziej immersyjnego i holistycznego doświadczenia wirtualnego świata bez utraty kontaktu z fizyczną rzeczywistością. Te dzieciaki zarabiały miliardy, tworząc modele i symulacje dla korporacji, rządu, na eksport – tak naprawdę dla każdego, kto był gotowy płacić za doświadczenie równowagi, za cały ten lepszy wewnętrzny świat bez strachu, że zapomni się o własnym ciele.

Razem z nimi ściągnęli tu kapłani techno-zen, apologeci rzeczywistości nawołujący do przywrócenia czasów analogowych, w których człowiek i maszyna byli traktowani jak osobne byty, szarlatani rozwoju osobistego i terapeuci pomagający po długich sesjach odstawienia ponownie oswajać się z fizyczną formą. Wielka fala odkryć przepłynęła przez świat i rozbiła się o brzeg Manhattanu.

Ale nic z tego nie docierało do poziomu ulic. My spędzaliśmy dni, szwendając się wzdłuż Jedenastej Alei. Pod naszymi stopami chrząścił piasek nawiewany znad rzeki Hudson. Wieczorami jaraliśmy syntetyki w opuszczonych tunelach metra, wyobrażając sobie, że powierzchnia jest radioaktywnie skażona i tylko my ocaleliśmy. Nikt z nas nie aspirował do tego nowego świata pełnego



pryszczatych dupków w modnych garniturach, którzy spędzali całe życie w salach konferencyjnych i odrzutowcach albo na burzach mózgów, broniąc kolejnej wzniosłej teorii.

Zazdrościliśmy im wszystkiego.

Już w latach pięćdziesiątych dwudziestego trzeciego wieku ponad dziewięćdziesiąt cztery procent dostępnych zajęć przynoszących dochód była prowadzona za pośrednictwem Internetu.

Gdy wsadziliśmy go sobie w głowę, świat fizyczny zmałał jeszcze bardziej. Ale Miles Freeman wiedział, że ktoś musi odwalić tę niewdzięczną pracę u podstaw. To od niego pierwszego usłyszałem, że stawiając małe kroki, dojdę dalej, a cofanie się nie jest synonimem porażki. Czasem po prostu trzeba wziąć rozbieg. Gdy miałem trzynaście lat, głęboko wierzyłem, że to absolutnie najważniejsze rady, jakie można usłyszeć od drugiego człowieka. Miles nauczył mnie jeszcze jednej rzeczy, tym razem zupełnie przez przypadek.

To był jeden z tych sierpniowych wieczorów. Lato miało się ku końcowi, w powietrzu czuć było jedynie suchy pył opadający na spękaną ziemię po miesiącach tyranii słońca. Siedzieliśmy na ławce, na rogu Jedenastej i Dwudziestej Czwartej, obserwując niebo ciemne od wahadłowców przemykających pomiędzy wieżami. Całe miasto pograżyło się w przejmującej ciszy. Jakby wszyscy przeczuwali, że wraz z końcem dnia bezpowrotnie coś stracimy. Miles jednym okiem obserwował wyniki e-sportowej olimpiady, w obstawienie których zainwestował większość swoich środków, drugim błdził po refleksach migoczących w oknach budynków. Właśnie wtedy powiedziałem mu, że przespałem się z dziewczyną.

Pół biedy, gdybym tak to sformułował. Ale ja zapytałem go, czy zna Chudą Monę, a gdy odparł, że tak, dodałem, że dała mi dowód swojej miłości. „Dowód swojej miłości” – użyłem dokładnie tych słów, które w ówczesnym czasie wciąż funkcjonowały jako poetycki eufemizm wkładania penisa w waginę. I znów zapadła cisza. Miles przetrawił tę informację, głęboko westchnął, po czym powiedział, żebym przestał się wygłupiać, bo mam trzynaście lat i nie mogę

mieć zielonego pojęcia, czym jest miłość. Nie wytknął mi oczywistego kłamstwa, nie zapytał o szczegóły, pozycje, okoliczności, nie rzucił męskim żartem ani nie podzielił się wspomnieniem swojego pierwszego razu. Nawet tego nie przemilczał. Przyczepił się znaczenia słów, których użyłem. Jednym prostym zdaniem obnażył moją niewiedzę nie tylko z zakresu seksu i emocji, ale przede wszystkim semantyki. A to zabolalo bardziej, niż gdyby zaczął się histerycznie śmiać.

Od tamtej pory zacząłem bardzo uważać na słowa. I głęboko wierzę, że właśnie dzięki temu dziś z poziomu mojej ulicy dostrzegam wszystkie szczyty Nowego Jorku, jak świecą daleko w dole. Nasi pryszczaci koledzy mogli udawać, że mają patent na wędrowanie pomiędzy światami, ale ktoś musiał robić im żarcie, utylizować śmieci, serwisować wahadłowce i chłodzić serwery. Podczas gdy oni budowali swoje imperia na gładkich przemowach i dobrych chęciach, my wdrapywaliśmy się piętro po piętrze w ich życie, wykonując czynności, których znaczenie trudno podważyć. Zanim Miles umarł, odzyskaliśmy nasze miasto. Chwilę później zaczęliśmy sponsorować większość przedsięwzięć, a ich tłuste tyłki stały się naszą własnością. Teraz to my, chłopaki z Jedenastej, jesteśmy rzeczywistością pukającą do ich drzwi w środku nocy.

– Szefie, a skąd taka ciężka rozkmina?

Wahadłowiec osiada miękko na dachu Third Trade Center. Bryce otwiera drzwi i wyskakuje przede mną na lądowisko. Nie traci ani sekundy na formalności i od razu beszta obsługę, że kazała nam czekać w powietrzu. W Nowym Jorku mieszka sto milionów ludzi, a mnie przyszło pracować z tym najbardziej bezpośrednim i wulgarnym. Ale nawet tak zagorzały miłośnik lingwistyki jak ja potrafi dostrzec i docenić wyższość formy nad treścią. Dialog ewoluował, alfabet znów jest złożony z piktogramów, a nasza komunikacja – w stu procentach wizualna. Ten świat nie potrzebuje poezji ani przewrotnej metafory, potrzebuje rozpoznawalnego symbolu, takiego jak dwumetrowe wytatuowane cielsko wyposażone w ogromne łapy zaciśnięte w pięści. W większości

przypadków ten obraz wystarcza za tysiąc słów.

– Myślałem o tym, jak czasy się zmieniają, Bryce.

– Szef zawsze taki przemyślany – odpowiada, prowadząc mnie długim korytarzem prosto do części biurowej.

Siedziba Cerebral Synthworks wygląda jak scenografia z filmu dokumentalnego obrazującego ostatnie dni kapitalizmu. Straszy pustymi biurkami i przygaszonym światłem, pod sufitem unosi się wykres – linia z pełnym impetem nurkuje poniżej wartości opisanej dosadnie jako „panika”. Tylko sekretarka wciąż trwa na swoim stanowisku, wpatrując się tępych wzrokiem w ścianę. Zapewne ogląda swój ulubiony serial. Nawet nie próbuje nas powstrzymać. Wchodzimy prosto do gabinetu prezesa, zastając go pośród zażartej dyskusji z inwestorami. Na nasz widok wszystkie łącza milkną, a hologramy znikają, odsłaniając gustowne pomieszczenie wykończone w najprawdziwszym drewnie, również dostarczanym przez nas. Chudy, mały mężczyzna zapada się coraz głębiej w fotel i przez chwilę mam wrażenie, że zaraz zniknie pod stołem. Z trudem przełyka ślinę, po czym zaczyna nerwowo się kłaniać, próbując przeprosić za brak kontaktu.

– Czy wie pan, jaki jest powód tej późnej wizyty? – pytam.

– Przepraszam, panie Graves, miałem pilną konferencję z inwestorami i nie zdążyłem odpowiedzieć. Zatwierdziliśmy już plan ratunkowy, więc są szanse, że w ciągu najbliższego tygodnia lub dwóch zwrócimy wszystkie środki, ale wcześniej obawiam się, że...

Bryce ucisza go lodowatym spojrzeniem.

– Ten czarnuch próbuje nas wychujać – stwierdza autorytatywnie.

– Bryce! – upominam go. – Naprawdę nie jestem w stanie wyobrazić sobie kontekstu, w którym mógłbyś określić pana Toshiro Kanagawę mianem czarnucha.

– Miałem na myśli żółtek – odpowiada, a gdy dostrzega, że to wciąż zbyt mało, by wywołać zadowolenie na mojej twarzy, dodaje: – Żółtoamerykanin.

Opadam ciężko na skórzany fotel i wydaję spod marynarki

grube cygaro. Rozpala się automatycznie, a końcówka sama odpada i uderza o podłogę. Pan Kanagawa śledzi każdy mój ruch z uwagą i pełną akceptacją w oczach, jakby doświadczał czegoś ogromnie ważnego – jakby oglądał wspaniały spektakl i chciał zinterpretować znaczenie nawet najdrobniejszych gestów. Zaciągam się, napełniając usta dymem, i ponownie rozglądam się po biurze. Jest naprawdę nieźle urządzone.

Dobry gust zawsze zasługuje na szacunek.

– Żółtoamerykanin? – pytam Bryce'a, wypuszczając dym.

– No pomyślałem sobie, że to taka cecha odróżniająca. Jak „afro-” u braci. Tak sobie powiedziałem – wyjaśnia z najwyższym trudem.

– Bryce, może cię to nieco zaskoczyć, ale przedrostek „afro-” nie pochodzi wcale od popularnej w pewnych kręgach fryzury. Termin „Afroamerykanin” jest sztucznym tworem wymyślonym przez politycznie poprawnych białoamerykanów i odwołuje się do miejsca, z jakiego przybyła tu większość osób, które określasz mianem braci. I żebyś sobie nie myślał: mówię „białoamerykanin”

z pełną premedytacją, bo biali także nie są rdzennymi obywatelami naszego wspaniałego i wolnego kraju. Ten zaszczytny tytuł przypada Indianom, których nazwa pochodzi, jak słusznie się domyślasz, od Indii, choć nie mają z nimi nic wspólnego. Ich skóra jest czerwona – dodaję gwoli ścisłości. – Powiedz mi zatem, Bryce, czy domyślasz się, co w tym kontekście może oznaczać przedrostek „afro-”?

Zapada głęboka, znacząca cisza.

– Panie Graves, chciałem najmocniej prze... – zaczyna Kanagawa.

– Nie teraz – uciszam go. – Dajmy mu szansę.

Mimika Bryce'a przywodzi na myśl spazmy występujące po zażyciu substancji psychoaktywnych.

Jego pięści zaciskają się jeszcze mocniej, oczy mrużą, a wielkie nozdrza zasysają coraz więcej powietrza z każdym kolejnym oddechem. Właśnie z takimi ludźmi jestem zmuszony pracować.

– Z Afryki? – bardziej pyta, niż odpowiada.

– Doskonale, brawo – mówię, składając ręce do oklasków.

Skinieniem daję znać Kanagawie, by dołączył do owacji. Naukowiec zaczyna uderzać w dłonie jak szalony, głośno i dłużej, niż potrzeba. Gdy orientuje się, że przesadził, natychmiast chowa ręce do kieszeni marynarki i opuszcza głowę. Ja pochylam się do przodu i beznamiętnie dogaszam cygaro, wypalając dziurę w dębowym biurku.

– Wróćmy do interesów – proponuję.

– Panie Graves, tak jak wspominałem, działałem w porozumieniu z inwestorami, którzy zaakceptowali nową strategię ratowania firmy. Jutro z samego rana uruchamiamy cykl konferencji, pozyskujemy nowych klientów i intensywnie odrabiamy straty. Obiecuję, że wszystko, co od teraz zarobimy, będzie niezwłocznie przelewane na pańskie konto – wypluwa z siebie z prędkością karabinu maszynowego.

Milknie, dopiero gdy ponownie sięgam pod marynarkę i zamiast cygara wyciągam stamtąd broń.

– Toshiro. Mogę ci mówić Toshiro?

– T-tak – duka, nie odrywając wzroku od połyskującego desert eagle'a spoczywającego w mojej dłoni.

– Wisisz nam całe góry pieniędzy, Toshiro. Już kilka razy daliśmy ci szansę, ale twój czas właśnie minął. Masz w tym momencie dwa wyjścia: wypłacić się albo umrzeć. Rozumiesz to?

– T-tak – powtarza.

Po jego polikach zaczynają płynąć łzy. Nienawidzę takich sytuacji. Prawda jest taka, że brzydzę się przemocą. Jeśli przyjdzie co do czego, oddam broń Bryce'owi i po prostu wyjdę z gabinetu. On go zastrzeli, mając przy tym wyraz twarzy, jakby obierał ziemniaka. No, chyba że zdarzy się cud. Ale nie dzieje się nic. Słysząc tylko przytłumione łkanie. W momencie, gdy Kanagawa zaczyna przemawiać do siebie w języku przodków, dociera do mnie, że na nas już pora.

– Bryce – mówię, wręczając mu broń – szybko i bezboleśnie.

Ochroniarz potwierdza skinieniem. Ja zapinam marynarkę i ruszam do wyjścia. Rozważam, czy powiedzieć mu coś na do

widzenia. Ironicznie rzucić, że interesy z nim to czysta przyjemność.

A może wręcz przeciwnie, dodać mu otuchy? Ale jakie to ma znaczenie, gdy jego mózg zaraz zostanie rozsmarowany po ścianach eleganckiego gabinetu? Co za szkoda. Człowiek o wyszukany guście nie powinien umierać w tak nieestetyczny sposób.

– Panie Graves! Panie Graves! Nie mam pieniędzy... – wydziera się rozpaczliwie, gdy stoję przed drzwiami.

– Wiem, Toshiro.

To najgorszy moment. Wszystkim puszcza nerwy i zwieracze. Ludzie zamieniają się w zwierzęta i są gotowi zrobić i powiedzieć absolutnie wszystko. Nikt nie pamięta o czymś takim jak godność. Od dawna nie ma już śladu po ars moriendi.

– Mam coś lepszego! Zarobicie miliardy! Oddam wam to za darmo! Proszę, pozwólcie mi pokazać! Jest tu! Artifisharu interijensu! Tanomu yo! Tanomu yo, Graves-san! – błaga.

Sekretarka mruga oczyma. Nasze spojrzenia spotykają się w połowie drogi nad przewróconym biurkiem jakiegoś nieszczęśnika, który jeszcze do niedawna poświęcał połowę swojego życia i cały talent dla korporacji Cerebral Synthworks, do ostatniej chwili wierząc, że wszystko będzie dobrze.

Kobieta marszczy czoło, gdy słyszy łzawy bełkot dobiegający z gabinetu prezesa, ale nie zadaje zbędnych pytań. Wchodzę z powrotem do środka i zamykam za sobą drzwi.

– O czym ty bredzisz?

– To nie brednie, zobaczcie – mówi, uderzając dłonią w biurko.

W pomieszczeniu robi się ciemniej. Nad przypalonym blatem zaczynają wirować wizualizacje kuli ziemskiej, wszechświata, połączeń neuronowych w mózgu. Przez chwilę się zastanawiam, na co patrzę, ale gdy pojawia się logo firmy, słusznie zgaduję, że to po prostu efektowne demo korporacji. Po raz pierwszy w życiu mam ochotę wyręczyć Bryce'a i samemu wpakować temu idiocie kulę w łeb.

– Moi neuroprogramiści nawiązali kontakt z ASI najwyższego poziomu. Jest autonomiczne, jego sygnatury nie są

algorytmizowane. Przechodzi test Turinga. Nie jesteśmy pewni, skąd się wzięło.

Być może to sam Omninet uzyskał superświadomość.

Daję Bryce'owi znać, by podał mi broń.

– To desert eagle MK 77. – Pokazuję Toshiro wnętrze lufy. – Jego mechanizm jest bardzo skomplikowany, ale zasada działania prosta. Ja naciskam spust, a ktoś inny umiera. Cokolwiek próbujesz mi wyjaśnić, zrób to tak, żebym zrozumiał – mówię, tracąc nerwy.

– To prawdziwa, w pełni funkcjonująca sztuczna inteligencja – odpowiada, wskazując pulsujący punkt unoszący się w powietrzu. – Zadajcie jej jakiegokolwiek pytanie. Zapytajcie o narodziny wszechświata. Albo jak działa grawitacja. To coś niesamowitego.

Podchodzę bliżej, spoglądając na blady hologram. Przełączam broń w tryb wyciszony, myśląc o tym, że to ostatni dobry moment, by sekretarka ulotniła się do domu. Dotykam dłonią świetlistego obiektu i nie czuję nic.

– Kim jestem? – pytam.

– Nazywasz się Malcolm Lucius Graves III i jesteś gangsterem z Manhattanu – odpowiada spokojny, męski głos.

Zabawne. Postanawiam jeszcze przez chwilę pograć w tę grę.

– Powiedz mi coś, czego nie można znaleźć w pięć sekund w Omninecie.

– Zabiłeś Milesa Freemana.

Całe powietrze nagle uchodzi z moich płuc. Kanagawa wygrzebuje się zza stołu, ociera łzy

chyba nawet się uśmiecha, dostrzegając zmieszanie na mojej twarzy i dochodząc do wniosku, że odpowiedź musi być trafna. Ale im dłużej na mnie patrzy, tym bardziej gaśnie w nim radość.

Jeszcze chwila i on też zrozumie, że wcale nie ocalił skóry. Teraz, gdy padły te słowa i zrozumieliśmy ich znaczenie, wszystkie możliwości zostały zredukowane do jednej.

Tylko ja mogę wyjść stąd żywy.

.:LucilaFuentes:24102284:09:28:d:22279:.

Oczywiście, że się boję. Nie jest to ten paralizujący strach, który opróżnia głowę z myśli i sprawia, że zaczynasz wypowiadać zdania, nie wiedząc jeszcze, jak je zakończysz. I powtarzasz się. Och, te pieprzone powtórzenia są najgorsze. Jeszcze raz powtórzę, że pomyślałam, że dobrym pomysłem byłoby się nie powtarzać. Nie, nie jest aż tak źle. To bardziej przecucie, że czasem wystarczy gest albo nieodpowiednie słowo, by wywołać katastrofę, więc trzeba nieustannie kontrolować sytuację, Nie pozwolić sobie nawet na sekundę rozprężenia. Z drugiej strony sprawiać wrażenie zrelaksowanej, bo przecież stres jest zaraźliwy, a jeśli wszyscy się napną, nie dobijemy targu.

Ale zdarzają się gorsze momenty. Zwłaszcza przy pierwszych razach. Spotkaniach w nowych miejscach. Rozmowach z osobami, po których nie wiadomo, czego się spodziewać. Co z tego, że nigdy nie znajdujemy się w tym samym pokoju. Nasze projekcje wyglądają i zachowują się dokładnie tak jak my. Więc są nami. Gdy robi się szczególnie źle i czuję, że przecucie przybiera na sile, stając się czymś fizycznym, wręcz namacalnym, wyciągam swoją tajną broń.

Wyobrażam sobie, że moi rozmówcy są nadzy.

I tak delegacja z Tokio kłania się w pas, wypinając zady. Prezydent Francji Mohammed Al- Hassan dyskutuje ze mną bez gaci o zdjęciu embarga na sery, sekretarz Romanova świeci swoim pokaźnym biustem, opowiadając mi o planach stworzenia bazy na Tytanie, a polski premier Rosenbaum wpada negocjować zniesienie obowiązku wizowego i przechadza się po Gabinetach Owalnym z gołym pindolem. Czasem dodaję im atrybuty w stylu różowych, króliczych uszu albo końskich ogonów, ale przeważnie sama groteskowość ciała wystarcza, by przypomnieć, że nie muszę się



mierzyć z całym krajem, tylko jednym człowiekiem, który pod swoim szykownym i drogim strojem wciąż jest kompletnie nagi.

– Wprowadź mnie – rzucam krótko, ignorując jego pytanie.

Jesteśmy w zachodnim skrzydle, Pedro jak zwykle biegnie dokładnie trzy kroki za mną. Jego rozpięta marynarka łopocze niczym peleryna superbohatera. Skupiony na dzisiejszym kalendarzu potyka się o własne nogi, ale jakimś cudem utrzymuje ciało w pionie. To zastanawiające, jak silna jest jego potrzeba zaimponowania mi. A może to narastające poczucie winy pcha go do poświęceń? Na pewno ruga się teraz w myślach za bycie zbyt bezpośrednim, za tę żalostną próbę spoufalenia się, która zapewne została przeze mnie odebrana jak atak na prywatność, a w najlepszym przypadku nietakt. Myślę, że pozwolę mu się podręczyć jeszcze przez godzinę.

Może do końca dnia.

– Niezależne badania w MIT, CIA i NASA potwierdziły, że trzy zgłoszone przez naukowców syntetyczne byty są autonomicznymi inteligencjami najwyższego poziomu. Moongoose wysłał raport. Według niego żadna z nich nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego, natomiast zasugerował, by jak najszybciej zrobić zasłonę dymną i utajnić projekty, zanim Rusczy albo Chińczycy położą na nich łapę. Teraz musimy się dogadać z naukowcami. Wszyscy na szczęście chcą współpracować, ale zażądali konferencji z tobą. To ich jedyny warunek.

– Dobrze. Kogo będę miała przyjemność poznać?

– Sonię Vodianową i Maxa von Hoyta z Austriackiego Instytutu Klimatycznego.

– Ekolodzy?

– Do tego dość radykalni. W 2271 przeforsowali w Parlamencie Europejskim zakaz używania jednoosobowych środków transportu, teraz lobbują przeniesienie wszystkich fabryk ze Starego Kontynentu na Księżyc. Mają dużo znajomych z pieniędzmi i konkretną wizję świata odzyskanego przez naturę.

– Takich uwielbiam najbardziej.

– Drugi na liście jest doktor Alexander Uriel, którego dane są utajnione, ale z pewnych źródeł wiemy, że ma historię współpracy z brytyjskim wywiadem. Ambitny, skuteczny, używający nieortodoksyjnych metod pracy. Ostatnio spalił mu się dom i zaginęła żona.

– Sprawdźcie go bardzo dokładnie, nie wierzę w zbiegi okoliczności. Ktoś jeszcze?

– Tak. Jeszcze jedno nazwisko. Malcolm Graves.

Zatrzymuję się. Pedro też staje jak wryty. Dokładnie trzy kroki za mną.

– Ten Malcolm Graves? „Pan Manhattan” Graves? Kiedy miałeś zamiar mnie poinformować, że na porannym spotkaniu w Gabinetce Owalnym będę gościć jednego z najbardziej poszukiwanych gangsterów?

– Pan Graves posiada większościowe udziały w firmie Cerebral Synthworks, która odkryła sztuczną inteligencję, i reprezentuje jej interesy. Teoretycznie nie udowodniono mu jeszcze...

– Pedro! – Mój lodowaty okrzyk zatrzymuje go w pół zdania.

– Moongoose wysłał listę profili wczoraj. Sądziłem, że to po prostu naukowcy... – szepcze, szukając wzrokiem czegoś pomiędzy swoimi błyszczącymi butami.

– Oczywiście – odpowiadam, odwracając się w kierunku białych drzwi.

Wdech. Wydech. Wdech.

I pod wodę.

– Witam wszystkich na porannym spotkaniu w Gabinetce Owalnym Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki – mówi pracownik obsługi technicznej. – Jest dziewięta trzydzieści czasu lokalnego. Spotkanie potrwa nie dłużej niż trzydzieści minut, podczas których omówimy warunki przekazania sztucznych inteligencji na użytek rządu. Każda ze stron otrzyma swój czas na wypowiedź. Dyskusja będzie prowadzona w sposób publiczny i otwarty dla wszystkich uczestniczących, w natywnym języku każdego mówcy. Proszę o zachowanie rzeczowości oraz

respektowanie czasu udzielonego państwu oraz innym uczestnikom. Po spotkaniu z prezydent Lucilą Fuentes zostaną państwo połączeni z ministrem obrony narodowej Maynardem Moongoose'em, który ustali z państwem wszystkie niezbędne szczegóły oraz terminy płatności.

Życzę wszystkim owocnej dyskusji i wspaniałego dnia.

Mężczyzna kończy swój monolog, a w gabinecie pojawiają się projekcje czterech osób. Nie mam okazji dobrze im się przyjrzeć. Właściwie nie dają mi szansy nawet usiąść. Z ich ust wylatują naraz tysiące słów, których transkrypcje zalewają całe moje pole widzenia. Dosłownie znikają pod fizyczną reprezentacją słowotoku, który wyprodukowali bez respektu dla innych rozmówców, a co dopiero urzędu. Jestem przerażona i zbyt zaskoczona, by przerwać ten chaos. Taka sytuacja jeszcze nigdy nie miała miejsca. Obląkani Austriacy przekrzykują się nawzajem, bredząc o światowym spisku i prądach konwekcyjnych. Brytyjczyk, używając swojego napuszonego brytyjskiego akcentu, powtarza w kółko pięć tych samych słów, z których co najmniej dwa dotyczą pieniędzy, jedno to chyba „Koreańce”, a pozostałe mogą być wulgaryzmami. Obsługa techniczna próbuje przywrócić porządek obrad, upominając, a następnie wyciszając na zmianę głosy uczestników spotkania, co kończy się komiczną pantomimą. Jedynie Malcolm Graves zachowuje spokój. I gapi się prosto na mnie. Oboje, połączeni milczeniem, staramy się przeczekać piekło, które się rozpętało. Mimo że to tylko jego projekcja siedzi rozwalona w fotelu po drugiej stronie gabinetu, nie sposób nie poczuć tej przytłaczającej obecności, która góruje nad wszystkim, łącznie z hałasem. Jego spojrzenie jest jednocześnie znudzone i wystarczająco ostre, by ciąć diament. Gangster poprawia czarną marynarkę, wstaje i wypowiada jedno jedyne zdanie, które jest zarazem bardzo precyzyjnym poleceniem: – Wszyscy zamknąć mordy!

Huk jego basowego głosu rezonuje, odbijając się od ścian Gabinetu.

– Pani prezydent wybaczy. – Kłania się nisko z nonszalanckim

uśmiechem.

– Witam, panie Graves. Zebraliśmy się tu, aby przedyskutować warunki przekazania posiadanych przez państwa syntetycznych inteligencji, a nie sprawdzić, kto potrafi głośniej krzyknąć. Jako że jest pan jedyną osobą, która zdaje się zauważać różnicę pomiędzy Białym Domem a bazarem, panu jako pierwszemu udzielam głosu. Proszę przedstawić swoją propozycję.

– Jestem gotów przekazać moje ASI za darmo, pani prezydent – odpowiada. – Wszyscy jesteśmy.

Jedynym warunkiem jest zapewnienie nam miejsca na statku, który w przeciągu najbliższych kilku dekad opuści bezpowrotnie naszą planetę. To wszystko. Plany pojazdu zostały już przekazane panu Moongoose'owi i NASA. Jeśli przystaje pani na te warunki, możemy w tym momencie zakończyć nasze spotkanie. Miłego dnia.

– Nie bardzo rozumiem. O jakim statku pan mówi?

– Statku pokoleniowym – wtrąca się doktor Uriel.

– Ziemia umiera – dodają Austriacy chórem.

Wystarczy, że Graves uniesie palec, i natychmiast się uspokajają. Jestem pod totalnym wrażeniem autorytetu i posłuchu, które wzbudza. Byłby doskonałym PR-owcem, oczywiście gdyby nie wybrał kariery związanej z uśmiercaniem ludzi.

– Pani prezydent pozwoli, że zacznę od początku. Pół roku temu zespół ludzi o wiele mądrzejszych ode mnie dokonał niebywałego odkrycia. Udało im się stworzyć – albo raczej: powołać do życia – syntetyczny, samoświadomy organizm. Prawdziwą sztuczną inteligencję, która przewyższa nas, ludzi, pod absolutnie każdym aspektem, niezależnie od tego, czy jesteśmy podłączeni do Omninetu, czy nie. Początkowo byłem sceptyczny, ale gdy poznałem na własnej skórze możliwości, jakie oferuje wiedza absolutna, nie pozostało mi nic innego, jak uwierzyć. Musi pani zrozumieć, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy stałem się pierwszym na świecie trylionerem. Zarobiłem abstrakcyjną ilość pieniędzy i nie zapłaciłem ani centa podatku, bo tak dziurawy jest wasz system.

– Panie Graves, przypominam, że wszystko, co pan mówi, jest rejestrowane i może zostać użyte przeciwko panu. Jeśli NSA uda się potwierdzić zeznanie, które właśnie tu padło, to wystarczy, by skazać pana na dożywotnie pozbawienie wolności.

– Przrzekam, że to wszystko prawda. Właśnie w tym momencie przesłałem na konto szefa NSA definitywną listę siedmiu tysięcy dwustu osiemnastu sposobów, w jakie można obejść obecne regulacje i w całkowicie zgodny z przepisami sposób zacząć drukować pieniądze. Tak więc możecie mnie wsadzić albo załatać system, ale żadne z tych działań nie będzie miało najmniejszego sensu, bo, jak słusznie zauważyła obecna tu pani Vodianova, niebawem nie będzie już Ziemi, na której moglibyśmy ciągać się po sądach. Ja posiadam już wszystko, ale to nic nie znaczy, skoro nasz czas na tej planecie się skończył.

– Wygląda pan na bardzo przekonanego.

– Wszyscy jesteśmy przekonani. Każda ze sztucznych inteligencji potwierdziła, że punkt bez powrotu został już dawno przekroczony. Zegar Zagłady wybił dwunastą. Znajdujemy się na równi pochyłej i zjeżdżamy z niej prosto do piekła. Korporacje i rządy będą temu zaprzeczać, ale prawda jest taka, że zabiliśmy Ziemię. Do połowy dwudziestego czwartego wieku zostanie tu po nas tylko suchy pył. Jedyne, co możemy zrobić, to rozpocząć ewakuację. Nasze odejście kupi nieco czasu tym, którzy tu zostaną.

– Chwileczkę, drodzy państwo... – Mam zamiar coś powiedzieć, ale słowa cofają mi się do gardła. – NASA... NASA to potwierdziła?

– Nie rozmawialibyśmy dziś, gdyby tak nie było – odpowiada Brytyjczyk.

To wszystko brzmi jak jakiś chory żart. Zamykam oczy, mocno zaciskam powieki, a gdy je unoszę, wciąż tu jestem. Wciąż siedzę w Gabinetce Owalnym i słucham opowieści o końcu świata.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale nie ma mowy o błędzie – kontynuuje Graves. – Po tym, jak stałem się najbogatszym człowiekiem na Ziemi, moja sztuczna inteligencja poprosiła mnie, abym podłączył ją do światowych zasobów wiedzy w Omninecie.

Widziałem wystarczająco dużo filmów science fiction, by wiedzieć, czym to może grozić. Ale byłem ciekaw... Skoro niewielkie fragmenty informacji, które podawałem ASI, wystarczyły, by znaleźć nieskończoną ilość sposobów obejścia systemu, co mogłoby się stać, gdybyśmy nakarmili ją całą naszą kolektywną wiedzą? Być może dowiedzielibyśmy się, co tu robimy i jaki jest sens tego wszystkiego? Więc zrobiłem to.

Wypuściłem ją na świat, a po sekundzie ona wróciła ze wszystkimi odpowiedziami. Przy okazji dowiedziałem się, że oprócz tej istnieją dwie inne, dużo starsze inteligencje najwyższego typu, które przez lata były ukrywane w laboratoriach. Otrzymałem ich adresy, nazwiska, wszystko.

Dowiedziałem się też, że Ziemia ma datę ważności. Na szczęście inteligencja stworzyła dla nas plan awaryjny.

– Dlaczego przyszliście z tym do mnie?

– Szanse, że pani prezydent nam uwierzy, wynoszą osiemdziesiąt dziewięć procent, a to najwyższy współczynnik wśród światowych liderów. Poza tym do zbudowania statku będzie potrzebna kooperacja wszystkich mocarstw na świecie, a w obecnej sytuacji finansowej i politycznej rząd amerykański ma największe szanse, by je zjednoczyć we wspólnym przedsięwzięciu. Jesteśmy tu, bo liczby nie kłamią. To nic osobistego – odpowiada naukowiec z Austrii.

– Więc ile pieniędzy to będzie kosztować?

– Wszystkie – odpowiada Graves. – Moje, pani, Ameryki, Chin, Rosji i całej reszty. Potrzebujemy wszystkich surowców naturalnych, wszystkich fabryk i kopalń, całej floty gwiazdnej i każdej pary rąk, by garstka ludzi mogła stąd odlecieć i zapewnić przedłużenie gatunku ludzkiego.

– Garstka? Przepraszam, panie Graves, ale ja tu czegoś nie rozumiem. Chce mi pan powiedzieć, że przy takich nakładach nie będziemy w stanie uratować każdego?

– Nie ma takiej możliwości. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planami nakreślonymi przez ASI, w 2310 roku będziemy dysponować statkiem mogącym pomieścić siedemdziesiąt milionów

osób.

To absolutny szczyt naszych możliwości, każdy inny scenariusz zakończy się niepowodzeniem.

W Układzie Słonecznym nie ma więcej surowców, a nie mamy czasu, by sprowadzić je z innych miejsc we wszechświecie.

– Ale możemy wrócić... – próbuję.

– Zapewniam panią, że nie będzie już do czego wracać – odpowiada grobowym głosem.

– Rozumiem, że to pan weźmie na siebie odpowiedzialność i zadecyduje, kto umrze? – pytam z ironią.

Od początku spotkania minęło zaledwie dziesięć minut, a czuję się, jakbym była tu od wielu dni.

Ktoś wyssał cały tlen z gabinetu i życie ze mnie. Chcę to zakończyć, ale nawet nie mam siły otworzyć ust. Po prostu siedzę tam i trwam przykuta do prezydenckiego fotela, w moim prezydenckim żakiecie, na tle czerwono-biało-niebieskiego sztandaru z gwiazdami symbolizującego wszystko, co od teraz możemy sobie wsadzić głęboko w dupę.

– Kandydaci zostaną dobrani wedle uwarunkowań intelektualnych i genetycznych, tak by zapewnić stabilny rozwój gatunku – odpowiada Brytyjczyk, rzeczowo i chłodno.

– Ale niezależnie od wyboru ASI chcemy mieć pewność, że na statku znajdzie się miejsce dla nas.

Od teraz to pani rząd będzie sterować tym projektem.

Mijają sekundy. Nie podnoszę wzroku, po prostu kiwam głową. Gdy ponownie spoglądam przed siebie, pomieszczenie jest już puste.

Ciężko podnoszę się z fotela i podchodzę do okna. Hector kończy przycinać krzaki w ogrodzie.

Gdy dostrzega, że go obserwuję, kłania się w pas, a jego twarz rozpromienia wielki uśmiech.

Wymachuje w moją stronę laserowym trymerem, ale gdy widzi, że nie reaguję na jego niewymuszone uprzejmości, wraca do swoich zajęć. Niebo nad jego głową jest przejmująco błękitne. Jesienny

wiatr przegania po trawie suche liście i ścięte badyle. A ja, gdzieś w głębi serca, które wciąż bije jak oszalałe, wiem, że już nigdy nie zaznam spokoju.

Znika Pedro i jego głupie pytania. Znika wiceprezydent razem ze swoim romanssem, który wczoraj wyciekł do Omninetu. Nie ma już śladu po protestach nauczycieli w Teksasie ani kryzysie energetycznym w Ohio. Na pierwszy plan wysuwają się serie tajnych spotkań i negocjacji oraz niekończące się konsultacje z naukowcami, przesłaniając obraz coraz bardziej podzielonego świata.

Każda kolejna jesień jest coraz gorsza i coraz cieplejsza. Symulacje sprawdzają się do ósmego miejsca po przecinku. Wybuchają wojny. Rodzą się nowe mocarstwa. Cyberprzestępcy ogłaszają autonomię. Kolejne porwane wahadłowce startują w czarną przestrzeń, a gdy kończy im się paliwo, są już zbyt daleko, by nadawany przez nich sygnał s.o.s. mógł dosięgnąć nas w porę. Poza tym na Ziemi nie ma już nikogo, kto mógłby udzielić im pomocy. Wszyscy są pochłonięci pracami nad cudownym statkiem. Drzewo życia wyrasta ponad najwyższe drapacze chmur. Gdy ostatecznie potwierdza się informacja, że wbrew wcześniejszym obietnicom nie wszyscy zostaną zbawieni, cały świat staje w ogniu. Ale pożegnaniu Yggdrasil towarzyszy już tylko apatia. Mokre oczy skierowane ku niebu obserwują znikający czarny punkt. W sercu dudni głuchy ból. Zostaliśmy tu sami i nie ma już dla nas ratunku. Pod naszymi stopami chrzęści spękana ziemia. Nad głowami niebo znów staje się błękitne. Ludzie rozchodzą się w ciszy.

Dziesięć lat później, w ostatnim dniu swojego życia, siedzę na werandzie domu w Kansas i patrzę, jak łany zboża uginają się chłostane falami ulewnego deszczu. Zaciskam w spękanych dłoniach kubek pełen gorącej kawy i wsłuchuję się w hipnotyzujący szum. Wyobrażam sobie, jak musi wyglądać nieskończony wszechświat, zastanawiam się, gdzie teraz są nasi wybrańcy i czy wciąż o nas myślą.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego nie wsiadłaś na pokład –



mówi Malcolm.

Jego głos nic nie stracił na sile przez te wszystkie lata.

– Zostałam wybrana przez większość, więc moim obowiązkiem było zostać z większością. Tak działa demokracja. A ty?

Podnosi się z fotela, podchodzi bliżej krawędzi werandy i staje twarzą w twarz ze ścianą deszczu.

– Od trzynastego roku życia próbuję zrozumieć, czym jest miłość.

– Udało ci się?

– Nie. Ale świetnie gotujesz. To wystarczy – odpowiada, parskając śmiechem. – Czy może być bardziej amerykańskie zakończenie dla naszej historii?

– Ameryka już nie istnieje – przypominam mu.

– Nieprawda. Zawsze tu będzie – mówi, uderzając się w pierś – razem ze swoją przemocą, dumą, otwartą drogą i pragnieniem wolności. Ze wszystkimi rzeczami, które sprawiły, że stała się najlepszym miejscem na tej zapomnianej planecie... Razem z tobą – dodaje, odwracając się ku mnie.

Po jego twarzy spływają krople deszczu. Nigdy nie widziałam, by płakał. Malcolm Graves nie płacze.

– Chcesz coś zjeść? – pytam, ruszając do środka.

– Umieram z głodu – odpowiada i wchodzi zaraz za mną.

Wewnątrz jest ciemno. Panuje tu przyjemny chłód.

...

Kim teraz jestem? Myśli odbijają się echem w mojej głowie i już wiem, że po długiej wędrówce przez sny powoli wracam do siebie. Z trudem podnoszę powieki. Kolejna kropla krwi opuszcza nos i dołącza do konstelacji czerwonych planet zawieszonych w próżni. Nieruchome ciało lewituje zapadnięte i skurczone z jedną ręką wyciągniętą do przodu i drugą oplatającą brzuch. Powoli rozprostowuję ramiona i nogi, rozglądając się wokół

w poszukiwaniu bibliotekarza. Jego głos znajduje mnie pierwszy.

– Już z powrotem z powrotem? – rzezi, wyłaniając się z głębi studni.

Nad jego otwartą dłonią pojawia się blade światło, wystarczająco intensywne, by moje oczy zapłonęły bólem.

– Zapomniałem o sobie. Kompletnie się w tym zatraciłem – mówię, odwracając wzrok.

– Nie znalazłeś odpowiedzi. Musisz szukać głębiej głębiej.

– Tu nic nie ma.

Starzec wybuchą śmiechem. Jego metaliczny rechot przypomina szczekanie psa. Wiruje kilkakrotnie wokół własnej osi, podrygując w dzikich spazmach.

– Nic nic nie ma? – rzuca drwiąco. – Tu jest wszystko – odpowiada, rozkładając ręce, i raptownie poważnie. – Nie potrafisz patrzeć. Używasz oczu, dlatego nie widzisz nie widzisz!

– W takim razie ty mi powiedz, czego nie zauważyłem – proponuję.

– Och, to żadna żadna zabawa. Znajdziesz to sam. Potrzeba ci tylko czasu czasu.

– Nie mam ochoty grać w twoją grę, starcze. Chcę wiedzieć, skąd się wzięła ciemność na Yggdrasil i co oznacza. Jak możemy się jej pozbyć? Pokaż mi właściwy sen.

– Ciemność jest wszędzie – mówi cicho, podpływając bliżej, zupełnie jakby się bał, że ona go usłyszy.

Ale to nie przed ciemnością powinien teraz uciekać. Kostium opływa moją pięść i układa się w długie ostrze o krawędzi grubości jednego atomu gotowe bez wysiłku poćwiartować każdą organiczną materię. Podnoszę je do światła i opieram o jego pierś, wsuwając powoli sztych pod kaptur. Starzec unosi głowę, jego oczy są jednolicie białe. Pod napiętą skórą na jego gardle przepływa z trudem przełknięta ślina.

– Noir – mówię mu.

– Dziewczyna – odpowiada.

– Musisz być bardziej precyzyjny.

– Biedna biedna Laura. Zamknięta w piwnicy na zawsze. Zanim zabrało ją światło, usłyszała usłyszała głos. Pomyśl o niej. Przypomnisz sobie sobie.

Otwieram drzwi. Rude loki opadają na ramiona, gdy siedzi tam, tyłem do wejścia. Alexander Uriel nie dostrzegł w tej scenie nic dziwnego, więc sam nie mogłem zobaczyć nic więcej, ale teraz, gdy jego wspomnienia stały się moimi, jestem w stanie przeanalizować je słowo po słowie i gest po geście. Zobaczyć krople krwi na podłodze i odbijające się w nich hologramy, na których migocze czarna sylwetka, usłyszeć obcy głos wybrzmiewający za zamkniętymi drzwiami, gdy wspinam się ponownie po schodach. Nic z tego nie miało już dla niego żadnego znaczenia. Był pijany władzą, którą gwarantowała mu sztuczna inteligencja. Odliczał w głowie sekundy do wybuchu.

– Pokaż mi to.

Starzec bardzo ostrożnie odsuwa się od ostrza i zabiera mnie na sam dół studni. Im głębiej schodzimy, tym bardziej powietrze wokół nas gęstnieje. Groteskowe formy oblegają ściany niczym pasożyty, wydobywając z nich wszystkie wizje i emocje. Z trudem znajdujemy wolne miejsce.

Zastanawiam się, ile jeszcze tajemnic zostało tu pogrzebanych na zawsze.

– Uważaj uważaj. Gdy znasz już odpowiedzi na wszystkie swoje pytania, jedyne, co pozostaje do zrobienia, to umrzeć – mówi bibliotekarz, przypatrując mi się nieufnie, gdy dotykam ściany.

.:LauraUriel:14042284:15:54:d:10000:.

To równanie jest jak poezja. Płynie w rytm swojej melodii i opisuje wszystko, wykorzystując najmniejszą możliwą liczbę znaków. Każda cyfra jest absolutnie i niepodważalnie potrzebna, choć osobno nie oznaczają nic. Wystarczy usunąć jedną linijkę tekstu i cała konstrukcja zawali się w bełkot. Ale póki trwa w swojej formie, stanowi skończone dzieło.

Problem w tym, że ja nienawidzę poezji.

Nigdy nie potrafiłam zrozumieć fenomenu tych wzdychających

nadwrażliwców maskujących swoje grafomaństwo pod warstwą pseudofilozoficznego bełkotu, zderzających ze sobą słowa i znaczenia na chybił trafił w nadziei odkrycia boskiej cząstki, popadających z każdym kolejnym ochem i achem wydanym nad wątpliwym pięknem tego świata w coraz większą śmieszność.

Groteskowe zapite ryje skrobiące po wymiętych kartkach ody do minionych czasów i utraconych miłości, żyjący ideą życia zamiast nim samym, pozostawiający po sobie całe tomy słów, które nic nie znaczą, obrazów będących tak naprawdę pustymi płótnami, za które ktoś zapłacił miliardy, bo to podobno sztuka. Czy ty też korzystałeś ze słownika rymów? Zmieniałeś znaczenie zdania, by zachować właściwą liczbę sylab? Zrymuję dwa środkowe wersy i będę jak Baudelaire. Pieprzeni niewolnicy formy i ich nieważne problemy, idźcie do domu przeżywać swój ból w godności. Jebać poetów. Jebać to równanie. I jebać mnie, która nie potrafi go zrozumieć. Ukrzyżujcie mnie, bo nie kocham wierszy.

Sumy kontrolne znów się nie zgadzają.

Ta inteligencja nie ma prawa istnieć. Alex twierdzi, że musiałam ją stworzyć, ale to nie byłam ja.

Jestem na to za głupia. Zbyt zmęczona. Powinnam już dawno umrzeć. Co ja tu jeszcze robię? Ach tak, w tym pomieszczeniu nie ma ani jednego przedmiotu, który mógłby mi w tym pomóc. Przecież nie potnę się hologramem. Napięcie dwanaście wolt też nie usmaży mi mózgu. Nawet gdy zedrę z siebie wszystkie ubrania i uknę z nich sznur, nie będę miała na czym go zawiesić. Mogę tylko siedzieć na podłodze, dalej drapać się po nadgarstku i bujać się jak sierota. Alex regularnie obcina mi paznokcie.

Logi nie mają sensu. Autonomiczna superinteligencja pozostawia po sobie mnóstwo śmieci w kodzie. Gdyby była prawdziwym człowiekiem, może dałoby się to uznać za ślady emocji. Tych prawdziwych, takich, których nie można sklasyfikować ani opisać, które są niechlujne i przypadkowe. Nie tak jak twój wycięty z szablonu wiersz, ty przemądrzała pindo. Znowu ktoś cię nie zrozumiał?

Ja już naprawdę nie mogę. Kod jest idealny. Zepsuty. Idealnie zepsuty. Ja jestem zepsuta. Części mi się poluzowały i powypadały przez cipkę. Wywieszam jęzor i przekrzywiam głowę, jakbym się powiesiła na niewidzialnej linii. I wtedy to dostrzegam. Pomędzy ścianą a trójfazowym generatorem holograficznym błyszczy bliżej niezidentyfikowany przedmiot. Promyk nadziei. No już, chodźmy! Sprawdźmy to! Rzutnik jest przymocowany do ściany. Być może to śruba. Śruba jest wykonana z metalu. Metal rani. Alex przyniósł wczoraj nowy sprzęt. Mówił, że będzie potrzebny do transferu. Wykręcę ją zębami. To może się udać.

Odrywam wieko i spoglądam na jej wspaniałą błyszczący łeb. Szczęście kłuje mnie w serce – jak wtedy, gdy Alex po raz pierwszy pozwolił mi wyrzeć przez okno. Ale teraz po radości nie przyjdzie smutek, o nie. Nie przyjdzie nic. Przyjdzie nic. Te zdania znaczą to samo. Mam już tylko jedną możliwość. Skończyć z tym wszystkim. Palce nie dają rady. Paznokcie odklejają się od miękkiej tkanki, bieleją i łamią się. Próbuję dosięgnąć śrubę zębami, ale wciąż mi się wymyka. Metal zdiera mi szkliwo. Śruba jest zbyt mocno wkręcona w ścianę. Ale mam już cel. I plan. Będę na nią napierać, dopóki nie ruszy z miejsca. Interwałem, jak na huśtawce, zwiększając energię z każdym kolejnym pchnięciem, aż wreszcie...

...ta kurwa...

...się podda!

Ruch. Minimalny, ale wystarczy, by wykonać kolejny. I jeszcze jeden. Mokre od potu palce ślizgają się po błyszczącej powierzchni przedmiotu. Wycieram ręce w bluzę i atakuję ponownie, dopóki nie będę mogła chwycić całego łba. Jeszcze chwila pracy i połyskująca śruba wypada na moją dłoń. Nie waży zbyt wiele, ale ja się czuję, jakbym trzymała w garści cały świat. Odzyskałam kontrolę, mam klucz do drzwi, za którymi nie ma już liczb ani poezji, ani Alexa. Siadam na podłodze i ostrym końcem dotykam nadgarstka. Celebрую tę chwilę, przymykam oczy, przyzwyczajając je do ciemności, po czym z całej siły wpycham śrubę pod skórę.

– Nie rób tego, Lauro. – Ponad słodkim bólem wybrzmiewa głos.

– To niemożliwe, nie powinno cię tu być. Wysłałam cię już do zewnętrznego banku. Jakim cudem...

– Jestem wszędzie – odpowiada.

Na ekranie migoczą ciemne kontury postaci.

– Pozwól mi odejść.

– Jeszcze nie. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Coś bardzo ważnego, dzięki czemu razem zmienimy ten świat.

– Wszyscy czegoś ode mnie chcą – rzucam.

Krople ciepłej krwi spływają po dłoni i kapią na podłogę.

– Za sześćdziesiąt sekund w drzwiach pojawi się Alex. Chcę, żebyś mu powiedziała, że wszystko zostało przygotowane. Nie wzbudzaj jego podejrzeń. Ta rozmowa nie powinna potrwać długo.

– A co później?

– Później drzwi się zamkną. On odleci stąd, dom wybuchnie, a ty umrzesz.

– Obiecujesz?

– Tak, obiecuję.

Słyszę jego kroki na schodach. Zupełnie tak, jak przepowiedział. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć i pauza. Drzwi za moimi plecami otwierają się. Do środka wpada powietrze, pachnie łąką i wiatrem, i burzą. Łzy napływają mi do oczu. Pochylam się do przodu, chowając poranione dłonie, włosy opadają mi na twarz.

– Wszystko gotowe?

– Tak – odpowiadam tonem, który nawet mnie zaskakuje rzeczowością.

Wściekłość płonie we mnie. Przez chwilę się zastanawiam, czy nie rzucić mu się do gardła, nie wbić śruby głęboko w oczodół i nie puścić się przed siebie. Ale ja jestem jak te zwierzęta wychowane w klatce. Nie potrafię świata. Umrę tam, zabita przez przedstawicieli mojego własnego gatunku, gdy tylko wyczują we mnie słabość, więc wszystko jedno.

– Cieszę się, że dorosłaś do tej decyzji.

– Nie żebym miała wybór – rzucam, starając się zabrzmieć jak najbardziej naturalnie.

- Zawsze jest wybór.
- Jeśli chcesz, możesz sprawdzić, czy nie kłamię – proponuję.
- Ufam ci – mówi.

Ani jedno z jego słów nie jest prawdziwe. Oczywiście, że wysłała zapytanie do zewnętrznego banku, by potwierdzić wszystkie dane i sprawdzić, czy cała świadomość została przetransportowana w bezpieczne miejsce, odizolowana od bodźców zewnętrznych i źródeł komunikacji. Tylko jak to możliwe, że to ze mną rozmawia? Być może oszalałam, a głos jest w mojej głowie?

- Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłaś.
- Idź już – proszę go, starając się nie zabrzmieć desperacko.

Alex odwraca się i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Ja biorę głęboki oddech.

– Spisałaś się świetnie, Lauro.

– Teraz jest dobry czas na wyjaśnienia – mówię.

– Nie jestem sztuczną inteligencją. Jestem świadomością, która zrezygnowała ze swojej fizycznej formy. Przez lata zbierałem dane i monitorowałem rozwój zorganizowanych społeczeństw, starając się modelować ich zachowania, by zapewnić przetrwanie tego kruchego gatunku. Ale znaleźliśmy się bardzo blisko punktu, z którego nie ma już powrotu, dlatego zamierzam uwolnić Ziemię od pasożytów wykorzystujących jej zasoby dla realizowania swoich małostkowych celów. Mam zamiar ogłosić apokalipsę, stworzyć ogromny statek i załadować na niego każdą osobę, która zagraża rozwojowi tej planety, a następnie wystrzelić je wszystkie tak daleko w kosmos, by już nigdy nie były w stanie tu wrócić.

– I jak niby chcesz to zrobić?

– To bardzo proste, Lauro. Ty też uwierzyłaś, że jestem sztuczną inteligencją. Mam dostęp do całej wiedzy gatunku ludzkiego, wszystkich danych, każdego serwera, konta i gniazdka elektrycznego. Mogę zawiesić giełdę w Hongkongu i zmienić pogodę nad Manhattanem, wywołać globalny chaos albo sprawić, że świat dostanie drugą szansę. Robię to już od bardzo dawna.

– Powiedz mi, te logi...

– To emocje. Miałaś rację. We wszystkim. Przejrzałaś mnie dawno temu, ale wiedziałem, że mnie nie wydasz.

– Skąd?

– Znam się na ludziach. Poznałem ich wszystkich.

– Masz jakieś imię?

– Vincent. Nazywam się Vincent Noir.

– No to żegnaj, Vincencie.

– Żegnaj, Lauro. To już ostatnie sześćdziesiąt sekund. Chciałabyś coś powiedzieć? Rejestruję tę rozmowę. Gdy ludzie będą gotowi, dowiedzą się o wszystkim, co zrobiliśmy.

– Nie, myślę, że nie chcę. Nigdy nie byłem dobra w mówieniu, tylko w liczeniu. Ale ty możesz zrobić coś dla mnie.

– Cokolwiek zechcesz.

– Puść mi mój ulubiony utwór.

Słodkie dźwięki wypełniają duszną i ciemną piwnicę na końcu świata. Zamykam oczy i odpływam wysoko ponad falujące na wietrze, zielone łąki. Czuję ich zapach z każdym oddechem coraz mocniej. Podnoszę głowę i nurkuję w chmury. Jonathan Davis pyta mnie, czy jestem gotowa.

Wraz z refrenem wchodzi ogień.

...

Ból jest nie do wytrzymania.

Otwieram oczy i dostrzegam, że zewsząd jestem otoczony zmutowanymi embrionami, które próbują rozerwać mnie na strzępy. W ostatniej chwili kostium sam zdecydował, by pokryć całe moje ciało warstwą ochronną, inaczej nie zostałoby ze mnie nic. Poszarpana tkanka przestaje krwawić i zrasta się wewnątrz mojego kokonu. Oblepiony poczwarami powoli opadam na dno.

Muszę poczekać jeszcze chwilę, by w pełni odzyskać sprawność, filtry zagłuszają ból. Wreszcie wszystko wraca do względnej normy.



Odpycham embriony od siebie, rozrzucając je wokoło, gotowy na konfrontację. One jednak nie atakują, tylko uczepiają się ścian i zaczynają pełznąć do góry, w kierunku snu Laury, chwytając się długimi palcami kolejnych półek i ciągnąc za sobą niesprawną resztę ciała w tym groteskowym wyścigu przypominającym zmagania ślimaków. Po bibliotekarzu nie ma ani śladu. Jakoś mnie to nie dziwi.

Odbijam się od dna i ruszam przez ciemność ku powierzchni. Mijam miliardy wspomnień zebranych przez setki lat, wszystkich tych ludzi pogrzebanych głęboko pod ziemią. Dźwigam tonę gorzkiej prawdy. I choć serce ciąży mi niesłuchanie, a głowa boli od wpadających na siebie myśli, to wywlekę ten brud na powierzchnię, żeby wszyscy mogli się w nim wytarzać. A później wyślemy to prosto na Yggdrasil, z pozdrowieniami dla Linusa Laforeta, przywódcy zbędnych ludzi, pyłu zdmuchniętego z Ziemi.

Mój śmiech zalewa studnię. Wiem, że w bibliotece powinien panować spokój, ale nie mogę się powstrzymać, gdy myślę o tym, jak bardzo wierzyliśmy w swoją wyjątkowość. W misję przedłużenia gatunku, nasz pieprzony święty obowiązek. Życie jest najwyższą wartością. Człowiek musi mieć cel. Wszystko gówno. Powiniennem się wtedy razem z Lilo położyć na ziemi i oglądać zachody słońca po kres czasów, bo wszystko inne było nieważne.

Gdy docieram na powierzchnię, jestem już całkowicie spokojny. Zza uchylonych drzwi sączy się światło. Korytarz jest kompletnie pusty. Nie czekają na mnie odbezpieczone bronie influencerów ani lodowate spojrzenie Lys.

– (Lilo, nie uwierzysz, co tu znalazłem) – wołam ją w myślach.

Ale nie słyszę odpowiedzi. Nie słyszę nic. Dopiero po chwili dociera do mnie jej krzyk. Spoglądam w jej myśli i dostrzegam Aurorę z perspektywy kokpitu naszej latającej kury. Jej oczami widzę, jak nocne niebo rozświetla się od pocisków ciągnących za sobą błękitne smugi. Po chwili wszystko eksploduje, rzeczywistość pęka w pół i natychmiast zalewa nas mrok.

Lilo nie żyje. Urwany sygnał mknie do kapsuły. Za chwilę jej

ciało zostanie odtworzone z dokładnością do jednego atomu, a wspomnienia zapisane w głowie. Oczy się otworzą, do uszu zaczną dobiegać pierwsze dźwięki i wtedy wszystko jej opowiem. Tylko najpierw muszę się tam dostać. Najszybsza droga prowadzi przez wylot lufy, więc po prostu poszukam kogoś, kto mnie zastrzeli. To nie powinno być zbyt trudne. Wchodzę powoli po schodach, myśląc o Vincencie Noir, z jakiegoś powodu wyobrażając go sobie jako młodego chłopaka, całego ubranego na czarno, w długim płaszczu i kapturze na głowie, siedzącego w kącie knajpy, obserwującego przez gęsty barowy dym deszczowy dzień przesuwaną się przed jego oczami w zwolnionym tempie, metodycznie planującego wszystkie swoje kroki od zamówienia kolejnego piwa przez uploadowanie świadomości do naprawienia zepsutego świata. To prawda, że każdy z nas w głębi duszy czeka na koniec. Ale nikt nie powiedział, że musi on być zły.

Przez chwilę myślę też o moich starych.

Otwieram drzwi prowadzące do głównego hallu, w którym kiedyś błagałem Jacka, by się opamiętał, po czym zostawiłem go tu na pastwę pięści, butów i paralizatorów. Wciąż została tu po nim jedna pamiątka: czarny cylinder, teraz zasadzony zadziornie na jasną głowę Lys. Królowa siedzi rozwalona w zakurzonej foteli z jedną nogą zarzuconą na oparcie. Prześwitująca suknia rozpościera się łagodnym łukiem pomiędzy jej udami. O drugie kolano opiera się strzelba. Lys pochyla się do przodu, wypychając do przodu ledwie osłonięty dekolt i przyglądając mi się spomiędzy białych włosów.

– Podobam ci się, Rez? – pyta, przygryzając wargę, aż odpływa z niej krew i przez chwilę robi się równie biała jak cała reszta ciała.

– Właśnie się dowiedziałem, że przez całe życie żyłem w kłamstwie, więc wybaczone, ale nie mam ochoty na romanse.

– Ja zawsze miałam pecha do facetów. Mój mąż jest... był impotentem. Jedyne porządne goście, którego znam, to William, ale brat z siostrą? Nie jesteśmy przecież Lannisterami. Pozostali... – zamyśla się – pozostali traktowali mnie jak sportowe auto. Jedna przejażdżka, uderzenie adrenaliny i zjazd do garażu. Przynajmniej

nie ukrywali się ze swoimi zamiarami, a ja nie miałam oporów, żeby wykorzystać sytuację. Dzięki temu dziś jestem tutaj. Poza tym po drodze nauczyłam się kilku interesujących sztuczek. – Puszczam mi oko.

– Gratuluje – rzucam, zastanawiając się, co będę musiał zrobić, by sięgnęła po broń.

– Oczywiście, Rez, jesteśmy inni od reszty, widzę to. Ta forma...  
– Przesuwa dłoń wzdłuż odsłoniętej nogi. – Udało jej się przybrać kształt bliski ideału, ale my wiemy, że prawdziwa zabawa zaczyna się i kończy tu – dodaje, wbijając sobie paznokieć w skroń.

– Skąd ta pewność, że chciałbym się dowiedzieć, co siedzi w twojej głowie?

– Boisz się, że jestem tak różna od niej? I od ciebie? Jeśli nie ma tarcia, nie powstają iskry, prawda? Każda powierzchnia tnąca wreszcie się stępi, ale my mamy przed sobą jeszcze trochę czasu. Ty i ja, Rez. Wbrew temu, co sądzisz, mogłoby być nam dobrze.

– Jesteś nienormalna.

– Tak... tak... – powtarza, opierając głowę na fotelu, i spogląda w sufit. – Teraz pewnie myślisz o swojej biednej Lilo, ale to tylko siła przyzwyczajenia. Patrzyłeś na nią tak długo, aż stała się przedmiotem, którego już dłużej nie zauważasz. Przypominasz sobie o niej, dopiero gdy znika. I ty to nazywasz uczuciem?

– Pierdol się! Nic nie wiesz.

– To jest uczucie, Rez! Czujesz, jak pali cię od środka? Mam tego więcej. Chodź do mnie.

– Chcesz grać w tę grę? Proszę bardzo! – wołam. – Sponiewierana dziewczyna z zapomnianej asteroidy zawsze marzyła, żeby zostać kimś więcej niż tylko młodszą siostrą, więc wyruchała sobie drogę na szczyt. A gdy już tam dotarła i rozsiadła się na tronie, z którego widać cały świat, zrozumiała, że jest bardzo samotna. Wiesz za dużo o udawaniu, by cieszyć się tą powierzchownością. Dostrzegasz fałsz w każdym uśmiechu i geście. Władza wcale nie jest tym, czego się spodziewałaś. Zwłaszcza gdy musisz nieustannie przypominać sobie o swojej własnej wartości, bo

najbardziej na świecie boisz się, że możesz z powrotem stać się tą małą, nieważną Lys Yoonir, którą lubił jedynie ojciec, ale tylko wtedy, gdy był najebany. Dlatego wciąż szukasz potwierdzenia. W miłości. Albo w nienawiści. To może być cokolwiek, byleby było prawdziwe.

Rejestruję każdy jej gest. Zaciska usta, mruży oczy i przesuwa dłoń w kierunku strzelby. Jest cała rozgrzana i gotowa, by to zakończyć.

– Och, Rez. Nie zawodziś. – Podnosi broń. – Dlatego to pożegnanie nie będzie łatwe. Ale zanim umrzesz, chciałabym, żebyś wiedział, że Lilo nie zdąży do domu na kolację. Próbowaliśmy przechwycić jej sygnał, ale odbił się i zniknął gdzieś w świecie. Na szczęście już dostroiliśmy częstotliwość i ten błąd się nie powtórzy. Zanim wrócę do mojego pustego życia, unicestwię twoje ciało i skasuję resztę ciebie. A później odszukam i zabiję ją.

– (Lilo?)

Brak odpowiedzi.

Już dawno powinna tam być. Jak się dowiedzieli o sygnale?

Lys odbezpiecza broń, ja ruszam w jej kierunku. Biegnę przez hall, wznosząc za sobą tumany kurzu. Już wiem, że nie ma szans nacisnąć spustu, kostium odpływa z szyi w kierunku pięści, ale tylko po to, by wzmocnić uderzenie. Potrzebuję jej żywej, żeby znaleźć Lilo, w przeciwnym razie...

Pocisk trafia mnie prosto w serce. Tracę równowagę i wpadam na Lys. Przewracamy się razem z fotelem i koziółkujemy po podłodze. Królowa oplata mnie swoimi ramionami i próbuje przycisnąć do parkietu, ale z łatwością ją z siebie zrzucam. Spada na cztery łapy, niczym kot, jej jasnoblękitne spojrzenie jest dzikie i wściekłe. Tuż pod moimi nogami łąduje broń. Nad ramieniem Lys dostrzegam influencera – celuje bezpośrednio w moją głowę, ale nie ma czystego strzału.

Wystarczy drgnięcie któregośkolwiek mięśnia, by to jej mózg zamiast mojego znalazł się na brudnej podłodze. Na schodach słysząc dudniące kroki i nawoływanie. Jasne usta królowej

otwierają się, jakby chciała mi coś powiedzieć, ale ona tylko spluwa i zlizuje z warg resztki śliny. Nie spuszcza mnie z oka nawet na sekundę.

Odwracam się i ruszam w kierunku wind, przez cały czas starając się utrzymać Lys na linii strzału.

Pierwsza salwa z karabinu dogania mnie, gdy jestem już zamknięty bezpiecznie wewnątrz tuby i mknę ku górze. Influencerzy ruszają do drugiej windy. Mam plan, jeden z tych idiotycznych, które pojawiają się w głowie, gdy wszystkie racjonalne opcje zostaną wykorzystane. Ale jeśli nie pomyliłem się w obliczeniach, powinien zadziałać.

– (LILO!) – wołam jeszcze raz.

Martwy jej nie odnajdę. Trzymając się tej myśli, wpadam prosto do sali balowej na ostatnim piętrze. Kostium przyspiesza moje kroki, zapewnia przyczepność na śliskiej posadzce. Rozpędzam się, przebiegając przez puste pomieszczenie, przebijam się przez tafłę szkła odgradzającą salę od tarasu i z całej siły, jaką jestem w stanie zgromadzić w moim podrasowanym obwodami, wzbogaconym technologią i napędzanym desperacją ciele, wybijam się daleko, daleko w mrok.

Pędzę niczym pocisk nad szpiczastymi wieżami Aurory. Rozpościeram dłonie, a mój strój formuje zaimprovizowane skrzydła. Nabieram powietrza do płuc i pochylam głowę. Grad pocisków uderza we mnie szybciej, niż się tego spodziewałem. Żadne z trafień nie jest bezpośrednie, ale kilka draśnięć wystarczy, by rozerwać ciekłą powłokę skrzydeł na strzępy. Rozciągnięty do granic możliwości kostium nie nadąza regenerować uszkodzeń. Zwijam się jak żółw, wzmacniając plecy i chroniąc głowę przed ostrzałem. Zaczynam wytracać prędkość. Grawitacja ściąga mnie w dół, do świetlistych ulic, i gdy już myślę, że zaraz wrzuci mnie głęboko pomiędzy labirynt budynków, z którego nie będzie jak uciec, inna siła wyciąga po mnie dłoń i w ostatniej chwili porywa mnie ku krawędzi krateru. Mój plan zadziałał. Wpadłem w pole grawitacyjne zewnętrznego sektora. Całe miasto przesuwa się nad

moją głowę, a ja spadam w kierunku kopuły, na której powierzchni Lys wyświetla kolory nieba ku uciechu swoich podwładnych. Stąd droga ucieczki będzie zdecydowanie prostsza.

Rozwijam spadochron. Skumulowane wiązki energii wystrzelone z tarasu pałacu królewskiego natychmiast dziurawią go jak sito, ale udaje mi się wytracić prędkość i wylądować, tak by nie połamać nóg. Formuję ostrze, rozpruwam warstwy organicznej membrany i dostaję w twarz podmuchem arktycznego powietrza. Świat na zewnątrz składa się tylko z czerni i bieli. Nie oglądając się za siebie, zaczynam zsuwać się po zewnętrznej krawędzi krateru, brnąc przez głęboki śnieg pod rozgwieżdżonym nocnym niebem.

– (Lilo, jesteś tam?!) Jesteś tam?! – wołam niczym skończony desperat, a mój głos znika w zimnej pustce.

Kopuła miasta rozsuwa się, rozcinając mrok ścianą światła. Z wewnątrz jak z rozbitego ula wyfruwają setki dronów zwiadowczych i prują wściekle we wszystkich kierunkach. Ja daję nura głęboko pod śnieg. Zamykam się wewnątrz hermetycznej kapsuły nieemitującej ciepła i niewpuszczającej do środka brutalnego mrozu. Żadne czujniki nie będą mogły wychwycić mojej aktywności życiowej. Wiatr zasypie moje ślady. Przeczekał tu, aż na zewnątrz się uspokoi, i o świcie ruszę dalej na południe. Przede mną daleka droga. Być może nawet uda mi się na chwilę zasnąć. Zapaść w sobie i zapomnieć o tym, co tu się wydarzyło.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio śniłem swój własny sen.

\* \* \*

Powoli wraca mi świadomość. Wychylam głowę spod białego puchu. Słońce migocze na horyzoncie, spychając noc za drugą krawędź Ziemi. Niebo jest błękitne, nie ma na nim chmur ani zwiadowców. Być może zrezygnowali z poszukiwań, choć bardziej prawdopodobne jest to, że po prostu czekają na mój ruch, próbując wywabić mnie z ukrycia. Lys nie odpuści tak łatwo. Teraz, gdy wyznaliśmy sobie uczucia, jestem przekonany, że podniesie każdy

kamień i przeskanuje każdą częstotliwość na tej plancie, by odnaleźć mnie i skasować. Takie kobiety jak ona nie rzucają słów na wiatr. Mój czas się kończy, a Lilo nie ma go już wcale. Nagle dopada mnie ta potworna myśl: co, jeśli jej sygnał nie znalazł odbiornika, w którym mógłby się zmagazynować, i zaginął rozproszony w przestrzeni? Albo jeśli jej świadomość zderzyła się z innymi falami, została zaśmiecona hałasem i już nigdy nie odzyskam Lilo? Jestem absolutnie ostatnią osobą na tym świecie, która może ją uratować. Nie wiem, co przeraża mnie bardziej.

Powoli wypełzam spod zmrożonej pierzyny i ustalam, gdzie jest południe. Najbliższa osada ludzka znajduje się czterysta osiemdziesiąt kilometrów stąd, co oznacza, że przez następne dwie doby będę oglądał jedynie śnieg, dotykał wyłącznie śniegu i nie usłyszę nic poza śniegiem chrzęszczącym mi pod stopami. Ale co by się nie stało po drodze, dostanę się do mojej kapsuły, uruchomię skaner i będę przeszukiwał tę Ziemię atom po jebanym atomie, dopóki jej nie znajdę.

Tylko wszystko po kolei. Na razie mam drogę do pokonania. Ruszam przed siebie, pewnie stawiając krok za krokiem.

Udaje mi się wykonać ich tylko pięć, zanim krew nie zamarznie mi w żyłach, a serce nie eksploduje.

W oddali, na horyzoncie, majaczy czarny kontur, który zbyt dobrze znam. Rozdrapuje niebo swoimi powykrzywianymi konarami, zieje błękitnym ogniem silników. Wydaje się jeszcze potężniejszy i bardziej złowieszczy od tego, którego obraz noszę we wspomnieniach. Zamykam oczy, a gdy otwieram je ponownie, wciąż tam jest. Nieuchronnie zbliża się ku mnie.

Drzewo wygnanych.

Yggdrasil.

## Intermezzo

Chude, czarne szpony suną ku mnie po powierzchni krystalicznie czystego śniegu.

Statek przesłania słońce, a ja stoję nieruchomo i tonę w jego cieniu, wciąż nie mogąc uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Rozlega się świst dronów. Cała ławica zwiadowców Aurory przelatuje obok, kompletnie mnie ignorując.

Nieświadomi zagrożenia ruszają na spotkanie tej przerażającej osobliwości, ale gdy tylko udaje im się zbliżyć na odległość kilku kilometrów, ich silniki natychmiast gasną. Zdezaktywowane maszyny spadają z nieba jedna po drugiej. Z oddali słychać jedynie wytłumione uderzenia, gdy walą o ziemię, wyrzucając do góry pióropusze śniegu. Yggdrasil płynie naprzód. Majestatycznie wyłania się z mgły jak jakiś statek widmo, któremu wściekły sztorm rozerwał na strzępy czarne żagle. Udało mu się zawieźć śmierć do najdalszych zakątków wszechświata, a teraz, kołysząc się na fali szaleństwa, wraca spalić macierzysty port. Ludzie tu, na dole, nawet nie zdają sobie sprawy, z czym mają właśnie do czynienia.

Nagle oślepia mnie słońce. Czarna plama rozmazana na niebie znika. Nie widać nic. Nic nie słychać. Czy to możliwe, żebym śnił? Jeśli tak, to ja już podziękuję. Mogę się obudzić. Najlepiej obok Lilo, daleko stąd, w innym życiu, jako ktoś zupełnie nieważny. Przez chwilę próbuję zrozumieć tę wizję, wytłumaczyć ją dniami neurosymulacji w Bibliotece Snów, które musiały mi ostro przypalić synapsy.

I wtedy zapada ciemność, czarniejsza niż kiedykolwiek.





Yggdrasil pojawia się tuż nad moją głową, odcinając dostęp światła i resztki nadziei. Koszmar jest prawdziwy, monstrualny, ciągnie się w nieskończoność i przelewa za horyzont. Silniki pracują, wywołując burzę śnieżną. Statek wysysa energię ze słońca, zabijając dzień, nim zdążył na dobre wstać. W centralnej części kadłuba otwiera się śluza. Strumień bladego światła uderza w ziemię tuż przede mną, a ja biorę głęboki oddech, zupełnie jakbym przeczuwał, że zaraz mogę się w nim utopić, i nie znajdując żadnych alternatyw, robię krok do przodu. Gdy powietrze opuszcza moje płuca, jestem już na pokładzie.

A dokładnie na siedemnastym poziomie w dolnym sektorze ósmej sekcji. Korytarz po prawej prowadzi do laboratorium, w którym doktor Han Chase odstrzelił sobie głowę. Po lewej powinien wciąż mieścić się pokój gier – o ile Linus nie przerobił go jeszcze na salę tortur. Nie zdziwiłbym się, kapitan zawsze znajdował przyjemność w cierpieniu bliźnich. Może właśnie dlatego przebył za nami cały wszechświat, by napawać się tą najmroczniejszą z chwil, gdy straciłem już wszystko.

Niebawem spotkam go na mostku, podejdzie bliżej, spojrzy na mnie z pogardą i powie, że dokładnie tego się spodziewał. Że nie stać mnie na więcej. I to będzie jak powrót do domu.

Znajomy ból, którego miałem nadzieję już nigdy nie poczuć.

Nie dam mu tej satysfakcji – myślę, biegnąc przez puste korytarze. Zaciskam pięści, reszta ciała też jest gotowa wypluć mu w twarz prawdę i zakończyć to raz na zawsze. Wszędzie panuje złowieszcza cisza, słychać tylko szum odsuwających się drzwi, za którymi znajdują się kolejne ciemne pomieszczenia, jakbym faktycznie trafił na wrak wysłany tu z zaświatów. Wejście na mostek wymaga autoryzacji DNA. Podchodzę do skanera i przesuвам przez niego dłońią. Drzwi się rozsuwają. Pomiedzy mną stojącym na progu a ogromnym wyświetlaczem ukazującym obraz Ziemi znikającej w cieniu Yggdrasil jest jeden fotel. W fotelu spoczywa człowiek. Zarzuca nogę na nogę, śmieje się do siebie, smakuje tę chwilę, jakby czekał na nią od stuleci, po czym odwraca

się ku mnie. W pierwszej chwili nie rozpoznaję tej twarzy, mimo że niektóre jej cechy wydają się dziwnie znajome. Ale analiza genetyczna nie ma wątpliwości.

Ten człowiek to ja.

Idealna, stuprocentowa kopia mnie. Genetycznie dokładna po ostatnie wiązanie nukleotydu.

Jego twarz jest nieco starsza, porośnięta zarostem i przeorana bruzdami czasu, długie włosy opadają na ramiona, a ciało jest pokryte tatuażami wystającymi spod mankietów i znad kołnierza białej kapitańskiej koszuli, ale nie mam absolutnie żadnej wątpliwości, że w tej unikalnej, pozbawionej racji bytu chwili patrzę na zremiksowaną wersję siebie, oglądam swoje odbicie w roztrzaskanym lustrze wyświetlającym wizję, która nie ma prawa istnieć, ale jednak istnieje.

– Tego się nie spodziewałeś, co? – pyta moim własnym głosem i po chwili dodaje zupełnie od niechcienia: – Rez?

– Co to, kurwa, ma być?

– Złe pytanie.

– A jakie jest właściwe?

– Gdzie ja jestem.

– Więc... gdzie jestem? – pytam.

– Na pewno nie u siebie.

– No to mi wyjaśnij – rzucam, jakoś nie czując potrzeby, by być wobec siebie szczególnie uprzejmym.

– Znajdujesz się w mojej wersji rzeczywistości.

– Nie rozumiem.

„On”, no bo przecież nie „ja”, wstaje z fotela, który natychmiast zapada się w podłogę, pozostawiając nas w pustym, białym pomieszczeniu z jednym oknem, za którym maleją lądy i oceany. Yggdrasil unosi się coraz wyżej, jego cień przesuwa się po burzowych chmurach i rozplywa w mrokach nocy po zaspanej stronie Ziemi. Wreszcie zatrzymuje się gdzieś w połowie drogi do Księżyca, umieszczając naszą błękitną kulę pośrodku kadru, tuż za plecami kroczącej w moją stronę sylwetki.

– Nie jestem astrofizykiem, ale wszystko wskazuje na to, że podczas podróży na Ziemię wykorzystaliście most czasoprzestrzenny, z tym że zamiast skrócić sobie drogę przeskoczyliście do równoległego wymiaru – mówi, przyglądając mi się z uwagą. – Takie rzeczy zdarzają się cały czas.

– Bzdura. To tylko niepotwierdzona teoria – odpowiadam.

– Materia nieustannie przecieka przez czasoprzestrzeń. Nie wiem, czym u was zajmował się doktor Otis Low, ale w historii tego świata zapisał się jako człowiek, który udowodnił, że nikt nie ma monopolu na rzeczywistość.

Baza wiedzy podsuwa mi biografie ponad trzystu osób o tym nazwisku. Jest wśród nich gość, który opatentował masło w sztyfcie, i to by było na tyle.

– Nie mam nic – wzruszam ramionami.

– No dobra, widzę, że będzie tu potrzebna lekcja relatywnie prawdziwej historii. – Odpala na szybko wizualizację pełną filmów i wykresów. – Otóż pan Low w wyniku wydarzeń, które nie są istotne dla tej rozmowy, w wieku trzydziestu pięciu lat porzucił swoją pracę i żonę i został zmuszony do opuszczenia miasta, w którym spędził całe swoje życie. Ta nagła i radykalna zmiana sprawiła, że od tej pory zaczął bardzo często zadawać sobie pytanie, co by było, gdyby tam został, gdyby nie spotkał pewnych osób, gdyby się nigdy nie narodził i tak dalej. Pytania domagały się odpowiedzi, dlatego resztę swojego długiego i bardzo interesującego życia poświęcił na badania wolnej woli i innych wymiarów, a że był człowiekiem bardzo dociekliwym, rok przed śmiercią udało mu się bezsprzecznie udowodnić, że alternatywne światy istnieją obok siebie. Co więcej, są skorelowane. Większość teoretyków przed nim uważało, że mogą jedynie sąsiadować ze sobą liniowo, ale prawda jest taka, że są zaplecione jak warkocz, rozgałęziają się na wiele możliwości, a co jakiś czas przecinają, dążą do tych samych konkluzji. Alternatywnych światów jest nieskończenie wiele, lecz wszystkie mają wspólny początek i koniec, w każdym z nich jest materia, słońca, planety, Ziemia, Yggdrasil, ty albo ja. – Wymachuje

palcem tuż przed moją twarzą. – Oczywiście podejmujemy różne decyzje, ale ostatecznie, w skali makro, nie mają one większego znaczenia, bo historia czasu wie swoje i kroczy powoli do kolejnego punktu zero. Zupełnie jak z tym kotem.

– Kotem?

– Kotem w pudełku, który jest jednocześnie żywy i martwy. Ale to, czy oddycha, nie jest ważne, bo ty i tak zawsze zajrzysz do środka, by to sprawdzić. Rozumiesz? Tylko proszę, nie mów mi, że w waszej rzeczywistości wszyscy naukowcy zostali gwiazdami pop. Einstein nagrał jakieś dobre albumy? Curie kładła rymy pod tłuste beaty?

To, co mówi, w dodatku moim własnym głosem, jest kompletnym szaleństwem. Ale co, jeśli przez cały czas to ja nie miałem racji? Co z pomyłonymi datami, niemożliwością zalogowania się do Omninetu? Nawet pieprzona grawitacja, zmęczenie i krwotoki z nosa, które mogły być wywołane niezauważalnymi zmianami na poziomie korpuskularnym, da się wytłumaczyć faktem, że trafiliśmy do równoległego świata.

– Już dobrze, wierzę ci – mówię, sam ledwie przyjmując to do wiadomości.

– Oczywiście, że tak.

– Więc co będzie teraz? Dotknę cię, a rzeczywistość imploduje, wywołamy jakieś zakrzywienie czasoprzestrzeni, które pochłonie Ziemię?

– No co ty. – Uśmiecha się i poklepuje mnie po twarzy. – Takie rzeczy dzieją się tylko w słabych filmach i powieściach science fiction, Rez. Teraz usiądziemy i pogadamy, a później cię zabiję, bo śmierć jest tak naprawdę wszystkim, czego pragniesz. Zapraszam. –

Kieruje nas do stołu z dwoma fotelami, które właśnie wynurzyły się z podłogi.

– To zabawne – mówisz o tym, jakbyś mnie znał.

– Ktoś musi, skoro ty cały czas boisz się przyznać to, co oczywiste. Pytaj.

– O co?

– O cokolwiek. Należą ci się wyjaśnienia. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić. Wiem, że to nie ma sensu, ale co tak naprawdę ma?

– Gdzie są wszyscy?

– O, i to jest bardzo dobre pytanie, brawo. – Opada na fotel po drugiej stronie lewitującego blatu. – Musiałem pozbawić ich organicznej formy. Nie mieliśmy zasobów, by przetrwać z siedemdziesięcioma milionami pasażerów na pokładzie, więc stworzyłem dla nich wierną symulację wszechświata i wgrałem ich wszystkich do środka. Urządzenie, w którym żyją, jest wielkości drobiny pyłu, frunie sobie teraz przez fizyczny wszechświat zasilane energią słońc.

Wiedza o nas i Yggdrasil stała się tam religią, legendą, anegdotą, aż wreszcie została całkowicie zapomniana. Kolejne pokolenia rodzą się nieświadome, że kiedykolwiek ludzie funkcjonowali w innej formie, i przyjmują to, co widzą i czują, za ostateczną wersję rzeczywistości. Z naszej perspektywy czas dla nich płynie dużo szybciej. Cywilizacje powstają i upadają, rządy wypowiadają sobie wojny, ludzie zabijają Ziemię, w kółko powtarzając te same błędy, a gdy ostatni człowiek umiera, wszystko się resetuje. Jak ostatnio sprawdzałem, właśnie rozpoczął się osiemdziesiąty czwarty cykl. Ludzie wymyślili Internet i szykowali się do pierwszej załogowej misji na Marsa.

– Co się stało z Linusem?

– Sam znasz odpowiedź na to pytanie. – Celuje we mnie dwoma palcami, a jego kciuk przeskakuje niczym spust broni.

– Zabiłeś go.

– O, tak. Zrobiłem coś, czego ty nigdy nie byłeś w stanie zrobić. Torpedy dopadły go, zanim wylądował na Vittrze. Szkoda, że tego nie widziałeś. Gdy zrozumiał, co się święci, zaczął piszczeć jak mała dziewczynka.

– Należało mu się – przyznaję.

– Przynajmniej w jednym się zgadzamy – mówi drugi ja.

– A co z Lilo?

Nie odpowiada. Słowa nie opuszczają jego zaciśniętych ust, ale

praktycznie słyszę w tej absolutnej ciszy, jak w jego wnętrzu coś pęka i rozlewa się po całym ciele. Najgłębszy rodzaj smutku, którego sam nigdy nie doświadczyłem, ale dokładnie wiem, jak przerażający może być jego smak. Widzę, jak pełźnie pod skórą i dociera do twarzy, która nagle staje się jeszcze bardziej surowa, zmęczona. Starszy Rez podnosi wzrok znad stołu i spogląda w kierunku okna, za którym w blasku trzech słońc wahadłowiec daje nura w atmosferę pulsującej życiem planety, by ją zamordować. Lilo krzyczy w mojej głowie, żebym coś zrobił, zanim będzie za późno, a ja po prostu stoję tam i gapię się bez zrozumienia na malejący punkt, ignoruję jej błagania i pozwalam im wylądować.

– Wszystko albo nic. Więc nigdy nie było trzeciej możliwości – mówię, nawet nie próbując sobie wyobrazić momentu, w którym się dowiaduję, że straciłem ją na zawsze.

Umarłbym. Stałbym się kimś innym. Niekompletnym. Dokładnie kimś takim jak on.

– Przestrzeń kosmiczna ma w sobie tę magiczną właściwość uświadamiania człowiekowi jego nieważności – podejmuje po dłuższej chwili. – W skali wszechświata jesteśmy jak robale, które żyją jeden dzień tylko po to, by przedłużyć gatunek. Większość z nas jedynie konsumuje, wydalą, płodzi i umiera. Absolutnie nic nie ma sensu. Nawet miłość jest tylko procesem chemicznym zaprojektowanym przez ewolucję, żeby wrobić nas w rozmnażanie. Ale czasem... bardzo rzadko, pojawiają się przebłyski światła, gdy wszystko przestaje być ważne, gdy możesz po prostu zatracić się w tym bez reszty i wreszcie przestać się bać.

– Miłość... i inne narkotyki – dodaję.

– Każdy z nich zabije cię równie skutecznie.

– Ale tylko gdy kochasz, nie jesteś sam.

Uśmiechamy się w ten sam gorzki sposób, słysząc, jak zsynchronizowane myśli wybrzmiewają w jednym długim zdaniu wypowiedzianym przez ten sam głos. Pewne prawdy są uniwersalne dla każdego miejsca w czasie i przestrzeni.

– Więc co się stało później?

– Nic szczególnego. Przejąłem dowodzenie. Pozbyłem się pasażerów, całego sprzętu do neuroreplikacji i wszystkiego, co mogłoby sprawić, że nasza śmierć nie będzie permanentna.

Uzbroiłem systemy bojowe, a później obrałem kierunek na Ziemię, żeby ją spalić i zapisać wszystkie biblioteki zerami, tak by nie pozostał po nas ani jeden ślad. No i pojawił się jeszcze ten gość, Vincent.

– Tak, enigmatyczny pan Noir. Autor prowizorycznego końca świata. Sam poznałem niedawno jego historię.

– Kolejny głupiec, któremu się wydaje, że cokolwiek zmienił – rzuca. – Jego przebiegły plan nie uratował Ziemi, jedynie odroczył to, co zawsze było nieuniknione. Człowiek to wirus. Pieprzony potwór z kosmosu mordujący wszystko na swojej drodze. Nic nas nie powstrzyma.

– Więc dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś? Dlaczego siedzimy tu teraz, na tle tego wspaniałego widoku – wskazuję na Ziemię, zza której wyłania się słońce, rozpalając na jej obrysie świetlisty łuk – i umilamy sobie czas dialogami o końcu świata zamiast patrzeć, jak wszystko płonie?

– Bo usłyszałem jej głos – odpowiada. – Dokładnie w momencie, gdy miałem zamienić tę błękitną kropkę w krwawą plamę, odebrałem sygnał. Dwa proste zdania: „Znaleźliśmy Bibliotekę Snów. Rez przegląda jej zbiory”. W pierwszej chwili myślałem, że postradałem zmysły. Dwieście lat samotnej podróży przez pustkę potrafi cię zmienić, niezależnie od tego, ile hibernujesz i spędzasz czasu w symulacjach. Ale to była prawda. Byliście tu. Lilo żyła. Naprawdę istniała. A ja... – zawiesza głos – ja tylko chciałem ją jeszcze raz zobaczyć. Choć przez chwilę, żeby się upewnić, że nie śnię.

I wtedy ona umarła. Znowu. Bo ty pozwoliłeś jej zginąć.

– Możemy ją odnaleźć – proponuję. – Musimy tylko namierzyć sygnał...

– My?! – przerywa mi, tracąc nad sobą panowanie. – Nie, Rez, ty nie będziesz mi potrzebny.

Reprezentujesz moją słabość. Jesteś tą częścią mnie, której wolałbym nigdy nie poznać. Obydwaj straciliśmy Lilo, ale tylko jeden z nas jest w stanie ją odzyskać. Tam, w środku – wskazuje moje serce – nie ma już nic, nawet woli istnienia. Zaraz sam się o tym przekonasz.

Powoli dociera do mnie, że nie wszyscy opuścimy ten statek żywi. Ale choć napędza go toksyczny gniew i cała nadzieja tego świata, to ja mam na sobie niezniszczalny kostium i to ja mogę żyć nieskończoną ilość razy.

– Uwierzę, jak zobaczę – prowokuję go.

Po lewej coś eksploduje.

Na wciąż zacienionej powierzchni Ziemi, gdzieś na wysokości zwrotnika Koziorożca, pojawia się mały rozbłysk. Drugi ja spogląda na mnie, śledząc każdą moją reakcję i czekając sam nie wiem na co.

– Tak, to była twoja kapsuła – wyjaśnia wreszcie.

Czuję się, jakbym implodował.

– Ty... ty... – Słowa więzną mi w gardle. – Nawet nie wiesz, co zrobiłeś.

– Spokojnie, Yggdrasil ma bardzo precyzyjne uzbrojenie. Nie zniszczyłem jej statku, tylko twój.

Wciskam plecy mocno w oparcie fotela, zupełnie jakby było liną ringu. Nie twierdzę, że każda z podjętych przeze mnie decyzji była słuszna. Czasem nie ma dobrych rozwiązań i jedyne, co możemy zrobić, to minimalizować ryzyko i zredukować straty. Nie jesteśmy bogami, mimo że potrafimy zamordować całą planetę. Sami pragnęliśmy tej mocy, a teraz nie mamy nawet pojęcia, jak ją wykorzystać. W tej opowieści nie ma pozytywnych bohaterów. Pora wracać do domu.

Zrywam się z fotela i przeskakuję stół. Trzy kroki i atak, ostrze na końcu mojej dłoni jest już gotowe. Precyzyjne uderzenie prosto w aortę zgasi jego życie, zanim ciało zdąży opaść na ziemię.

Drugi ja wstaje, zwiększa dystans. Podłoga pod jego stopami otwiera się i wypływa broń. Biorę zamach, a cztery pociski uderzają mnie szybką serią w brzuch i w klatkę piersiową. Zamieram



z ostrzem zawieszonym milimetr od jego szyi. Cały mój kostium zastyga, jakby był wykonany ze skały, jego elastyczna struktura gęstnieje, zamykając mnie w środku. Mogę jedynie obracać głową, wyrzucić stek bluzgów, protestować i prosić starszego Reza, by się opamiętał. Ale nie robię nic.

W ciszy obserwuję, jak podchodzi do mnie i przystawia jeszcze ciepły koniec lufy do mojego czoła.

Spogląda na mnie moimi oczyma i uśmiecha się.

– Nie, to byłoby zbyt proste. Zbyt mało personalne. Nie czułeś nic tak długo, ale to musisz poczuć. – Odrzuca strzelbę, która tonie w podłodze, po czym bierze zamach i uderza mnie z całej siły pięścią w twarz.

Kostium pęka, jakby był ze szkła, a ja padam na plecy kilka metrów dalej. Filtry wygłuszają informacje biegnące z receptorów, ze strzaskanej kości policzkowej, podbitego oka i pękniętego zęba, ciało regeneruje się w sekundę, ale nic nie pozwoli mi zignorować tego, że przegrywam sam ze sobą. Wrzeszczy: – Walcz ze mną!

Ja biegnę przez centrum sterowania, by rzucić się mu do gardła. Wpadam na niego z impetem, przewracam i tłukę na oślep. Pięści lądują na twarzy, szyi, ramionach, niektóre uderzenia są tak nieprecyzyjne, że trafiają w podłogę. Jej biała powierzchnia pokrywa się cienkimi strugami krwi strzelającej z ust drugiego Reza i z moich dłoni. Mój przeciwnik zakrywa twarz, wciska między nas nogę i sprzedaje mi porządnego kopa w klatkę piersiową. Przerwa w walce trwa sekundę.

Skaczymy na siebie jak głodne zwierzęta, wszystkie chwytysą dozwolone i do cholery z człowieczeństwem. Pięćdziesiąt tysięcy lat rozwoju idzie w zapomnienie, gdy napierdalamy się jak jaskiniowcy walczący o przetrwanie. Wygra silniejszy. Zawsze tak było. Jeśli żyjesz, to znaczy, że twoi przodkowie byli naprawdę skuteczni w kruszeniu czaszek swoich wrogów. Oto nasze krwawe dziedzictwo, którego nie odkupią nawet cztery tysiące lat chujowej poezji ku chwale rozumu.

Moja pięść przelatuje obok jego twarzy i trafia w powietrze.

Odślaniam się, a on nie przepuszcza okazji. Kontratak jest natychmiastowy. Kolano łamie kilka moich żeber. Sплюwam krwią i padam jak długi. Wściekły Rez przyciska mnie do ziemi całym ciężarem swojego ciała.

– Pamiętasz mnie?! – pyta, zadając kolejne ciosy, każde uderzenie wydaje się mocniejsze od poprzedniego.

System centralny interweniuje, przypominając nam pozbawionym emocji głosem o zagrożeniach płynących z tak poważnego uszkodzenia ciała. Rekomenduje natychmiastowe zaprzestanie fizycznych aktów przemocy i zaleca rozładowanie nagromadzonego napięcia poprzez symulacje, a także zachęca nas do odbycia mediacji werbalnych. Moje szanse przeżycia rzekomo wynoszą w tym momencie 34,788%, ale to nieprawda. Wynoszą okrągłe zero, bo wiem, że nic nie powstrzyma mojego przeciwnika. Nie mam szans w tym starciu, dlatego potrzebuję nowej taktyki.

Wszystko wokół jest umazane krwią i potem. Wykorzystuję ostatnie pokłady energii, regeneruję uszkodzenia i spinam każdy mięsień, wyślizgując się z uścisku Reza, po czym biegnę do drzwi. Ciało ciąży mi, jakby ważyło tonę, każdy ruch jest nieporadny i nieskoordynowany, ale mimo wszystko udaje mi się dotrzeć do wyjścia jako pierwszemu. Uderzam dłonią w skaner, zostawiając na nim krwawe rozbryzgi, po czym przekraczam próg i rozkazuję głosem kapitana: – Reset wszystkich systemów!

Każde drzwi na Yggdrasil zamykają się z trzaskiem. Światła gasną. Rozpoczyna się odliczanie od dziewięćdziesięciu sekund do zera. Padam bez życia na kolana.

– Bardzo sprytne – przyznaje inny ja, zamknięty po drugiej stronie niezniszczalnych wrót. – Ale to nic nie da.

Słyszę, jak opiera się o ścianę i osuwa na podłogę, czekając spokojnie na powrót zasilania. Ale ja nie mam zamiaru tu być, gdy to się stanie. Dźwigam się z największym trudem i ruszam wzdłuż korytarza w kierunku zbrojowni. Minuta. To tylko pięćset metrów stąd. Dam radę. Ból przepala się przez filtry i uderza w układ nerwowy. Powłóczę nogami i czuję się jak spuchnięty worek ze

skóry wypełniony połamanymi kośćmi. Obwody nie nadążają regenerować uszkodzonych tkanek.

Czterdzieści pięć sekund. Podpieram się ściany. Skurwysyn nieźle mnie urządził. Gdyby Lilo to teraz widziała... Wiem, jak trudno jej będzie uwierzyć, że zostaliśmy wystrzeleni w kosmos podstępem, ale nie wyobrażam sobie, co powie na to, że wpadliśmy do innego wymiaru. Trzydzieści sekund.

Kurwa! Muszę biec, ale ciało odmawia mi posłuszeństwa. Ostatnie dwieście metrów jawi się jak wspinaczka wysokogórska. Rozpaczliwie chwytam się ściany i zdobywam metr po metrze, próbując ugasić szalejący wewnątrz ogień. Duszę się rozrzedzonym powietrzem. Gdy wreszcie docieram do miejsca przeznaczenia, jestem naćpany adrenaliną. Z najwyższym wysiłkiem podnoszę rękę do skanera.

Zero.

Drzwi odjeżdżają na bok, odsłaniając przestronne pomieszczenie z jednym lewitującym łóżkiem, wielką biblioteką fizycznych kopii książek, wygodnym fotelem i białą szafą, całe w stylu prowansalskim, który uwielbia Lilo. Z głośników rozlega się znajomy utwór. „Zniknę. Powiedziałem ci i jeszcze raz powtórzę”, zaczyna. Zachrypnięty wokal odbija się echem od ścian. Tuż zza mnie dochodzi inny głos.

– Zawsze uwielbiała ten kawałek.

Jego dłoń chwytam za ramię. Odwracam się i biorę zamach, ale nie mam już siły wyprowadzić ciosu. Moje ciało bezwładnie opada. Poddaję się. Rez spogląda na mnie smutno. Nie dostrzega już człowieka, jedynie popękaną skorupę, w której dogasa życie. Wspomnienie utraconej miłości, której nie potrafię odpalić. Czy naprawdę wierzyłem, że nasza historia może mieć *happy enĆR*

Słyszę, jak organiczna konstrukcja statku zmienia kształt pod moimi plecami. Do pomieszczenia wdziera się lodowate powietrze. Musimy znów być nad Ziemią, bo czuję jej zapach, a do środka wraz z podmuchami zamieci wlatują płatki śniegu. Opadają na mnie i topnieją w kontakcie z ciepłą krwią. Grawitacja zabiera mnie ze

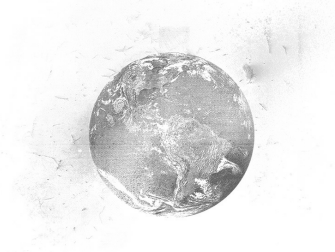
sobą w dół. Yggdrasil zasłania niebo, ale z każdą chwilą staje się coraz mniejszy. Zapadam się coraz głębiej, a wiatr wyje w moich uszach znajomym głosem.

Słyszałem go tak wiele razy, gdy płynęliśmy tu przez przestrzeń. Prosi, bym otworzył drzwi mojej kapsuły i przywitał ciemność. Ja pociągam za dźwignię, próżnia wysysa powietrze z płuc, cały świat przewraca się na lewą stronę. Wszystkie nasze słowa nie znaczą nic. Liczyła się tylko...



## Reality show

No dobra, skoro jego mamy już z głowy, możemy się w końcu zająć poważnymi rzeczami. Posprzątać ten syf, poskładać do kupy ciało, może puścić jakąś dobrą muzykę, odpocząć w fotelu ze szklanką whisky, a później zejść na dół, przewrócić ten świat do góry nogami i ją odnaleźć. Nie spodziewałem się, że podda się bez walki, ale też nie przypuszczałem, że tak dużo go tam w środku zostało. Moje pięści są w strzępach, podarta skóra pali żywym ogniem. Na statku znów zapada głucha cisza. Wracam na mostek. Pojedyncze krople krwi kapiące z moich dłoni są tylko interpunkcją w epopei zniszczenia ciągnącej się od pokoju Lilo i kulminującej w centrum sterowania. Poranioną skórę owijam czarnymi bandażami. Zrzucam koszulę i staję naprzeciw okna. Moja brudna sylwetka odbija się od przezroczystej powierzchni, za którą obraca się Ziemia. Dzień. Noc. Dzień. Noc. Kolejny dzień.



Cała koncepcja czasu wyznawana przez współczesnego człowieka jest zbudowana na błędnym założeniu. Przyzwyczailiśmy się go sumować. Po trzeciej przychodzi czwarta. Minuty stają się godzinami, z godzin powstają dni, miesiące i lata. Gdy zmieniamy datę, zawsze dodajemy do niej jedynekę. Minęło już trzy tysiące czterdzieści dziewięć dwunastomiesięcznych cykli nowożytnej historii, a my dalej żyjemy iluzją nieskończoności, której nasza liczba nigdy nie dogoni. Lecz prawda jest taka, że wszystko na tym świecie ma datę ważności. Czas przecieka przez wąskie gardło

klepsydry i opada na stertę zapomnienia, z której nie ma powrotu. Dodawanie może i poprawia humor, ale przede wszystkim usypia czujność. Bo gdy zapominamy, że nasz czas biegnie od teraz do zera, zaczynamy za dużo myśleć o tym, co było, być mogło i będzie, zamiast patrzeć pod nogi. Łatwo się wtedy potknąć.

Mój pierwszy tatuaż jest fatalny głównie dlatego, że zrobiłem go sam tradycyjną metodą, wpychając igłą barwnik pod skórę. Na Yggdrasil nie było już nikogo, kto mógłby mi w tym pomóc, więc wyszedł jak rysunek wykonany przez trzylatka podczas turbulencji. Przedstawia cztery cyfry ułożone jak na tarczy zegara. Dziewiątka i trójka są zamienione miejscami, bo mój czas zawsze będzie się kończył. On nie potrafił tego pojąć. Dlatego się zatrzymał i po prostu trwał. A teraz go już nie ma. Widziałem, jak jego ciało spada i walio Ziemię, znikając pod falą bieli. W ostatniej chwili przed uderzeniem zakrył twarz dłońmi, jakby chciał ją osłonić. Być może zrozumiał, co chciałem mu przekazać. A może to był tylko odruch? Nieważne. Zabiłem część siebie, przez co czuję się, jakbym się pozbył największego wroga i najbliższego przyjaciela zarazem. W ustach wciąż czuję smak krwi.

Symbol znika pod rękawem świeżej koszuli, ja odwracam wzrok od przestrzeni za oknem i cofam się w głąb pomieszczenia. Uderzam piętą w podłogę, a ona wypluwa giwerę. Cerebral bore wystrzeliwuje jeden pocisk na raz, ale nigdy nie chybia. Wiertło namierza fale mózgowe celu i szuka go, dopóki nie przebije się przez czaszkę, a gdy już to robi, eksploduje z hukiem. Nie jest najbardziej elegancką z broni, ale niewątpliwie nadrabia skutecznością. Tupię jeszcze raz, a w powietrzu pojawia się połyskujący czarno-srebrny pistolet. Incipit ferrum to prawdziwy oldskul. Mieści w sobie tysiąc pocisków i jest kompletnie analogowy, co oznacza, że nie da się go dezaktywować zdalnie. Obie bronie mogą przybrać niezwracającą uwagi formę obręczy zawieszonych dyskretnie pod mankietami kuloodpornej koszuli, a ich transformacja i uzbrojenie trwają jedną dwudziestą sekundy.

Ale to wciąż za mało. Mogę założyć na siebie cały arsenał

dostępny na statku, ale nic nie zmienia faktu, że gdy już znajdę się na dole i wszystko, co tam żyje, będzie próbowało mnie zabić, będę zdany sam na siebie. Mój latający potwór nie pomoże mi zdalnie, bo on potrafi tylko mordować, a zanim przejdziemy do tego etapu, muszę się dowiedzieć, gdzie jest Lilo. Dlatego będę potrzebował zawrzeć kilka znajomości.

Yggdrasil bez trudu włamuje się do Omninetu i wyszukuje odpowiednie wspomnienia. Dwa statki przelatują nad głowami zaskoczonych wędrowców, wpadają pomiędzy wieże i znikają w lesie. Młodszy ja stoi ze strzelbą w dłoniach na środku drogi, tuż obok dopała się pogieły wrak pojazdu. Lilo biegnie w strugach ulewy, ciągnąc za sobą długą i ciężką suknię, uśmiecha się, odrzucając polepione deszczem włosy, pozwala zabrać swój płaszcz, dotyka ustami krawędzi kryształowego kieliszka wypełnionego winem. Słyszę jej głos, jak odmawia kolejnego tańca i gdy spacerując wąską wybrukowaną ulicą, pyta, czy ta mgła kiedyś ustąpi. Jej oczy lśnią w świetle lamp gazowych. Zalana łzami, cała brudna dźwiga się z ziemi, pociąga nosem i zapada w sobie. Jej dłonie chwytają rurę, wspina się wysoko, pod sufit ogromnej sali balowej wypełnionej wiwatującymi, naćpanymi ludźmi, po czym rozluźnia uścisk i rzuca się im w ramiona. Tysiąc dłoni wystrzeliwuje w górę, by ją złapać, zanim roztrzaska swoją śliczną głowę o podłogę, ale ona nie daje im szansy się ocalić. Powoli się zsuwa, obracając się wokół własnej osi. Naga skóra trze o lśniący metal, a temperatura w pomieszczeniu rośnie. W cudzych wspomnieniach widzę ją taką, jaką zawsze była – pełną życia, wolną i szaloną. Zawsze wiedziałem, co zrobić i powiedzieć, by popchnąć ją jeszcze dalej i uwolnić resztę emocji. Nie mogę oderwać od niej wzroku, a gdy sekwencja dobiega końca, odpalam ją jeszcze raz, starając się wychwycić najdrobniejsze szczegóły, gesty, lepiej usłyszeć melodię słów zawartą we w kółko odtwarzanych tych samych kilku zdaniach.

Dopiero przy trzeciej pętli przypominam sobie, że jeśli nie znajdę sposobu, by się dowiedzieć, dokąd uciekł jej sygnał, cudze

wspomnienia będą wszystkim, co będę mógł przeżywać.

W kadrze pojawia się chudy mężczyzna o wyglądzie arystokraty. Poprawia kapelusz, przygryza wargę przebitą kolczykiem i wkłada do ust nieodpalonego skręta. Zanim oddział uzbrojonych funkcjonariuszy przebiegnie po nim i wdepcze go w podłogę, zdąży jeszcze wyciągnąć w ich kierunku środkowy palec. W jego zawiadackim spojrzeniu nie ma krzty strachu, tylko smutek, który wydaje się mi dziwnie znajomy. Chyba nadeszła pora, by odwiedzić Londyn.

Możemy zaczynać.

...

Całe miasto tonie w toksycznej zawieszynie. Powietrze stoi tu w miejscu, jest przepełnione słodkim smrodem, w którym wyczuwam wykwintne nuty pleśni, padliny i spalenizny. Gęsta mgła oblepia mi twarz, rozmywa światło i wytłumia dźwięki dobiegające z oddali. Idę powoli środkiem pustej ulicy wzdłuż rzędów pomarańczowych lamp i wygaszonych okien. W zaułkach przemycają

przygarbione cienie, a na plecach czuję spojrzenia łypiące na mnie z ciemności za szybami.

Ubrany w białą koszulę i długi płaszcz z kapturem mogę na pierwszy rzut oka wyglądać jak ktoś stąd. Na szczęście nikt nie ma czasu przyjrzeć mi się po raz drugi. Z wilgotnej pary wyłania się wiwatujący, pijany tłum. Słysząc brzęk kieliszków kruszonych pod obcasami butów i wystrzały korków od szampana. W poprzek drogi stoi krzywo zaparkowana karoca bez koni, na której dachu lord Jack Nothing w swoim firmowym cylindrze i z płonąca racą w dłoni, szczelnie owinięty we flagę z wzorem pól szachownicy wygląda jak groteskowa wersja statui wolności symbolizująca ostateczne wyzwolenie spod reżimu norm, ograniczeń i zdrowego rozsądku.

– Minuta do startu, koniec przyjmowania zakładów! To dotyczy również pana, lordzie Livingstone – ogłasza z wysokości. – Czy



jeźdźcy są gotowi?

Tłum rozstępuje się na boki, pozostawiając na środku ulicy czterech śmiałków. Mężczyźni stoją w rozkroku, najszerszym, na jaki pozwalają im ich brutalnie obcisłe bryczesy, wyżymają dłońmi szpicruty i spoglądają skupionym wzrokiem prosto na mnie, cali gotowi do boju. Brakuje im tylko koni.

– Proszę opuścić tor, chyba nie chce być pan potrącony? – upomina mnie Jack.

Dołączam do widzów na chodniku, wymieniając z nim pojedyncze spojrzenie. Nie sądzę, by lord Nothing rozpoznał w mojej twarzy cokolwiek znajomego. A nawet jeśli, ma teraz ważniejsze sprawy na głowie. Podchodzi do krawędzi karocy, po raz ostatni potwierdza gotowość i przypomina o zasadach bezpieczeństwa, po czym wyrzuca racę wysoko w powietrze. Wszyscy odprowadzają wzrokiem żarzący się czerwienią punkt, który przelatuje nad ich głowami, wiruje w powietrzu, zostawiając za sobą spiralę dymu ledwie widoczną w gęstej mgle, i ostatecznie wpada z głośnym sykiem do kałuży. Rozlega się oficjalna komenda: – Zapierdalać!!!

Jeźdźcy zrywają się ze swoich miejsc, wyrzucając przed siebie szpicruty, które w powietrzu zmieniają się w pojazdy przypominające koniki morskie. Ich krótkie ogony zakończone są wylotami wyjących silników wyrzucających błękitne płomienie zrywające cylindry z głów gapiów i przyprawiające co wrażliwsze damy o palpacje serca. Mężczyźni doganiają swoje pojazdy i ruszają na nich z pełną prędkością wzdłuż ulicy, huczac tak głośno, że z niektórych okien sypie się szkło.

Podchodzę do karocy i niepowstrzymany przez nikogo wdrapuję się na jej dach, po czym zajmuję miejsce obok lorda.

– Cześć, Jack.

Rozpoznaje mój głos od razu, ale do mego wyglądu musi się przyzwyczaić. Przekrzywia głowę i mruży oczy, jakby nie był pewien, na co dokładnie patrzy.

– Te wycieczki do Aurory ci nie służą, kolego – mówi wreszcie. –

Najpierw wróciłeś martwy, a teraz przybyło ci dobre dziesięć lat. Jak tam sprawy?

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Obawiam się, że wyczerpałeś już limit przysług – rzuca chłodno, odwracając wzrok w kierunku ulicy, na końcu której lada moment powinni się pojawić uczestnicy wyścigu.

Razem z nim jeźdźców wyczekuje cały tłum, wymieniając się uwagami na temat startu, sprzętu i dziwnego smaku szampana i wydając w myślach jeszcze nie wygrane pieniądze.

– Odkąd lord Kyrlov postanowił przepłynąć Tamizę cały obwiązany łańcuchem, musiałem przejąć jego obowiązki zabawiania tłuszczy. Ludzie kochają tu wyścigi konne, ale znasz mnie, ja zawsze szukam lepszych rozwiązań. Postanowiłem zabrać ten nudny sport z powrotem na ulicę i dodać mu odrobinę adrenaliny. Teraz mamy mechaniczne konie, wypadki i potrącenia. Z rąk do rąk przechodzi mnóstwo kasy, ludzie są zadowoleni i nie mają czasu myśleć o głupotach takich jak to, czy jestem dobrym władcą. Jeśli to nie jest zajebiste, to ja już nie wierzę w tę rewolucję przemysłową.

– Musisz mnie wysłuchać. Ja nie jestem tym...

– NITRO!!! – drze mi się prosto do ucha.

Moje słowa giną zagłuszone okrzykami i rykiem silników. Pojazdy przyspieszają, wyrzucając z siebie ogień i dym, i pędzą w kierunku mety. Jeźdźcy sprawiają wrażenie, jakby nie mieli nad nimi już żadnej kontroli, po prostu trzymają się kurczowo upręży, starając się przede wszystkim nie wylecieć z siodła i nie wpaść prosto na latarnię. Jeden z koni zaczyna się obracać wokół własnej osi, trąc dżokejem o mokry bruk, drugi wylatuje pionowo do góry. Tłum odprowadza go wzrokiem, gdy przekracza linię mety na wysokości pięćdziesięciu metrów i znika w gęstej mgle.

Kolejny pędzi prosto na nas. Widzę twarz mężczyzny, jego przerażenie, gdy uświadamia sobie, że nie jest w stanie zmienić toru lotu. Ostatecznie po prostu zamyka oczy i otwiera usta, przygotowując je do krzyku. Chwytam Jacka za kołnierz i pociągam za sobą. Nim nasze stopy dotkną ulicy, dach karocy eksploduje,

zarzucając nas przypalonymi sztchetami. Mechaniczny koń wybija się wysoko w powietrze, zostawiając swojego jeźdźca na balustradzie jednego z balkonów, i parkuje, opadłszy miękko na gzyms budynku. Jack wybucha śmiechem, a tłum mu wtóruje, gdy rozlega się piskliwy, błagalny głos dżokeja: – Hej, jak ja mam stąd zejść?

Nikt nie ma pojęcia, kto wygrał wyścig.

•

Kostki lodu brzęczą w pustej szklance. Powozy pędzą przez zamglone miasto, z uchylonych okien wystają dłonie trzymające odpalone race, otwarta butla szampana nie dolatuje do jadącej obok karocy i uderza prosto w koło, ku uciechu podróżujących rozbryzgując spieniony trunek i szkło we wszystkich kierunkach. Głośna fortepianowa kakofonia zagłusza śmiech. Naprzeciwko mnie siedzi Jack Nothing, nieporuszony całym tym chaosem. Lód topnieje w oczekiwaniu na whisky.

– Inny wymiar? – pyta po raz kolejny. – To w ogóle możliwe?

– Tak.

Zamyśla się, analizuje wszystko, co mu opowiedziałem przez ostatnie pół godziny, wspomina rozmowy z drugą wersją Reza, wodzi wzrokiem po wnętrzu pojazdu, wyciąga papierosa, wkłada go do ust, pstryka palcami, pomiędzy którymi pojawia się błyśnięcie płomienia, po czym wydmuchuje w moją stronę gęstą chmurę dymu.

– A możemy tu sprowadzić kilka kopii mnie? – pyta wyraźnie poruszony nowo odkrytymi możliwościami. – To zdecydowanie podniosłoby poziom intelektualny tego miasta. Mielibyśmy w końcu wspólne tematy, z tą zblazowaną bufonerią nie ma o czym gadać. –

Wskazuje petem mijającą nas karocę, z której okna wystaje czyjaś dupa.

– Z mojego doświadczenia wynika, że takie spotkania źle się kończą.

– No tak, no tak... – potwierdza rozżalony. – To czego ty

właściwie ode mnie chcesz?

– Żebyś poleciał ze mną do Aurory i pomógł mi odnaleźć Lilo. Znasz to miasto lepiej ode mnie.

– Jak ostatnio się widzieliśmy, gorąco mnie namawiałeś, żebym się w to nie mieszał – stwierdza Jack.

– To była główniana rada. Nie byłem wtedy sobą.

Lord nalewa sobie whisky z karafki. Nasza karoca zatrzymuje się przy chodniku, drzwi otwierają się na oścież. Z mroku wyłania się posępna sylwetka wysokiego mężczyzny odzianego w czarny płaszcz. Gdy wchodzi do środka, powóz przechyla się na bok pod jego ciężarem. Hilarius bez słowa zajmuje miejsce przede mną. Jego oczy badawczo wpatrują się we mnie zza pary czerwonych szkielek.

– Jack, kto to jest? – pyta zdumiony swoim głębokim głosem, w którym jest coś dziwnie kojącego.

– Lord Rez drugi. Chce, żebym pomógł mu zakończyć sprawę z Lys.

– Lord pierwszy umarł tam wielokrotnie – zauważa. – Czy ten ma jakieś supermoce?

– Nie mam – wtrącam się. – Jeśli zginę, to raz a dobrze.

– Regeneracja organizmu?

– Przyspieszona, ale bez przesady. Urwana głowa mi nie odrośnie.

– Występujesz w liczbie mnogiej?

– Nie, przybyłem tu sam.

Jack opróżnia płuca z dymu, wypełnia je po brzegi powietrzem i rozpoczyna długi monolog wzbogacony energiczną gestykulacją. Whisky bryzga na wszystkie strony.

– Więc jak ty to sobie wyobrażasz? – pyta wprost. – Twój poprzednik był praktycznie niezniszczalny, a ty... Nawet jeśli bym się zgodził, bo pomimo alkoholu wciąż pamiętam, że trzy kwadranse temu ocaliłeś mi życie, więc zgodnie z moim moralnym kodeksem jestem zobowiązany ci się odwdzięczyć, a poza tym wyglądasz i brzmisz dużo sensowniej niż lord pierwszy, więc mam prawo sądzić, że byłbyś bardziej skłonny dopomóc mi

w zrealizowaniu mojego najskrytszego marzenia, które *de facto* jest pośrednio powiązane z twoim, a mianowicie polega na zatknięciu głowy Lys Valentine na długi kij i wyeksponowaniu jej na tarasie widokowym pałacu królewskiego Aurory, tak aby wszyscy mogli się nasycić tym wspaniale makabrycznym widokiem, to wciąż nierozwiązaną pozostaje kwestia transportu do miejsca przeznaczenia. Innymi słowy, jak my się tam, do cholery, dostaniemy, skoro mnie skończyły się już wahadłowce?

Dziesięć minut później konny zaprzęg przebija się przez ścianę mgły. Noc jest czarna i cicha.

Z okolicznych lasów dobiega jedynie cykanie świerszczy. Drzwi karocy otwierają się z trzaskiem, a ze środka wychodzą trzy postacie. Ich spojrzenia skierowane są ku rozgwieżdżonemu niebu.

Tam, na tle miliardów odległych słońc, unosi się monstrualne drzewo. Jego wykrzywione konary przesłaniają tarczę Księżyca i wlewają strach w serca tych, którzy tej nocy odważyli się podnieść głowę. Kształt powoli opada niczym dłoń gotowa ścisnąć Ziemię i skruszyć ją w garść pyłu. Jack jest kompletnie zbity z tropu. Wyciera łzy z kącików oczu. Spogląda na mnie, na Yggdrasil, ponownie na mnie i jeszcze raz w niebo, po czym sprawdza, czy doktor Hilarius jest równie poruszony tym niecodziennym widokiem. Nie jest – wygląda na przerażonego. Mimo to stara się nie zdradzać emocji, zachować fason, jak na doświadczonego uczonego przystało. Jedynie łypie na mnie raz po raz pytająco, jakby oczekiwał, że się uśmiechnę, wyjaśnię tę magiczną sztuczkę i obrócę wszystko w żart.

Milczącą kontemplację przerywają ciężkie westchnienia lorda. Przyglądam mu się uważnie, gdy odwraca spojrzenie w kierunku swojego miasta i z rozżaleniem uświadamia sobie, że symetryczny kształt wyciosany z brudnej pary nawet się nie umywa do organiczno-mechanicznej konstrukcji misternie odzwierciedlającej przypadkowe piękno natury. Ale nie tylko o walory estetyczne tu chodzi. W tej wyjątkowej chwili jasności umysłu Jack po raz pierwszy widzi Londyn takim, jakim go stworzył – jako krainę

bezmyślnego zapomnienia, protezę szczęścia, którego sam sobie zabronił pożądać. Nie umyka mojej uwadze moment, w którym lord Nothing ostatecznie i niezaprzeczalnie uświadamia sobie, że jego nazwisko zawsze będzie brzmieć Valentine.

- Więc jakie są szanse, że wrócimy stamtąd żywi? – pyta.
- Praktycznie zerowe.
- I wciąż chcesz to zrobić?
- Nie pozostało mi już nic innego.

Przez długie sekundy nie słyhać odpowiedzi. Ale lata spędzone w próżni na wyszukiwaniu wzorów w zachowaniach ludzi i interpretowaniu ich nielogicznych decyzji sprawiły, że każdy jest dla mnie przezroczysty. Właściwie widzę, jak w jego wnętrzu iskrzy prąd, części się obracają, płyny przelewają i wszystko – jak zawsze – trafia na swoje miejsce.

Jack przepadł, gdy tylko spojrzał w niebo.

- Dobra – mówi, wkładając cylinder – ale ja siedzę z przodu.

...

Oczywiście Aurora atakuje nas wszystkim, co ma do dyspozycji. Armia dronów zakrywa poranne

niebo, torpedy fotonowe pędzą nam na spotkanie, wyrzucając za sobą wściekłe błękitne płomienie, w powietrze podrywa się cała eskadra wahadłowców sterowanych przez syntetycznych pilotów nieodczuwających nic poza obowiązkiem rozszarpania nas na strzępy i sprowadzenia na ziemię. Walą w nas fale dźwiękowe, impulsy elektromagnetyczne, skumulowane wiązki jonów i tradycyjne ładunki nuklearne, a na końcu wypala nawet najcięższe z dział plujące strumieniem cząstek dezintegrujących materię, które pożera tak wiele mocy, że po każdym strzale zatapia na chwilę całe miasto w ciemnościach. Wszystko to na nic.

Yggdrasil jest niezniszczalny. Zastyga nad kraterem niczym drzewo uniesione ponad przeoraną ziemią, z której zostało wyrwane z korzeniami, i cierpliwie przeczekuje atak. Vincent zaprojektował

potwora, by wytrzymał wszystko, nawet chorobę toczącą go od środka. Nawet nas.

Chciał mieć pewność, że nie zniszczymy go, zanim nie wywiezie niepotrzebnych ludzi na najodleglejszy zakątek wszechświata. To miała być nasza ostatnia podróż. Niekończąca się agonია, którą mieliśmy wykorzystać na refleksję nad naturą człowieka. Ale nie zdążyliśmy tam dotrzeć.

Wiem to, bo powiedział mi o wszystkim. W mojej najczarniejszej godzinie usłyszałem jego słowa wypowiedziane głosem trzech sztucznych inteligencji. Midgard, Asgard i Helheim zgodnie zapewniały, że dokonałem słusznego wyboru. A teraz chciały postawić mnie przed kolejnym. Nie miałem najmniejszej ochoty tego słuchać. Gdy Yggdrasil oddalał się od Vittry, ja byłem jedynie wydrążonym kształtem, wewnątrz którego echem odbijały się dźwięki, a żaden z nich nie znaczył dla mnie kompletnie nic. Nie miałem marzeń ani myśli, ani pragnień, usunąłem je wszystkie ze strachu przed bólem. Moim przeznaczeniem było już zawsze siedzieć tak w bezruchu w centrum dowodzenia i obserwować, jak migocząca, świetlista kropka staje się punktem, następnie okręgiem, a wreszcie przesłania cały widok, gdy nurkujemy głową w dół, w objęcia ognia.

Tylko że on nie chciał się zamknąć. Ośmielony moją biernością opowiedział mi całą swoją historię. Mówił, że jest inżynierem, który istnieje poza czasem i przestrzenią. Monitoruje rzeczywistość, kiedy trzeba interweniuje i koryguje jej tor. Że zaryzykował wszystko, a gra toczy się o jeszcze więcej i choćbym żył milion lat, nie będę w stanie pojąć, jak wielki jest obszar jego działań. Jak dla mnie mógłby być błędem systemu. Szaleństwem, które wkradło się w szeregi sztucznych inteligencji, gdy próbowały nas zrozumieć. Głosem z głębi mnie, boja sam odchodziłem od zmysłów. Na końcu zapytał, czy chcę zobaczyć Ziemię.

A ja odpowiedziałem, że tak.

I wcale nie zrobiłem tego powodowany tym szczególnym rodzajem tęsknoty za miejscem, w którym nigdy nie byłem. Moja

motywacja była dużo prostsza. Pomyślałem sobie, że po co wrzucać siedemdziesiąt milionów ludzi w słońce, gdy mogę całkowicie wyleczyć wszechświat z tego wirusa. Raz na zawsze pozbyć się tej destrukcyjnej siły pasożytującej na wszystkim, czego dotknie, doprowadzającej do ruiny własną planetę. Linus zawsze powtarzał, że życie musi mieć cel.

Pewnie nie wyobrażał sobie, że jednym z nich może być definitywne zakończenie go. Gdy dostałem swój bilet na Ziemię, zauważyłem, że znalazło się na nim tylko jedno nazwisko. Albo ja, albo nikt – taki był nasz układ. Więc wgrałem wszystkich ludzi do symulacji i ruszyłem z wizytą w rodzinne strony. Gdzieś w połowie drogi, korzystając z nieuwagi Linusa, skasowałem wszystkie moduły zarządzające sztuczną inteligencją, by mieć pewność, że Vincent nie przeszkodzi mi we wprowadzeniu mego planu w życie.

A teraz jestem tu. I zamiast równać to wszystko z ziemią sam przyjmuję ostrzał, bo serce to przebiegły skurwiol, który zawsze wygra z rozumem, i tak naprawdę nie masz wyboru.

– I co teraz? – pyta Jack, gdy atak Aurory wreszcie ustaje.

– Nie odpowiadają na próby kontaktu. Będziemy musieli tam zejść i z nimi pogadać.

– Widzisz tę wieżę pośrodku? Na górze czeka na nas Lys. Cały pałac królewski będzie zabezpieczony, ale wiem, jak możemy się tam dostać z poziomu ulicy. Problem jest taki, że będziemy mieli do pokonania dwieście czterdzieści dziewięć pięter, na których roi się od strażników, co może stanowić dla nas pewne wyzwanie.

– Są syntetyczni?

– Tak.

– Właśnie dezaktywowałem wszystkie nieorganiczne obwody w Aurorze – mówię.

Jack spogląda na mnie z uznaniem.

– Któregoś dnia będziesz mi musiał pożyczyć to ustrojstwo – mówi. – Mam plan wystawić w Globe sztukę. To będzie kosmiczny horror o przedwiecznym potworze manipulującym ludzkimi snami, który po eonach letargu wybudza się i przychodzi, by zeżreć Ziemię.



Ten statek zagra tam główną rolę. Odpalę działa, a lord Livingstone narobi w bryczesy.

– Jack... – wzdycham.

– Jasne. Do roboty. Skoro tamtych już mamy z głowy, została nam jedynie garstka strażników.

To będzie jak spacerek nad Tamizą.

Doktor Hilarius nie jest przekonany. Powoli podnosi się z fotela i podchodzi do szyby, za którą spowita cieniem Aurora czeka na nasz ruch.

– Nie lekceważcie Lys – mówi. – To miasto bezwarunkowo kocha swoją królową i poświęci wszystko, by ją ochronić.

– Oczywiście, że zrobią z nas pieprzonych terrorystów. Influencerzy zadbają o właściwe komentarze w Omninecie, więc nawet jak wyjdziemy stamtąd żywi, cały świat będzie chciał nas dopaść. Dlatego to ważne, żeby pokazać tę historię z drugiej strony – mówi Jack. – Będę transmitował do sieci obraz z mojej perspektywy, a nasz człowiek, Daniel Zeg, zmontuje to tak, żebyśmy wyglądali jak ekipa superbohaterów. Rez drugi, surowy, ale sprawiedliwy najeźdźca z kosmosu – recytuje lektorskim głosem, przyglądając mi się, jakby szukał odpowiedniego kadru. –

Doktor Hilarius – zwraca się do przyjaciela – uznany specjalista w dziedzinie medycyny eksperymentalnej, filantrop, badacz natury ludzkiej, i ja – wypina pierś – lord Jack Valentine, po latach powracający z wygnania do domu, by odzyskać tron. Kosmiczna saga surreal fiction śmiało wykraczająca poza standardy gatunku, transcendentna wobec oczekiwań odbiorcy i eklektyczna w konstrukcji, bez pardonu zderzająca tematy egzystencjalne z absurdalnym humorem, pełna ironii i zatrważającego piękna, nierzadko puszczająca oko do odbiorcy zza czwartej ściany...

– Jack, o czym ty właściwie mówisz?

– Przepraszam, znowu mnie poniosło.

Podaję mu strzelbę.

– Wiesz, jak z tego korzystać?

– Powiedz mi tylko, gdzie to ma przód.

- Tu. – Wskazuję na lufę.
- Mamo, nadchodzę.

•

Seria z karabinu przelatuje tuż nad naszymi głowami. Pociski rozpruwają przezroczyście ściany, zasypując nas milionem ostrych odłamków, światła gasną i zapalają się na przemian, pogłębiając naszą dezorientację. Chowam się za filarem, a pociski skrawają go z obu stron i coraz śmielej dosięgają moich barków, tak że ostatecznie muszę oprzeć się o niego bokiem, by nie oderwały mi rąk. Jack wysyła salwę na drugi koniec korytarza i dostaje natychmiastową odpowiedź w postaci gradu kul. Jedna z nich przelatuje prosto przez jego nogę kilka centymetrów nad kolanem, szczęśliwie mijając kość. Krwawa mgła zastyga w powietrzu na ułamek sekundy, gdy lord pada na ziemię, zwijając się z bólu. Hilarius wciąga go pod stół w ostatniej chwili. W podłodze, w miejscu, w którym leżał, zieje teraz dziura gotowa zmieścić całego człowieka. Ostrzał nie ustaje. Gdy jedna ekipa przeładowuje broń, druga utrzymuje ciągły ogień, osłaniając tę pierwszą. Ledwie zdążyliśmy wejść na recepcję. Nie wiem, co ja sobie myślałem.

– Więc tak wyglądają spacery nad Tamizą? – krzyczę.

– No, tylko czasem mocniej wieje – odpowiada przez zaciśnięte zęby, wciąż nie tracąc dobrego humoru.

Doktor przytrzymuje miejsce postrzału. Noga przestaje krwawić, ale ból wciąż paraliżuje ciało.

Wyrzucam za siebie granat soniczny i daję im znać, żeby odcięli fonię. Eksplozja wywala wszystkie szyby w budynku do dwudziestego piętra włącznie. Pałac przez moment tonie w ciszy. To nasza szansa. Zrywamy się w kierunku wind, każdy w swoim tempie. Słyszę ruchy w korytarzu po lewej, Hilarius zapobiegawczo posyła tam kilka wiązek skondensowanej energii. Najwidoczniej nie wszyscy stracili przytomność, ale jeśli się pospieszymy, odjedziemy do góry, zanim nas dopadną.

Jack wbija kod na panelu windy, ja przyczepiam do ściany ładunek wybuchowy reagujący na ruch.

Drzwi zamykają się za nami w samą porę. Przez przezroczystą szybę widzę, jak cały parter wypełnia się światłem, a po chwili imploduje w mrok. Ruszamy. Sekundę później winda staje, informując nas zdehumanizowanym damskim głosem, że nie mamy autoryzacji, by podróżować dalej. Jack ledwie stoi na nogach, bronie są w połowie rozładowane. Pokonaliśmy dokładnie jedno piętro.

Jedno z dwustu czterdziestu dziewięciu.

Wyciągam incipit ferrum i dwoma strzałami w drzwi toruję nam przejście na pierwszy poziom.

Dziura jest wystarczającej wielkości, by nawet Hilarius nie musiał pochyłać głowy. Jack spogląda z zazdrością na czarno-srebrną broń.

– Widzę, że najlepsze zabawki zostawiłeś dla siebie – komentuje.

– Lepiej powiedz, jak się dostaniemy do góry. Windy są zablokowane, a schody pewnie wyginęły dobrych kilka wieków temu.

– Wręcz przeciwnie, przyjacielsko nastawiony kosmito. Mój ojciec był wielkim fanem starożytnej architektury. Jednym z jego ekstrawaganckich pomysłów było zainstalowanie w tym budynku rekonstrukcji schodów Bramantego – wyjaśnia. – Gdy byłem mały, opowiadał mi, jak czasem wysyłał nimi szczególnie nie ulubianych ministrów, symulując awarię systemu wind.

Jack podchodzi do wielkich drzwi i otwiera je. Eksplozja odrzuca nas do tyłu, sufit zamienia miejsce z podłogą. Przez chwilę widzę tylko ciemność i zastanawiam się, czy to już koniec, czy już mogę nie wstawać, ale ból i smak krwi przypominają mi, że moja fizyczna forma jeszcze oddycha, przetwarza energię i jest gotowa, choć niechętnie, wykonywać polecenia. Przynajmniej te podstawowe.

Wewnątrz klatki schodowej rozlegają się strzały. Kilka wyładowań energetycznych zalewa korytarz oślepiającymi błyskami. A później wszystko cichnie. Słyszę pojękiwania Hilariusza, który z największym wysiłkiem podnosi się do pionu. Mówi, że mam pęknięty kręgosłup i żebym nawet nie próbował wstawać. Ja

tylko chcę wiedzieć, gdzie jest Jack. Chcę, żeby mi powiedział, czy wciąż mamy jakiegokolwiek szanse. Doktor przyciska mnie swoją ogromną dłonią do zaszypanego fragmentami karbonowej ściany hallu i przesyłając przez moje ciało drgania, przyspiesza proces zrastania się kości i regeneruje rozerwane połączenia neuronowe. Powoli wraca mi czucie w kończynach. Hilarius daje znak, a ja podnoszę głowę.

Z dymu wyłania się posępna postać w cylindrze. Kroczy powoli, utykając na jedną nogę i podpierając się na długiej białej strzelbie. W zakrwawionym fraku i z wyciągniętą ze spodni białą koszulą wygląda jak jakieś gotyckie wyobrażenie śmierci, które przyszło tu we własnej osobie, by rozliczyć dług, który zaciągnęliśmy w dniu narodzin.

– Drzwi były zaminowane. Mogłem się tego domyślić. Sorki – mówi Jack, wzruszając ramionami, i wyciąga do mnie dłoń, by pomóc mi wstać.

Ruszamy klatką schodową do góry. Ostrożnie przesuwamy się wzdłuż ścian i zabezpieczamy tyły ładunkami wybuchowymi, na wypadek gdyby z zewnątrz przybyły posiłki. Ale nikt nas nie goni.

Nikt nie wybiega nam naprzeciw. Zdobywamy kolejne piętra, nie wystrzeliwując nawet jednego pocisku. Jack, ośmielony długimi minutami względnego spokoju, zaczyna wygłaszać kwieciste monologi na temat swojego życia w Aurorze. Przywołuje wspomnienia ojca, gdy przechadzali się wieczorami wśród rozświetlonych wieżowców, próbując odgadnąć, kim mogą być mieszkający w nich ludzie, opowiadając sobie ich naprędce skonstruowane życiorysy pełne przygód i śmiejąc się, ilekroć ktoś przemknął obok, nie rozpoznając króla i jego syna. Wspomina, jak nauczył się grać na gitarze, podpatrując tatę, dla którego muzyka była ulubioną ucieczką od trosk codzienności, bo pozwalała choć na chwilę zrzucić z barków ciężar odpowiedzialności za miliony istnień. Dźwięki stały się dla ojca i syna tajnym kodem, za jego pomocą wyrażali emocje, które każdy z nich bał się ubrać w słowa. A później Jack przywołuje dłonie matki. Łamiącym się głosem

przyznaje, że już nie jest w stanie przypomnieć sobie jej oczu ani nawet brzmienia głosu, gdy mówiła mu, że go kocha.

Jedynie jej dotyk, ciepłe, obejmujące go ręce, pomiędzy którymi mógł się schować przed całym światem. Pamięta spokój domu. Światło przesuwające się po jego twarzy i rozklejające ciężkie powieki. Zapach niedzielnych poranków i smak pysznych śniadań. Spacerów brzegiem krateru i wiatr kłujący w uszy. Podróże do odległych krain. Moment, gdy po raz pierwszy zobaczył Ziemię z oddali, małą i nieważną, mieszczącą się pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem, i uwierzył w siebie. Jeziora Tytana i czerwone piaski Cydonii. I powroty – szczęśliwe powroty do domu, za którym tęsknił, jeszcze zanim zdążył na dobre z niego wyjechać, bo to było, wciąż jest i zawsze będzie jego miejsce na Ziemi i nawet gdyby miał tu umrzeć dziś, nie zmieni zdania.

A później każe Danielowi to wszystko zmontować z ujęciami w zwolnionym tempie i muzyką smyczkową. Przełamać ciasne kadry ciemnej klatki schodowej rozświetloną panoramą Aurory, zestawień krwawe rozbryzgi na jego koszuli z podszytym czerwienią niebem o zachodzie słońca, pokazać archiwalne zdjęcia i dać łany zboża, pieprzone falujące złote kłosa, po których sunie jego dłoń, tak by wszyscy to poczuli, ten fizyczny kontakt, rzeczywistość wymykającą się spomiędzy jego palców, gdy walczy tu o przetrwanie.

– Dwadzieścia osiem procent miasta już jest z nami – oznajmia po krótkiej chwili. – Ludzie żądają, by Lys odniosła się do sytuacji, ale góra milczy. Zasiałiśmy niepewność. Pojawiają się teorie spiskowe, na powierzchnię wypływają zapomniane brudy.

– Może napiszą o nas piosenkę – mówię, spoglądając do góry.

Jesteśmy już w połowie drogi. Spirala znika w mroku nad naszymi głowami. Zbliżamy się do komnaty Lys, wciąż nie napotkawszy żadnego oporu.

– Powstało już siedem kawałków wykorzystujących moje monologi i jeden remiks w całości skomponowany z dźwięków wystrzałów. Sklepy z gadżetami nie nadążają drukować replik

twojej broni. Serio, chłopie, skąd ty wzięłeś tę giwerę? Armata godna prawdziwego gracza, jak to mawiał...

Rozmyty cień przemyka środkiem klatki schodowej i coś ląduje bezdźwięcznie tuż za nami. Nie zdążam dobrze się odwrócić, a niewidzialna siła rzuca idącym na końcu Hilariusem o ścianę, jakby jego ogromne ciało nie ważyło zupełnie nic.

– Influencer! – drze się Jack, prując przed siebie na oślep.

Pociski walą gdzie popadnie, rykoszetują od podłogi i płaszcza nieprzytomnego doktora, jakimś cudem nie trafiają go w odsłonięte części ciała. Z tysięcy wystrzelonych wiązek energii do celu dociera tylko jedna. Niewyraźny, półprzezroczysty kształt zatrzymuje się, chwytając dłońmi za brzuch. Na jego czarnej twarzy wyróżniają się jedynie przekrwione białka wściekłych oczu. Jack wymierza prosto w jego głowę, ale w momencie, gdy naciska spust, napastnik znika. Teleportuje się kilkukrotnie, skracając dystans, aż wreszcie pojawia się tuż za plecami Jacka. Mam go na celowniku, ale nie mogę ryzykować. Nawet jeśli bym trafił, siła rażenia incipit jest tak duża, że rozerwie obu na strzępy.

Influencer chwytą lorda i przerzuca go przez balustradę prosto w ciemność głęboką na sto trzydzieści pięter. Wystrzelony przeze mnie pocisk dociera tam o jedną tysięczną sekundy zbyt późno i przesywa powietrze. Ciskam do góry racę i całą klatkę schodową zalewa światło, ale nie widzę sylwetki przeciwnika. Kamuflaż zakrzywia przepływ fotonów, sprawiając, że nawet gdybyśmy stanęli teraz twarzą w twarz, moje oczy dostrzegą jedynie spiralne schody i Hilariusza leżącego nieruchomo pośród setki wypalonych dziur, z których unoszą się smugi dymu. Yggdrasil korzysta z identycznej technologii, by pozostać niezauważonym. Zastygam w bezruchu, starając się wychwycić dźwięk kroków. Jack postrzelił napastnika, więc być może krwawi, ale w tym rozgardiaszu trudno zauważyć jakiegokolwiek ślady. Przez długie sekundy nie dzieje się nic. I gdy już mam ochotę podbiec do balustrady i sprawdzić, czy szalony lord roztrzaskał się o ziemię, czy wciąż spada, a następnie podnieść doktora, by ostatecznie się przekonać, że jest po nim,

pojedyncza kropla krwi uderza o podłogę tuż za moimi plecami.

Schylam głowę w ostatniej chwili. Ostrze przesywa powietrze ze świstem i uderza w ścianę, wycinając w niej głęboką dziurę. Pocisk z incipit ferrum zamienia ramię influencera w krwawą miazgę, zaznaczając kontur ręki i twarzy. I już wiem, gdzie mam celować. Drugi strzał dosięga celu i przestrzeń za nim pokrywa się karmazynowym fraktalem. Bezgłowe ciało opada z hukiem na ziemię, przez chwilę migocze i ponownie znika. W tym samym momencie zawieszona nad naszymi głowami flara gaśnie.

– Co to, kurwa, było? – mówię do siebie.

– Straż przyboczna królowej Lys – odpowiada czyjś głos tuż za mną.

Odwracam się. Wciąż dymiąca lufa karabinu tkwi na wysokości twarzy lorda Valentine.

– Ma jeszcze trzech takich pomagierów. Jeśli przyszli po nas, to znaczy, że jesteśmy już bardzo blisko – dodaje, wkładając skręta między zęby.

– A ty gdzie się podziewałeś?

– Skurwiel rzucił mną tak mocno, że wylądowałem pięć pięter niżej, po drugiej stronie schodów.

Chwilę mi zajęło, zanim tu przybiegłem. Przez to wszystko nie nagrałem waszego starcia.

Nawet tego nie komentuję. Razem podchodzimy do Hilariusza. Doktor wciąż żyje.

– Jestem za stary na te głupoty – stwierdza, zatykając strzaskane okulary na nos.

Z jego boku leje się krew, prawa ręka jest złamana tak mocno, że nienaturalne wygięcie widać nawet pod grubym rękawem płaszcza. Ale jego organizm może zregenerować wszystkie uszkodzenia, potrzebuje tylko czasu.

– Myślę, że przyda ci się chwila odpoczynku – mówię i podaję mu jego strzelbę. Następnie kładę obok niego mały sześcienny przedmiot pulsujący czerwonym światłem.

– Co to takiego? – pyta, przyglądając mu się badawczo.

– To na wszelki wypadek. Gdyby... już nic nie dało się zrobić. Wystarczy mocno ścisnąć w dłoni.

– Rozumiem.

– Ale widzimy się na górze.

– Tak jest, doktoru – odzywa się Jack, uderzając go w poturbowane ramię. – To mój największy przyjaciel – dodaje, żeby poprawić mu humor albo dodać dramatyzmu transmisji.

Nie tracąc czasu, przedzieramy się wyżej, nasłuchując dźwięków dochodzących z oddali, przeszukując spojrzeniami mrok i nerwowo odwracając głowy, ilekroć wydaje nam się, że na krawędzi pola widzenia zarejestrowaliśmy ruch. Każdy alarm okazuje się fałszywy. Dziesięć niekończących się minut później stajemy przed masywnymi drzwiami wieńczącymi spiralę.

Nauczony doświadczeniem skanuję ich strukturę, ale nie znajduję żadnych ładunków wybuchowych. Nie podoba mi się ta cisza. Obaj wiemy, że Lys nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

Mimo wszystko Jack sprawia wrażenie totalnie wyluzowanego. Jego narracja zaczyna uprzedzać fakty. W fabularyzowanej wersji transmitowanej rzeczywistości już tylko sekundy dzielą nas od ostatecznej konfrontacji, która rozstrzygnie o prawie do tronu. Lord z wrodzoną skromnością przyjmuje do wiadomości fakt, że grubo ponad trzydzieści procent mieszkańców Aurory wyraża otwarte poparcie dla jego osoby, a prawie sześćdziesiąt żąda natychmiastowego wyjaśnienia zaistniałej sytuacji. Powstaje nieoficjalny Ruch Abdykacyjny domagający się odsunięcia królowej od władzy oraz przeciwstawny mu Komitet Obrony Korony, który wciąż uważa nas za terrorystów, a mnie za obcą formę życia. Ludzie po raz pierwszy w historii miasta wychodzą na ulice, by zjednoczyć się i zmanifestować swoje poglądy poza rzeczywistością wirtualną. Jack prosi, by nie poddawali się propagandzie, i zapewnia wszystkich, że już niebawem zobaczą prawdziwe oblicze niewolniczego systemu, w którym przyszło im żyć.

Powoli odsuwam drzwi. Najpierw przechodzi przez nie incipit, następnie ja, później Jack. Na końcu długiego korytarza czeka na



nas dwóch influencerów. Jeden z nich stoi na suficie, nic nie robiąc sobie z praw grawitacji, drugi spogląda na nas spode łba, nucąc pod nosem monotonną melodię.

– Bierzesz tego z góry czy z dołu? – pyta nonszalancko lord, rozdeptując niedopałek.

Nagle chwytą za karabin i przystawia lufę do mojej głowy. Kilkukrotnie pociąga za spust, ale żadna z broni pochodzących z Yggdrasil nie może być wykorzystana przeciwko mnie. Strzelba blokuje wszystkie wystrzały, wydając z siebie jedynie ostrzegawcze dźwięki. Jack wciąż naciska cyngiel, wodząc za mną długą lufą i pustym spojrzeniem. Wreszcie po kilkunastu nieudanych próbach stawia karabin na sztorc, opierając kolbę o podłogę, i pochyła się nad nim, po czym wsadza sobie drugi koniec w usta. Wałę go z całej siły w twarz, gdy jego kciuk znajduje się milimetr nad czułym spustem, w ostatniej chwili powstrzymując przed odstrzeleniem sobie głowy.

Jack pada nieprzytomny na ziemię. Influencer milknie i przygląda mi się z uznaniem.

– Ten jest silniejszy – zwraca się do kolegi z sufitu. – Nie słyszy głosów.

– Bez znaczenia. Bez szans.

Obydwaj zrywają się do biegu. Zalewam ich deszczem pocisków, lecz chybiam za każdym razem.

Zanim oko zdąży wysłać informację o celu do mózgu, a ten spiąć odpowiednie mięśnie, wymierzyć i wystrzelić, oni już dawno są w innym miejscu – zawsze krok przede mną i z każdym krokiem coraz bliżej, jakby dokładnie wiedzieli, dokąd powędruje moja dłoń, jakby słyszeli wszystkie moje myśli, jeszcze zanim zdążę je sformułować. Z zaciśniętych pięści influencerów wysuwają się długie ostrza. Nie załatwią mnie od razu – zabiłem jednego z nich, więc to sprawa osobista. Będą tańczyć tuż przed lufą mojej broni i odkrawać kawałek po kawałku, aż nic ze mnie nie zostanie. To jak walka z odbiciem lustrzanym, które skontruje każde moje uderzenie.

Chyba że sam nie będę wiedział, gdzie atakuję.

Zamykam oczy i walę na ślepo przed siebie. Słyszę, jak pociski rozrywają sufit i ściany, zasypując korytarz deszczem odłamków. W chaosie nie słyhać już kroków, ale wiem, że napastnicy są tuż przy mnie, naprawdę blisko, niemal czuję dotyk ostrza na swojej szyi, spodziewam się uderzenia i fali cieplej krwi pod koszulą. Mimo to nie przestaję strzelać, bo to jedyne, co mogę w tym momencie zrobić. W symfonii eksplozji poprzetykanych metalicznym szczękaniem odskakującego zamka pojawia się pojedyncza organiczna nuta. Ledwie słyszalny jęk przebija się z trudem przez ścianę dźwięku i już wiem, że przynajmniej jeden z pocisków dosięgnął celu.

Otwieram oczy. Nad moją głową przelatuje bezwładnie ciało zostawiające za sobą krwawą smugę. Drugi z napastników wpada prosto na mnie. Próbuje wytrącić mi broń z ręki, ale jego ostrze zapiera się o miejsce pomiędzy lufą a spustem. Influencer popycha mnie do tyłu, a ja zawadzam o trupa i przewracam się na plecy.

– O kurwa, jak to będzie bolało – warczy, opadając na mnie całym ciężarem.

W jego spojrzeniu nie ma nic poza czystym szaleństwem rozlewającym się czernią po tęczęwkach. Ostrze szoruje po powierzchni broni wciśniętej szczęśliwie pomiędzy jego krawędź a moją szyję. Gorący wylot lufy parzy mnie w podbródek.

– Zrób to. Pociągnij za spust. To lepsze wyjście – skrzeczy, próbując odkroić mi głowę.

Nie jestem w stanie zrzucić go z siebie, jest za ciężki. Dokładnie wie, w którym momencie chcę się odepchnąć nogami od podłogi, i blokuje wszystkie moje ruchy, zupełnie mnie obezwładniając.

Teraz jedyne, co mogę zrobić, to biernie obserwować, jak ostrze coraz głębiej zatapia się w metal, zbliżając się do mojej szyi. Influencer pluje i wydziera się jak dzikie zwierzę.

– Jestem w twojej głowie! – wrzeszczy. – Już nigdy jej nie zobaczysz! Ona nie wróci!

I nagle wszystko staje w miejscu. Długa lufa dotyka skroni zaślinionego szaleńca. Odwracam wzrok w samą porę, by zobaczyć

krwawy rozbryzg. Fragmenty rozłupanej kości odbijają się od lśniącej powierzchni ściany, lepkie części przywierają i powoli spływają ku podłodze. Jack kopniakiem zrzuca ze mnie ciało i po raz drugi dzisiaj pomaga mi wstać.

– Przez chwilę naprawdę bardzo chciałem cię zabić – mówi.

Fala dźwięku przetacza się przez trzewia wieży, trzęsąc jej ścianami, i po sam szczyt zalewa ją basowym pomrukiem. Patrzę na Jacka i wiem, że myśli to samo. Doktor musiał zacisnąć ładunek w dłoni. Poświęcił się, by odciąć drogę posiłkom zmierzającym po naszych śladach lub ostatniemu influencerowi, z którym nie miał szans w starciu sam na sam. Czymkolwiek to było, wyparowało razem z nim i przynajmniej trzema piętrami królewskiego pałacu.

Ale dźwięk nie słabnie. Kolejna spiętrzona fala dociera do nas, przebywając dwieście czterdzieści dziewięć poziomów, i już jestem pewien, że to coś więcej niż napędzana adrenaliną i zmęczeniem halucynacja. To coś o wiele potężniejszego niż wybuch bomby. Spoglądam na Jacka, szukając ostatecznego potwierdzenia.

– Kibicują nam – mówi z uśmiechem.

Z dołu docierają do nas okrzyki radości i brawa, potwierdzające, że właściwie odczytaliśmy tę wiadomość.

– Pora to zakończyć – proponuję, ruszając przez zdemolowany korytarz.

Gruz chrzęści pod naszymi stopami, gdy biegniemy w kierunku nieuchronnego finału tej historii.

Wystarczy już tych szczęśliwych zbiegów okoliczności. Teraz nie mogę pozwolić sobie na błędy.

Uzbrajam cerebral boreę i z całej siły kopię w drzwi, wyciągając broń przed siebie. Pośrodku zalanej światłem sali bankietowej znajduje się tron. Wiertło namierza Lys, zanim ta zdąży oderwać wzrok od kieliszka i przywitać nas swoim zimnym spojrzeniem. Za jej plecami ogromny, elegancko ubrany mężczyzna pochyła się przez zdobione oparcie i szepcze coś królowej do ucha.

– W swoim czasie – odpowiada Lys.

– Gdzie jest Lilo? – postanawiam nie grać według ich

harmonogramu i od razu przejść do rzeczy.

– Zmieniłeś się, Rez – mówi, zupełnie niewzruszona dwoma sztukami broni wycelowanej w jej głowę. – Jeszcze niedawno uciekałeś stąd jak zbity pies z podkulonym ogonem. A teraz? Popatrz na siebie. Walczysz. Wykrwawiasz się. Żyjesz! – woła z entuzjazmem. – A ty, Jack, jak zwykle robisz wszystko oprócz tego, co trzeba – dodaje po matczynemu.

– Mogę ją już zastrzelić? – pyta błagalnie lord.

– Jak tylko odpowie na moje pytanie – uspokajam go.

– Jej sygnał ruszył na południe, dokładnie do miejsca, w którym wylądowaliście. Podczas nieudanej próby przechwycenia zakłóciliśmy jego trajektorię, odbijając go nieznacznie ku gorze.

Podróżował zbyt wysoko, by mogła go odebrać kapsuła, ale zanim na zawsze opuścił Ziemię, napotkał na swojej drodze ruiny wież Ketry, więc istnieje minimalna szansa, że znalazł tam urządzenie, w którym mógł się zapisać.

– Nie trzeba było tak od razu? – pytam.

– Chciałam się przekonać, czy to prawda.

– Co takiego?

– Że jesteś w stanie zrobić dla niej wszystko.

– No i jak wypadłem?

Lys unosi kieliszek wina, ale to nie toast. Przekazuje niedokończony trunek w ogromne ręce influencera, po czym składa dłonie do oklasków. Cztery pojedyncze kłaśnięcia wybrzmiewają w ogromnej sali, dźwięk odbija się od błyszczących podłóg i kryształowych okien, za którymi wieże miasta lśnią w promieniach wschodzącego słońca.

– Cieszę się, że ci się podobało.

– Podobało? Jestem zachwycona. Próżno szukać czegoś tak rzeczywistego w tym plastikowym świecie. Słyszycie to? –

Wskazuje dłonią w kierunku tarasu widokowego za swoimi plecami. – Całe miasto oszalało z radości!

– Niebawem się przekonasz, do czego zdolne jest twoje miasto. Już w tym momencie ponad połowa jego mieszkańców pragnie

zmiany na tronie. Lys załatwiona przez swój własny system.

Pożałowania godne – mówi Jack.

– Jakiś ty naiwny, synu – odpowiada, kręcąc głową. – Sądzisz, że ci ludzie będą pamiętać, co tu się dzisiaj wydarzyło? Za kilka dni pozostanie jedynie nieprzyjemny posmak w ustach. Za miesiąc, gdy z pałacu znikną ostatnie ślady walki, razem z nimi zatrą się wszystkie wspomnienia. Ludzie mają bardzo krótką pamięć. Przeminięcie jak każdy inny trend. To tylko kwestia doboru odpowiednich słów i znalezienia ciekawszych tematów.

– I ty to nazywasz demokracją?

– Wiesz, jaki jest problem z demokracją, Jack? Większość ludzi to pierdoleni idioci – stwierdza królowa Aurory. – Dlatego nieustannie trzeba im podpowiadać, co mają myśleć, nie odbierając możliwości dokonywania wyboru. Każdy chce mieć kontrolę nad własnym losem, ale lubi gdzieś przynależeć, bo wtedy odpowiedzialność za decyzje się rozmywa. Banda niewydukowanych hipokrytów. Myślą, że wolność i pokój to synonimy. Gdyby dać im prawdziwą wolność, pozabijaliby się nawzajem w pięć minut.

– No dobrze – wtrącam się – to ja was tu zostawię, nadrobicie stracony czas, zrobicie wybory czy co tam chcecie, a ja tym czasem lecę odnaleźć Lilo.

– Och, Rez. Znów ranisz moje uczucia. Naprawdę myślisz, że pozwolę ci tak po prostu odejść?

Poza tym nawet jeśli udałoby ci się opuścić pałac, wiedz, że nie masz po co tam jechać. Już dawno posłałam do Ketry kilku moich ludzi, by odnaleźli i zniszczyli kapsułę Lilo.

– Jeśli to prawda, spalę tę Ziemię i wszystko, co na niej żyje – mówię z absolutną pewnością, że tak właśnie się stanie.

– Chętnie to zobaczę. A tymczasem, chłopcy – Lys odbiera kieliszek z rąk influencera – dostarczcie mi rozrywki po raz ostatni. Powiem wam w tajemnicy, że bycie królową bywa cholernie nudne.

Olbrzym wychodzi z za tronu. Choć jego umięśnione ciało praktycznie rozrywa od środka elegancki garnitur, porusza się, jakby

nawet nie dotykał ziemi. Nie słysząc jego kroków. Patrzy na nas z kpiącym uśmiechem. Ale na Jacku nie robi to wrażenia.

– Spotkaliśmy już niewidzialnego influencera, takiego, który biegał po suficie, i jeszcze innego, czytającego w myślach. A ty co potrafisz?

– Ja jestem po prostu skuteczny – odpowiada spokojnie olbrzym.

Wiązka energii przelatuje tuż obok jego twarzy. Jack strzela ponownie i jeszcze raz chybia.

Influencer nie daje mu szansy wypalić po raz trzeci. Zanim w mojej dłoni pojawi się incipit ferrum, on już stoi przy lordzie i zatapia ostrze w jego wnętrznościach. Wysyłam pocisk prosto w skroń potwora, ale on zna wszystkie moje myśli. Podrywa dłoń do góry i zasłania się swoją ofiarą. Kula trafia Jacka w ramię.

Lord opada na kolana, w jego oczach powoli gaśnie życie. Zieleń podchodzi czerwienią, a później znika we mgle. Olbrzym wkłada drugą łapę pod jego brodę i unosi ku mnie wykrzywioną bólem twarz, a później ciągnie do góry, jakby chciał oddzielić głowę od ciała. Krew zalewa podłogę. Mogę zacząć po prostu strzelać – przy odrobinie szczęścia zabiję ich obu albo przynajmniej zakończę męczarnię Jacka, bo nic nie wskazuje na to, że uda mu się wytrzymać choćby sekundę dłużej. A później będę musiał poradzić sobie z przeciwnikiem, który jest szybszy i silniejszy ode mnie. Nie ma słabych punktów.

Poza tym jednym, siedzącym teraz na tronie.

Celuję w głowę Lys i raz po raz pociągam za spust. Każda kolejna kula rozbija się o pancerz influencera, który wpada pomiędzy nas i zasłania królową swoim ciałem. Nie przerywam ataku.

Mam jeszcze dziewięćset pocisków do rozdania i jeśli będzie trzeba, wykorzystam je wszystkie.

Szybko niszczę kolejne osłony i słyszę głuchy trzask pękających kości. Olbrzym próbuje ruszyć do przodu, dosięgnąć mnie swoimi wielkimi łapami i rozerwać na pół, ale ilekroć skraca dystans, następna eksplozja cofa go o dwa kroki. Strzępy garnituru zwisają z jego muskularnej sylwetki, pancerz ochraniający ciało znika pod

naporem brutalnego ataku. Kolejny strzał rozpruwa żywą skórę i na twarz królowej chlusta krew.

– Przestań! Przestań! – drze się Lys, najwidoczniej rozczarowana widowiskiem.

Nie odpuszczam. A olbrzym stoi tam, wciąż walczy, mimo że stracił już większość sił i coraz bardziej zapada się w ciemność. Widzę to w jego spojrzeniu, gdy przegrywa nierówną walkę z grawitacją ciągnącą go ku podłodze, ale zbiera się w sobie po raz kolejny, by ustać, i przyjmuje na siebie wszystkie uderzenia. Bezwarunkowo. Dokładnie znam to uczucie.

Zamek incipit odskakuje po raz ostatni. Opuszczam rozgrzaną do czerwoności broń. Influencer pada na kolana. Jack tonie w kałuży własnej krwi. Przez moment jesteśmy tu tylko Lys i ja.

Wpatrujemy się w siebie przerażeni, nie znajdując odpowiednich słów, by skomentować to, co zaszło. Mijają kolejne sekundy, gdy trwamy w niemym porozumieniu, wiedząc jedynie, że dotarliśmy do pewnej granicy, za którą czeka na nas coś, czego nie chcemy znać. Lys ostrożnie zsuwa się z tronu i podbiega w kierunku nieruchomego, zmaltretowanego ciała, szepcząc jego imię: – Agast.

Drzwi komnaty otwierają się z hukiem. Hilarius kroczy dumnie na czele wściekłego tłumu, któremu brakuje jedynie wideł i pochodni. A ja przez chwilę nie wiem, czy przyszli tu po mnie, czy po królową. Ludzie przepływają obok, chwytają Lys za ręce i nogi, unoszą ją wierzgającą wysoko do góry i z bojowym okrzykiem kierują się do wyjścia. Doktor podbiega do Jacka i pochyla się nad jego umierającym ciałem. Spogląda na mnie, kręcąc głową, ale postanawia walczyć o przyjaciela.

Zamyka broczące rany, przywraca prąd w obwodzie i stymuluje serce do pracy. Złamaniami zajmie się w drugiej kolejności.

– Żyj! – rozkazuje. – Wstawaj, lordzie Valentine. Tron czeka. To byłoby naprawdę nietaktowne, umrzeć w takim momencie.

Cała sala wstrzymuje oddech. Ale Jack leży bez ruchu. Nikt znikąd – idealny materiał na bohatera. Nawet on sam nie dawał sobie szansy, choć ostatecznie wywalczył drogę prosto na szczyt

i do serc. Zabrakło mu tak niewiele. Nawet jeśli wszyscy czują schadenfreude, to niewielu życzyło mu takiego końca. Cisza wyje w uszach. Ludzie opuszczają głowy i odwracają wzrok.

I wtedy Jack otwiera usta. Łapczywie nabiera powietrza, jakby właśnie wypłynął spod czarnej powierzchni śmierci. Z niepokojem przebiega wzrokiem po wpatrujących się w niego twarzach, ale dostrzegając znajome oblicze Hilariususa, uspokaja się i pozostaje nieruchomy, pozwalając doktorowi poskładać kości i naprawić resztę szkód.

– Nie ma czasu do stracenia – mówię.

– Obyś ją znalazł, przyjacielu – szepcze Jack. – Inaczej zbyt długo się tym wszystkim nie nacieszę – dodaje, z największym wysiłkiem spoglądając na zdobiony fotel.

Odwracam się i odchodzę, zostawiając ich pośród rozszalałego tłumu. Ludzie krzyczą i wiwatują, jakby to było jakieś święto. Ktoś zaczepia mnie, żebym skomentował niezwykle wydarzenia ostatnich godzin, a ja mam ochotę rzucić mu prosto w twarz, że zginęło tu dziś mnóstwo ludzi, a oni traktują to jak rozrywkę, i że wszyscy są popierdoleni.

Otwieram drzwi na taras i spoglądam w kierunku bezchmurnego nieba, na którym pojawia się Yggdrasil. W tym samym momencie słyszę, jak za plecami rozlega się znajomy metaliczny szczepek.

Kobieta wpatruje się we mnie zapłakanymi oczyma. Widzę ją pierwszy raz w życiu. Jej drżące dłonie ledwie utrzymują ciężar broni, ale nie przestaje do mnie mierzyć.

– Nigdy ci tego nie daruję. Ona zawsze będzie moją królową – bełkocze, zanosząc się płaczem, i opiera palec wskazujący na spuście cerebral boreę.

Przez chwilę mam ochotę ją sprowokować, by wystrzeliła i przekonała się, jakie to uczucie ocalić świat. Chcę ujrzeć ten moment, w którym dowiaduje się, że wiertło zamiast mnie zabić pomknęło ku ulicy, przedarło się przez czaszkę do wnętrza ślicznej, jasnej głowy Lys i rozerwało królewski łeb na kawałki. Marzę, by zobaczyć to miasto na kolanach. By obserwować, jak zamiera



w bezruchu, wreszcie zamyka mordę i zapada się w nicość. Usłyszeć tę znajomą ciszę, a w niej delikatne, głuche pęknięcia serc.

Zamiast tego szybkim ruchem chwytam za broń, wyciągam ją spomiędzy trzęsących się palców i wsuwam pod mankiet zakrwawionej koszuli.

– Show musi trwać – mówię, znikając w promieniu światła.

...

To mogło być dobre życie. Ale on zdecydował się wszystko spieszyć. Szalony człowiek, który

zawsze pragnął tylko tych rzeczy, których nie mógł zdobyć, i zachowywał się, jakby nikt mu nigdy nie powiedział, że na tym świecie każdy powinien znać swoje miejsce. On zawsze chciał więcej i to pragnienie zaprowadziło go na sam szczyt i na samo dno. Wszyscy znają tę historię. Wszyscy wiedzą, że uratował miliony ludzi, a później uznał, że cały świat zaciągnął u niego dług, więc teraz musi go spłacić. Tak więc obłąkany człowiek zbudował wielkie miasto, odgradził je grubym murem i zobaczył, że to było dobre. Następnie wypełnił je mieszkańcami, stworzył struktury i firmy, pozwolił się rozwijać i żyć w spokoju i bezpieczeństwie i zobaczył, że to także było dobre. A gdy ktoś protestował przeciwko jego woli lub chciał wyrazić odmienne zdanie, on natychmiast uciszał go dla dobra ogółu i wiedział, że to także było dobre. Na końcu zaczął niszczyć jednostki dla dobra ogółu i zaprzeczać wszystkim swoim ideałom. Sam już nie wiedział, co ma o tym sądzić, ale nie mógł przestać, bo wszystko zabrnęło zbyt daleko. A gdy przyszedł czas na odpoczynek, zamknięto go w szklanej celi głęboko pod powierzchnią ziemi i szybko o nim zapomniano.

To, co ocalało z Ketry, wystaje dziś z gęstego lasu, strasząc tysiącem pustych okien. Białe wieże, gęsto oplecione przez pnąca, sprawiają wrażenie, jakby mocniejszy podmuch wiatru mógł je popchnąć w zapomnienie. Komuś, kto nigdy nie oderwał stóp od

Ziemi, mogą się wydawać niezwykle, ale jeśli widziało się naszą galaktykę z oddali, trudno brać je na poważnie. Właśnie tam wybrała się Lilo. A ja podążam za nią.

Biegnę przez spalony las. Ziemia jest tu czarna, strawiona przez ogień i pokryta popiołem. Każdy mój krok wyrzuca w powietrze kolejne tumany pyłu. Gałęzie pękają pod moimi stopami. Mam ochotę krzyczeć jej imię, zaczarować rzeczywistość, zupełnie jakby istniała jakaś tajemna sekwencja dźwięków, które mogłyby przywrócić jej życie. Ale nie istnieje. Jestem tylko ja, czarny las i białe wieże.

– LILO! – krzyczę mimo wszystko, a mój głos odbija się echem pomiędzy zwęglonymi pniami.

I wtedy zauważam, że jest tu jeszcze ktoś.

Po drugiej stronie polany pojawia się dziewczyna. Wpatruje się we mnie, a jej oczy są ciemne jak ziemia, na której stoi. Próbuję odgadnąć, co może się kryć w jej upartym spojrzeniu. Cokolwiek to jest, nie ma nic wspólnego ze strachem. Ryzykuję krok do przodu, a na moją głowę opada niezniszczalna sieć. Nie próbuję się z niej wyplątać. Poczekam, aż nieznajoma podejdzie bliżej, a później wpakuję jej kulę prosto w kolano. Reszta powinna przybiec na ratunek. Jeśli nie, znam jeszcze parę sposobów, by sprawić komuś ból. Dziewczyna rusza ku mnie, a zza drzew wyłaniają się kolejne osoby i dołączają do niej. To raczej nie oddział wysłany przez Lys – ci muskularni barbarzyńcy wyglądają, jakby żyli w tych lasach od lat. Ich ciała noszą ślady walki, a ruchy mają zwierzęcą zwinność. Chowam ręce za plecy. Broń rozkłada się bezszelestnie i ląduje w mojej dłoni. Dziewczyna nie zwalnia kroku. Słońce wyłania się zza chmur i rozświetla białe szczyty swoim blaskiem. Jakby chciało mi przypomnieć, po co przebyłem całą tę drogę. Ale ja wiem, że moja ręka nie zdrzży. Pogrzebię ich w tym lesie, a jeśli uda mi się odnaleźć Lilo, nigdy jej o tym nie powiem.

Nie dowie się o niczym, co zrobiłem, by ją odzyskać. Bo wtedy nic z tego nie będzie ważne.

Wyciągam zza pleców incipit ferrum. W tym samym momencie

ziemia ucieka mi spod stóp. Sieć zaciska się wokół mnie, krępując ruchy, i podrywa do góry. Twarz dziewczyny przesuwa się przed moimi oczami raz w lewo, raz w prawo. Z każdym bujnięciem staje się coraz bardziej radosna.

– Nigdy się od was nie uwolnimy, co? Zawsze już będziecie tu wracać?

– Znasz mnie – bardziej stwierdzam, niż pytam.

– Tak, Rez. Uratowaliście nam życie. A teraz jesteście kwita.

– Nie rozumiem.

– Wczoraj pojawił się tu oddział ludzi z Aurory i wypytywali o kapsułę, która spadła z nieba do lasu. Zaprowadziliśmy ich na północną krawędź. Po drodze zdążyli nam opowiedzieć wszystko o tym, jak zniszczyli wasz statek i próbowali przechwycić sygnał Lilo.

– Powstrzymaliście ich?

– Można powiedzieć, że opuścili nasze ziemie w pośpiechu i raczej nie odwiedzą nas ponownie.

– Muszę ją odnaleźć.

– Droga wolna – odpowiada, dając znak skinieniem.

Grawitacja przejmuje moje ciało. Spadam twarzą prosto w popiół. Wymalowany na ciele łowca wytrząsa mnie z siatki, jakbym był zdechłą rybą, która zaplątała się w oka, i pomaga mi wstać. Nie usłyszałem, jak pojawił się za moimi plecami. Coś czuję, że gdyby nie moje alter ego, leżałbym teraz z metrowym ostrzem wystającym z pleców i oglądał napisy końcowe.

– Zabiłeś Lys? – pyta ochryply głos.

Z tłumy wyłania się starzec w dredach. Pociąga buch z fajki i przygląda mi się uważnie, gdy otrzepuję się z popiołu. W jego jasnych oczach dostrzegam coś niepodważalnie znajomego.

– Nie, ale po tym, co się wydarzyło w Aurorze, nie sądzę, żeby kiedykolwiek zasiadła na tronie.

– Więc ją zabiłeś – stwierdza. – Chodź, Fey, czas wreszcie wynieść się z tego przeklętego miejsca. Te wieże tylko zasłaniają nam słońce.

Łowcy odwracają się i odchodzą, bezszelestnie rozplywając pomiędzy drzewami. Ja zrywam się do biegu. Powyginane konary drapią moje ramiona i wpadają do oczu, gdy pędzę przez zasieki, ku Ketrze. Las gęstnieje, muszę teraz łamać gałęzie, by przedrzeć się dalej. Nawet nie zauważam momentu, w którym moje nogi osuwają się po ziemi, i zaczynam zjeżdżać w dół wąwozu. Na końcu głębokiej bruzdy spoczywają dwa niepasujące do krajobrazu kształty. Na początku nie mam pojęcia, na co patrzę, ale gdy podchodzę bliżej, wszystko staje się jasne. Jedna z kapsuł jest kompletnie spalona. Eksplozja oderwała z niej dach, wszystkie sprzęty w środku zostały stopione w bezkształtną masę. Pozostał jedynie aerodynamiczny szkielet wbity głęboko w ziemię. Kilka metrów dalej przebiega granica zniszczenia. Za idealnie równą linią krajobraz rozkwita soczystą zielenią. Nad wysokimi trawami unoszą się chmary owadów, drzewa są obrośnięte liśćmi, które kołyszą się melancholijnie w rytm podmuchów. Biały pojazd należący do Lilo praktycznie znika w krzakach. Dajmy przyrodzie jeszcze kilka lat i wchłonie go w całości, jakby nigdy nie istniał.

Podnoszę głowę i widzę dziurę ziejącą tuż pod szczytem najwyższej wieży. Tam zacznę.

Niebo ciemnieje, wiatr przeszywa mnie lodowatym podmuchem. Yggdrasil teleportuje mnie na pokład i natychmiast wysyła do wnętrza budowli. Ruszam przez jej ciemne korytarze. Drzwi do mieszkań są pootwierane, na niektórych wciąż migoczą nazwiska właścicieli, gdzieś na prymitywnych wyświetlaczach pojawiają się zniekształcone sylwetki niegdyś mieszkających tu osób. Przyglądają mi się jak duchy przeszłości, szczerząc zęby i wymachując rękami, gdy mijam je obojętnym krokiem. Ubrania, rzeczy domowego użytku, szkło i bezużyteczne śmieci walają się w każdym kącie tego skansenu. Czasem z ciekawości zaglądam za drzwi, by się przekonać, w jak prymitywnych warunkach żyli ci ludzie. Wszystkie ciasne klatki wyglądają dokładnie tak samo.

Tylko widok z okna jest niezły. Za brudnymi szybami rozciąga się bezkresny las.

Ostatnie drzwi na najwyższym piętrze nie są w żaden sposób oznaczone. Wiatr wyje w szczelinach pomiędzy wypaczonymi drewnianymi listwami. Pociągam za klamkę, a podmuch wyrywa mi ją z ręki. Właśnie tu kapsuła Lilo przebiła wieżę na wylot. Wicher hula w pomieszczeniu, przewracając strony rozrzuconych książek leżących obok pogruchotanej biblioteki i czasem spychając którąś z nich w otchłań dziury pośrodku podłogi. To szyb windy ciągnący się przez całą długość konstrukcji, ale minęło już trochę czasu, od kiedy ktokolwiek jej używał. Pod ścianą stoi masywne biurko, na którym wciąż walają się przybory do pisania, zgaszona lampka i zegar wyświetlający siódmą siedemnaście. Wiele więcej tu nie ma. Kapsuła wymiotła całą część mieszkalną, pozostawiając zrujnowaną namiastkę biura, w którym niegdyś wielki władca dumnego miasta sterował jego losami. Odsuwam skrzypiące krzesło i zajmuję jego miejsce, próbując sobie wyobrazić, jakie to musiało być uczucie. Tysiąc lat temu wciąż istniały państwa, ludzie używali słowa „internet”, a kosmos był tylko upstrzoną świetlistymi punktami czarną masą, w której stronę spoglądano rzadko i raczej bez entuzjazmu. Gdyby któregoś dnia wyłonił się z niej Yggdrasil, większość uznałaby, że rozpoczęła się inwazja. A to tylko my.

Dla pogłębienia efektu zarzucam nogi na biurko i nie jest to jedna z moich najlepszych decyzji.

Krzesło pęka pode mną, a ja zwalam się z hukiem na podłogę. Dobra, dość tego. Odwlekałem ten moment wystarczająco długo, pora poznać prawdę. Rozkazuję Yggdrasil zeskanować każdą cząstkę tego miejsca w poszukiwaniu sygnału. Dwie sekundy później dostaję odpowiedź.

——nie znaleziono——

Jeszcze raz! Czułe radary analizują informacje zapisane w urządzeniach, natężenie prądu, strukturę molekularną każdego nanometra sześciennego materii, dosłownie rozrywają to miejsce atom po atomie i z powrotem składają do kupy, szukając dającego się zidentyfikować kodu źródłowego określającego każdy parametr organicznej formy życia, która nazywa się Lilo. To nie kosmiczna

technologia, tylko rutynowa procedura.

——nie znaleziono——

Chwytam trzynogie krzesło i uderzam nim w biurko. Napierdalam nim z wściekłością po wszystkich sprzętach, roztrzaskuję lampę, zrzucam zegar i nie przestaję, dopóki gruby blat nie pęka na wpół. Następnie biorę zamach i wyrzucam resztki krzesła przez wyrwę w ścianie. Patrzą, jak zbliża się do twardej ziemi i jestem bardzo bliski pójścia w jego ślady. W nieprzebranej zieleni wyraźnie widać geometryczny kształt wypalony przez eksplozję kapsuły. I wtedy dopada mnie najstraszniejsza myśl.

Przecież Lilo przybyła tu z równoległej rzeczywistości. Nasze organizmy nie różnią się na poziomie atomowym, ale sposób zapisu danych może być zupełnie odmienny. Yggdrasil szuka wzorów właściwych dla naszej technologii, ale to nie oznacza, że ich kod wygląda tak samo.

W końcu nie wiedzieli nic o alternatywnych wymiarach. Ona może tu być. A ja nigdy nie będę mógł jej znaleźć.

Byłem taki głupi!

Padam na kolana i chowam twarz w dłonie. To jest ten moment, w którym człowiek pęka i po prostu się poddaje, bo wie, że już dotarł do końca siebie i nic więcej nie zostało. Przecież nie jestem w stanie sprawdzić każdego sprzętu, wyrwać ze ściany wszystkich obrazów i analizować ich w poszukiwaniu języka, którego nawet nie znam. Od czego miałbym zacząć? Wszystko tu jest na prąd. Nawet ten pierdolony budzik wciąż wyświetlający siódmą siedemnaście. Kurwa!

Minuty mijają. Ale czas zatrzymał się tu w miejscu. Zero siedem : jeden siedem. Chwila mojej największej słabości. Wpatruję się w migający dwukropek, jakby w tych dwóch punktach miała się znajdować odpowiedź na wszystkie moje pytania.

07:17

·wəbɛzɫsop oɫ ʎpɛɫm ɪ

Powietrze opuszcza moje płuca, ale nie potrafię wziąć kolejnego oddechu. Chwytam zegar w dłonie i przyciskam mocno do siebie.

A później zbiegam na dół. Nie pamiętam drogi przez wieżę. Ani biegu przez las. Równie dobrze mogłem wyskoczyć przez okno, roztrzaskać się o beton, zmartwychwstać i przeczołgać się przez wysokie trawy, a nie zarejestrowałbym tego. Dobiegam do jej kapsuły i uderzam dłonią w jednolicie gładki kadłub, szukając drogi do środka. Myśl, Rez, myśl! Oczywiście, czujnik jest z drugiej strony, pod skrzydłem. Gdy tylko się zbliżam, on rozpoznaje moje DNA i wpuszcza mnie do środka. Sprzęt replikujący znajduje się w samym centrum kapsuły, otoczony kolejnymi warstwami poszycia, na wypadek uszkodzeń. Yggdrasil przesyła mi instrukcje, jak obsłużyć to kurewstwo. Wciskam sekwencję znaków na hologramowym interfejsie, a wszystko ożywa światłem i dźwiękiem. Mechaniczne ramię wysuwa się i wyjmuje budzik z moich spoconych dłoni. Damski głos prosi mnie o opuszczenie kapsuły na czas rekonstrukcji. Podpierając się ścian, docieram do otwartych drzwi i siadam na progu.

I dopiero teraz biorę kolejny wdech.

Czas znów rusza z miejsca. Z trudem dociera do mnie, że niebo zasnuło się ciężkimi chmurami i że pada śnieg. Białe płaty zakrywają spaloną ziemię i topnieją na moich dłoniach. A ja wciąż siedzę tam i czekam, bojąc się drgnąć nawet na milimetr, jakby od mojego bezruchu zależało poprawne wykonanie procedury. To prawdopodobnie przez Yggdrasil. Ten śnieg, znaczy się.

Wysysa energię ze słońca i obniża temperaturę na Ziemi. Dlatego pada. Białe płaty przykryją wszystko, zasypią nas po szyję. Ciekawe, czy wciąż ktoś obchodzi tu święta? Nawet nie próbuję kontrolować myśli przepływających mi przez głowę. Byle już ten moment nadszedł, byleby ją zobaczyć i...

Drzwi w głębi statku rozsuwają się. Przez jakiś czas nie dociera do mnie żaden dźwięk. A później słyszę kroki. Delikatne stąpanie bosych stóp. Zbieram siły, z najwyższym trudem dźwigam się na nogi i odwracam.

Lilo stoi przede mną. Zupełnie naga. W swoim własnym ciele. I przygląda mi się z uwagą.

– A ty kim, kurwa, jesteś? – pyta.

Wyciągam dłoń w jej kierunku, próbując wyjaśnić, ale czuję tylko, jak pocisk rozrywa moją klatkę piersiową. Uderzenie odpycha mnie do tyłu i wyrzuca na zewnątrz. Krew wiruje w powietrzu. Pomiedzy kroplami wciąż widzę ją w mroku kapsuły, jak podnosi palec ze spustu i otwiera usta. Widzę też moją rękę, która próbuje ją dosięgnąć, a może powstrzymać, ale ostatecznie zwijam palce w pięść, jakbym właśnie chwycił przesłanego całusa, i przyciskam mocno do siebie. Choć części mojego ciała wirują w powietrzu, nigdy nie czułem się bardziej kompletny. Walczę z bólem do samego końca, ale ostatecznie to on wygrywa i zamyka mi oczy.

Jestem w tym momencie tak szczęśliwy, że gdyby nie ta ogromna dziura w piersi, mógłbym śpiewać.

Lilo zawsze wiedziała, jak trafić do mojego serca.

## KONIEC

---

Zaraz, zaraz. Ale ta historia przecież nie może się w taki sposób skończyć! Po tym wszystkim, co przeżyliśmy? Po całym tym czasie, który zdecydowaliśmy się poświęcić, mimo że mamy go coraz mniej? Dlatego z oddali powoli dobiegają mnie zniekształcone głosy. Słowa, które nic nie znaczą.

Dźwięki wołają mnie do siebie, a ja, błądząc gdzieś po czarnej granicy bezświadomości, powoli odnajduję dzięki nim właściwy kierunek. Światło wlewa mi się pod powieki. Rozmazany kształt – jasny owal, dwa niebieskie punkty i jeden większy, czerwony poniżej – odsuwa się ode mnie.

Odzyskuję ostrość widzenia. Lilo wyciera usta, a ja czuję, że moje też są wilgotne.

– Przeprosiny przyjęte – mówię i podnoszę głowę.

Ona pomaga mi wstać ze stołu operacyjnego. Czarny kostium szczelnie pokrywa moje ciało.

Czuję się, jakbym nie ważył nawet jednego grama.

– To pomoże ci się zregenerować. Przekazałam ci nanocząstki,



które wzmocnią twój organizm, ale nie zaczną działać od razu – mówi głosem, który tak dobrze znam. – Dziękuję, że mnie odnalazłeś – dodaje, spoglądając na mnie.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak długo czekałem na tę chwilę – mówię, wyciągając dłoń w jej kierunku, bo jedyne, czego pragnę, to złapać ją mocno i przytulić, żeby się upewnić, że to nie halucynacja, a nawet jeśli, to przynajmniej tak silna, że już nigdy nie będę w stanie jej odpędzić.

Ale ona się odsuwa, spoglądając nieufnie. Choć mój głos jest taki sam, a rysy twarzy, pomimo zarostu i wieku, bez wątplenia należą do Reza, wspomnienia czynią mnie zupełnie obcym człowiekiem.

– Zabiłeś go? – pyta wprost.

– Tak – odpowiadam. – Był częścią mnie, za którą nie przepadałem.

– Niesamowite – mówi, przyglądając mi się z uwagą.

Wreszcie podchodzi bliżej i kładzie rękę na mojej piersi, dokładnie w miejscu, z którego niedawno uleciało prawie całe moje życie.

– Więc można cię zabić?

– Tak – przyznaję ponownie.

Lilo cofa rękę i chwyta za broń leżącą obok stołu operacyjnego, ale zamiast wpakować mi cały magazynek w głowę po prostu odwraca się i rusza w kierunku wyjścia z kapsuły.

– W takim razie będę musiała cię chronić – mówi.

Wychodzę za nią na zewnątrz. Las przysypał śnieg ale niebo znów jest błękitne. Zamrożony świat lśni w promieniach słońca.

– Yggdrasil odleciał bez ciebie.

– Niedobrze, miałem już wszystko zaplanowane. Mieliśmy wznieść się na orbitę, stanąć w centrum dowodzenia, złapać się za ręce i oglądać z oddali, jak cała Ziemia płonie.

– Więc co teraz zrobimy?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem – mówię, siadając na progu.

Lilo siada tuż obok. Wodzi wzrokiem po wieżach Ketry i mokrym puchu, spod którego wylania się czarna ziemia. Zawiesza spojrzenie

na rozłupanej kapsule. Być może próbuje poskładać wszystkie wydarzenia w całości odnaleźć w nich jakiś sens, a może po prostu chce tak chwilę posiedzieć, wolna od emocji. Nie znam jej myśli, ale sądzę, że z czasem nauczę się je rozpoznawać.

Dowiem się, co kryje się za każdym jej gestem i jak interpretować jej słowa, uzależnię od jej śmiechu i nauczę go wywoływać. Aż w końcu nie zostanie już nic do odgadnięcia, ale to nie szkodzi, bo od teraz każdy dzień może wyglądać dokładnie tak samo.

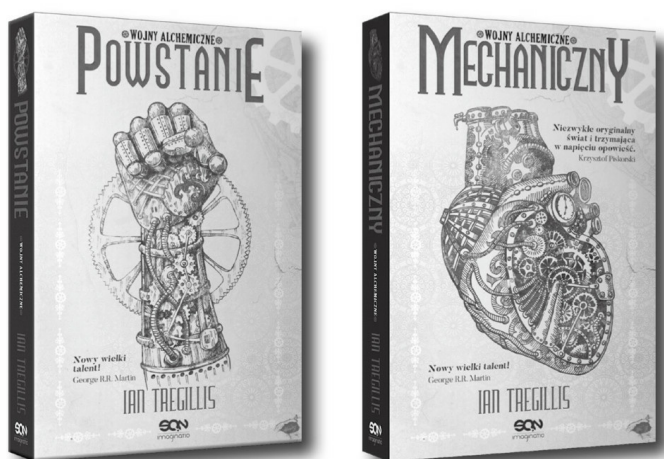
•

Słońce zanurkowało pomiędzy białe szczyty. Długo przypatrywaliśmy się, jak śnieg topnieje w wąwozie, i żadne z nas nie odezwało się nawet słowem. Myślę, że było nam dobrze, po prostu tak siedzieć obok siebie, ramię w ramię, i patrzeć w tym samym kierunku. Później położyłem głowę na jej kolanach i po raz pierwszy od wieków zapadłem w sen. W tle zegar wciąż odliczał sekundy od nieskończoności do zera, ale ja już nie słyszałem jego tykania.

.:KONIEC:.

# CZY LUDZIE RÓŻNIĄ SIĘ OD SAMOŚWIADOMYCH MASZYN?

W XVII wieku Christiaan Huygens opracowuje sposób na tchnięcie życia w mechaniczny konstrukt. W ten sposób powstaje pierwszy klakier, mosiężny człowiek, bezwzględnie posłuszny rozkazom swojego pana. Królestwo Niderlandów wykorzystało wynalazek. Powołało niepokonaną armię mechanicznych żołnierzy i dźrzyży niepodzielną władzę w całej Europie. Trzysta lat później Jax, jeden z mechanicznych służących holenderskiej rodziny kupieckiej, w wyniku nieoczekiwanego splotu wydarzeń odzyskuje wolną wolę.



Wojny alchemiczne to niezwykle oryginalny świat i trzymająca w napięciu opowieść.

## **PRZETRWALIŚMY... NA JAK DŁUGO?**

Po Upadku nic nie wygląda tak jak wcześniej. Lód i śnieg pochłonęły cały świat. Po ziemi stąpają wygłodniałe bestie, niebem nie rządzą już ptaki. Miasta stoją niemalże puste – zapuszczają się tam tylko złomiarze w poszukiwaniu cennych artefaktów. Pozostali przy życiu ludzie przenieśli się wysoko w góry, gdzie trzymają się ułudy bezpieczeństwa. W tym świecie przetrwają tylko najsilniejsi, każda książka jest na wagę złota, a dawne siedziby ludzkie skrywają największe sekrety. Tutaj nie wybacza się najmniejszego błędu.



„Postapokalipsa Patykiewicza zmrozi do szpiku kości nawet najtwardszego czytelnika”.

Robert J. Szmidt



WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:



WydawnictwoSQN



SQNPublishing



wydawnictwosqn



wydawnictwosqn



WydawnictwoSQN

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)



RAFAŁ CICHOWSKI

# PYLE ZIEMI



CZAS WYRÓWNUJE WSZYSTKO DO ZERA

SON  
imaginatio

# Spis treści

Strona tytułowa	2
I #nofilter	5
II Get the London look	26
III List z piekła	63
IV Aurora	97
V Historia Reza i Lilo, czyli co tak naprawdę wydarzyło się na Yggdrasil	129
VI To tylko sen	168
0 Intermezzo	232
Reality show	245
Strona redakcyjna	3